

NOWA SERIA BESTSELLEROWEJ SZWEDZKIEJ AUTORKI

POJEDYNEK Z DIABŁEM

NOSSTHO

KRISTINA

Prószyński i S-ka

Więcej doskonałej jakości ebooków szukaj na: www.eBook4me.pl

Przełożył
Wojciech Łygaś

Prószyński i S-ka

POJEDYNEK Z DIABŁEM
OHLSOON
KRISTINA

Tytuł oryginału
MIOS BLUES

Copyright © Kristina Ohlsson 2015
Published by agreement with Salomonsson Agency
All rights reserved

Projekt serii

Joanna Szulczyńska

Opracowanie graficzne okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Silas Manhood Photography

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8097-484-5

Warszawa 2016

Wydawca
Prószynski Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Czytanie *Zagadki Sary Tell* sprawia mi ból. Ja po prostu fizycznie czuję, jak to wszystko przebiegało. Wcześniej Lucy eksperymentowała w biurze z kremami do opalania, a ja ukrywałem przed nią randki, na które chodziłem. Ale po naszym powrocie z Teksasu cała ta niefrasobliwość zniknęła. Dlatego proszę się przygotować na to, że historia, którą teraz opowiem, ma o wiele większy ciężar gatunkowy. Jest o wiele mroczniejsza. Tu już nie chodzi o Sarę Tell. Chcę opowiedzieć o losach Mio.

M.B.

POCZĄTEK

„Kim pani jest?”

**ZAPIS WYWIADU Z MARTINEM BENNEREM (MB)
PROWADZĄCA WYWIAD: KAREN VIKING (KV), NIEZALEŻNA DZIENNIKARKA
MIEJSCE ROZMOWY: SZTOKHOLM**

MB: Kim pani jest?

KV: Nazywam się Karen Viking i byłam bliską przyjaciółką Fredrika Ohlandera, z którym pan współpracował.

MB: Bliską przyjaciółką? Naprawdę?

KV: Tak Rozumiem, że wzbudza to pańskie podejrzenia, dlatego wszystko wyjaśnię. Po śmierci Fredrika... załadam, że pan wie, że on nie żyje?

MB: Tak, wiem. Bardzo mi przykro z tego powodu.

KV: Mnie też. Fredrik był jedną z najbliższych mi osób, był mi prawie jak brat. Ja... Zresztą nieważne. Kilka dni temu zadzwonił do mnie Verner, partner życiowy Fredrika. Powiedział, że w jego skrytce bankowej znalazł grubą zaklejoną kopertę z moim imieniem i nazwiskiem. Pod spodem był dopisek, że wolno ją otworzyć tylko mnie.

MB: Rozumiem.

KV: Tego samego wieczoru odebrałam ją od Venera. W środku znalazłam grubą plik karteczki krótki list. Fredrik informował mnie w nim, że gdyby nagle przepadł bez śladu albo zginął, mam się skontaktować z panem. Napisał, że poznaliście się po tym, jak znalazł się pan w trudnym położeniu, i podkreślał, że historię, którą mu pan opowiedział, należy za wszelką cenę zachować.

MB: Czy wcześniej wspominał coś o naszej współpracy?

KV: Nie, ale wiele osób się domyślało, że Fredrik jest na tropie jakiejś bardzo delikatnej sprawy. (milczenie) Wydaje mi się, że nie zdążył mu pan wszystkiego przekazać. Mam rację?

MB: Tak To pewnie dlatego Fredrik uznał, że powinienem się z panią spotkać. Wiedział, że mamy za sobą dopiero pierwszy akt sztuki i że drugi chciałbym udokumentować równie dobrze jak pierwszy.

KV: Jak wygląda obecnie sytuacja? Czy ten drugi akt dobiegł już końca?

MB: Tak Wszystko się skończyło.

(milczenie)

KV: Olej, w takim razie co zrobimy? Opowie mi pan o tym, co się wydarzyło?

MB: Chętnie. Jeśli Fredrik zlecił pani to zadanie, to znaczy, że pani ufał. Dlatego będę kontynuował moją opowieść. Ale najpierw musi pani zaakceptować podstawowe zasady. Wszystko, o czym opowiem, musi pozostać między nami. Wolno pani to opublikować tylko w dwóch przypadkach: jeśli zginę albo zaginę. Czy pani się na to zgadza?

KV: Jasne. Zresztą Fredrik wspomniał o tym w swoim liście.

MB: Co pani już wie? Czy przed swoją śmiercią Fredrik zdążył opisać całą historię?

KV: Chyba tak. Ale najlepiej będzie, jeśli sam pan to przeczyta. Fredrik zostawił mi dwa teksty: jeden dłuższy, drugi w formie streszczenia. Na podstawie pierwszego chciał napisać książkę. I nawet nadał jej fantastyczny tytuł.

MB: Mianowicie?

KV: „Zagadka Sary Tell”.

ZAGADKA SARY TELL

Streszczenie

Nazywam się Martin Benner i jestem adwokatem. Do niedawna miałem wszystko: kobiety, karierę, pieniądze i cudowną córeczkę. Dzisiaj wygląda to zupełnie inaczej. Moje życie się zmieniło, a ja straciłem pewność siebie. Być może wynika to z moich słabości. Ciągłe szukam nowych wyzwań, zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym. Niestety, zapłaciłem za to wysoką cenę. Odbiło się to na przykład na moim związku z Lucy, z którą pracuję i od czasu do czasu sypiam.

Pewnego dnia do naszej kancelarii adwokackiej przyszedł mężczyzna. Powiedział, że ma na imię Bobby i potrzebuje mojej pomocy, bo jego siostra została niewinnie oskarżona o popełnienie pięciu zabójstw. Gazety nazywały ją Sarą Teksas, chociaż w rzeczywistości nazywała się Sara Tell. Bobby poprosił mnie, żebym został jej obrońcą i spróbował odnaleźć jej zaginionego syna Mio. Twierdził, że pierwszy adwokat nie spisał się zbyt dobrze. Uważał, że ja poradzę sobie lepiej. Powstał jednak pewien problem: podczas przepustki z aresztu śledczego Sara popełniła samobójstwo. Zrobiła to na dzień przed rozprawą, na której sąd miał wydać wyrok w jej sprawie. Wszyscy eksperci byli zdania, że Sara zostałaby uznana za winną popełnienia wszystkich pięciu zbrodni. Sąd miał wystarczająco dużo dowodów, a poza tym Sara do wszystkiego się przyznała. Mimo to zgodziłem się. Ale przyjąłem tylko pierwsze zlecenie: na oczyszczenie Sary z winy. Los jej syna w ogóle mnie nie interesował. Mio zniknął z przedszkola w tym samym dniu, w którym Sara nie wróciła z przepustki. Policja uważała, że kobieta go zabiła, a potem odebrała sobie życie. Nie miałem podstaw sądzić inaczej.

Dość szybko zauważyłem, że akta policyjnego śledztwa zawierają luki, a śledczy zaniedbali swoje obowiązki. Na przykład zrezygnowali z badania niektórych wątków. Sara pracowała jako opiekunka dzieci w Teksasie i to tam rzekomo popełniła dwa zabójstwa. Jej przyjaciółka Jenny wątpiła w jej winę. Można nawet powiedzieć, że miała w tym względzie poważne zastrzeżenia. Do tego stopnia, że spotkała się ze mną, żeby poinformować, że może zapewnić Sarze alibi na czas pierwszego zabójstwa.

Potem wypadki potoczyły się szybko: Jenny i Bobby zostali zamordowani. Okazało się jednak, że Bobby, który zginął, nie był tym samym Bobbym, który odwiedził mnie wcześniej w biurze. Zdaniem policji Jenny została potrącona przez samochód marki Porsche, podobny do mojego. Tak przy najmniej zeznała pewna kobieta, która była świadkiem zdarzenia. Jej zeznanie, jak również fakt, że byłem powiązany z obiema ofiarami, sprawiły, że w oczach policji stałem się osobą podejrzaną. Śledztwo w tej sprawie prowadził Didrik Stihl. Kiedyś byliśmy dobrymi znajomymi, co przynosiło mi pewne korzyści. Niestety, po pewnym czasie bardzo się zmienił. Od tamtej pory staram się trzymać od niego z daleka.

Ja i Lucy pojechaliśmy do Teksasu. Wydawało mi się, że jeśli zdołam udowodnić, że Sara nie popełniła przynajmniej jednego z obu zabójstw, to uda mi się także doprowadzić do jej uniewinnienia od zarzutu popełnienia pozostałych czterech. Miałem też nadzieję, że jeśli zostanie uniewinniona, skończą się moje problemy: nie zostaną oskarżony o zabójstwo Jenny i Bobby'ego i moje życie wróci na normalne tory. Można powiedzieć, że moim zachowaniem w dużej mierze kierowała miłość do Belle, mojej czteroletniej siostrzenicy. Zaopiekowałem się nią po wypadku lotniczym, w którym zginęli jej rodzice. Belle miała wtedy dziewięć miesięcy. Staram się być dobrym ojcem i kocham ją ponad wszystko.

W Teksasie zebraliśmy więcej informacji, niż mogliśmy przypuszczać. Okazało się, że Sara rzeczywiście popełniła jedno z zabójstw, ale uczyniła to w obronie własnej. Dowiedzieliśmy się też, że była prostytutką i należała do gangu, którego szef o pseudonimie Lucyfer zajmował się stręczycielstwem i handlował narkotykami. Sarę łączyły z nim szczególne więzi. Była jego kochanką, o czym prawie nikt nie wiedział. Kiedy zaszła z nim w ciążę, uciekła do Szwecji. Niestety Lucyfer i tu posiadał kontakty, dzięki którym zdobył niezbędne informacje. Szybko więc ustalili, gdzie Sara przebywa, po czym przyleciał do Sztokholmu i poprosił ją, żeby wróciła z nim do Ameryki. Sara odmówiła. Postanowił ją więc ukarać, a jednocześnie wywrzeć na nią nacisk zagroził, że za każdym razem gdy będzie ją namawiał do powrotu do Stanów, a ona mu odmówi, on zamorduje jedną osobę i uczyni to w taki sposób, żeby okoliczności zbrodni wskazywały na Sarę jako sprawczynię. Sara odmówiła mu trzy razy i Lucyfer zabił w Sztokholmie trzy osoby. Wkrótce potem szwedzka policja oskarżyła Sarę o popełnienie pięciu zabójstw: dwóch w Teksasie i trzech w Szwecji. Jej syn Mio trafił do rodziny zastępczej.

Na dzień przed rozprawą Sara nie wróciła z przepustki do aresztu, chociaż była wtedy pod nadzorem policji. Prawdopodobnie chciała zapewnić bezpieczne schronienie sobie i swojemu synowi. Do dzisiaj nie wiadomo, co się wydarzyło naprawdę. Wiemy tylko, że Sara była tak zrozpaczona swoją sytuacją, że skoczyła z mostu do wody. Po chłopcu zaś ślad zaginęła. Policja nie znalazła go ani w przedszkolu, ani u rodziny zastępczej.

Zaginęła też moja Belle. Przed wyjazdem do Teksasu, żeby zapewnić jej maksimum bezpieczeństwa, zawiozłem ją do jej dziadków, którzy mieli domek na wyspie, i poprosiłem Borisa, który kiedyś był moim klientem, żeby wyznaczył ludzi do jej pilnowania. Boris jest szefem mafii, ale nawet to nie pomogło, bo podczas naszego pobytu w Teksasie Belle została porwana. Porywacze zwrócili mi ją dwie doby później. Przy okazji dowiedziałem się, że Lucyfer nie zabija dzieci i chodziło mu tylko o to, żeby nakłonić mnie do współpracy. Potem zadzwonił do mnie jakiś mężczyzna i powiedział, że zwraca mi Belle „na pożyczony czas”. Zagroził, że znowu mi ją odbierze, jeśli nie obiecuję, że pomogę mu odnaleźć Mio. Dopiero gdy taką obietnicę złożyłem, Belle do mnie wróciła.

* * *

To tyle na ten temat. Ktoś porwał moją córkę, jeśli więc nie zrobię tego, o co mnie

poproszono, mogę ją stracić na zawsze. Powinienem odnaleźć Mio. Chcę też ustalić, kto próbuje obarczyć mnie winą za śmierć Jenny i Bobby'ego. Lucyfer twierdzi, że to nie on za tym stoi.

Lucyfer... Chętnie bym się dowiedział, kto nim jest. Niech całe to zło przybierze w końcu ludzką twarz, żebym mógł się go pozbyć. Niektóre fakty sugerują, że Lucyferem jest szeryf Esteban Stiller, którego poznałem w Teksasie. Nie mam jednak na tyle odwagi, żeby dociękać tego bliżej, bo może się to skończyć śmiercią Belle.

To ona jest dla mnie najważniejsza. Teraz już o tym wiem. To dla niej muszę przestrzegać uzgodnionych reguł gry. Ale głód wiedzy mam we krwi i nie potrafię zwalczać swojej drugiej natury. Czuję się tak, jakbym chodził po linie. Muszę tylko przez cały czas patrzeć przed siebie, nie w dół, bo inaczej natychmiast spadnę.

CZĘŚĆ 1

„Kiedy zaginął Mio”

ZAPIS WYWIADU Z MARTINEM BENNEREM (MB)
PROWADZĄCA WYWIAD: KAREN VIKING (KV), NIEZALEŻNA DZIENNIKARKA
MIEJSCE ROZMOWY: SZTOKHOLM

KV: Jakiś panu podoba „Zagadka Sary Tell”?

MB: Uważam, że to bardzo dobry tekst. Teraz jednak weźmy się do pracy. Ja będę opowiadał, pani będzie zapisywała. Zrobimy to dokładnie tak jak z Fredrikim.

KV: Od czego pan zacznie? Może od tego, co wydarzyło się później, gdy porywacze zwrócili panu Belle?

MB: Chętnie. To, co działo się przez pierwsze dni, można streścić w kilku zdaniach. Najpierw pojechałem z Belle na badania do szpitala, a potem do mojego mieszkania. Stamtąd poszedłem na spotkanie z Fredrikim i na rozmowę z policją. Poza tym nic się nie działo. Później zabrałem się do spraw, którymi miałem się zająć.

KV: To znaczy? Wolałabym, żebyśmy pewne pojęcia rozumieli taksamo.

MB: Chciałem ustalić, co się stało z synem Sary. Takie zadanie postawił mi Lucyfer. Musiałem się też dowiedzieć, kto i dlaczego próbuje mnie posłać za kraty za dwa zabójstwa, których nie popełniłem. Lucyfer dał mi jasno do zrozumienia, że to nie on za tym stoi.

KV: A nie podejrzewał pan, że Lucyfer po prostu kłamie?

MB: Jeszcze do tego dojdziemy. Najpierw jednak muszę się do czegoś przyznać.

KV: Słucham.

MB: Czytanie „Zagadki Sary Tell” sprawia mi ból. Ja po prostu fizycznie czuję, jak to wszystko przebiegało. Wcześniej Lucy eksperymentowała w biurze z kremami do opalania, a ja ukrywałem przed nią randki, na które chodziłem. Ale po naszym powrocie z Teksasu cała ta niefrasobliwość zniknęła. Dlatego proszę się przygotować na to, że historia, którą teraz opowiem, ma o wiele większy ciężar gatunkowy. Jest o wiele mroczniejsza. Tu już nie chodzi o Sarę Tell. Chcę opowiedzieć o losach Mio.

KV: Okej, w takim razie zapytam tak: gdyby miał pan osobiście spisać tę historię, to jak brzmiałoby jej pierwsze zdanie?

(milczenie)

MB: Na przykład tak „W moich loszmarach za każdym razem byłem grzebany żywcem”.

1

Niedziela

W moich koszmarach za każdym razem byłem grzebany żywcem. Z początku nie rozumiałem, co się dzieje. Jacyś milczący ludzie chwycili mnie mocno pod ręce i kazali iść przed siebie. Nie za szybko, nie za wolno. Była duszna, ciepła, mroczna noc. Szliśmy przez kompleks budynków, które wyglądały jak opuszczone tereny przemysłowe. Widziałem zarysy wielkich, ciemnych, żelaznych maszyn. Chciałem spytać tych ludzi, dokąd mnie prowadzą, ale nie mogłem, bo zatkali mi usta. Knebel mnie dusił, wrzywał mi się w kąciki ust. Na języku czułem szorstkość materiału. Nogi miałem związane w taki sposób, że mogłem się poruszać tylko małymi krokami, przez co wykonywałem ich znacznie więcej niż moi strażnicy. Przerazało mnie to wszystko.

Czy dorośli ludzie często się czegoś boją? Nieczęsto. Głównie dlatego, że niewiele rzeczy może nas przerazić. Wiemy, że problemy jakoś się rozwiązują, a drobny mi kłopotami nie należy się zbytnio przejmować. Można powiedzieć, że to swego rodzaju dar: człowiek wyrasta w końcu z lęków dzieciństwa i patrzy na różne sprawy z innej perspektywy. Jediną wadą tej sytuacji jest to, że zyskujemy bolesną świadomość istnienia tego, czego powinniśmy się bać naprawdę: utraty naszych bliskich i kochanych, zdrowia i życia.

Kiedy tak na wpół szedłem, na wpół wlokłem się przez ten pofabryczny teren, pojąłem, że niedługo umrę. *À propos*: w koszmarach właśnie to jest tak ciekawe – bardzo często wiemy, jak się skończą. Dzieje się tak, ponieważ podświadomie czujemy, że to, co przeżywamy, rozgrywa się we śnie. Wiemy, jakie konkretne zdarzenia i przeżycia wywołują w nas dane reakcje. To między innymi one stanowią dobrą pożywkę dla strachu. Pamięć sprawuje nad naszym umysłem prawie nieograniczoną władzę.

Koszmary zaczęły mnie dręczyć zaraz po tym, jak po naszym powrocie z Teksasu

porywacze oddali mi Belle. We śnie próbowałem zrobić dwie rzeczy jednocześnie: obronić się i obudzić. Ani razu mi się to nie udało. Koszmar trwał, a ja nie mogłem nic na to poradzić. Ubrani na czarno ludzie poruszali się w milczeniu, niewzruszeni i bezlitośni jak upływający czas. Żułem kriebel, żeby wypluć go z ust i wydać z siebie jakiś dźwięk, ale bez skutku. Nikt mi nie powiedział, dokąd idziemy, nikt nie chciał mi wyjaśnić, co złego zrobiłem.

W końcu zaczęło to do mnie docierać. Domyśliłem się, co to za maszyny i do czego ich dawniej używano. Kiedyś już tu byłem i postanowiłem nigdy nie wracać. Próbowałem krzyczeć i stawiać opór, ale moi strażnicy nie zwracali na to uwagi i po prostu szli. Wisiałem im u ramion, szurałem stopami po ziemi... Dżinsy szybko mi się podarły i zaczęły mnie boleć nogi.

Przez cały czas próbowałem wydobyć z siebie jakiś dźwięk, zwłaszcza gdy stanęliśmy przy wykopanym dole. Chciałem prosić o przebaczenie i zapewnić, że to jakieś straszne nieporozumienie. Niestety nie potrafiłem wydobyć z siebie żadnego zrozumiałego słowa. W pewnym momencie się rozplakałem. Drżałem na całym ciele i błagałem o życie, ale nikt mnie nie słuchał. Moi strażnicy położyli mnie przy dole, który był głęboki przynajmniej na dwa metry, i zepchnęli mnie do niego. Uderzyłem brzuchem o twarde podłoże i poczułem silny ból. Domyśliłem się, że coś mi pękło albo doszło do złamania. Żebro? Może nawet dwa? Pieczenie w lewym płucu było takdojmujące, że musiałem się przewrócić na drugi bok.

W tym samym momencie strażnicy wzięli do rąk szpadle i zaczęli mnie zasypanywać. Robili to w milczeniu, metodycznie. Grzebali mnie żywcem. Nie przestali nawet wtedy, gdy dźwignąłem się na kolana, a potem wstałem na równe nogi. Ręce miałem związane na plecach i wiedziałem, że o własnych siłach się nie wydostanę. Stałem więc w dole i usiłowałem krzyczeć, a strach pozbawił mnie resztek rozumu. Na spotkanie ze śmiercią czekałem na stojąco. Kiedy byłem już przysypany do szyi, zaczęło mi coś migać przed oczami. Obudziłem się w chwili, gdy warstwa ziemi sięgnęła mi czubka głowy.

– Co ci się śniło? – spytała przy śniadaniu Lucy, rzucając mi nad stołem uważne spojrzenie. Już wcześniej zauważyła, że kolejny raz budzę się złany potem. Trwało to od kilku dni. Nie odpowiedziałem, więc zadała mi kolejne pytanie: – Odnoszę wrażenie, że to ciągle ten sam powracający koszmar. Mam rację?

– Nie pamiętam. Czy to dziwne, że po tym wszystkim, co nam się przydarzyło, mam przerażające sny?

„Po tym wszystkim, co nam się przydarzyło”. To kłamstwo, ale Lucy nie musiała o tym wiedzieć. Moje koszmary miały tylko jedną przyczynę: to, co stało się w Teksasie dawniej. Ale o tym jej nie mówiłem. Pijąc kawę, poparzyłem sobie usta.

– Cholera!

Lucy nadal mi się bacznie przyglądała.

– Rzucasz się po całym łóżku i krzyczysz – powiedziała cicho.

Odstawiłem kubek z kawą na stół.

– No proszę. A co takiego krzyczysz?

Zadałem jej to pytanie tylko dlatego, że oczekiwała tego ode mnie.

– Na przykład: „Wiem, gdzie on jest!”. Ale przecież nie wiesz tego...

W kuchni zrobiło się nagle cicho.

– Martin, przecież ty nie wiesz, gdzie jest Mio...

W końcu otrząsnąłem się i pokręciłem głową.

– Oczywiście, że nie.

Śniadanie dookończyliśmy w milczeniu. Pomyślałem, że tajemnice to takie same brednie jak wszystko inne. Można je skrywać na samym dnie, ale wcześniej czy później prawda i tak wyjdzie na jaw. Zwłaszcza gdy ktoś postanowi wrócić na miejsce zbrodni.

Lucy była przekonana, że chodzi o Mio. Ale tylko ja znałem prawdę. Tylko ja wiedziałem, o kim tak krzyczę po nocach. „Wiem, gdzie on jest”... Tak wiem, ale nie ma to nic wspólnego z Mio.

A co, jeśli ma?

2

Żywi i martwi. Granica, która ich od siebie oddziela, jest cienka jak włos. Świadomość tego faktu jest zarówno bolesna, jak i przerażająca. Kiedy natchodzą mnie koszmary, czuję się słaby i zużyty. Nic dziwnego: przecież jestem podejrzany o dwa zabójstwa, odbyłem szaloną podróż po Teksasie, a potem straciłem i odzyskałem córkę. Nie miałem pojęcia, czy mam odnaleźć Mio w jakimś nieprzekraczalnym terminie, ale szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodziło. Przy najmniej na początku. Biblia mówi, że Bóg stworzył ziemię w sześć dni, a siódmego dnia odpoczął. Tymczasem ja i Lucy postawiliśmy wszystko na głowie. Przez sześć dni odpoczywaliśmy i dopiero siódmego dnia – w niedzielę – zabraliśmy się do pracy.

– Od czego zamierzasz zacząć? – spytała Lucy całkiem rozsądnie.

– Spróbuję ustalić, jak wygląda Mio. Pojadę też do przedszkola, z którego go zabrano.

Rzeczywiście nie miałem zielonego pojęcia, jak chłopiec wygląda. Nie wiedziałem, jakiego jest wzrostu, czy jest niski, czy raczej wyrosnięty na swój wiek, gruby czy szczupły, jakie ma włosy: długie czy krótkie? Nie mogłem sobie darować, że tych fotografii zacząłem szukać dopiero po tak długim czasie. Przeglądałem różne materiały ze śledztwa, ale nigdzie na nie nie natrafiłem. Nie było ich ani w aktach sprawy, ani w mediach. Wcześniej, gdy z policją łączyły mnie dobre stosunki, bez trudu bym do nich dotarł (jeśli w ogóle istniały). Niestety moje znajomości w policji się urwały. Wolałem też nie wzbudzać czujności funkcjonariuszy, bo od razu zaczęliby się interesować, do czego mi te zdjęcia są potrzebne.

Jeśli nie policja, to może babka i ciotka chłopca, Jeanette i Marion? Postanowiłem zwrócić się z tym zapytaniem do obu pań. Niestety żadna nie oddzwoniła. Postanowiłem więc pojechać do przedszkola Mio.

Przekręciłem kluczyk i ruszyłem z piskiem opon. Mam wspaniałe porsche 911, które nadal pachnie skórą, jak gdybym wyjechał nim przed chwilą z salonu, chociaż wcale nie wygląda na nowe. Eleganckie sportowe wozy nie nadają się dla małych dzieci. Wprawdzie Belle stara się zawsze zachowywać grzecznie, ale i tak zostawia po sobie jakieś ślady. To jednak nie ona stanowiła główny problem. Po tym, co się wydarzyło, jeżdżenie tym wozem przestało mi

sprawić przyjemność. Po powrocie z Teksasu poprosiłem Borisa, żeby jego ludzie go sprawdzili. Znaleźli w nim pluskwę – niewielkie urządzenie zamontowane przez policję. Dzięki niej Didrik mógł kontrolować wszystkie moje ruchy. Żeby utrudnić mu życie, ludzie Borisa przytwierdzili pluskwę do podwozia samochodu należącego do firmy kurierskiej. Siatka moich przejazdów na pewno przy prawie specjalistów Didrika o ból głowy.

Po południu pojechaliśmy po Belle, a potem zawiozłem ją do Marianne. Po minie córki poznałem, jak bardzo się ucieszyła, że nie wracamy do naszego mieszkania. Oczywiście błyszczały jej radością. To, że Belle ma tak krótką pamięć, trochę mnie przeraża. Co ją tak cieszyło? Przecież niecały tydzień temu jej dziadkowie zginęli w pożarze, a ją porwali obcy ludzie. Czy nie powinna być przerażona, smutna albo przynajmniej niespokojna? Do samego porwania jednak nie przywiązywałem zbyt dużej wagi. Belle była poza domem niecałe czterdzieści osiem godzin i prawdopodobnie większą część tego czasu przespała. Jestem pewien, że porywacze naszprycowali ją dużą dawką środków usypiających. Nic więc dziwnego, że niewiele zapamiętała. Od czasu do czasu tylko pytała o dziadków. Wydawało mi się, że powinna za nimi tęsknić, boleć nad ich odejściem, ale przecież ja jestem dorosły i myślę inaczej niż ona.

Belle jednak patrzy na to z innej perspektywy. Powiedziałem jej, że dziadek i babcia umarli i nigdy nie wrócą. Ale ona ma tylko cztery lata i jeszcze nie rozumie znaczenia słowa „nigdy”. Nie pojmuje, że niektóre sytuacje są nieodwracalne. „Oni umarli – powtarzam za każdym razem. – Tak jak twoi rodzice”. A ona kiwa głową ze zrozumieniem, ale bez żadnego sentymentalizmu. Wie, że kiedy była niemowlęciem, jej rodzice zginęli w wypadku lotniczym. Wie też, że nie jestem jej prawdziwym tatą, tylko wujkiem. Nie znaczy to jednak, że pojmuje treść tego, co do niej mówię. Nie rozumie na przykład, że gdyby jej rodzice nie zginęli, mogłaby mieć zupełnie inne życie: pod opieką oddanych i kochających mamy i taty, którzy lubili rozpalać grilla, spędzać lato w domu na Olandii, jeździć na nartach i wypożyczać filmy na weekendy. Zwyczajnych ludzi, którzy prowadziliby typowe życie pełne codziennych trosk, zapraszaliby na kolację inne rodziny z dziećmi i być może planowali kolejnego potomka albo nawet kilkoro.

Samochód zaparkowałem u jednej przecznicę przed miejscem, do którego jechaliśmy.

– Tutaj wysiadzimy – powiedziałem, pomagając Belle.

Kiedy szliśmy chodnikiem, wziąłem ją za rękę. Belle jest bardzo podobna do swojej mamy. Wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, ale na podstawie samego wyglądu można powiedzieć, że Belle jest jej córeczką.

– Dokąd idziemy? – spytała.

– Wpadniemy na chwilę do przedszkola – odparłem. „Do tego, które nazywa się Zagroda Trolli i do którego chodził Mio” – dodałem, ale już tylko w myślach.

Właściwie mogłem tu przyjechać, zanim odebrałem Belle. Wolałem jednak mieć ją z sobą. Robi to lepsze wrażenie. Ludzie nieufnie odnoszą się do samotnych mężczyzn, którzy późnym popołudniem kręcą się w pobliżu takich miejsc. A już szczególnie podejrzliwie są nastawieni do takich facetów jak ja: wysokich i ciemnoskórych. W Szwecji – przynajmniej w niektórych miejscach – kolor skóry bywa argumentem decydującym. Nieważne, że noszą drogie koszule i kupują ręcznie szyte buty z Mediolanu. Dla większości Szwedów mój widok oznacza kłopoty.

Na placu bawiła się grupa dzieci. W pobliżu pewnie brakuje takich miejsc i dlatego plac należący do przedszkola wykorzystywany jest także w niedziele. Słońce stało dość wysoko, jeszcze przez pewien czas można się było cieszyć latem. Pod warunkiem że się miało na to czas.

Ja go nie miałem.

Belle popatrzyła na dzieci z ciekawością.

– Czy będziemy się z nimi bawić? – spytała, robiąc krok w ich stronę.

Instynktownie ścisnąłem mocniej jej dłoń.

– Nie. Wejdziemy tam tylko na chwilę.

– Dlaczego nie? – spytała.

Od razu dostrzegłem zmianę barwy jej głosu. Jeszcze przed chwilą tryskała radością, teraz była rozczarowana. Tak gwałtowna zmiana humoru przypomniała zmienną pogodę w marcu: raz słońce, raz śnieg.

– Bo nie znamy dzieci, które się tu bawią.

Byłem zadowolony z mojej odpowiedzi. Belle chyba też, bo się nie odezwała.

Kiedy podchodziliśmy do bramy przedszkola, zwolniłem kroku na tyle, żeby rozejrzeć się po całym terenie. Fotografowanie nie wchodziło w rachubę. Jeśli potrzebowalibyśmy jakichś zdjęć, powinienem wrócić tu później.

A więc to tutaj zaginął Mio. Jak mogło do tego dojść?

Dzieci nie znikają bez powodu. Dzieje się tak, gdy rodzice spuszcza ją z oczu. Czytałem akta śledztwa w sprawie zaginięcia Mio. Panie opiekunki z przedszkola zeznały, że to był zwykły dzień. Przybrani rodzice przyprawiali chłopca rano. Z początku był trochę ospały i zmęczony, ale po obiedzie się ożywił. O drugiej opiekunki ubrały wszystkie dzieci i wyprowadziły je na dwór. Godzinę później, chociaż było dość chłodno, wyniosły im podwieczorek. Świeciło słońce, pogoda była ładna, dzieci bawiły się normalnie. Jak to ujęła jedna z przedszkolanki panował całkowity spokój.

Być może problem polegał właśnie na tym, że było zbyt spokojnie. Personel był zbyt wyluzowany i nie zauważył zaginięcia jednego z dzieci. Sprawa wyszła na jaw dopiero, gdy po chłopca przyszli przybrani rodzice. Było już późno i nikt nie wiedział, co się wydarzyło.

Rozejrzałem się po całym terenie, który był ogrodzony stalowym płotem o wysokości około siedemdziesięciu centymetrów. Wzdłuż niego od wewnętrznej strony rosły krzaki, które jednak nie zakrywały całego ogrodzenia. Gdyby jakiś dorosły człowiek chciał przełożyć nad nim nogę, mógłby to zrobić bezszelestnie. A czteroletnie dziecko? Na pewno nie.

Zacząłem szukać jakiegoś wyjaśnienia. Może w ogrodzeniu jest dziura? A może gdzieś płotu w ogóle nie ma? Niestety, niczego takiego nie znalazłem. Tamtego dnia Mio na pewno wyszedł z przedszkola przez bramę albo jakaś dorosła osoba przeniosła go nad ogrodzeniem.

Belle szła, powłócząc nogami. Jej sandałki szurały o asfalt. Za kilka chwil będzie mocno wkurzona. Akurat tej cechy na pewno nie odziedziczyła po matce. Moja siostra nie umiała nikomu odmówić ani przyjmując asertywnej postawy. Denerwowało mnie, że tak potulnie ustępowała wszystkim ze swego otoczenia: szefowi, mężowi, kolegom z biura, mnie.

– Chcę wrócić do domu – oświadczyła Belle.

– Dobrze.

W tym momencie zauważył mnie jeden z chłopców bawiących się na placu. Popatrzył na nas czujnym wzrokiem i zmarszczył czoło. Nie lubię, kiedy ktoś mnie obserwuje, nawet małe

dzieci. Wziąłem więc Belle za rękę i powiedziałem:

– Wracamy do domu. Ugotujemy sobie spaghetti z sosem mięsnym.

Zawróciliśmy i ruszyliśmy do wyjścia. W samochodzie pomogłem Belle zapiąć pas, a potem kolejny raz objechałem przedszkole dookoła. Belle popatrzyła na dzieci, które bawiły się przy huśtawkach, ale się nie odezwała. Ona w ogóle niezbyt dużo mówi. Wie, że to do niczego nie prowadzi i niczego w taki sposób nie wywalczy.

Przedszkole znajdowało się we Flemingsbergu. Wyjechałem na Huddingevägen i skierowałem się do centrum miasta.

– Jestem głodna – powiedziała Belle, gdy wjeżdżaliśmy w tunel na południowej obwodnicy.

Zerknąłem na zegarek. Nie mogła być jeszcze głodna, za to na pewno była znudzona.

– Niedługo będziemy w domu – odparłem.

Było lato, niedziela, niewiele samochodów na drodze. Ruch w stolicy Szwecji znacznie się zmniejszył. Tymczasem show jeszcze się nie skończył. Przekonałem się o tym na wysokości galerii na ulicy Hamngatan. Z przeciwnego kierunku jechała ciężarówka. Przy przejściu dla pieszych stała starsza kobieta. Nacisnąłem pedał hamulca. Zero reakcji. Nacisnąłem go jeszcze raz, bardziej zdumiony niż spanikowany. Niestety hamulec nie reagował, a kobieta szykowała się do wejścia na jezdnię.

– Niech to szlag!

Trąbiłem i trąbiłem, usiłowałem hamować i zastanawiałem się, czy to właśnie tutaj, na przejściu dla pieszych, po raz drugi zabiję człowieka.

3

Na szczęście do tego nie doszło. Przerazona staruszka cofnęła się gwałtownie i tylko śledziła nas wzrokiem, gdy przejeżdżałem przed nią z dużą prędkością. Nieprzyjemna myśl, którą chwilę wcześniej sformułował mój zropaczony umysł, błyskawicznie pierzchnęła, jak gdyby sama zrozumiała, że jest tutaj bardzo niepożądana.

Instynktownie i z całych sił nacisnąłem hamulec. Zrobiłem to tak energicznie, że prawie uniosłem się na siedzeniu. Poczułem, jak gdyby coś pękło pod stopą. Samochód zatrzymał się tak gwałtownie, że uruchomiło to poduszkę powietrzną.

Belle głośno krzyknęła, a ja usłyszałem pisk opon jadących za mną samochodów. Wstrzymałem oddech i czekałem, aż ktoś na nas wpadnie. Na szczęście do tego nie doszło.

Kompletnie oszołomiony otworzyłem drzwi i wysiadłem. Pobiegłem na drugą stronę i pomogłem wysiąść Belle.

– Spokojnie – uspokoiłem ją, ocierając jej łzy z policzków. – Już wszystko dobrze.

Na chodniku zebrał się tłum ludzi, którzy przyglądali się stojącym za nami samochodom. Wśród nich zauważyłem też starszą panią. Była zdumiona, ale nic jej się nie stało.

– Chodź – powiedziałem, biorąc Belle za rękę.

Podszedłem do drzwi od strony kierowcy, kucnąłem i zajrzałem do środka. Wyczułem dziwny zapach. Pochyliłem się głębiej, ale z początku niczego nie zauważyłem. Tylko ten zapach... Dopiero teraz go rozpoznałem. Wsunąłem głębiej głowę, a Belle wpiła się we mnie kuczowo palcami. Po chwili zrozumiałem, co się stało. Pomarańcza, którą Belle zabrała dla babci, w trakcie jazdy wypadła jej z ręki, potoczyła się pod pedał hamulca i tam zatrzymała. Tym razem wyjaśnienie okazało się proste.

Kiedy zjawiliśmy się w mieszkaniu Lucy i opowiedziałem jej o całym zdarzeniu, zaśmiewała się do łez. Pomyślałem, że to cudowne widzieć ponownie uśmiech na jej twarzy. Mimo to zachowałem całkowitą powagę.

– Kiedy ta historia dobiegnie końca, chyba będą nienawidził mój samochód – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Myślałem, że ktoś uszkodził hamulce. Byłem tego absolutnie pewien.

Lucy pogłaskała mnie po twarzy.

– Właśnie zaczęłam szykować jedzenie.

– Przyjemnie pachnie.

W tym samym momencie nasza mnie myśl: co my tu gramy? Przecież nie mieszkamy z sobą na stałe?

Od kiedy porywacze zwrócili mi Belle, Lucy spędzała u nas każdą noc. Nie miałem powodów, żeby to kwestionować. Oboje z Belle jej potrzebowaliśmy. Od tamtej pory jednak minęło już tyle czasu, że powoli zaczęła mnie ogarniać panika. Belle była jedyną osobą, z którą mieszkaliśmy od dnia, gdy stałem się dorosły. Uważam, że dobrze to na mnie wpłynęło. Nie jestem stworzony, żeby przestawać zbyt blisko z innymi ludźmi. Nawet gdy byliśmy z Lucy parą, nie mieszkaliśmy razem. Głównie z mojej winy – albo dzięki mnie, jak kto woli. Tak zwane życie codzienne przeraża mnie tak samo, jak innych ludzi przerażają wojny albo kłęski żywiołowe. Muszę mieć zapewnioną możliwość odwrotu, doładowania baterii. Robię to w samotności albo w towarzystwie innej kobiety, żeby trzymać się jak najdalej od szarzyzny dnia codziennego. Większość moich znajomych pukała się w głowę, kiedy im mówiłem, że nie chcę zamieszkać z Lucy. Twierdzili, że jeszcze nie wydorostałem. Ale ja wiem, że wieczna namiętność nie istnieje. Człowiek jest zakochany przez pewien czas, a potem namiętność zamienia się w miłość. Trzeba pokochać tę drugą osobę.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, bezwiednie grzebałem widelcem w sosie, który przygotowała Lucy. Byłem i jestem ulepiony z innej gliny. Nie znoszę codziennej szarzyzny.

– Jak było? – spytała Lucy. – Coś zauważyliście?

Wspomnienia zaatakowały mnie jak pociski wystrzelone z broni automatycznej. Dzieci, asfalt, zabudowania, plac zabaw, chłopiec, który nie mógł oderwać ode mnie wzroku.

– W chwili gdy zaginął Mio, dzieci przebywały na dworze – zaczęłam. – Nie rozumiem więc, jak mogło do tego dojść. Chłopiec jego wzrostu nie mógłby się przedostać przez tak wysokie ogrodzenie ani przejść przez bramę...

– Już wcześniej do wniosku, że nie oddalił się sam. Nie wiemy tylko, kto go porwał.

– To prawda. Nie zapominaj jednak, że wszystko rozegrało się na otwartej przestrzeni. To nie jest jakiś duży zielony teren z różnymi zakamarkami. Porywacz uprowadził chłopca na oczach opiekunek albo zrobił to po drugiej stronie budynku. Ale gdyby Mio tam poszedł, któraś z pań musiałaby zareagować, bo tam nie ma placu zabaw.

Odszedłem od kuchenki i zacząłem nakrywać do stołu. Lucy wrzuciła makaron go wrzącej wody. Jak widać, zmieniłem się nie tylko w jej stałego partnera, ale także w prywatnego detektywa, który zakrada się do pustych o tej porze roku przedszkoli i mierzy, jakie wysokie jest ogrodzenie.

– Mio zaginął, kiedy było już ciemno – kontynuowałem mój wywód. – W listopadzie, około czwartej.

– Podwórce i plac zabaw były na pewno dobrze oświetlone. O tej porze roku latarnie uliczne też się palą.

– Oczywiście. Ale nie oznacza to, że nie było tam miejsc zaciemnionych albo zacienionych.

Lucy połała makaron olejem.

– Żadna z opiekunek nie zauważyła, żeby sam się oddalił. Nie widziała też, żeby przyszli po

niego rodzice zastępczy – powiedziałem. – A przecież nie można tak po prostu przyjść i zabrać sobie dziecko. Rodzice witają się najpierw z opiekunkami i pytają, co się zdarzyło w ciągu dnia.

Ledwo wierzyłem własnym słowom. Ja, który nigdy nie chciałem mieć dzieci, stałem na środku kuchni i instruowałem Lucy, jak się odbiera dzieci z przedszkola. Jakby nie wiedziała o tym równie dobrze, jak ja.

Lucy zawołała, że jedzenie gotowe. Belle przybiegła z dwiema lalkami pod pachami.

– Przy stole może siedzieć tylko jedna lalka – przy pomniałem.

Belle rzuciła na podłogę tę z krótkimi włosami. Drugą posadziła w foteliku dla dzieci stojącym obok jej miejsca przy stole.

– A co z samochodem? – spytała Lucy.

Skrzywiłem się i spojrzałem na zegarek.

– Jak zjemy, odstawię go do warsztatu. Pomarańcze paskudnie śmierdzą, kiedy wyschną.

Była to ostatnia rzecz, jaką zrobiłem tamtego dnia. Pojechałem do warsztatu, który był otwarty także w niedziele, i zostawiłem tam moje porsche. Do domu wróciłem samochodem z wypożyczalni. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że była to genialna decyzja.

Poniedziałek

Telefon zadzwonił tuż po północy. Na początku myślałem, że mi się to śni. Lucy obudziła się sekundę później. Ponieważ nadal byłem formalnie podejrzany o popełnienie podwójnego zabójstwa, założyliśmy, że mój telefon jest na podsłuchu. Uznaliśmy więc, że potrzebujemy kilku nowych urzędzeń. To, które dzwoniło, miałem już wtedy, gdy zaczęła się ta ponura historia.

– Odbierz w końcu – powiedziała Lucy.

Ostatnio stała się niecierpliwa. Ja zresztą też.

Musiałem kilka razy nacisnąć klawisz, żeby dzwonek w końcu ucichł.

– Martin – oświadczyłem szorstkim, zaspany m głosem.

– Wiem, czego pan szuka – usłyszałem.

Naty chmiast otrzeźwiałem. Głos należał do nieznaney kobiety.

– Słucham?

– Ja... Musimy się spotkać. Mam panu coś do powiedzenia. O Mio.

Poczułem, jak puls mi gwałtownie przyspiesza.

– Kim pani jest?

Musiałem skrócić tę rozmowę do minimum. Wolałem nie mieszać w to policji. Za żadną cenę. Obiecałem to Lucyferowi.

– Tego nie mogę powiedzieć. Czy możemy się spotkać?

– Teraz?

– Czy to możliwe?

W mojej zmęczonej głowie zapaliło się nagle kilkanaście alarmowych lampek. Skąd ta kobieta wie, kim jestem? Przecież prasa o mnie jeszcze nie pisała. Pojawiło się trochę informacji,

ale nie za wiele. W gazetach znalazłem kilka krótkich notatek o dwóch śmiertelnych potrąceniach w centrum Sztokholmu, których sprawca uciekł z miejsca wypadku. Na razie obu zdarzeń nikt z sobą nie powiązał. Nie natrafiłem też na żadną informację o tym, że policja kogoś podejrzewa. Ciekawe dlaczego? Od kiedy to policja nie przypomina sitka, przez które wycieka każde ustalenie? Jak to się stało, że dwa zabójstwa powiązane ze sprawą Sary Teksas nie wzbudziły zbyt dużego zainteresowania codziennej prasy?

Kobieta w telefonie ponownie się odezwała:

– Czy moglibyśmy się spotkać teraz?

Jej pytanie mnie zirytowało.

– Pod warunkiem że mi pani powie, kim pani jest i dlaczego powinienem się zgodzić na spotkanie w środku nocy.

Lucy spojrzała na mnie wielkimi oczami. Pogląskałem ją po nagim ramieniu. Nieznajoma będzie musiała użyć twardych argumentów, żeby wyciągnąć mnie z łóżka.

– Opowiadał mi o panu Bobby – powiedziała.

Zastygłem w pół ruchu.

– Nie wierzę – odparłem.

– Zrobił to tuż przed śmiercią. Spotkaliśmy się, a on powiedział, że mnie pan odszuka i odwiedzi opiekunki z przedszkola. Że będzie się pan starał ustalić, co się stało z Mio. Zostawił mi ten numer telefonu.

Zaschło mi w ustach. To, że policja podsłuchiwała tę rozmowę, w niczym mi nie mogło zaszkodzić.

– Czy to znaczy, że pracuje pani w przedszkolu, do którego uczęszczał Mio?

– Tak

– Musi mi pani powiedzieć coś więcej. Dlaczego powinniśmy się spotkać?

– Bo wiem o pewnych sprawach, ale nie mogę mówić o nich przez telefon. Teraz mogę tylko zdradzić, że tamtego popołudnia, gdy chłopiec zaginął, coś zauważyłam. – Ostatnią część zdania kobieta wypowiedziała szeptem.

– Coś pani zauważyła? – powtórzyłem.

– Tak Przyjedzie pan?

Rozsądek mi podpowiadał, żeby odmówić. Nie powinienem iść na spotkanie w środku nocy sam. Tym bardziej na spotkanie z nieznajomą kobietą, która dzwoniła na mój numer. Niestety, ciekawość wzięła górę. Postanowiłem zaryzykować, tak jak kiedyś.

– Proszę mi powiedzieć, jak pani ma na imię.

Kobieta się zawahała.

– Susanne – odparła po chwili. – Mam na imię Susanne. Przyjedzie pan?

Przełknąłem ślinę. Wolałem nie patrzeć na Lucy.

– Tak, przyjadę. A teraz proszę mi podać swój numer, żebyśmy mogli zadzwonić do pani z innego aparatu.

To, że Susanne nie chciała mi podać swojego numeru, świadczyło o tym, że z jakichś powodów bała się policji. Podałem jej więc jeden z moich, żeby mogła na niego zadzwonić.

Wybrałem ten, który uważałem za bezpieczny. Po tej rozmowie w ciągu doby miał stać się beużyteczny – jeśli policja rzeczywiście podsłuchiwała moje rozmowy i właśnie teraz się o nim dowiedziała. Za każdym razem kiedy policja zamierza inwigilować jakieś osoby, występuje o zgodę na założenie podsłuchu jednego albo kilku numerów. Jeśli się okazuje, że obiekt używa nowego numeru, policja musi ponownie wystąpić do prokuratora o zgodę. Uzyskanie pozwolenia trwa kilka godzin albo całą dobę.

Skłamałbym, mówiąc, że Lucy pochwaliła moją nocną wyprawę.

– Ty chyba upadłeś na głowę – powiedziała, obserwując, jak się ubieram.

– Ciszej, bo obudzisz Belle.

– Nie mówisz poważnie? Ktoś musi z tobą iść. Chyba sam to rozumiesz?

Oczywiście, dobrze to rozumiałem, ale jedyną osobą, która przychodziła mi na myśl, był Boris. Wolałem jednak nie prosić go o pomoc, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło z jego ludźmi, którzy strzegli Belle. Im rzadziej się z nim kontaktowałem, tym ryzyko, że policja dowie się o naszej znajomości, było mniejsze.

Właściwie to powinienem się śmiać z moich obaw. Nigdy wcześniej się tak nie czułem. Oto ja uważałem teraz policję za przeciwnika, który może zniszczyć całe moje życie!

– Jadę pod ten adres – powiedziałem, podając Lucy kartkę, na której zapisałem najważniejsze dane. – Jeśli nie oddzwonię w ciągu godziny, skontaktuj się z policją. Miejmy nadzieję, że podejmą jakieś mądre działania.

Lucy pokręciła głową. Siedziała na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Rude loki spływały jej na ramiona. Miała na sobie majteczki i cienką koszulkę nocną. Moja bardziej erotycznie aktywna półkula mózgowa – ta dawna, jeśli mam być szczery – natychmiast się ożywiła. Wiele bym dał, żeby zostać w domu i kochać się z Lucy.

– Niedługo wrócę – powiedziałem, wychodząc z sypialni.

Kluczki od samochodu włożyłem do kieszeni. Z Susanne mieliśmy się spotkać przed barem Blå Soldat przy placu Gullmarsplan. To dość podejrzany lokal, czynny o nietypowych porach dnia i nocy. Przekręciłem klucz w stacyjce i silnik zawył na wysokich obrotach. Poczulem gwałtowny przypływ adrenaliny. Nie da się ukryć, że Bobby sporo wiedział. Trzymał w rękach o wiele więcej nici, niż mi się wydawało. Niestety, ktoś nie pozwolił mu dożyć dnia, gdy będzie się mógł cieszyć owocami swojej wytężonej pracy. Tymczasem ja musiałem pracować na czyjeś zlecenie. Już wkrótce miał się spełnić najgorszy koszmar Sary: Mio miał trafić do swojego ojca biologicznego. Można jednak było spojrzeć na tę sprawę z innej perspektywy: dzięki temu, co robiłem, uratowałem życie sobie i mojej córce. To chyba wystarczająco tłumaczyło moje zachowanie. Bobby na pewno by to zrozumiał.

Jechałem przez Sztokholm przepełniony energią. Lubię miasta, które nigdy nie kładą się spać. Sztokholm trochę taki jest. Na ulicach zawsze można spotkać jakichś ludzi, przynajmniej w centrum. Wystarczy jednak wyjechać poza jego granice, a nastrój pryska. Ulice są tam ciemniejsze, ludzi mniej. Ale żadne miejsce, które mijałem, nie było równie odludne jak to, w którym miałem się spotkać z tajemniczą Susanne.

Okazało się, że lokal był zamknięty na cztery spusty. Z kartki zawieszanej na drzwiach wynikało, że zbankrutował dwa tygodnie wcześniej i nie wiadomo było, czy zostanie ponownie otwarty.

Stałem na chodniku i czekałem na Susanne. Wokół mnie – nie licząc szumu samochodów

jadących autostradą – panowała zupełna cisza. W oddali widziałem białą, potężną kopułę hali widowiskowo-sportowej Globen. Spojrzałem na zegarek. Postanowiłem dać Susanne pięć minut, a potem wrócić do domu.

Wskazówka sekundowa przesuwała się po cyferblacie z prędkością pocisku. Dziesięć minut później nadal stałem w tym samym miejscu. Odczuwałem niepokój, którego nie doświadczałem nigdy wcześniej. Coś mi umknęło. Coś ważnego. Zadrzałem i ruszyłem powoli w stronę samochodu. „Uciekaj stąd”, szeptał mi w głowie jakiś upiorny głos. „Już za późno”, odpowiedział inny.

Poruszałem się coraz szybciej, jakbym się właśnie dowiedział, że za trzy sekundy lokál wyleci w powietrze. Uruchomiłem silnik i szybko stamtąd odjechałem. Jedną rękę zacisnąłem na kierownicy, drugą położyłem na pasie bezpieczeństwa. Po chwili zadzwoniłem do Lucy.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Jak najbardziej. A co u ciebie?

W jej głosie wyczułem niepokój.

– Wracam do domu – odparłem i się rozłączyłem.

Susanne dzwoniła do mnie z zastrzeżonego numeru, więc nie miałem się z nią jak skontaktować. Ale przecież sama mogła do mnie zadzwonić i uprzedzić, że się spóźni. Niestety nie zrobiła tego. Powody mogły być dwa: albo natrafiła na tak poważną przeszkodę, że nie tylko nie mogła przyjechać na spotkanie, ale nawet poinformować mnie o tym, albo wcale nie zamierzała się ze mną spotkać. Bez względu na to, który był prawdziwy, zacząłem myśleć, że dałem się wciągnąć w kolejną pułapkę.

5

Po przygodzie z pomarańczą miałem nadzieję, że temat moich koszmarów się zmieni. Niestety. Po raz kolejny zostałem pogrzebany na stojąco. Obudziłem się zlany potem i zaplątany w kołdrę. Nie mogłem się doczekać, aż wszędzie słońce i zacznie się nowy dzień.

– Ostatnio w ogóle nie sypiasz – zauważyła Lucy z niepokojem.

– Nie ma powodów do obaw – odparłem, ale mózg miałem zamulony i szczypały mnie oczy.

Koszmary uznałem za złowieszczy omen. Dobrze wiedziałem, skąd się biorą. Wiedziałem też, dlaczego zaczęły mnie dręczyć po powrocie z Teksasu. Mimo to nie potrafiłem się od nich uwolnić. Najchętniej przyjąłbym pozycję płodową, błagając, żeby zostawiono mnie w spokoju. Niestety działa to tylko w jednym przypadku: gdy błaganie kierujemy do innych ludzi. Ja zaś musiałem się zmierzyć z grzechami przeszłości.

Bezsensowność ma na nas destrukcyjny wpływ. Ja na przykład robię się drażliwy i gorzej kojarzę. To potworna mieszanka w przypadku kogoś, komu tak jak mnie stale grozi śmierć. Nocna wyprawa wywołała u mnie niepokój. Czuliem, że dałem się wciągnąć w jakąś pułapkę albo przy sporzyłem sobie poważnych kłopotów. Strasznie mnie to stresowało.

– To niekoniecznie musi być ktoś, kto chce wyładować na tobie swoją złość – powiedziała Lucy, gdy szykowaliśmy śniadanie.

Kaszka dla Belle, jogurt z jagodami dla niej, kawa i kanapka dla mnie. Do diabła z dietą. Rzadko bywa tak, że „w sam raz” to najlepsze rozwiązanie, chociaż w przypadku jedzenia taka reguła sprawdza się w stu procentach. Nie jedz zbyt dużo słodczy, nie pij zbyt dużo słodzonych napojów, nie pochłaniaj zbyt wielu pokarmów bogatych we włókno i proteiny. I najważniejsze: nie martw się na zapas. Życie i tak nas nie rozpieszcza. Kto wie, może następnym razem to ciebie będzie ściagać mafia?

– Oczywiście, że nie – odparłem. – To był zwykły przypadek, że ktoś do mnie zadzwonił w środku nocy i powiedział, że wie coś o zaginięciu Mio. To musiał być zwykły chuligan.

Lucy westchnęła.

– Nie o to mi chodziło. Chciałam powiedzieć, że być może istnieje jakieś zwyczajne logiczne

wy tłumaczenie tego, że ta kobieta nie przyszła na spotkanie.

– To dlaczego nie zadzwoniła?

Lucy wzruszyła ramionami.

– Daj jej trochę czasu. Na pewno się jeszcze odezwie.

Do kuchni weszła Belle w piżamie. Posadziła lalkę w foteliku i znowu byliśmy gotowi zacząć nowy dzień. Od kiedy rozpętało się to nasze piekło, stosowaliśmy z Lucy przemyślaną strategię. Staraliśmy się robić wszystko tak, żeby nasze życie toczyło się dawnym normalnym trybem. Głównie ze względu na Belle, ale także po to, by nikt z zewnątrz nie domyślił się, że legło ono w gruzach. Przecież nadal byłem podejrzany o dwa zabójstwa. Policja powinna więc otrzymać jakiś dowód, że nie snuję się bez sensu, czekając, aż mnie zapuszkują. Byłem niewinny i w związku z tym właśnie tak zamierzałem się zachowywać. Miałem chodzić do pracy, odbierać Belle z przedszkola i wykonywać wszystkie drobne czy nności składające się na codzienne życie.

– Co chcesz dzisiaj robić? – spytała Lucy.

– Mam nazwiska opiekunek z przedszkola z okresu, gdy zaginął Mio. Chcę się z nimi spotkać.

Lucy popatrzyła na mnie z wahaniem.

– Policja już rozmawiała z każdą z nich...

– Czytałem protokoły tych przesłuchań – wpadłem jej w słowo. – Mówiąc, że chcę się z nimi spotkać, nie miałem wcale na myśli rozmowy.

– Tylko co? – spytała Lucy, unosząc brwi.

– Chcę sprawdzić, czym zajmują się teraz. Czy pracują w tym samym przedszkolu i czy w ogóle żyją. A może któraś z nich ma na imię Susanne...

Belle uderzała jednostajnie łyżką w kaszkę, rozpryskując ją na stół. Od kiedy skończyła dwa lata, nigdy się tak nie zachowywała.

– Przestań! – powiedziałem ostrym tonem.

Belle zrobiła, co kazałem, ale przestała jeść. Po pożarze i porwaniu zaszła w niej jakaś zmiana. Niewiele jadła i dlatego tak szybko wpadałem w złość. Bałem się, że zagłodzi się na śmierć.

Lucy uściśnęła mnie za rękę.

– Belle, kochanie, może jednak coś zjesz? – spytała o wiele łagodniejszym tonem niż ja.

Ale Belle tylko pokręciła głową.

– Nie smakuje mi – odparła.

Zajrzałem jej do talerza.

– Co ci nie smakuje? Konfitury?

Belle nie odpowiedziała.

– A jeśli wezmę cię na kolana i pomogę ci w jedzeniu? – spytała Lucy. – Czy wtedy będzie lepiej?

Belle zsunęła się z krzesła i pobiegła wokół stołu. Wdrapała się Lucy na kolana i wcisnęła twarz w jej pierś. Natychmiast poczułem, jak moją duszę przeszywa tyśiąc drobnych igiełek. W ogóle do mnie nie docierało, co Belle przeżywała w ciągu tych kilku godzin, gdy znajdowała się w rękach porywaczy. W szpitalu nie zauważono na jej ciele śladów pobicia ani stosowania innej przemocy. Za to we krwi stwierdzono obecność środków nasennych. Belle zachowywała się tak, jak gdyby od momentu gdy porywacze zabrali ją z domku, nie wiedziała, co się z nią działo. Policijni lekarze ustalili, że środki podano jej we śnie. Potem, jeszcze zanim dom stanął

w płomieniach, została z niego wyniesiona. Kiedy ją spytałem, czy coś pamięta, odparła, że zasnęła, gdy dziadek czytał jej bajkę, a obudziła się przy mnie, gdy leżałem już obok niej na łóżku. Wtedy jednak nie była już w chatce dziadków na wyspie, tylko w pokoju w Hotelu Grand. Żadne z nas nie wiedziało, jak tam trafiła.

– Tylko żadnego przedszkola dzisiaj – powiedziała nagle.

Prosty dziecięcy język, bez podmiotu i orzeczenia. Kiedy słyszeliśmy go ostatni raz? Instykt mi podpowiadał, że Belle powinna jak najszybciej wrócić do codziennych czynności, takich jak chodzenie do przedszkola. Co jednak zrobić w sytuacji, gdy mała jest zmęczona i nic nie je?

– Zadzwoń do Signe – odparłem.

Signe to jedna z niewielu osób, którym nadal ufam. Zwłaszcza że jestem od niej uzależniony.

– A ja do przedszkola – powiedziała Lucy.

Karmiła Belle, jakby to było niemowlę, i w tym samym czasie wybierała numer. Jedna łyżka, dwie, trzy. W końcu Belle odwróciła głowę. Lucy udało się wlać w nią trochę soku i zmusić do zjedzenia jeszcze jednej łyżki kaszki. „Jedna za mamusię, jedna za tatusia”, powtarzałem w myślach.

Signe zjawiła się u nas pół godziny później, a my pojechaliśmy do kancelarii. Lucy – żeby popracować; ja – żeby poszukać cudzego dziecka. Kiedy wyjeżdżaliśmy z domu, była godzina dziewiąta. Dwadzieścia minut później byliśmy na Kungsholmen. Lucy zamknęła się w swoim pokoju, a ja usiadłem przy biurku i zacząłem przeglądać protokoły z policyjnego śledztwa w sprawie zaginięcia Mio. Po nocnym telefonie byłem oszołomiony i zmęczony. Kobieta twierdziła, że ma na imię Susanne. Czy w przedszkolu pracowała wtedy opiekunka o tym imieniu?

Odpowiedź znalazłem już po chwili: nikt taki tam nie był zatrudniony. Kobieta podała mi fałszywe imię. Wmawiałem sobie, że to całkiem zrozumiałe, ale chciałem ją odnaleźć, bo twierdziła, że pracuje w tym przedszkolu, a numer mojego telefonu dał jej przed śmiercią Bobby. Tylko po co kazała mi przyjeżdżać na spotkanie w samym środku nocy?

Nie noszę sytuacji, gdy na większość pytań brakuje mi odpowiedzi. Przez cały czas wracałem myślą do mojego nieudanego hamowania przed przejściem dla pieszych. Przecież ja naprawdę mogłem zabić człowieka.

Znowu.

Zacisnąłem dłonie w pięści i mocno potarłem nimi czoło. W głowie kłębiła mi się tylko jedna myśl: „nie jestem mordercą, nie jestem mordercą”.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła Lucy.

– Wychodzę na spotkanie – powiedziała. – Może później zjemy razem lunch?

Lucy i ja, ja i Lucy... Zaczynam się powoli czuć jak ktoś, kto cierpi na klaustrofobię. A przecież mam szeroki krąg znajomych i zawsze dbałem o to, żebyśmy się regularnie spotykali. Czy tego lata też tak było? Ludzie przeprowadzają się z miasta do miasta, a ci, którzy zostają, są jeszcze bardziej samotni od tych, którzy byli samotni od zawsze.

– Oczywiście – odparłem. – Jak wrócisz, pójdziemy razem na lunch.

Skinęła głową i odwróciła się, żeby wyjść. Dopiero w tym momencie do mnie dotarło, że ona też czuje się osamotniona.

– Lucy?

– Tak?

Przełknąłem ślinę. Istniały granice tego, o co mogę ją poprosić. Mimo to słowa same cisnęły

mi się na usta:

– Jeśli policja spyta cię kiedyś, gdzie byłem nocą... – zacząłem.

– To powiem, że nie opuszczałem mieszkania – dokończyła Lucy. – Coś jeszcze?

Pokręciłem głową. Fałszywe alibi, tak na wszelki wypadek. Jak gdyby dla adwokata była to najbardziej oczywista rzecz.

Lucy wyszła, a ja zostałem przy biurku. Zacząłem się zastanawiać, co się z nami stało. W końcu doszedłem do wniosku, że najwyższy czas zająć się czymś zupełnie innym.

6

Świadkowie zawsze są. Nawet jeśli ktoś zostanie zamordowany, napadnięty albo zgwałcony w odludnym miejscu, świadkiem zdarzenia jest sprawca (i ofiara, jeśli przeżyje). To właśnie do takich osób należy dotrzeć, jeśli ktoś chce się dowiedzieć prawdy. To one coś widziały albo słyszały. Dlatego ja też postanowiłem odnaleźć dwójkę świadków. Przede wszystkim tego, który widział, jak Mio zniknął z przedszkola. W jednej chwili chłopiec tam był, w następnej już go nie było. Wszystko wskazywało na to, że nikt nie wie, jak do tego doszło. Ale ja nie wierzę w takie historie. Mio zaginął z podwórka pełnego dzieci. Belle widzi z tysiąca metrów, co robię albo czego nie robię. Poza tym ciągle wszystko komentuje: gdy kaszlę, pociągam nosem albo – co rzadko mi się zdarza – puszczam bąka w jej obecności. Innymi słowy, nie ma szans, żeby Mio zaginął z pełnego dzieci placu zabaw i nikt tego nie zauważył.

Chciałem też odnaleźć drugiego świadka, który pomoże mi rozwiązać inną zagadkę, a mianowicie kto próbuje posłać mnie do więzienia za przestępstwa przeze mnie niepopelnione. To, czy odnajdę Mio, było bez znaczenia, bo i tak groziło mi dożywocie. Ktoś zenał, że widział, jak porsche podobne do mojego potrafiło śmiertelnie młodą kobietę. Jenny zginęła kilka przecznic od swojego hotelu, kilkanaście minut później ten sam los spotkał Bobby'ego. Świadków tego drugiego zdarzenia nie udało się odnaleźć, ale policja twierdzi, że to żaden problem. Śledczy szybko powiązali Bobby'ego ze mną i sprawa stała się dla nich jasna: to moje porsche posłużyło do zabicia obu ofiar tej samej nocy i to ja siedziałem za kierownicą.

W przypadku świadka, który widział, jak Jenny została potrącona przez porsche, sprawa była prostsza niż sprawa uprowadzenia Mio, bo policja miała jego dane. Problem jednak polegał na tym, że dla dobra śledztwa zostały utajnione. Oznaczało to, że nie wolno ich udostępniać osobom postronnym, takim jak ja. Ale nawet jeśli coś jest trudne, nie oznacza to automatycznie, że jest niemożliwe. Musiałem tylko znaleźć kogoś, kto mi pomoże zdobyć te informacje.

Dość wcześnie zrozumiałem, czym jest sieć kontaktów i znajomości. Rzadko odrzucam zaproszenia na przyjęcia i w zasadzie nigdy się nie zdarza, żeby mnie nie zapraszano. Jestem kimś, kogo ludzie chcą znać, co uważam za swój sukces. To dlatego Boris zgłosił się do mnie.

Z tego samego powodu znam Madeleine Rossander.

Madeleine studiowała ze mną na tym samym roku. To bardzo inteligentna, niezwykle energiczna kobieta, która potrafi zachęcić do działania całą armię ludzi, jeśli uzna to za konieczne. Oprócz tego, że oboje koncentrujemy się na robieniu kariery i należymy do ludzi, których chcą znać inni, łączy nas jedno: i ja, i ona pracowaliśmy kiedyś w policji. Ja – bo uważałem, że w ten sposób stanę się bliższy ojcu. Co do Madeleine, to nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiła, ale wiem, że podobnie jak ja uznała to później za swój wielki błąd. Po prostu nie pasowała do tej instytucji. Zbyt wiele oczekiwała, za dużo myślała i zbyt często krytykowała innych policjantów. W służbie wytrzymała dwa lata. Potem to olała i została prawnikiem.

Cały wic polega na tym, że jeśli ktoś postanawia olać tyle osób, to przynajmniej niektórym z nich powinien dać do zrozumienia, że stanowią wyjątek. Ludzie uwielbiają, kiedy ktoś traktuje ich lepiej od innych. Madeleine była tego w pełni świadoma i dlatego rozegrała swoją partię perfekcyjnie. Dzięki temu zachowała w policji grupę przyjaciół, którzy pomagają jej w różnych sprawach.

Odebrała już po drugim sygnale.

– Cześć, mówi Martin Benner. Możemy przez chwilę porozmawiać?

– Jasne. Jak leci? Dawno się nie widzieliśmy.

W jej głosie wyczułem nutkę niepokoju, co od razu mi się nie spodobało. Staralem się trzymać fason i rozmawiać normalnie, ale nie było mi łatwo. Czyżby oprócz niej także ktoś inny zastanawiał się, co u mnie słyhać?

– Ostatnio wiele się działo – odparłem krótko.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Oczywiście, że nie. Same stare sprawy.

A może nie?

Próbowałem pomóc podejrzaney o seryjne zabójstwa kobiecie w odzyskaniu dobrego imienia.

Jestem podejrzanym o popełnienie dwóch zabójstw

Moją córkę porwał szef gangu o pseudonimie Lucyfer.

Nieznani sprawcy zamordowali dziadków Belle.

Od niedawna szukam zaginionego dziecka.

Do tej pory zwierzyłem się z moich problemów Borisowi, Lucy i Fredrikowi. To za mało. Jeśli Madeleine ma mi pomóc, powinienem jej dokładnie wyjaśnić, na czym jej pomoc miałyby polegać.

Zakaszlałem, bo słowa uwięzły mi w gardle.

– Jeśli mam być szczery, to moja sytuacja nie wygląda aż tak różowo. Czy moglibyśmy zjeść razem lunch?

– Jasne – odparła Madeleine i od razu wyczułem zmianę w jej głosie. – Może pod koniec przyśłego tygodnia? Mam...

– Dzisiaj, Madeleine. Musimy się spotkać dzisiaj.

Mam proste potrzeby i stosunkowo niewielu przyjaciół. Za to krąg moich znajomych prezentuje się całkiem okazale, chociaż stale się zmienia i niewiele nas z sobą łączy. Każdą z tych

osób można wymienić na inną i jeśli mam być szczery, to zbyt często zadaję się z ludźmi, którzy nie wzbudzają mojego wielkiego zachwytu. Madeleine jest wyjątkiem. Z wielu względów mógłbym ją określić mianem ważnego przyjaciela. Mój jedyny problem polega na tym, że zbyt rzadko jej to okazuję.

Wysłałem do Lucy esemesa z informacją, że nie pójdziemy razem na lunch. Potem pojechałem do lokalu o nazwie Konstbärsbaren, w którym umówiłem się z Madeleine. Kiedy wszedłem do środka, siedziała przy jednym ze stolików w głębi sali. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko.

– Nie mogę już wytrzymać z ciekawości – powiedziała.

Pocałowałem ją w policzki i poczułem silny zapach perfum nieznannej marki.

– Ładnie pachniesz – powiedziałem.

Madeleine się roześmiała.

– To Chanel. Chyba jakaś nowość.

– Chyba? – spytałem, unosząc brwi. – Chcesz powiedzieć, że nie kupiłaś ich sama?

– No właśnie.

Uśmiechnęła się do mnie, ale po chwili spoważniała.

– Co się stało? – spytała.

Chętnie przedstawiłbym jej nieocenzurowaną wersję historii mojego życia, ale wiedziałem, że nie wolno mi tego zrobić. Powinienem zachować ostrożność, żeby nie popełnić kolejnych błędów. Postanowiłem więc opowiedzieć jej tylko to, co konieczne.

– Mam powód twierdzić, że ktoś próbuje wysłać mnie do więzienia za dwa zabójstwa, których nie popełniłem. Niestety policja prowadzi śledztwo dość nieporadnie.

Madeleine uniosła do ust szklankę z wodą, ale od razu ją odstawiła.

– Jak mogę ci pomóc? – spytała.

– Podobno jedna z ofiar została potrącona przez samochód podobny do mojego. Istnieje pewien świadek, który to rzekomo widział. Chciałbym cię poprosić, żebyś skontaktowała się ze swoimi znajomymi w policji i zdobyła dla mnie jego dane.

Podczas całej rozmowy utrzymywaliśmy kontakt wzrokowy. Wiedziałem, że proszę Madeleine o trudną przysługę. Po raz pierwszy w życiu zauważyłem, że zaniemowała. W innych okolicznościach byłoby to może zabawne, ale teraz sprawiało dość przykre wrażenie.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparła po chwili.

– Najlepiej mi to obiecaj – odrzekłem, czując, jak pieką mnie policzki.

– Oczywiście, ale... Wspomniałeś, że twoim samochodem zostały potrącone dwie osoby?

– Pomyłka. Chodzi o samochód, który wyglądał jak mój.

Madeleine odsunęła z czoła kosmyk włosów.

– Rozumiem, że znałeś obie ofiary?

– Tak

Madeleine umilkła. Jest dokładnie taka jak ja – nie wierzy w przypadki.

– Mam alibi na noc, kiedy popełniono oba te zabójstwa. Byłem wtedy w szpitalu z Belle.

– Rozumiem – odparła z ulgą Madeleine. I znowu spoważniała. – A co u niej?

– Wszystko w porządku. Niedawno się przewróciła i złamała rękę, ale teraz czuje się dobrze.

Dobrze, niedobrze. Ręka nadal jest w gipsie. Na dodatek ma bliznę na czole. Staram się jej nie zauważać.

Do naszego stolika podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Nie zdążyłem jeszcze przejrzeć menu, a Madeleine zamówiła dla nas po sałacie.

– Nie rozumiem tylko, skąd się wzięły twoje problemy z policją, skoro masz alibi.

Oto negatywna strona zadawania się z inteligentnymi mi ludźmi: wyciągają wnioski ukryte przed innymi.

– Sama wiesz, że niektórzy śledczy pracują według starych metod i czepiają się mniej ważnych szczegółów.

Madeleine popatrzyła na mnie surowym wzrokiem.

– Jakie to mniej ważne szczegóły masz na myśli? – spytała.

Zrezygnowanym ruchem rozłożyłem ręce.

– Tamtej nocy o trzeciej nad ranem wyszedłem na krótko ze szpitala, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zauważył mnie strażnik, który potem zeznał to na policji.

Skrzywiłem się, czekając na reakcję Madeleine. Ku memu zdumieniu zrobiła taką minę, jakby chciała się roześmiać.

– Nie znam nikogo innego, komu przytrafiłoby się coś podobnego – powiedziała. – Naprawdę. Opowiedz mi dalszą część tej historii. Od czego się to wszystko zaczęło? Może chodzi o klienta, który stwarzał ci jakieś problemy, a teraz się mści, próbując wysłać cię za kraty za niepopelnione zbrodnie? Co się tak naprawdę stało?

Całkiem słuszne pytania. Powiedziałbym nawet, że jak najbardziej słuszne. Niestety, nie miałem na nie gotowych odpowiedzi. I właśnie to jej powiedziałem.

– Chyba będzie lepiej, jeśli nie poznam całej prawdy – odparła Madeleine.

Chętnie bym ją ucałował za te słowa, ale nie zrobiłem tego.

– Wielkie dzięki, że to rozumiesz.

Madeleine wypila resztę wody ze szklanki. Spojrzałem na jej długie, wąskie palce, ale nie zauważyłem na nich obrączki. Mężczyzna, który kupił jej takie perfumy, działa dość powoli.

– Co u twoich dzieci? – spytałem.

– Dziękuję, wszystko dobrze. W końcu pogodziły się z tym, że rozwiedliśmy się z mężem. Myślę, że jest im dobrze w życiu.

– A twój były?

– Jemu powodzi się chyba gorzej.

– Pieprzony nieudacznik

– No właśnie.

Do czasu, gdy kelnerka przyniosła nam nasze zamówienia, siedzieliśmy w milczeniu. Madeleine chwyciła za sztućce z taką energią, jak gdyby chciała zabić to, co leżało na talerzu. Od kilku lat jest rozwódką. To był jedyny sposób na to, żeby jej były już mąż wziął na siebie część obowiązków.

– Chcesz tylko poznać dane tamtego świadka? – spytała.

Ostrożnie wbiłem nóż w kurczaka.

– Właściwie przydałoby mi się też pewne zdjęcie. Przejrzałem akta śledztwa, które dostałem od policji, ale żadnego nie znalazłem.

Madeleine nie zrozumiała mojej odpowiedzi.

– Chodzi ci o zdjęcie świadka?

– Nie. Zaginionego chłopca, o którym na pewno słyssałaś. Ma na imię Mio.

Bez danych świadka, który twierdził, że widział, jak Jenny potrącił samochód marki Porsche, nie miałem co marzyć o dalszym postępie w poszukiwaniach. Skupiłem się więc na sprawie Mio. Kiedy żegnałem się z Madeleine, obiecaliśmy sobie, że się zdzwonimy. Objęliśmy się i rozstaliśmy w serdecznej atmosferze. Kiedy jednak Madeleine ruszyła w stronę wyjścia, zrozumiałem, że coś się zmieniło. Zawsze potrafiła i nadal potrafi okazać mi solidarność – jako mój przyjaciel. Wiedziałem, że zrobi wszystko, żeby mi pomóc. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy: jak czuje się ktoś, kto przebywa w towarzystwie osoby podejrzanej o podwójne zabójstwo?

Madeleine twierdziła, że bez trudu zdobędzie dane świadka i fotografię Mio. Ja nie byłem aż tak wielkim optymistą.

– Takie zdjęcie na pewno istnieje – zapewniała. – No bo jak inaczej policja mogłaby go poszukiwać?

Ja też się nad tym zastanawiałem. Byłem jednak pewien, że w aktach, którymi dysponowałem, fotografii nie było. Chłopiec istniał tylko jako zjawą. Czulem jego duchową obecność, ale nie potrafiłem do niego dotrzeć. Nie wierzę w bajki i dlatego nie wierzę w zjawy i duchy. Dlatego to, że nadal nic nie wiedziałem o jego wyglądzie, bardzo mnie deprymowało.

Jeanette Roos, babka chłopca, nie chciała ze mną rozmawiać. Jego ciotka Marion odpowiedziała w końcu na wiadomość, którą jej zostawiłem na sekretarce, ale z esemesa wynikało, że nie posiada zdjęć swojego siostrzeńca. No tak, przecież własną siostrę ma w nosie, więc po co miałaby trzymać w domu zdjęcia jej syna? Na moim biurku stoją tylko dwie fotografie. Obie przedstawiają Belle. Kiedy jednak moja siostra i jej mąż jeszcze żyli, wcale tak nie było. Któregoś dnia poczułem się nieswojo, bo nagle uświadomiłem sobie, że gdyby Belle nagle zaginęła i ktoś mnie spytał, czy mam jej zdjęcie, musiałbym zaprzeczyć. Kiedy jej rodzice zginęli w wypadku, była niemowlęciem i w ogóle się nią nie interesowałem. Od czasu do czasu spotykałem się z moją siostrą, jedliśmy kolację albo wychodziliśmy na drinka. To nie ona wybrała taki sposób komunikowania się ze mną, tylko jej mąż. Gdyby nie on, widywalibyśmy się

częściej. Wtedy jednak nie miałem ani jednego zdjęcia Belle, co oznacza, że w niczym nie byłem lepszy od Marion.

Pomyślałem o bracie Sary. Bobby bardzo ją kochał i dlatego chciał ją oczyścić z wszelkich zarzutów. Powinien więc mieć jakieś zdjęcia swojego siostrzeńca. Jeśli nie w albumie, to przynajmniej w telefonie komórkowym. Tylko jak się do niego dostać? Ogarnęła mnie niepewność. Bobby pracował i mieszkał w Szwajcarii ze swoją dziewczyną. Może powinienem się z nią skontaktować i poprosić, aby przejrzała jego rzeczy? Najpierw jednak musiałem się dowiedzieć, jak ma na nazwisko i jak do niej dotrzeć. Do tej pory tego nie zrobiłem.

Wzięłem telefon i jeszcze raz zadzwoniłem do Marion Tell. Tym razem odebrała od razu.

– Myślałam, że wyraziłam się jasno. Nie mam żadnych zdjęć.

– Pani może nie, ale niewykluczone, że ma je dziewczyna Bobby'ego. Jak mogę się z nią skontaktować?

– Nie mam pojęcia. Może po śmierci Bobby'ego wróciła do domu?

– Do domu? To ona nie pochodzi ze Szwajcarii?

– Nie. Oni po prostu mieszkali razem. Bobby chciał zostać kierowcą ciężarówki, ona – fryzjerką.

Trudno sobie chyba wyobrazić dziwniejsze powody, które skłoniły dwoje ludzi do wspólnego zamieszkania. W ujęciu statystycznym można powiedzieć, że to przypadek wyjątkowy. Nikt nie przeprowadza się do Szwajcarii, żeby zostać kierowcą i fryzjerką. Naprawdę. Ale tak się właśnie stało.

– Dlaczego się tam przenieśli? – spytałem.

– Bobby twierdził, że więcej tam zarobi. Poza tym ten chaos związany z Sarą... Myślę, że Bobby źle się z tym czuł.

Bębniłem długopisem po biurku. Rodzina Sary nie wiedziała, że byłem podejrany o zabójstwo Bobby'ego (choć jego matka obarczała odpowiedzialnością za jego śmierć właśnie mnie). Nic więc dziwnego, że Marion rozmawiała ze mną tak swobodnie. Nie powinienem jednak zapominać, że w ciągu roku straciła brata i siostrę – jedyne rodzeństwo, jakie miała. Bez względu na to, co do nich czuła, ich śmierć na pewno pozostawiła na niej jakiś ślad.

– Co pani ma na myśli, mówiąc o chaosie? Myślałem, że gdy została matką, zaczęła o siebie dbać.

Marion westchnęła do słuchawki.

– Tak, to prawda, Sara dbała o siebie jak należy. Mimo to w jej życiu panował nieporządek. Jeśli spyta pan o to naszą matkę, z jej wypowiedzi wysnuje pan wniosek, że Bobby wyjechał ze Szwecji po śmierci Sary. To nieprawda, matce coś się pomyliło. Bobby przeniósł się do Szwajcarii na krótko przed śmiercią Sary. Ja trzymałam się od tego bajzlu jak najdalej, nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Myślałam, że cała ta sprawa miała coś wspólnego z jej dawnymi kumplami. Mam na myśli członków gangu, którzy dokonywali rozbojów na ulicach.

W życiu Sary panował nieporządek... Tak rzeczywiście można to tak określić. Ugryzłem się w język, żeby nie zdradzić Marion całej prawdy: że Sara miała dziecko z samym Lucyferem, a kiedy – będąc w ciąży – wróciła do Szwecji, nadal nie dawał jej spokoju.

– Chciałbym się skontaktować z dziewczyną Bobby'ego. Jak się nazywa i jak ją znaleźć?

– Na imię ma Malin, ale nie wiem, jak ją znaleźć. Zresztą nie mam powodu, żeby panu pomagać.

Zignorowałem jej ostatnie słowa.

– Nigdy się z nią pani nie widziała?

Głupie pytanie, ale musiałem je zadać.

– Nie. Myślę jednak, że spotkamy się jutro.

– Jutro? – spytałem zdumiony. – Czy może jej pani ode mnie przekazać, że...

– Nie, nie i jeszcze raz nie. Nic jej nie będę przekazywać. Pogrzeb Bobby'ego jest jutro.

Myślę, że powinien pan przyjść.

– Ja... – zacząłem.

– Tak, niech pan przyjdzie. Odnoszę wrażenie, że był mu pan bliższy niż ja. Niech pan przyjdzie na pogrzeb i poczuje się jak członek rodziny.

W jej głosie wyczułem silny sarkazm. Oburzyło mnie to.

A właściwie dlaczego nie miałbym pójść na ten pogrzeb?

Moja babka powiedziała mi kiedyś, że przed ukończeniem sześćdziesiątego roku życia wolno wziąć udział w pięciu pogrzebach, a później przestaje to mieć znaczenie. Babka nie była dobrym człowiekiem. Po jej śmierci nie poszedłem do kościoła na ceremonię pogrzebową. Marianne i moja siostra też się nie pojawiły. Po co? Żeby świętować z powodu jej śmierci?

Zanim poszedłem na pogrzeb Bobby'ego, byłem na pogrzebie mojego kolegi, siostry i jej męża. Ten drugi był najstraszniejszy. Ktoś twierdził, że podobno moja siostra zażyła sobie kiedyś, aby na jej pogrzeb wszyscy przyszli w jasnych ubraniach. Włożyłem więc letni garnitur i jasnoniebieską koszulę. Na trumnie stało duże zdjęcie mojej siostry. Kontrast między nią a mną był uderzający. Jasne, prawie białe włosy, ładna opalenizna. Na kolanach trzymała małą Belle. Tymczasem w kościele w pierwszym rzędzie siedziałem ja – jej przyrodni czarnoskóry brat. O naszym pokrewieństwie prawie nikt nie wiedział, bo moja siostra wolała się ze mną spotykać tylko we dwoje albo wcale. Był piękny letni dzień. Dziecięcy chór śpiewał tak przejmująco, że serce rosło. Mój szwagier miał oddzielny pogrzeb, ale tego dnia padał deszcz. Kiedy trumnę ze zwłokami jedynej córki naszej mamy spuszczano do grobu, Marianne się rozplakała. Lucy też nie mogła się powstrzymać od łez. Ja siedziałem i wpatrywałem się w białą trumnę. Próbowałem zrozumieć, jak to możliwe, że tak młoda osoba odeszła tak nagle, z dnia na dzień. Nadal tego nie rozumiem i nie mogę się pogodzić z tym, że życie kiedyś się kończy.

– Zwariowałeś? – powiedziała Lucy, gdy wieczorem zwierzyłem jej się z moich planów. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że akurat na ten pogrzeb nie powinieneś iść.

– Bo zdaniem policji to ja go zabiłem?

– Tak

– Nikt przecież nie wie o tych głupich podejrzeniach. Na szczęście.

– A jeśli zjawi się tam policja?

– A niby po co mieliby przychodzić na pogrzeb Bobby'ego?

Lucy wruszyła ramionami.

– Może po to, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jego zabójcy?

– Lucy, posłuchaj...

Nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem śmiechem, chociaż tak naprawdę powinienem

krzyżeć. Kolejny wieczór spędzony wspólnie z Lucy... Znowu o jedną osobę za dużo.

Zrobiłem poważną minę.

– Policjanci zachowują się tak tylko na filmach – odparłem.

Jedliśmy prawie w całkowitym milczeniu. Prawie, bo Belle bawiła się przy stole w człowieka orkiestrę. Zjadła tak dużo, że razem z Lucy z trudem się powstrzymaliśmy, żeby nie okazywać głośno naszej radości z tego powodu.

– Jak ci poszło z opiekunkami z przedszkola? – spytała Lucy, gdy po posiłku sprzątałyśmy naczynia. – Miałeś się z nimi spotkać.

Niestety, nie zdążyłem tego zrobić. Opowiedziałem więc tylko o moim spotkaniu z Madeleine. Lucy słuchała z uwagą.

– Mądrze postąpiłeś – stwierdziła. – Możesz jej zaufać i odnieść z tej znajomości jakąś korzyść.

Madeleine i Lucy znacznie się od siebie różnią. To kwestia dojrzałości. Madeleine postrzegam jako osobę starszą zarówno ode mnie, jak i od Lucy, chociaż w rzeczywistości jesteśmy rówieśnikami. Ona jednak posiada głębię, której nam obojgu brakuje.

Wyjąłem z lewej kieszeni telefon, żeby sprawdzić, czy nie mam jakichś nieodebranych połączeń, na przykład od Madeleine albo od tajemniczej Susanne. W prawej trzymałem drugi aparat, którym się posługiwałem wcześniej, jeszcze zanim moim dorosłym życiem wstrząsnęła gwałtowna burza.

Włożyłem talerze do zmywarki, Lucy zaczęła zmywać garnki, a Belle próbowała napoić swoją lalkę wodą. W tym momencie zadzwonił mój telefon komórkowy. Wzdrygnęliśmy się z Lucy. Wyjąłem aparat z kieszeni i od razu rozpoznałem numer centrali komendy policji.

– Cześć, co słyhać? – usłyszałem w słuchawce głos Didrika.

Brzmiał szczerze i rzeczowo. Mimo to poczułem niepokój. Moje dotychczasowe kontakty z komisarzem Stihlem oznaczały dla mnie kłopoty albo zwiastowały coś złego.

– Dzięki, wszystko w porządku.

– Świetnie, cieszy mnie to. Czy mógłbyś do nas przyjść jutro rano?

Poczułem gwałtowne klucie w sercu. Moje dotychczasowe wizyty na komendzie nie wywoływały w moim życiu żadnych pozytywnych zmian. Poza tym na następny dzień miałem inne plany: wybierałem się na pogrzeb.

– O co jestem podejrzany tym razem?

– O kolejne zabójstwo.

W jednej chwili cały zeszywniałem.

– Słucham?

Stihl zignorował moje pytanie.

– W takim razie jutro rano? O dziesiątej?

– Nie ma mowy – zaprotestowałem. – Co ty sobie wyobrażasz? Nie masz prawa mnie tak traktować. Dzwonisz tu do mnie i...

No właśnie, i co? Wyprowadzasz mnie z równowagi i wpędzasz w panikę. Zaczęłem się nad tym zastanawiać. Didrik nigdy by do mnie nie zadzwonił i nie prowadził rozmowy w taki sposób, gdyby miał jakieś twarde dowody. Na pewno chce mnie przestraszyć, sprowokować, żebym powiedział albo zrobił coś głupiego. Ale tym razem nie miało mu tak łatwo pójść.

– Kto tym razem nie żyje? – spytałem.

- Porozmawiamy o tym jutro rano.
- Nieprawda. Porozmawiamy o tym teraz.
- Dziesiąta rano. I nie spóźnij się.

Gorączkowo próbowałem ustalić, kim jest następna ofiara nieznanego sprawcy. Kto jeszcze wiedział za dużo? Kto musiał z tego powodu zginąć?

Przyszła mi na myśl tylko jedna osoba: Elias Krom. To on przyszedł do mojej kancelarii i udawał Bobby'ego. To on wciągnął mnie w tę hecę.

- Chodzi o Eliasa Kroma?

Zdążyłem zadać to pytanie, zanim Didrik się rozłączył. Usłyszałem tylko, jak wzdycha do słuchawki. Już do końca życia będzie żył ze świadomością tego, co właśnie zrobił: jakby nigdy nic zadzwonił do osoby podejrzanej o popełnienie przestępstwa.

- Do zobaczenia jutro rano – powiedział Stihl i się rozłączył.

8

Telefon zadzwonił tuż po pierwszej w nocy, tak jak poprzednim razem. Różnica polegała na tym, że tym razem jeszcze nie spałem. Leżałem w łóżku i gapiałem się w sufit. Zacząłem się śmiertelnie bać koszmarów, które nawiedzały mnie od pewnego czasu. Śmiertelnie, bo coraz trudniej mi było zachować dystans do tego, co było ich przyczyną: najstraszniejszej tajemnicy w moim życiu. Była ona tak straszna, że nie wyjawilem jej nawet Lucy. Żałowałem, że pojechaliśmy do Teksasu. Gdyby nie to, nasza sytuacja nie wyglądałaby teraz tak źle.

Innym problemem była trwająca od niedawna wzmożona aktywność policji. Nie da się zaprzeczyć, że kosztowała mnie sporo nerwów. Lucy leżała obok mnie pogrążona we śnie, ale co jakiś czas poruszała się niespokojnie. Kiedy telefon zaczął wibrować na nocnej szafce, obudziła się i usiadła w łóżku jak żołnierz, który zdrzemnął się w trakcie bitwy i nagle został obudzony ze snu.

Muszę przyznać, że zanim sięgnąłem po telefon, dwa razy zerknąłem w jego stronę.

– Słucham.

W słuchawce panowała cisza. To znaczy w tym sensie, że nikt się nie odezwał. Słyszałem tylko czyjś oddech. Od razu się domyśliłem, że dzwoni do mnie ta sama kobieta, która kontaktowała się ze mną poprzedniej nocy. Susanne.

– Niech się pani w końcu odezwie, bo inaczej się rozłączę.

Nie poznałem własnego głosu. Przestałem się hamować. W takich sytuacjach nie ma miejsca na uprzejmości ani na cierpliwość.

– Przykro mi, że nie przyszłam.

Mnie też było przykro, ale od razu poczułem ulgę. Przez cały czas się martwiłem, że coś jej się przytrafiło, bo wtedy cała wina spadłaby na mnie.

– Co się stało?

– Pojawiły się pewne przeszkody.

– Tyle to ja też wiem, ale nie o to pytałem.

– Nie miałam odwagi spotkać się z panem. Stchórzyłam. Przepraszam.

Susanne na szczęście nie płakała. To dobrze, bo nie szanuję ludzi, którzy prosząc o wybaczenie, płaczą.

– A kogo się pani tak bardzo boi?

Szczerze mówiąc, nie chciałem kontynuować tej dyskusji przez telefon. Kobieta zadzwoniła wprawdzie na numer jednego z nowych aparatów, ale wiedziałem, że muszę uważać. Przecież ten numer też mógł być spalony.

Kobieta doszła chyba do podobnego wniosku:

– Czy powinniśmy rozmawiać o tym przez telefon? – usłyszałem.

Cholernie dobre pytanie. Jeśli chodzi o mnie, to miałem już po dziurki w nosie nocnych eskapad.

W słuchawce rozległ się trzask, jakby kobieta upuściła telefon na ziemię.

– Wiem tylko to, co widziałam – usłyszałem po chwili jej głos. – Nic więcej.

– Ma pani na myśli zaginięcie chłopca?

– Tak

Zastanawiałem się, jak poprowadzić tę rozmowę. Byłem raczej pewien, że nikt mnie nie śledzi. Mam na myśli sytuację, w której dwóch wywiadowców siedzi przed domem w samochodzie, zajada kiełbaski i obserwuje wejście do budynku. Jeśli jednak policja podsłuchiwała tę rozmowę, oznaczało to, że mam taki sam problem jak poprzedniego dnia. Potrzebowali niewiele czasu, żeby pojechać na miejsce, w którym umówię się z Susanne. Po chwili zastanowienia postanowiłem spalić kolejny numer telefonu i nie godzić się na żadne spotkanie.

– Podam inny numer, na który będzie pani mogła zadzwonić.

Kiedy odkładałem telefon, żeby sięgnąć po drugi, Lucy dotknęła mojej ręki.

– Co się dzieje? – spytała.

– Myślę, że ta kobieta chce mi coś opowiedzieć.

Lucy popatrzyła na mnie badawczo.

– Rozumiem – odparła, wstając z łóżka. – Chce mi się pić. Przynieść ci wody?

– Tak poproszę.

Lucy wyszła z sypialni. Nie znoszę, kiedy odwraca się do mnie plecami i odchodzi. Ogarnia mnie wtedy nieuzasadniony strach, że widzę ją ostatni raz. Myślę, że to jeden z głównych powodów, dla których od pewnego czasu mieszkamy razem: nie wytrzymałbym, gdybym nie wiedział, czy coś złego jej się nie stało.

Chwilę potem zadzwonił trzeci telefon. Odebrałem. Razem z Lucy kupowaliśmy regularnie nowe aparaty. Jeśli kiedyś przestanę być adwokatem, zatrudnię się jako telefonista na centrali.

– Tym razem proszę mi opowiedzieć o wszystkim przez telefon – powiedziałem. – Nie ma mowy o kolejnych spotkaniach, dopóki się nie dowiem, o co chodzi.

– Rozumiem, że pan mi nie ufa, ale...

– Ja już nikomu nie ufam. Proszę nie brać tego do siebie, ale taka jest prawda.

Kobieta umilkła.

– Nie wiem, od czego zacząć – odparła po chwili.

Za to ja wiedziałem.

– Najlepiej od Bobby'ego. Jak się poznaliście?

– Bobby przyszedł któregoś dnia do przedszkola. Był podenerwowany, w złym humorze.

Policja też u nas była, i to kilka razy. Potem zjawił się Bobby. Przestraszył tyle osób, że opiekunki zagroziły mu, że jeśli sobie nie pójdzie, zadzwonią na policję. – Susanne mówiła już z większą swobodą.

– Czy to znaczy, że wam groził?

– Nie wprost. Przy najmniej takie odniosłam wrażenie. W przedszkolu miałam zastępstwo, zazwyczaj dzwoniли do mnie, jeśli była taka potrzeba. Pracowałam tam od kilku tygodni, Mio przebywał już wtedy u rodziny zastępczej, a potem zaginął. Tego dnia, gdy do przedszkola przyszedł Bobby, nie było mnie w pracy. Przyszłam tylko po odbiór zaświadczenia o zatrudnieniu. Być może dlatego wszystko tłumaczyłam sobie inaczej.

– Jak to inaczej?

Lucy wróciła do sypialni ze szklanką wody. Wylała trochę płynu na nocną koszulę, która z powodu mokrych plam stała się miejscami przezroczysta. Kiedyś taki widok bardzo by mnie podniecił, teraz zareagowałam obojętnie. Może właśnie na tym polega bycie dorosłym?

– Jak już wspomniałam, opiekunki wyglądały na wystraszone. Odniosłam wrażenie, że Bobby jest dziwnie smutny. W jego oczach dostrzegłam ogromny żal. To nie były oczy dzikiego, złego człowieka. Kiedy wyproszone go z przedszkola, wsiadł do samochodu i się rozpłakał. Widziałam to, bo chwilę później wyszłam na ulicę. Zrozumiałam, że dłużej nie mogę milczeć, i dałam mu swój numer telefonu. Bobby zadzwonił godzinę później.

– Kiedy i po co przyszedł do przedszkola? – spytałam.

– To było późną wiosną. Sprawiał wrażenie, jak gdyby przez cały czas rozmyślał o swojej niezyskającej siostrze i w końcu doszedł do wniosku, że nie powinien się pogodzić z tym, co się stało. Uważał, że ktoś musiał coś zauważyć, że dzieci tak po prostu nie znikają, jak to się przytrafiło Mio. Chciał się dowiedzieć, dlaczego opiekunki okłamały policję.

Jak widać, Bobby doszedł do tych samych wniosków, co ja. Zawsze znajdzie się ktoś, kto coś zauważył.

– Czy one rzeczywiście kłamały?

– Nie – odparła Susanne cicho. – Ale policja nie rozmawiała ze wszystkim.

Od razu się wyprostowałam.

– Słucham?

– Mówię prawdę. Na przykład nie przesłuchali mnie. Z grafiku wynikało, że w chwili gdy Mio zaginął, nie powinno mnie już być w przedszkolu. Ale akurat tamtego dnia poproszono mnie, żebym po zakończonym dyżurze została dłużej, na innym oddziale. Te dodatkowe godziny są wpisywane w innych formularzach. Myślę, że policja ich po prostu nie zauważyła.

– Czy to znaczy, że w chwili gdy zaginął Mio, była pani na placu zabaw?

Susanne chrząknęła do słuchawki.

– Nie. Przebywałam wtedy w budynku z jednym z chłopców. Był przeziębiony i miał gorączkę, więc postanowiłam zostać do czasu, aż przyjdzie po niego mama. Siedział na podłodze i bawił się klockami Lego, a ja stałam przy oknie i czekałam, aż będę mogła pójść do domu.

Puls mi przyspieszył.

– Przy oknie? I co pani widziała?

– Tylną część budynku przedszkola. Tam nie ma placu zabaw, tylko parking i strefa dla dostawców. Dzieci nie mają tam wstępu, bo oddziela je od tego miejsca płot.

Gwałtownie zabiło mi serce.

– I co pani zobaczyła? – spytałem ponownie.

– Ci ludzie zjawili się nie wiadomo skąd – odparła Susanne ochryplym głosem. – Widziałam ich od tyłu, ale wiem, że na pewno był z nimi Mio. Rozpoznałam go po czapce i kurtce, a przede wszystkim po żółtych gumowcach. Szedł obok wysockiej kobiety, która trzy miała go za rękę.

– Szedł sam? Nie niosła go na rękach?

– Nie, nie musiała tego robić. Mio ją znał.

Byłem już tak podekscytowany, że nie mogłem dłużej wytrzymać i wstałem z łóżka.

– Znał kogo?

– Rakel. To jedna z opiekunek, która pracowała dorywczo w przedszkolu tej jesieni, gdy Mio zaginął.

Próbowałem przetrwać to, co przed chwilą usłyszałem.

– I nigdy nikomu pani o tym nie opowiedziała? – Czułem, jak narasta we mnie złość.

– Nikt mnie o to nie pytał.

Susanne wypowiedziała te słowa podniesionym głosem. Postanowiłem zacząć od innej strony:

– O której godzinie Mio wyszedł z przedszkola?

– O wpół do czwartej. Policja zjawiała się pół godziny później. Mnie już tam wtedy nie było.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza.

– Dlaczego, widząc, że go uprowadzają, nie wszczęła pani alarmu?

– A skąd miałam wiedzieć, że to porwanie? Z nim w ogóle działy się jakieś dziwne rzeczy. Poza tym znałam Rakel, bo pracowała u nas wcześniej. Pomyślałam sobie, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie, dlaczego to ona odbiera go z przedszkola.

Wiara sprawia, że ludzie robią bardzo dziwne rzeczy. Na przykład zaczynają myśleć zupełnie irracjonalnie.

– Oczywiście. Ale przecież musiała pani słyżeć o tej sprawie w telewizji albo w radiu? Tego chłopca poszukiwano w całym kraju.

Susanne odpowiedziała tak cicho, że musiałem natężyć uwagę, żeby ją usłyżeć:

– Nie miałam odwagi, żeby komukolwiek opowiedzieć o tym, co widziałam.

– Ponieważ?

– Z tego samego powodu, dla którego nie miałam odwagi zadzwonić do pana. Bałam się, że narobię sobie kłopotów.

– Czy ktoś pani groził?

– Nie, ale... To skomplikowana sprawa.

– Dla mnie to niewystarczające wyjaśnienie.

W tym momencie Susanne całkowicie się załamała. Usłyszałem, jak płacze.

– Ona widziała, jak zrobiłam coś głupiego – szepnęła.

– Kto taki?

– Rakel.

– Czy było to aż tak głupie, że bała się pani, że Rakel opowie komuś o tym, co widziała, jeśli pani zezna, że widziała ją z chłopcem?

– Tak

Westchnąłem do słuchawki.

– Jestem bardzo ciekaw, co było aż tak straszne, że bała się pani zeznać, że widziała, jak obcy

ludzie porywają małego chłopca?

– Rakeł przyłapała mnie na kradzieży. Jedna z opiekunek była w trakcie przeprowadzki i dyrektorka przedszkola pozwoliła jej przechować kilka kartonów w pustym pomieszczeniu biurowym. Któregoś wieczoru zauważyłam, jak w jednym z nich czegoś szuka. Po chwili wyciągnęła drewnianą skrzyneczkę z piękną biżuterią. Sama nie wiem, dlaczego się skusiłam. Tego samego wieczoru wróciłam tam i wyjęłam skrzyneczkę z kartonu. Rakeł mnie na tym przyłapała.

Za oknem pojawił się nagle ptak, który zaczął fruwać blisko szyby. Od dzieciństwa nie znoszę ptaków. Dałam znak Lucy, żeby zamknęła okno.

– A co Rakeł robiła w biurze po godzinach pracy? – spytałem.

– Tego nie wiem. Wiem tylko, że mnie przyłapała na kradzieży. Następnego dnia podeszła do mnie i ostrzegła: „Pamiętaj, że widziałam, jak kradniesz”.

– Tak powiedziała?

– Tak

Zacząłem głośno myśleć.

– Nie powiedziała, że poinformuje o kradzieży inne osoby? Gdyby to zrobiła, pani życie zamieniłoby się w piekło.

– No właśnie. Potem bałam się tam przychodzić na zastępstwa.

No właśnie. Dlaczego Rakeł nie opowiedziała o kradzieży policji ani innym pracownikom przedszkola? Dla mnie to była ważna wskazówka. Rakeł nie mogła tego zrobić, bo musiałaby wyjaśnić, dlaczego ona też była o tak późnej porze w przedszkolu. Może nie chciała, żeby inni się nią za bardzo interesowali?

– Nie wiedziałam, co robić – kontynuowała Susanne. – Prawda jest taka, że bardzo potrzebowałam pieniędzy, więc całą biżuterię sprzedałam. Dużo za nią dostałam. Wszystkie moje problemy od razu się rozwiązały.

Jedne się rozwiązały, inne dopiero powstały. Zachowanie Susanne skłaniało mnie do zadania jej wielu pytań. Niestety, nie miałem na to czasu.

– Szczerze mówiąc, nadal nie bardzo rozumiem pani zachowania. Czy Rakeł zrobiła coś więcej, żeby zmusić panią do milczenia?

Susanne odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

– To się stało dokładnie wtedy, gdy miała przejść z Mio przez furtkę. Zatrzymała się pod latarnią i odwróciła w moją stronę, jak gdyby wiedziała, że tam stoję i ją obserwuję. Spojrzała na mnie, uniosła rękę i przyłożyła palec do ust. Przysięgam, gdyby można było zabijać wzrokiem, już bym nie żyła. Tak się wtedy przeraziłam, że aż odskoczyłam od okna. Nikomu nie powiedziałam o tym ani słowa. Wiedziałam, że gdybym to zrobiła, spotkałoby mnie coś strasznego.

Przez chwilę się zastanawiałem nad słowami Susanne. Jej opowieść zawierała wyraźne luki. Będziemy musieli o tym jeszcze porozmawiać.

– Bardzo się pani przestraszyła, ale nadal tam pracuje, chociaż doszło do kradzieży. Naprawdę nie odczuwa pani wstydu?

– Kierownictwo przedszkola musiało ograniczyć wydatki. Dobrze wiedziałam, że w tej sytuacji nie będę mogła tam dłużej pracować, bo będą musieli zrezygnować z zastępstw. I nagle sami zaproponowali mi dłuższe zastępstwo. Nie stać mnie było, żeby odrzucić taką ofertę.

W ustach Susanne wszystko wydawało się takie proste. „Nie stać jej było”, „nie mogła odmówić”, „stało się, jak się stało”... Nie pamiętam, kiedy ostatni raz rozmawiałem z równie nieodpowiedzialną osobą.

– Nikomu pani o tym nie wspomniała do czasu, aż w przedszkolu zjawił się Bobby. I nagle nasza panią ochota, żeby mu o wszystkim opowiedzieć?

– Tak. Dopiero gdy go spotkałam, zrozumiałam, co zrobiłam. Nie mogłam z tym żyć. Uznałam, że bez względu na strach powinnam o tym komuś opowiedzieć. Dlatego zwierzyłam się jemu. Potem znowu się spotkaliśmy. Powiedział, że poszedł na policję, ale nie uwierzyli mu. Kazał mi tam pójść, ale się przestraszyłam. Podczas kolejnej rozmowy Bobby wspomniał o panu i obiecał, że się pan ze mną skontaktuje. Niestety nic takiego się nie stało. W końcu zadzwoniłam do niego. Odebrał jakiś mężczyzna i powiedział, że jest policjantem. Usłyszałam, że Bobby nie żyje. Rozłączyłam się.

Westchnąłem głośno.

– Czy policja kontaktowała się z panią? Przecież bez trudu mogli namierzyć panią po numerze telefonu.

– Raczej nie, bo dzwoniłam z aparatu na nierejestrowaną kartę. Teraz zresztą też.

– I co ja mam teraz zrobić? – spytałem po chwili. – Nie chce mi pani podać swojego prawdziwego nazwiska, nie chce iść na policję...

– Musi pan wykorzystać to, co powiedziałam!

– Niechże pani da spokój! Proszę mi podać swoje imię i nazwisko. Przecież wiem, że nie ma pani na imię Susanne.

– Nie.

– A Rakel? Jej nazwisko chyba może mi pani podać?

– Minnhagen. Rakel Minnhagen.

Zapisałem to.

– Jeszcze zadzwonię – zapowiedziałem. – Proszę mi podać swój numer.

– Niech pan sobie nie wyobraża, że będzie mi rozkazywał – odparła Susanne. – Sama decyduję o tym, co powinnam zrobić.

9

Kogo zabiłem tym razem?

W rozmowie z Didrikiem Stihlem i drugim policjantem, którego zastałem w pokoju komendy, nie mogłem sobie odmówić odrobiny humoru. Niestety zabrakło mi energii na wymyślenie jakiegoś taktycznego manewru. Zauważyłem jednak – ku mojej satysfakcji – że policjant zrobił zdumioną minę. Na pewno się nie spodziewał, że wiem, w jakiej sprawie mnie wezwano. Ale Didrik zignorował moje słowa.

– Gdzie byłeś poprzedniej nocy? – spytał.

– A bo co?

– Odpowiedz na pytanie.

– W domu.

– Przez całą noc?

Nie, byłem poza domem w poszukiwaniu tajemniczej Susanne.

– Tak

– Czy ktoś może o tym zaświadczyć?

– Lucy.

Didrik westchnął i wyprostował się na krześle.

– Chyba zdajecie sobie sprawę, że powinniście skorygować role, które odgrywacie w waszej sztuce? Lucy nie może równocześnie reprezentować cię jako klienta i zapewniać ci alibi.

– Naprawdę?

Didrik wykonał zrezygnowany gest. Ja też go czasem wykonuję, gdy staję się bezradny wobec Belle. Ale mnie nie przestraszy. Świadomość tego, że jego ludzie nie obserwują mnie przez całą dobę, sprawiła mi radość. Gdyby tak było, nie musiałyby mnie pytać, co robiłem w nocy.

– Może przejdziesz w końcu do rzeczy? – zaproponowała Lucy. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie, niż siedzieć tutaj i tracić czas.

– Jestem tego pewien – wtrącił policjant, który do tego momentu się nie odzywał.

Na imię miał Staffan. Gdyby powiedział, że ma na nazwisko Stalledräng¹, wcale bym się nie zdziwił. Szkoda, że policjantom, którzy próbują dawać coś do zrozumienia, rzadko się to udaje.

– Skupmy się w końcu – powiedział Didrik ostrym tonem, a ja nie wiedziałem, do kogo skierował te słowa: do mnie czy do Staffana. – Będziemy musieli zabrać twój samochód do przeglądu. Czy twoje porsche stoi przed komendą?

To jakiś żart?

– Chyba nie mówisz poważnie? Ktoś został potrącony?

Stihl nie odpowiedział na moje pytanie.

– Czy twoje porsche stoi na ulicy? – spytał.

– Nie. Przyśliśmy tu piechotą.

Była to jedna z najbardziej spontanicznych decyzji w moim życiu: postanowiłem, że na komendę pójdziemy piechotą.

– Może zechcesz nam przedstawić konkretne podejrzenia? Jeśli nie, to wychodzimy.

Uznałem, że to dobrze, że Lucy trzyma ich tak krótko. Ale bałem się, że wyjdziemy z komendy, nie dowiedziawszy się, o co chodzi albo kto zginął.

– Wydarzył się kolejny śmiertelny wypadek – odparł Didrik – Znaleźliśmy świadka, który zeznał, że sprawca poruszał się samochodem marki Porsche 911. To oczywiste, że w takiej sytuacji od razu przyszedł nam na myśl Martin.

Nie mogłem zrozumieć, jak to możliwe, że kiedyś byliśmy kumplami. Zrobiło mi się niedobrze, chciałem stamtąd jak najszybciej wyjść.

Didrik uniósł lekko brwi i spojrzał na mnie.

– Elias Krom – powiedział.

Starałem się zapanować nad sobą, nie okazywać żadnych uczuć. Udało się.

– Czy pan go zna? – spytał Staffan.

Tym razem próbował zrobić sprytną minę, ale znowu mu nie wyszło.

– Nie – odparłem.

– Naprawdę? – zdziwił się Didrik – Jesteś tego absolutnie pewien?

– Tak Nie znam Eliasa Kroma, ale spotkałem się z nim. To właśnie on zjawił się w moim biurze i udawał Bobby 'ego.

Stihl spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– A więc to Krom wciągnął cię w sprawę Sary Teksas?

– Tak

– Wydawało mi się, że zrobił to Bobby.

Westchnąłem ciężko i głęboko.

– Mnie też się tak wydawało. Potem zrozumiałem, że było inaczej. Ale o tym już wam opowiadałem.

– Faktycznie. Nie wspomniałeś tylko o Kromie. Dlaczego?

„Bo zabronił mi tego Lucy fer”, odparłem w myślach, a na głos powiedziałem:.

– Bo odnoszę wrażenie, że nigdy was nie interesuje to, o czym mówię.

– Może dlatego że nigdy nam pan o niczym nie mówi – zripostował Staffan.

Nie odpowiedziałem.

Najpierw Jenny, potem Bobby, teraz Krom. Każda z tych osób przekazała mi jakieś

informacje, a potem cała trójka została po kolei zamordowana. Jak to możliwe? Kto jest tak dobrze zorientowany w tym, co robię, że potrafił nawet dotrzeć do Kroma? Przecież o jego istnieniu dowiedziałem się dopiero od Borisa? Jestem w zasadzie pewien, że nikt za mną wtedy nie chodził. W zasadzie. Ludzie Lucyfera wiedzieli przecież, że tamtej nocy zatrzymałem się w Hotelu Grand. Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, skąd się o tym dowiedzieli. Nie mogłem się pozbyć myśli, że to Lucyfer kazał zamordować Kroma. Ale ta teoria niezbyt do mnie przemawiała. Była zbyt grubymi nićmi szyta.

– Martin?

Lucy położyła mi dłoń na ramieniu.

– Skończyliśmy – powiedziałem, wstając z krzesła.

– Widzę, że mimo tego, co tu usłyszałeś, zachowujesz kamienny spokój – stwierdził Didrik i też się podniósł zza biurka. Było to suche stwierdzenie faktu.

– A co ja tu usłyszałem? Że człowiek, którego spotkałem raz w życiu, został zamordowany, a jakiś świadek widział, że potrafił go samochód podobny do mojego. To faktycznie przykra sprawa, ale tym razem wydaje mi się całkiem prosta.

– Jak to? – spytał Stihl.

Nie potrafiłem określić tonu jego głosu.

– Bo tym razem zadałeś mi niewłaściwe pytanie – odparłem.

Didrik skrzyżował ręce na piersi i czekał, co powiem dalej.

– Pytałeś, gdzie byłem poprzedniej nocy, ale zapomniałeś mnie spytać, gdzie był mój samochód.

To właśnie w takich momentach ludziom opada szczęka. Zabawne jest to, że zdarza się to dość często. Ciekawe, dlaczego przytrafiło się to także Stihlowi? Czyżby aż tak bardzo był przekonany o mojej winie? Jeśli tak, to dlaczego mnie nie aresztował?

– Wyjaśnij mi to – zażądał.

– Mój samochód stoi w warsztacie. Belle upuściła na podłogę pomarańczę, która potoczyła się pod pedał hamulca. Kiedy chciałem zahamować, doszło do groźnej sytuacji. Dwa dni temu odstawiłem moje porsche do warsztatu i jeszcze nie wiem, kiedy je odbiorę. Szczerze mówiąc, wcale mi się nie spieszy. Nocą samochód był zamknięty na klucz, w warsztacie. Zadzwoni i sprawdź, jeśli chcesz. Nie miałbym go jak stamtąd zabrać i użyć do popełnienia zabójstwa. Zresztą nikt inny też nie mógłby tego zrobić.

Czułem radość z odniesionego zwycięstwa. W końcu udało mi się pokonać Didrika.

– Zadzwonić do nas, gdybyście chcieli się dowiedzieć czegoś więcej o samochodzie Martina i o tym, czy jest zamieszany w poszczególne zabójstwa – powiedziała Lucy. – Chyba jednak jest już dla was oczywiste, że prawda jest taka, jak przedstawialiśmy ją od samego początku: ktoś próbuje posłać Martina do więzienia za przestępstwa, których nie popełnił.

Didrik zerknął do swojego notesu.

– Niewykłuczone, że w końcu dojdziemy do wniosku, że jego samochód nie został wykorzystany do popełnienia ostatniego zabójstwa – powiedział Stihl.

– Ani żadnego innego – dodała Lucy.

Didrik przełknął ślinę i nie odpowiedział. Był tak samo zestresowany jak ja. Spodobało mi się to.

– Nasz sprawca zaczyna popełniać błędy – powiedziałem. – Pierwsze dwa zabójstwa były

dobrze przygotowane i równie dobrze wykonane. Z tym ostatnim poszło mu o wiele gorzej. Pewnie sobie wyobrażał, że wystarczy wypożyczyć jakieś porsche, a reszta potoczy się gładko.

Mówiłem pewnym siebie głosem, ale tak naprawdę byłem śmiertelnie przerażony. Istniało bowiem minimalne ryzyko, że mój samochód został użyty do popełnienia ostatniego zabójstwa. Sprawca mógł go jakimś sposobem wykraść z warsztatu. Pytanie brzmiało, jak w takiej sytuacji policja odniesie się do kwestii mojej ewentualnej winy.

– Jak już powiedziałam, dajcie nam znać – stwierdziła Lucy.

Wyszliśmy z pokoju, Didrik towarzyszył nam aż do wyjścia.

– Ostatnia sprawa – powiedział, gdy stanęliśmy przy drzwiach.

Skinąłem głową.

– Czy znasz kogoś, kto nazywa się Boris Micanovic?

Sam nie wiem, jak to się stało, ale udało mi się zapanować nad nerwami i zachować spokój.

Nie zauważyłem za to, jak zareagowała Lucy.

– Nie – odparłem. – A czemu pytasz?

Didrik pokręcił głową.

– Nieważne. Głośno myślałem.

Miałem dwa wyjścia: zakończyć tę rozmowę i odejść albo zostać i ją kontynuować.

Wybrałem to drugie. Chciałem usłyszeć, dlaczego Stihl pyta mnie o szefa mafii, z którym ostatnio się kontaktowałem.

– Mam już po dziurki w nosie pytań, które zadajesz mi w tak spontaniczny sposób – powiedziałem. – Kim jest ten Boris i dlaczego mnie o niego pytasz?

Didrik przez chwilę się wahał, ale nie trwało to długo.

– Jego dane wypłynęły w śledztwie związanym z pożarem domku i śmiercią dziadków Belle.

A więc jednak Poszułem, że za chwilę dostanę ataku serca. Palce i dłonie mi zdrętwiały, a ucisk w okolicach mostka był tak mocny, jak gdyby wszedł na niego słoń.

– Kto to jest? – spytała Lucy.

Świetna reakcja. Lucy włączyła się do mojej gry. Zrobiła to lepiej ode mnie, bo zachowała zimną krew.

– Szef mafii – wyjaśnił Didrik – Gruba ryba.

– I twoim zdaniem ja miałbym go znać? Widzę, że ostatnio nie masz o mnie zbyt dobrej opinii.

Didrik przekrzywił lekko głowę.

– Nie jestem pewien, czy na to zasługujesz – odparł.

Tego już było za wiele.

– Muszę iść – oświadczyłem i ruszyłem w stronę drzwi.

– Dziękuję za dzisiaj – powiedział Stihl.

– Pozdrowienia dla Rebekki.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Może po to, żeby mu przypomnieć, że kiedyś utrzymywaliśmy bliską znajomość? Jego żony nie widziałem od kilku lat. Didrik nie lubi opowiadać o swojej rodzinie. Zrobił to chyba tylko raz, gdy z Rebeccą adoptowali dziecko. Był wtedy tak rozmowny, że prawie mnie zanudził różnymi szczegółami.

Ponieważ Didrik nie odpowiedział, obejrzałem się przez ramię. Stał jak wmurowany. Zatrzymałem się i zacząłem szukać w pamięci jakiegoś wyjaśnienia. Może się rozwiedli? Albo –

co gorsza – Rebecca nie żyje?

– O co chodzi? – spytałem. – Czyżby m powiedział coś niewłaściwego?

W końcu Didrik się ocknął.

– Nie ma sprawy. Przekażę jej twoje pozdrowienia.

Po tych słowach odwrócił się, żeby odejść, ale nagle zrobił taki gest, jak gdyby coś sobie przypomniał i chciał o tym powiedzieć.

– Wracając do sprawy Kroma... – zaczął.

– Tak?

– On żyje.

Spojrzałem na Lucy, a potem na Didrika.

– Ale przecież sam mówiłeś...

– Nigdy czegoś takiego nie twierdziłem. To ty tak powiedziałaś. Nie pytałem cię o Kroma, bo został potrącony przez samochód, tylko dlatego że podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej wymieniał jego nazwisko.

Przez głowę przemknęło mi tysiąc myśli.

– W takim razie kto nie żyje? – spytała Lucy.

– Fredrik Ohlander. Dziennikarz. Ostatnio pracował nad jakąś tajemniczą sprawą.

Zakląłem w myślach i poczułem się, jak gdybym spadał z dużej wysokości. Ohlander nie żyje. Jedyne człowiek, któremu opowiedziałem ze szczegółami całą moją historię. Przemilczałem tylko rolę, jaką odegrały w niej dwie osoby: Lucy i Boris.

– Zbladłeś – powiedział Stihl. – Znałeś go?

Akurat w tej sprawie nie musiałem kłamać.

– Byliśmy przez pewien czas na jednym roku.

– Nie wiedziałem, że studiowałeś dziennikarstwo.

– Bo nie studiowałem. To on był na prawie, ale tylko dwa semestry.

Didrik skinął głową.

– Nie wiesz, nad czym Ohlander tak pracował? – spytał.

– Nie.

Moja odpowiedź była krótka i zdecydowana.

– No trudno. W takim razie sami się tego dowiemy.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył w stronę windy.

1 *Staffan var en stalleddräng* – słowa popularnej szwedzkiej piosenki śpiewanej w okresie Bożego Narodzenia (przy p. tłum.).

CZĘŚĆ 2

„Zabiłem człowieka”

ZAPIS WYWIADU Z MARTINEM BENNEREM (MB)
PROWADZĄCA WYWIAD: KAREN VIKING (KV), NIEZALEŻNA DZIENNIKARKA
MIEJSCE ROZMOWY: SZTOKHOLM

KV: Mój Boże, nie miałam pojęcia, że Fredrik nie żyje.

MB: Niestety to prawda. Ustaliliśmy, że nie będziemy się z sobą regularnie kontaktować. Głównie ze względu na jego bezpieczeństwo. Jakwidać, nawet to nie pomogło. Fredrik zginął zaledwie tydzień po naszym spotkaniu.

KV: Rozumiem, że bardzo to pana przstraszyło...

MB: Tak, ale było mi też bardzo przykro. Mam potworne wyrzuty sumienia.

KV: Przecież nie mógł pan wiedzieć, co się stanie.

MB: To prawda, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło wcześniej, powinienem był to przewidzieć albo przynajmniej należycie ocenić ryzyko.

KV: A te łozmary...

MB: Dojdziemy i do nich.

KV: Wspomniał pan, że łogós pan zabił.

MB: Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

KV: Powiedział pan, że gdyby zabił tamtą kobietę na przejściu dla pieszych, byłaby to kolejna osoba, którą pan zabił.

MB: Do tego też dojdziemy.

(milczenie)

KV: A więc Krom nie zginął? To zawsze coś.

MB: Tak, chociaż cynicznie powiem, że był dla mnie mniej ważny niż Fredrik. Ujmę to inaczej – nie można ich z sobą porównywać. Fredrikowi przekazałem wszystkie szczegóły mojej historii. Nikomu innemu nie zwierzyłem się tak szczerze, nawet Lucy i Borisowi. Żadne z nich nie wiedziało jednak, że z nim rozmawiałem.

KV: Poważnie? Właśnie tego nie rozumiem. Słąd zabójca już wtedy wiedział, że opowiedział pan o wszystkim Fredrikowi?

MB: Miałem swoją teorię, którą udało mi się potwierdzić. Ale do tego też jeszcze dojdziemy.

KV: Wygląda na to, że miał pan wiele spraw do wyjaśnienia: odnaleźć chłopca, ustalić, kto chce pana wysłać do więzienia, znaleźć zabójcę Fredrika...

MB: Dla mnie było oczywiste, że te dwie ostatnie sprawy są powiązane. Obie potoczyły się według tego samego wzorca. Jenny i Bobby zginęli, bo przekazali mi pewne informacje. Założyłem, że Fredrik zginął z tego samego powodu. Za dużo wiedział i istniało ryzyko, że kiedyś to opublikuje. Zwłaszcza gdyby coś mi się przydarzyło.

KV: Zawsze coś się dzieje...

MB: W tym przypadku wydarzyło się wiele rzeczy, i to w dość szybkim tempie.

KV: Powiedziałabym, że zaskakująco szybkim. Ale dobrze, zrobimy tak, jak pan zaproponował. Będziemy rozmawiać o wszystkim po kolei. Co się stało potem, gdy opuścił pan komendę policji?

MB: Wypiłem drinka, a później poszliśmy na pogrzeb.

10

Powoli zacząłem uważać, że jestem niebezpiecznym człowiekiem, którego inni powinni się wystrzegać. Razem z Lucy opuściliśmy komendę policji. Nie lubię metafor, ale można chyba powiedzieć, że problemy zaczęły się gromadzić nad naszymi głowami jak czarne chmury. Fredrik Ohlander nie żył. Nie byłem przygotowany na taką wiadomość.

– Muszę się napić – powiedziałem.

– Teraz? Nie ma jeszcze jedenastej.

– W takim razie lunch też zjemy wcześniej. Przy okazji strzelimy sobie drinka.

Wsiadliśmy do taksówki i pojechaliśmy do restauracji Riche. Lubię Östermalm, chociaż równie często odwiedzam inne dzielnice, na przykład Kungsholmen albo Vasastan. Kiedy szukaliśmy miejsca na naszą kancelarię, Lucy sugerowała, żebyśmy wybrali jakieś lokum na Östermalmie. Ja byłem innego zdania. Chciałem – i nadal chcę – zachować dystans do swojej pracy. Nie chciałem mieć biura tuż za rogiem i dlatego uznałem, że najlepszym miejscem będzie Kungsholmen. Blisko komendy policji, na wyspie... Wyspy to dobre lokalizacje. Człowiek przekonuje się o tym na własnej skórze, kiedy je opuszcza. Ledwo przejdzie przez most i od razu zaczynają się problemy.

W drodze do restauracji minęliśmy most Kungsbron. Lucy popatrzyła na wodę.

– Kim on był? – spytała.

– Kto?

– Ten człowiek, który został zabity. Z którym, jak twierdzisz, byłeś na roku.

„Z którym, jak twierdzisz...” W jej głosie wy czułem nieufność. Nie spodobało mi się to.

– Byliśmy na tym samym roku na studiach. Zrezygnował i został dziennikarzem.

– Dlaczego mi o nim nigdy nie opowiadałeś?

– Bo nie utrzymywałem z nim kontaktów.

– Jakies kontakty jednak musieliście utrzymywać, skoro potracił go samochód podobny do twojego.

Zauważyłem we wstecznym lusterku, że kierowca taksówki wzdygnął się na te słowa.

– Porozmawiamy o tym później – odparłem.

Dojechaliśmy na miejsce i zapłaciłem za kurs. Lucy weszła do lokalu przede mną. Kelnerka zaprowadziła nas do stolika przy oknie.

– Coś do picia? – spytała.

– Lampkę białego wina – odparła Lucy.

– A dla mnie gin z tonikiem.

Kelnerka przyjęła zamówienia i odeszła. Lucy spojrzała na mnie. Nie był to zbyt przyjazny wzrok. Wyczułem bijący od niej chłód. Niech to szlag!

– Tyle razem przeszliśmy, a ty nadal, powtarzam: nadal, masz przede mną jakieś tajemnice – powiedziała z wyrzutem.

„Gdybyś ty wiedziała, co to są za tajemnice”, pomyślałem. Koszmary odżyły, a ja zachowywałem się tak jak poprzednio: starałem się je stłumić. Nie miały żadnego odniesienia, pojawiły się z powodu naszego wyjazdu do Teksasu. Podczas pobytu w Ameryce zniknęły. Koncentrowałem się wtedy na tym, aby przeżyć. Zależało mi na rozwiązaniu tajemnicy Sary Teksas i udało mi się obronić przed przeszłością, ale nie dotyczyło to wspomnień związanych z moim ojcem: jego śmierci i tego, że wcześniej nas zawiódł, porzucił na pastwę losu. Teraz czułem, że powoli tracę kontrolę nad przeszłością. Wszystko wróciło. Jeszcze trochę i będę musiał coś z tym zrobić.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza. Nie mogłem się doczekać mojego drinka.

– Istnieje bardzo naturalne wytłumaczenie tego, że nie wiedziałaś o istnieniu Ohlandera – odparłem, po czym opowiedziałem Lucy o wszystkim, co mogłem jej wyjawić: że po tym, co się wydarzyło, chciałem zostawić po sobie coś w rodzaju testamentu, na wypadek gdybym nagle zginął albo został zamordowany; że chciałem być pewien, że historia mojego życia zostanie uwieczniona, jeśli sam nie mógłbym jej doprowadzić do końca.

Lucy słuchała moich słów z błyszczący mi oczami.

– Zbyt wiele osób już zginęło – zakończyłem ochryplym głosem. – Nawet nie pytaj, co czuję po śmierci Fredrika. Powiem krótko: jestem w fatalnym nastroju.

Kelnerka przyniosła nam nasze zamówienie. Lucy wypła wina, ja gin.

– Nie żałujesz, że nie zamówiłaś czegoś mocniejszego? – spytałem.

– Żałowanie nie ma w tej sytuacji sensu – odparła Lucy.

Nie wiedziałem, czy mówiła do mnie, czy do siebie. Alkohol rozszedł się po całym ciele, przynosząc mi chwilową ulgę.

– Kto o nim wiedział? – spytała Lucy.

– Nikt.

– Bzdura. Przecież ktoś go zabił.

– I właśnie to nie daje mi spokoju. Nie wspominałem o nim nawet tobie.

Lucy wypła trochę wina.

– W takim razie sam się komuś wygadał.

Ja też się nad tym zastanawiałem. Zwłaszcza po tym, co powiedział mi Didrik – że Ohlander pracował nad jakąś tajemniczą sprawą. Czyżby Fredrik postanowił gdzieś sprawdzić moją zawiklaną historię?

– A do kogo mógł się z tym zwrócić? – spytała Lucy.

– Do kogokolwiek. Przecież podałem mu wszystkie nazwiska.

Lucy założyła nogę na nogę.

– Do kogokolwiek... – powtórzyła. – Do każdej z osób, o których mi opowiedziałeś. Czy rozumiesz, co to znaczy?

Tak, świetnie to rozumiałem. Ohlandera zamordowała jedna z osób, z którymi kontaktowałem się w ostatnich tygodniach, w Szwecji albo w Teksasie. Jeśli moje przypuszczenie było słuszne, to taki scenariusz był przerażający.

– Musimy ustalić, co zrobiliśmy po naszym spotkaniu – powiedziałem.

Jak najbardziej oczywisty wniosek

– Jest wiele pytań, na które będziemy musieli odpowiedzieć – dodała Lucy.

Kolejny oczywisty wniosek

Jeszcze tydzień temu Lucy była kompletnie wyczerpana. Teraz doładowała baterie, ale widać było po niej ślady niedawnych przeżyć.

W tym momencie zadzwonił mój telefon. Madeleine.

– Mam nazwisko, o które prosiłeś – powiedziała.

– Cudownie!

Powiedziałem to tak głośno, że niektórzy goście odwrócili się w moją stronę. Od razu ściszyłem głos.

– Niestety nie udało mi się zdobyć zdjęcia chłopca – dodała Madeleine.

Rozczarowało mnie to, choć nie było to dominujące odczucie. Zacząłem się zastanawiać, jak to w ogóle możliwe, że akta policji nie zawierają zdjęcia chłopca, który jest najbardziej poszukiwanym dzieckiem w kraju.

– Czy moglibyśmy się spotkać? – spytała Madeleine.

Zerknąłem na zegarek

– Jem teraz lunch, potem idę na pogrzeb.

– Na pogrzeb? A kto umarł?

– Zbyt wiele osób – odparłem. – Może o piątej?

Strach pojawił się znikąd. Instynktownie rozejrzałem się po sali. Lucy zauważyła moje błędzące spojrzenie i zmarszczyła czoło. Nie zwracałem na nią uwagi, bo nagle pojawiło się mnóstwo pytań: Czy ktoś mnie obserwuje? Czy mogę być pewien, że telefon nie jest na podsłuchu? Czy Madeleine będzie kolejną osobą, która przeze mnie zginie?

Na amerykańskich filmach na pogrzeby zawsze przychodzi mnóstwo osób. W rzeczy wistości bywa różnie. Ludzie nie są aż tak popularni, jak im się wydaje. Spójrzmy prawdzie w oczy: ile osób każdy z nas chciałby mieć na swoim pogrzebie? I kogo? Jakieś stare przyki, o których dawno zapomnieliśmy albo zerwaliśmy z nimi kontakty? Tych, których kiedyś zgnoliśmy albo wdęptaliśmy w błoto? Albo dalekich krewnych, których nawet nie znamy z imienia i nazwiska i dlatego mamy ich w nosie? Gdy niedaleko miejsca, w którym miała się odbyć ceremonia pogrzebowa, wysiadałem z taksówki, postanowiłem sporządzić listę gości na własny pogrzeb. Chciałbym, żeby zjawiły się na nim właściwe osoby.

Wolałem nie zwracać na siebie niczyjej uwagi i dlatego od razu stwierdziłem, że jeśli w kościele będzie mało osób, nie wejdę do środka. Chciałem się ukryć w tłumie, a jeśli będzie to

niemożliwe – zostać na zewnątrz. Okazało się, że na ceremonię pogrzebową przyszło naprawdę niewiele osób. Jakieś sto metrów od siebie zauważyłem Jeanette Roos. Ta kobieta mnie nienawidziła. Uznałem, że jeśli mnie zobaczy, może narobić mi kłopotów. Stałem więc za dużym drzewem. Rodzina zmarłego zorganizowała ceremonię w kościele w Nacce. Nie miałem pojęcia, co łączy ich z tym miejscem, ale ucieszyłem się, że wokół kościoła jest mnóstwo zieleni, a obok parking, bo mogłem się tam ukryć.

Marion, siostra Bobby'ego, przyszła do kościoła od innej strony. Skinęła matce głową i szybko przeszła obok niej. Próbowała sobie wyobrazić, w jakich warunkach Marion się wychowywała, jak trudne musiała mieć życie, ale bezskutecznie. Sam nie wiem, jak często odrzucałem rękę, którą wyciągała do mnie moja mama. Marianne próbuje nawiązać ze mną normalne stosunki, jakie powinny łączyć matkę z synem, a ja odwracam się do niej plecami.

Jeanette była kompletnie zdruzgotana. Widziałem to po niej nawet z tak dużej odległości, z mojej żalostnej kryjówki. Stała obok młodej kobiety, która co jakiś czas głaaskała ją po plecach. Nigdzie nie zauważyłem księdza. Trochę dalej stało kilka młodych mężczyzn. Jeden z nich zerknął w moją stronę. Od razu go poznałem. Elias Krom. Serce zabiło mi przyspieszonym rytmem i szybko się ukryłem za pnem, chociaż nigdy się tak nie zachowuję. Kiedy chwilę później wyjrzałem zza drzewa, przed kościołem stał tylko Krom. Wszyscy pozostali weszli do środka. Krom stał i palił papierosa. Widziałem, jak drży mu ręka. W końcu zgasił papierosa i ruszył w moją stronę.

Wielcy gracze wiedzą, kiedy należy skapitulować. Jestem jednym z nich. Już zorientowałem się, że się skompromitowałem, więc wyszedłem zza drzewa i nieruchomo czekałem na Kroma.

– Co pan tu robi? – spytał.

Ścigani ludzie łatwo tracą energię. Krom wyglądał jak człowiek, który od wielu lat walczy o życie.

– Pomyślałem, że przyjdę na mszę, ale to chyba nie był dobry pomysł.

– Przyшло niewielu ludzi – zauważył Krom. – Lepiej niech pan nie wchodzi.

Zgodziłem się z nim w myślach.

– Kim była kobieta, która stała obok Jeanette Roos? – spytałem.

– Malin, dziewczyna Bobby'ego.

– Muszę z nią porozmawiać. Może mi pan to ułatwić?

Krom spojrzał na mnie wielkimi oczami.

– Już wyświadczyłem panu niejedną przysługę – odparł.

– Naprawdę? Chyba mnie pan myli z Bobbym? To z jego polecenia zakradł się pan do mojego biura i udawał, że nim jest.

– Wcale się nie zakradłem.

– Nieważne. Muszę się skontaktować z Malin. Dam panu mój numer telefonu. Czy mogę prosić, żeby pan go jej przekazał?

Krom pokręcił głową i wykonał ruch, jak gdyby chciał się odwrócić i ode mnie odejść. Cały drżał. Zrobiłem krok w jego stronę i chwyciłem go za ramię.

– Co się stało? – spytałem. – Dlaczego jest pan taki nerwowo?

Krom kilka razy przełknął ślinę i dopiero wtedy odpowiedział. Rozbieganym wzrokiem obserwował cmentarz.

– Ktoś za mną chodzi – odparł. – Prawie cały czas. W chwili gdy mi się wydaje, że już

więcej go nie zobaczę, ten bydlak znowu się zjawia. Nie wiem, czego ode mnie chce, i nie wiem, kim jest. Staralam się jednak, że źle się to dla mnie skończy, jak dla Jenny i Bobby'ego.

Staralem się ostrożnie dobrać słowa:

– Rozumiem, że mi pan nie wierzy, mimo to proszę mi zaufać, bo inaczej nigdy się to nie skończy. Na sto procent.

– Odzywał pan córkę?

Poczułem się, jakby wymierzył mi policzek, chociaż na pewno nie chciał mnie obrazić.

– Tak, ale pod pewnymi warunkami. Chyba pan rozumie? Istnieją sprawy, które muszę rozwiązać. Na przykład ustalić, kto zabił Bobby'ego.

Krom przeciągnął dłonią przez tłuste włosy.

– Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego. Sorry, ale inaczej nie mogę. Nie byłoby mnie tu dzisiaj, gdybym nie martwił się o Bobby'ego, ale teraz muszę myśleć już tylko o sobie.

– I właśnie o to mi chodzi! – odparłem głośniejszym głosem, niż zamierzałem. – Sam pan tego nie wyjaśni.

– Co to znaczy „tego”? Ja nic nie rozumiem! Chcę znowu zacząć spokojnie żyć!

Gdyby Krom podniósł głos jeszcze o ton, zbudziłby zmarłych. Rozejrzałem się po cmentarzu. Wokół nas nie było żywej duszy, ale to żadna gwarancja, że nie byliśmy obserwowani.

– Niech mi pan pomoże porozmawiać z dziewczyną Bobby'ego, a zniknę z pańskiego życia – nalegałem.

Krom podrapał się po policzku, wsunął ręce do kieszeni i odparł:

– Zgoda.

– Proszę już wejść do kościoła, bo inaczej zaczną pana szukać.

– Już idę. Dlaczego rozmowa z Malin jest taka ważna?

Nie miałem ochoty zagłębiać się zbyt w ten temat, więc tylko powiedziałem:

– Uważam, że Bobby zdążył się sporo dowiedzieć o swoim siostrzeńcu na własną rękę. Być może zostawił jakieś ciekawe informacje. Na przykład jego zdjęcie.

Krom zamrugał. Wydawało mi się, że dostrzegłem irytację w jego wzroku.

– Zdjęcie Mio? To pan go jeszcze nie ma?

– Nie.

Krom wyjął rękę z kieszeni i potarł nią kąciki oka.

– Prawda jest taka, że Mio jest podobny do pana.

– Do mnie? – spytałem i ze zdumieniem uniosłem brwi.

Krom skinął w zamyśleniu głową.

– Tak. Miał taką samą karnację.

Gwałtowny podmuch wiatru poruszył gałęziami drzew. Stałem w miejscu i obserwowałem, jak Krom wchodzi do kościoła. Przed chwilą dowiedziałem się czegoś, czego wcześniej nie rozumiałem.

11

Zło nazywało się Lucyfer i mieszkało w Teksasie. Jego wysłannikowi obiecałem, że pod żadnym pozorem nie będę próbował szukać jakichkolwiek informacji na temat jego szefa. Gdybym złamał obietnicę, mogłoby się to źle skończyć dla Belle, a może i dla Lucy. Fakt, że właśnie się dowiedziałem, jaki kolor skóry ma Lucyfer, nie był wynikiem moich świadomych poszukiwań. Teraz już wiedziałem, że ma taką samą karnację jak ja. Ciemną albo czarną, w zależności od tego, jak kto woli mówić. Pytanie brzmi, czy ta informacja okaże się w czymkolwiek przydatna.

Lucy zdumiała się, kiedy to ode mnie usłyszała.

– Nie wiem, jakie to może mieć znaczenie, ale odnoszę wrażenie, że coś w tym jest.

W pełni podzielałem jej pogląd. To, że nie wiedziałem, kim jest Lucyfer, męczyło mnie o wiele bardziej, niż mogłem wyrazić słowami. Właśnie on porwał moją córkę, zamordował jej dziadków, groził mi, a na dodatek wykorzystywał mnie jako źródło informacji w Sztokholmie. Wcześniej czy później przestanie mi zależeć na ustaleniu, kim jest, a wtedy postaram się, żeby na stałe zniknął z mojego życia.

Lucy przyglądała mi się badawczo.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegła. – Daj sobie spokój.

Dobrze wiedziała, że żąda ode mnie rzeczy wprost nieludzkiej. Ale tylko tego mogła ode mnie zażądać. Dlatego zmieniła temat.

– Jak było na mszy? – spytała.

– Nie mam zielonego pojęcia, w ogóle nie wchodziłem do kościoła.

– Mądra decyzja.

Rozmawialiśmy w pokoju Lucy. Ona siedziała za biurkiem, ja – na krześle, jak jakiś nieopierzony nastolatek. Kiedy zaczęło się lato, w naszym biurze zrobiło się pusto. Planowaliśmy wakacje w Nicei, Lucy szukała odpowiedniego kremu do opalania. Dzisiaj tamte chwile wydawały nam się takie odległe. Lucy przeglądała jakieś papiery leżące na biurku. Wyglądała na

starszą albo bardziej spiętą niż kilka tygodni temu. Ja zresztą też. Przestaliśmy się głośno śmiać. Gorzej już chyba nie mogło być.

– Powinniśmy sprawić sobie jakąś przyjemność – zaproponowałem.

Lucy popatrzyła na mnie.

– Najpierw powinniśmy wrócić do normalnego życia – odparła.

„A jeśli się nie uda, to co? – chciałem ją zapytać. – Co wtedy zrobimy?”

– Wychodzę – oznajmiłem. – Jestem umówiony na spotkanie z Madeleine.

Kolejna zmiana w naszych relacjach. Dawniej dokładnie bym ją poinformował, gdzie takie spotkanie ma się odbyć i o której godzinie.

– Czy mam się w tym czasie czymś zająć? – spytała Lucy.

Zatrzymałem się w pół kroku.

– Kobieta, która dzwoniła do mnie dwa razy, ma na imię Susanne – odparłem. – Twierdzi, że chłopca uprowadziła niejaka Rakel Minnhagen. Trzeba to sprawdzić. Przejrzyj dokładnie skład personelu przedszkola, ja nie zdążyłem tego zrobić. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, czego szukać, więc zwracaj uwagę na każdy szczegół.

Lucy zapisała wszystko i skinęła głową. Obserwując ją, przeżywałem prawdziwe męki. Badaliśmy różne tropy, ale za każdym razem czułem, że nie robimy wszystkiego, co jest konieczne. To straszne wrażenie. Gdybym miał nad sobą jakiegoś przełożonego, ryknąłby mi w twarz: „Nie wszystko naraz, Benner! Poskładaj do kupy to pieprzone śledztwo!”. Niestety przełożonego nie miałem, a sam nie potrafiłem ogarnąć tego śledztwa.

– Czy w przedszkolu ktoś nas zna? – spytała Lucy.

– Nie. Niby skąd?

– Tylko pytałam. Coś jeszcze?

– Zdjęcia paszportowe. Nie zapomnij sprawdzić zdjęć paszportowych osób, które pracowały w przedszkolu w okresie, gdy zaginął Mio. Musimy zobaczyć, jak te osoby wyglądają.

Ledwo skończyłem, oboje sobie coś uświadomiliśmy.

– O cholera! – szepnęła Lucy.

Zapomnieliśmy o bardzo ważne rzeczy.

– Mio – powiedziałem. – Sprawdź, czy miał paszport.

Przed barem, w którym mieliśmy się spotkać, stało kilka osób palących papierosy. Madeleine sama wybrała to miejsce. Lokal znajdował się w bocznej ulicy odchodzącej od placu Gullmarsplan, o której nigdy wcześniej nie słyszałem, niedaleko baru Blå Soldat, gdzie umówiła się ze mną Susanne. Kierowca taksówki musiał włączyć nawigację, żeby znaleźć to miejsce.

– Bardzo doceniam twoją dbałość o bezpieczeństwo, ale czy koniecznie musiałaś wybrać akurat to miejsce? – spytałem, gdy usiedliśmy przy stoliku w rogu sali. Starłem się nie opierać plecami o ścianę, bo gdybym to zrobił, na pewno poplamilibyśmy sobie ubranie.

– Czasem trzeba myśleć niestandardowo – odparła Madeleine, kładąc na stoliku brązową kopertę.

Kelnerka przyjęła od nas zamówienie. Poprosiłem o to samo, co piłem do lunchu: gin z tonikiem. Madeleine wybrała mocne piwo.

– Jak ci poszło? – spytałem.

Madeleine już wcześniej odpowiedziała na to pytanie, ale nie chciało mi się marnować czasu na zbędną gadaninę. Czuję się podle, lecz grunt palił mi się pod nogami.

– Źle i dobrze – odparła Madeleine, przesuując dłońią po kopercie. Zauważyłem, że jest czymś zdenerwowana. To u niej dość rzadkie zjawisko. – Wiesz, że chętnie ci pomogę, ale nie mogę zrobić wszystkiego. I nie za każdą cenę. Mam dzieci i nie mogę narażać ich na niebezpieczeństwo z powodu twoich spraw.

– Nigdy tego od ciebie nie zażdam – zapewniłem. Następne zdanie wypowiedziałem ściszym tonem: – Co się dzieje?

Madeleine pokręciła tylko głową.

– Nic. Po prostu odnoszę wrażenie, że coś się w tej historii nie zgadza.

Kelnerka przyniosła nasze zamówienia. Madeleine wzięła kilka głębokich łyków piwa. Mój tonik miał paskudny smak.

– Zdobycie jakichś informacji na policji zazwyczaj nie sprawia mi trudności – wyjaśniła. – Tym razem było inaczej. Wyglądało to tak, jak gdyby akta sprawy były upstrzone dużymi czerwonymi chorągiewkami. Musiałam się gęsto tłumaczyć, chociaż wcześniej mi się to nie zdarzało.

– Ale zdobyłaś te dane?

– Tylko niektóre. Mam nazwisko świadka, który widział wypadek z Jenny. Niestety, nie udało mi się zdobyć zdjęcia Mio.

Obok naszego stolika przeszła kobieta. Odniosłem wrażenie, że tuż koło nas na chwilę zwołniała. Wznowiliśmy rozmowę, kiedy odeszła.

– Czy to nie dziwne, że te zdjęcia nie istnieją? – spytałem cicho.

– Nie twierdzę, że nie istnieją. Chcę tylko powiedzieć, że osoba, z którą rozmawiałam, nie mogła ich znaleźć.

– Może ktoś je ukrył? Któryś z policjantów?

Madeleine wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co o tym sądzić. Wiem tylko, że jest dokładnie tak, jak powiedziałeś: to nieprawdopodobne, że policja nie dysponuje takimi zdjęciami. Przecież to pierwsza rzecz, o jaką policjanci proszą rodziców zaginionego dziecka.

Zacząłem się zastanawiać nad tym, że Mio ma taki sam kolor skóry jak ja, ale żadnych mądrych wniosków z tego nie wyciągnąłem.

– Kim jest ten świadek? – spytałem.

Nawet nie wiem, dlaczego uznałem, że to takie ważne.

– To kobieta, nazywa się Diana Simonsson. Znasz ją?

– Nie. A powinienem?

Madeleine przesunęła w moją stronę kopertę leżącą na stoliku.

– Otwórz ją.

Zrobiłem, o co prosiła, i wyjąłem ze środka plik papierów. Na samym wierzchu znajdowała się fotografia młodej blondynki.

– Czy teraz ją poznajesz? – spytała Madeleine.

Pokręciłem głową. Jej twarz nic mi nie mówiła.

Zacząłem przeglądać resztę papierów. Okazało się, że zawierają orzeczenie sądu rejonowego.

Ze zdumieniem zapoznałem się z treścią pierwszej strony. Sprawa dotyczyła gwałtu. Co to ma wspólnego z moją historią? Gwałt to obrzydliwa rzecz, dlatego rzadko podejmuję się obrony sprawców takich czyków. Trudno mi się utożsamiać z tym, co zrobili. Poza tym nigdy nie jestem pewien, czego n i e zrobili. Istnieją jednak przykłady wyjątkowe. Jeden z nich miałem przed sobą. W papierach znalazłem moje nazwisko. Okazało się, że byłem obrońcą człowieka podejrzanego o gwałt. Diana Simonsson była powódką, a ściślej mówiąc, ofiarą.

Od razu wszystko sobie przypomniałem. Kiedy zapadł wyrok, Simonsson zareagowała wybuchem hysterii. Tego samego dnia przyszła do mojego biura i nakrzyzczała na mnie. Nazwała mnie sługą Szatana i obiecała, że nigdy mi nie wybaczy tego, co zrobiłem. Ostrzegłem ją, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, wezwę policję. Zapewniłem ją też, że rozumiem, jak bardzo jest rozczarowana, ale nie powinna winić mnie, bo to sąd wydaje wyrok uznaje podejrzanego za winnego albo go uniewinnia. Poza tym każdy człowiek ma prawo do obrony, nawet ten, kto jest podejrzany o popełnienie przestępstwa na tle seksualnym. Simonsson wyszła z mojego biura rozrządzona. Odczekałem, aż zamknie za sobą drzwi, a potem zadzwoniłem na policję i zgłosiłem, co się wydarzyło. Teraz wcale tego nie żałuję.

– Żartujesz sobie ze mnie? – spytałem. – Świadek policji, który zeznał, że Jenny potrafiło porsche 911, jest kobieta, która mnie nienawidzi, bo doprowadziłem do uniewinnienia faceta, który ją – jaktwierdziła – zgwałcił?

– Tak to mniej więcej wygląda. Zastanawiałam się, dlaczego nie wsadzili cię jeszcze do aresztu. Teraz już wiem.

Byłem jednak innego zdania.

– Jak duże jest prawdopodobieństwo, że Simonsson rzeczywiście była wtedy na miejscu wypadku? – spytałem.

– Jak widać, dość wysokie.

– Wątpię – odparłem, odsuwając dokument z wyrokiem sądu. – Jestem pewien, że o tak zwanego świadka zabójstwa postarał się ten sam szaleniec, który zaplanował zabójstwa Bobby 'ego i Jenny.

– Nie wierzysz, że Simonsson tam wtedy była?

– Ani trochę.

– Sugerujesz, że ktoś kazał jej złożyć fałszywe zeznanie?

– Tak. No bo dlaczego opowiedziała tylko o samochodzie? Przecież mogła też rozpoznać mnie.

– Fałszywy świadek... Powiedz mi, jak często się zdarza, że ktoś składa w sądzie albo na policji fałszywe zeznania?

– To nieistotne. Ważne jest to, że z taką sytuacją mamy do czynienia tutaj i teraz.

Madeleine wypila trochę piwa. Hałas w restauracji wzrósł się z każdą chwilą. Kilka osób zaczęło rzucać strzałkami do tarczy. W pewnej chwili poczułem smród potu wydobywający się spod czyjejś pachy. Zrobiło mi się niedobrze.

– Komu potrzebny był taki świadek? – spytała Madeleine. – Czyżby policji brakowało dowodów rzeczowych?

– Tak właśnie jest. Policja nie ma nic, dzięki czemu mogłaby powiązać mnie i mój samochód z miejscami zbrodni. Chociaż nie, właściwie było coś takiego: wgniecenie na masce. Nie umiałem wyjaśnić, skąd się wzięło. Nie wiem jednak, czego takie wgniecenie może dowodzić.

– Sugerujesz, że kierowca zatrzymał samochód, wysiadł z niego, żeby obejrzeć obie ofiary,

a potem zadzwonił po świadka, żeby wzmocnić materiał dowodowy?

– Być może tak właśnie było. Bardziej jednak prawdopodobna jest teza, że świadek od samego początku miał odegrać swoją rolę. Gdyby się bowiem policji udało udowodnić, że to mój samochód potrafił śmiertelnie pierwszą z ofiar, nie byłoby problemu z powiązaniem mojego porsche z drugim zabójstwem.

W tarczy na ścianie utkwіło kilka kolejnych strzałek. Madeleine spojrzała na grupę mężczyzn, którzy obserwowali grę.

– Kto oprócz Lucy ma dostęp do twojego wozu? – spytała.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale się zawahałem.

– Lucy? – spytałem po chwili. – Przepraszam, ale czy ty sugerujesz, że ona może być w to zamieszana?

Na samą myśl o czymś takim serce stanęło mi w gardle.

– Zresztą „dostęp do mojego wozu” to niewłaściwe określenie – dodałem. – Tylko ja nim dysponuję. Lucy nie ma własnego kluczyka i nigdy nie będzie mieć.

Madeleine starała się nie patrzeć mi w oczy.

– Ktoś jednak miał dostęp do twojego wozu – odparła. – Mogłeś to być tylko ty albo Lucy. Przecież tamtego wieczoru, gdy byłeś w szpitalu, mogła bez problemu zabrać ci kluczyki.

Pokręciłem głową.

– Rozumiesz w taki sposób, jak gdyby było rzeczą oczywistą, że tamtego wieczoru sprawca posłużył się moim samochodem. Jak już jednak oboje wiemy, nie istnieją żadne dowody na potwierdzenie tej tezy. Żadne.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Dyskredytujesz zeznania świadka, ale ja też mam wątpliwości. Zajrzałem do bazy pojazdów. Zgadnij, ile egzemplarzy takiego samego porsche jak twoje jest zarejestrowanych w Sztokholmie? Trzy. Policja rozmawiała z ich właścicielami i uznała, że są nieistotni dla śledztwa. Widziałam tylko część akt śledztwa, ale przy okazji niektóre z nich skopiowałam. Na drzwiach twojego garażu i na samochodzie nie znalazłam śladów włamania. Sam wiesz najlepiej, że nie można ukraść samochodu, nie pozostawiając śladów. Jeśli więc sprawca posłużył się twoim wozem, musisz się pogodzić z faktem, że pomogła mu w tym osoba z twojego najbliższego otoczenia.

Ponownie zaprotestowałem:

– Pod warunkiem że do zabicia obu ofiar sprawca rzeczywiście wykorzystał samochód tej marki. Cholera wie, ile tej kobiecie zapłacono za złożenie fałszywego zeznania.

Po minie Madeleine domyśliłem się, że ma wątpliwości. Czy będę w stanie opisać rozmiar szaleństwa, z jakim miałem do czynienia w ciągu ostatnich kilku tygodni i które kazało mi uwierzyć, że to, co wydaje się niemożliwe, może takie być? W normalnych okolicznościach przyznałbym Madeleine rację, mówiąc: „Tak, oczywiście, obie ofiary potrafiło porsche”. Zgodziłbym się też z jej opinią, że nie można włamać się do takiego samochodu i uruchomić go bez pozostawienia śladów. Ale moja sytuacja tak bardzo odbiegała od tego, co uważamy za normalne, że osobie niewtajemniczonej w sprawę trudno to wszystko wytłumaczyć. Nic nie było takie, na jakie wyglądało.

– Nie wiem, jak ci dziękować za pomoc – powiedziałem.

Cały czas targały mną wyrzuty sumienia. Od chwili gdy opuściłem komendę policji, starałem się konsekwentnie nie myśleć o zamordowanym dziennikarzu Fredriku Ohlanderze. Czy

on też zginął przeze mnie? Wiele na to wskazywało.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała tego żałować – odparła Madeleine.

Równie dobrze mogłaby dać mi w twarz. Jeśli przydarzy jej się coś złego, jeśli spotka ją ten sam los, co Ohlandera, będę skończony jako człowiek

– Ja też ją mam – odparłem.

Spojrzałem jej w oczy i zrozumiałem, że każde z nas miało na myśli coś zupełnie innego.

– Madeleine, ja naprawdę nie zrobiłem tego, o co mnie oskarżają. Nie zabiłem tamtych ludzi.

Nie mogłem uwierzyć, że muszę się bronić w taki sposób. Nic dziwnego, że winą za wszystko, co się stało, Madeleine obciążała Lucy. Gdyby nie ona, musiałyby oskarżyć mnie.

Przełknęła głośno ślinę.

– Sam mnie kiedyś przekonywałeś, że prawda rzadko bywa inna od tej, która wydaje nam się oczywista – powiedziała cicho.

– Wiem o tym, ale w tym przypadku ta zasada nie obowiązuje. Przysięgam. Musisz mi uwierzyć.

Madeleine pokiwała powoli głową.

– Próbuję – odparła. – Naprawdę próbuję.

12

Często bywa tak, że bezradność rodzi postawę bezkrytyczną. W moim przypadku też się tak stało. Po spotkaniu z Madeleine nie miałem ochoty jechać do biura. Było już późno, powinienem iść do domu. Ale tam też nie chciało mi się wracać.

– Uważaj na siebie – powiedziała Madeleine i na pożegnanie mocno mnie objęła.

Odwróciła się i tyle ją widziałem.

Chciałem ją zatrzymać i powiedzieć, że być może znowu będę potrzebował jej pomocy, ale wiedziałem, że nie powinienem tego robić. Przebywanie w mojej obecności stało się niebezpieczne. Madeleine jest jedną z niewielu osób, które szanuję i lubię. Wolałem jej nie wciągać w to bagno, jeśli nie było to konieczne.

Pytanie brzmiało, co z sobą zrobić w sytuacji, gdy nie miałem ochoty wracać ani do pracy, ani do domu. Czekały na mnie dwie osoby: Lucy i Belle. Wierny moim nowym zasadom wyjąłem z kieszeni telefon i wysłałem do Lucy esemesa o treści: „Spóźnił się. Muszę coś załatwić. M.”. Potem wyjąłem z kieszeni drugi aparat. Pomyślałem o Veronice, którą poznałem w Klubie Prasowym. Tamto spotkanie wydawało mi się tak odległe, jak gdyby doszło do niego w innym stuleciu. Spotkaliśmy się dwa razy, potem nie miałem już dla niej czasu, ponieważ życie mi się posypało. O wiele bardziej jednak dziwiło mnie to, że Veronica sama nie skontaktowała się ze mną. Po obu naszych spotkaniach byłem przekonany, że należy do kobiet mających problemy z utrzymaniem związku, w którym seks nie oznacza miłości. To, że od tamtej pory nie zadzwoniła, dowodziło czegoś przeciwnego.

Od dnia, w którym razem z Lucy wylecieliśmy do Teksasu, nie poświęciłem uwagi żadnej innej kobiecie. Teraz sytuacja była inna. Dręczyła mnie niecierpliwość, bo seks zawsze dodaje mi dodatkowej energii do działania. Liczba kobiet jest nieważna. To dlatego wolę mówić o sobie, że jestem singlem. Z tej samej przyczyny nie chcę się żenić ani zamieszkać z kobietą na stałe. Kiedy więc stres i kłopoty zbyt mocno dają mi się we znaki, muszę się jakoś rozładować.

Uznałem, że Veronica to właściwe lekarstwo. Znamy się i wiem, że jest dobra w łóżku. Żeby zachęcić ją do seksu, nie trzeba się zbyt mocno wysilać. Jedyłą rzeczą, która mnie powstrzymała,

było wspomnienie tego, jak się poznaliśmy. Spotkałem ją w restauracji, do której wybrałem się na piwo z Didrikiem Stihlem. Moim celem było wyciągnięcie z niego tyłu informacji ile tylko się da. Niestety, nie poszło mi zbyt dobrze. Za to lepiej mi się powiodło z seksem. Veronica przyszła do lokalu z jakimś facetem i wyglądała na zdruzona. Dość łatwo dała się poderwać.

Słumiłem westchnieniem i przyłożyłem telefon do ucha. W słuchawce usłyszałem sygnał. To w zasadzie nieistotne, że Veronica poznałem w czasie mojego ostatniego przyjacielskiego spotkania z Didrikiem. Stanowiła osobny rozdział w moim życiu, była postacią z innej książki. Poza tym byłem napalony i miałem ochotę na seks. Czułem, że muszę iść do łóżka z inną kobietą niż Lucy, i to natychmiast.

Dopiero po dwóch sygnałach w słuchawce rozległ się głos. Niestety, nie należał do Veroniki. Było to automatyczne nagranie generowane przez operatora:

– *Przepraszamy, nie ma takiego numeru* – usłyszałem. – *Prosimy sprawdzić, czy numer został wybrany prawidłowo.*

Zrobiłem głupią minę i popatrzyłem na telefon. Przecież wybrałem numer zapisany na karcie. Byłem zdumiony tym, co się stało, mimo to zadzwoniłem jeszcze raz. Z podobnym skutkiem: ten sam głos poinformował mnie, że nie ma takiego numeru.

W normalnej sytuacji wzruszyłbym ramionami i wybrał inną kobietę z listy, bo tych prawie nigdy mi nie brakuje. Ale tym razem okoliczności nie były wcale takie normalne. Przestałem wierzyć w przypadki i zbiegi okoliczności. Być może istniało jakieś naturalne wyjaśnienie przyczyn, dla których Veronica zmieniła numer telefonu. Naturalne, a zarazem bezpieczne. A może prawda była inna? Naturalna i niebezpieczna?

Poczułem się jak paranoik. Nie stać mnie na kolejne pomyłki albo błędne decyzje. Muszę wiedzieć, komu mogę ufać, a kogo powinienem się wystrzegać. Zatrzymałem taksówkę i pojechałem do mieszkania Veroniki. Na szczęście pamięć mnie nie zawiodła. W jej mieszkaniu w dzielnicy Södermalm byłem dwa razy. Rzadko mi się zdarza zaprosić kobietę do siebie. Co by to było, gdyby Belle obudziła się nagle w nocy i ujrzała obcą nagą kobietę w moim łóżku, na kuchennym stole albo opartą plecami o ścianę?

Nagle usłyszałem, że przyszedł esemes. Powinienem w końcu kupić szaszetkę na telefony, bo teraz wypychały mi kieszenie w sposób, który w najlepszym razie można określić mianem „brzydki”. Ze zdumieniem stwierdziłem, że wiadomość wysłał mi Krom. Okazało się, że rozmawiał z dziewczyną Bobby’ego. Zgodziła się ze mną spotkać. „Czy może jutro przyjść do twojego biura?” – spytał Krom. Odpisałem, że się zgadzam, i podziękowałem za pomoc. Na ten esemes Krom już nie odpisał.

Taksówka zatrzymała się przed wejściem do budynku, w którym mieszkała Veronica. Dopiero teraz dotarło do mnie, że nie pamiętam, jak ma na nazwisko. Berntsson? Bertilsson? Nieważne. Zapamiętałem, że na domofonie należy przycisnąć trzeci guzik od góry. Zrobiłem to kilka razy, ale nikt się nie zgłosił. Zdenerwowałem się. Zacząłem głęboko oddychać, żeby się uspokoić. W myślach powtarzałem, że nie ma powodu do paniki. Veronica jest na pewno w pracy. Niestety, strach nigdy nie jest racjonalny. Czułem, jak stopniowo ogarniał całe moje ciało. Gdzie ona właściwie pracuje? Gdzie powinienem jej szukać? Żebym tylko odzyskał pewność siebie, żebym tylko się uspokoił!

Od razu straciłem ochotę na seks. Lucy i tak jest najlepsza, nie muszę sypiać z innymi kobietami, żeby się zrelaksować.

Próbowałem się skontaktować z którymś z sąsiadów Veroniki, ale żaden z nich nie odpowiedział na dzwonek. Spróbowałem ponownie i w końcu usłyszałem w domofonie głos starszej kobiety.

– Słucham?

Gdy chcę udawać osobę ważną albo urzędową, nigdy nie muszę kłamać. Wystarczy, że powiem, jaki mam zawód, i moje wyjaśnienia się kończą. Tym razem było podobnie. Postanowiłem jednak ograniczyć szczegóły do minimum.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam – zacząłem. – Mam na imię Martin i jestem adwokatem. Chciałbym się skontaktować z pani sąsiadką, Veronicą. Mam do niej ważną sprawę.

W domofonie zapadła cisza.

– Z Veronicą? – spytała po chwili kobieta.

– Tak – odparłem.

Niech to szlag! Niech to jasna cholera! Odczekałem chwilę i spytałem:

– Czy mogę wejść?

– Oczywiście. Proszę wejść na górę i zadzwonić. Na drzwiach jest tabliczka z nazwiskiem „Svensson”.

Rozległ się sygnał i drzwi się otworzyły. W budynku była winda, ale poszedłem schodami. To Lucy wpoila mi ten nawyk. Chodzenie po schodach to dobre ćwiczenie dla pośladków i bioder, warto o tym pamiętać. Na trzecim piętrze ujrzałem drzwi z tabliczką z nazwiskiem „SVENSSON”. Na drzwiach mieszkania Veroniki nie było żadnej tabliczki. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy podczas moich obu wizyt jakaś tabliczka tam wisiała.

Ledwo nacisnąłem dzwonek, drzwi mieszkania pani Svensson się otworzyły. Starsza pani obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. Od razu poczułem do niej sympatię. Na pewno miała ponad osiemdziesiąt lat, ale ciągle jeszcze tryskała energią. Wiek biologiczny to nie to samo, co wiek mentalny. Znam też osoby, które przekroczyły pięćdziesiąty rok życia, ale pod względem umysłowym wyglądają o połowę młodziej.

– Harriet – powiedziała kobieta, podając mi rękę.

– Martin – odparłem. – Proszę mi wybaczyć, że panią niepokoję, ale szukam Veroniki. Mieszka obok pani.

Mówiąc to, wskazałem sąsiednie drzwi. Harriet wyszła na klatkę schodową i ze zdumieniem spojrzała w tym kierunku.

– Tam nie mieszka żadna Veronica – odparła.

– Kilka tygodni temu jeszcze mieszkała.

Kobieta pokręciła stanowczo głową.

– Myli się pan.

Starąłem się zapanować nad sobą. Panika to zła rzecz.

– No dobrze – powiedziałem. – W takim razie ujmę to inaczej: kilka tygodni temu byłem w tym mieszkaniu. Przyszedłem w towarzystwie kobiety, która przedstawiła się jako Veronica. Wysoka ładna blondynka. Miała klucze do tego mieszkania i nic nie wskazywało na to, że to była jej pierwsza wizyta. Czy mój opis pasuje do jakiegokolwiek osoby, którą pani tu widziała?

Próbowałem sobie przypomnieć, jak mieszkanie wyglądało. Dwa niewielkie pokoje z kuchnią, białe ściany i wykafelkowana łazienka. Proste, bezpretensjonalne, ponadczasowe

meble kuchenne z Ikea. Kwiatki i miękką koldra. Obrazy na ścianach, trochę zdjęć. Gorączkowo szukałem w pamięci czegoś więcej. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej docierała do mnie oczywista prawda, że nie widziałem tam ani jednego zdjęcia. Jedyne przedmiotami w mieszkaniu, które mógłbym określić mianem osobistych, było kilka ubrań na kanapie i łóżku. Szkoda, że nie otworzyłem lodówki. Na pewno by się okazało, że jest pusta.

W końcu Harriet wyrwała mnie z zamyślenia.

– Tak – odparła. – Chyba już widziałam kobietę, którą pan opisał. Rzeczywiście, bardzo ładna. Była tutaj tylko kilka razy, tak jak inne osoby, które korzystają z tego mieszkania.

– Inne osoby? – spytałem zdumiony.

– Tak – skinęła głową Harriet. – Tym budynkiem zarządza wspólnota mieszkaniowa, a ja jestem członkiem zarządu. Wszystkie mieszkania należą do naszych członków. Z wyjątkiem jednego, które przeznaczyliśmy dla naszych gości. Tamta kobieta musiała znać w tym budynku kogoś, kto dał jej klucze do mieszkania. Wśród naszych członków nie ma nikogo, kto ma na imię Veronica.

Skinąłem głową i poczułem, jak puls mi przyspiesza. Najlepiej, gdyby wszystko udało się od razu logicznie wyjaśnić. Przecież ja też okłamałem Veronicę. Powiedziałem, że mieszkam w willi, która została zalana i dlatego musimy się spotkać u niej. Nie powinno mnie więc dziwić, że i ona nie była ze mną szczerą. A może wcale nie? Przecież mogło tak być, że kiedy się poznaliśmy, Veronica tam mieszkała. Poza tym nie musiała mi się zwierzać, gdzie mieszka naprawdę.

– Najlepiej, jak pan się przejdzie po klatce i popyta mieszkańców – powiedziała z krzywym uśmiechem Harriet. – Może tym sposobem uda się panu ustalić, kogo tu zna.

Tego oczywiście nie zrobiłem. Za to, schodząc na parter, dokładnie sprawdziłem nazwiska na wszystkich drzwiach. Żadne z nich nic mi nie mówiło. Kiedy odjeżdżałem spod budynku, nadal czułem się oszukany.

13

Kiedy wróciłem do domu, pachniało w nim czosnkiem. Belle podbiegła do mnie, rzuciła mi się na szyję i mocno uderzyła mnie gipsem w kark. Jeśli kiedykolwiek mnie przekona i zapiszę ją do szkoły sportowej, jej dzielne nóżki z pewnością zaprowadzą ją na najwyższe podium w igrzyskach olimpijskich.

– Tatusiu, chodź zobacz, jakie zrobiliśmy dzisiaj ludziki!

Puściła mnie, zsunęła się na podłogę, wyprostowała i chwyciła mnie za rękę.

Przed porwaniem mówiła do mnie „Martin”. Teraz powiedziała „tatusiu”. Nie do końca byłem przekonany, czy tak właśnie powinno być. Przecież Belle miała już tatę. Wprawdzie nie żyje, ale na pewno był dla niej prawdziwszym rodzicem niż ja.

Lucy stała w kuchni i obierała raki. Na mój widok rozjaśniła się, ale zobaczywszy moją zamyśloną twarz, od razu spoważniała.

– Czy coś się stało? – spytała.

– Porozmawiamy o tym później – odparłem.

Nie byłem pewien, czy powinienem opowiadać jej ze szczegółami o tym, co się wydarzyło. Ale nie mam nikogo bliskiego, z kim mógłbym dzielić moje troski.

Ludziki, o których mówiła Belle, stały ustawione na kuchennym stole. Były to trzy brązowe figurki z gliny, które przypominały Golema.

– Jakie ładne – powiedziałem.

Na początku denerwowały mnie te wszystkie drobiazgi i przedmioty, które Belle przynosiła z przedszkola, ale z czasem nauczyłem się je lubić. Wszystkie jej rysunki, plastikowe ludziki i kamienne tabliczki były dowodem na to, że dzieci rzeczywiście mają tam co robić. Spodobało mi się to.

Koszula lepiała mi się do pleców. Powietrze było duszne i wilgotne. Na niebie gromadziły się szare chmury.

– Znosi się na burzę – powiedziała Lucy.

– Na deszcz – dodała Belle.

– Na pewno będą grzmoty i błyskawice – stwierdziłem.

Belle zrobiła przestraszoną minę, ale z początku tego nie zauważyłem.

– Tylko nie grzmoty i błyskawice – szepnęła.

Na jej policzkach pojawiły się wielkie jak groch łzy. Belle strasznie się boi burzy. Wmawiam sobie, że jej strach jest spowodowany wypadkiem lotniczym, w którym zginęli jej rodzice, bo tamtej nocy szalała potężna burza. Ale przecież Belle nie mogła o tym wiedzieć. Nie było jej wtedy w samolocie.

– Okęj – odparłem. – Nie będzie żadnych błyskawic. – Jakbym rzeczywiście mógł rozkazywać pogodzie.

Ostrożnie wziąłem Belle na ręce. Znowu objęła mnie za szyję i uściśnęła tak mocno, że prawie nie mogłem oddychać.

– Było dużo błyskawic – szepnęła. – Bardzo dużo.

Pogłaskałem ją po plecach.

– Kiedy, córeczko?

Belle zbliżyła usta do mojego ucha.

– Kiedy spałam u babci i dziadka. Powiedzieli, że nie ma się czego bać, ale ja się strasznie bałam.

Zastygłem bez ruchu. Dotychczas Belle nie opowiadała o tym, co się wydarzyło przed jej porwaniem albo w jego czasie. Myśleliśmy, że nic nie pamięta, bo ktoś podał jej wcześniej środki nasenne. Teraz nagle przypomniały jej się grzmoty i błyskawice. Co jeszcze zapamiętała?

Kątem oka zauważyłem, że Lucy bacznie nam się przygląda. Modliłem się w myślach, żeby Belle się nie zorientowała, jak bardzo poruszyły nas jej słowa. Jeśli tak się stanie, znowu się w sobie zamknę.

– A pamiętasz, czy rozmawiałaś o tym z kimś innym niż dziadek i babcia? – spytałem.

Belle nie odpowiedziała. Usiedliśmy do stołu, żeby zjeść kolację, ale nie udało nam się nic w nią wmusić. Belle nieustannie uciekała oczami w stronę wielkich okien wychodzących na taras i ciemniejącego z każdą chwilą nieba. Kiedy usłyszeliśmy pierwsze odgłosy burzy, a o szyby zaczęły uderzać pierwsze krople deszczu, wstałem zdecydowanym ruchem z krzesła.

– Chodź – powiedziałem do Belle. – Przeczytam ci bajkę.

Poszliśmy do jej pokoju i usiedliśmy na łóżku. Zamknąłem okno i zaciągnąłem żaluzje. W pokoju zrobiło się ciemno, więc wyjąłem latarkę. Belle była tym wprost zachwycona i podczas czytania ani razu mi nie przerwała. Zdążyłem jej przeczytać dwie książeczki i odwrócić jej uwagę od burzy. Potem zasnęła z głową na mojej piersi.

Pogłaskałem ją po włosach i zacząłem się zastanawiać nad tym, co powiedziała. Na dworze znowu rozległy się grzmoty. Dziadkowie Belle powiedzieli jej, że nie ma się czego bać. Niestety, nie mieli racji, choć bardzo bym sobie tego życzył.

– Co takiego? Pokój gościnny?

Kiedy Lucy usłyszała, czego się dowiedziałem podczas rozmowy z Harriet, była tak samo zdumiona jak ja.

Potwierdziłem swoje słowa skinieniem głowy. Przez kilka godzin zastanawiałem się nad tą

sprawą, aż w końcu doszedłem do wniosku, że Veronica nie jest chyba normalna.

Siedzieliśmy z Lucy na tarasie pod dachem i obserwowaliśmy błyskawice rozświetlające niebo.

– Jak to się stało, że pojechałeś do tamtego domu? – spytała Lucy.

Mam kilka zasad, którymi kieruję się w życiu. Jedną z nich jest taka, że jeśli ktoś zadaje mi pytanie wprost, nigdy nie kłamię. Zwłaszcza gdy takie pytania formułuje Lucy i chce się dowiedzieć czegoś więcej o moim życiu seksualnym. Tym razem jednak nie byłem pewien, czy powinienem powiedzieć jej całą prawdę. Uznałem, że lepiej będzie skłamać.

– Nie umiem ci tego wyjaśnić – odparłem. – To było jak objawienie. Chciałem po prostu sprawdzić wszytkie osoby, z którymi spotkałem się w ostatnich tygodniach.

– Wszystkie?

– Tak. Przecież wiesz, o co mi chodzi.

Lucy odwróciła wzrok.

– Czy to nie zwykły przyjazd? – spytała po chwili. – Tamta kobieta dała ci się poderwać być może z tej prostej przyczyny, że była na ciebie napalona. Całkiem możliwe, że była wtedy w Sztokholmie na jakimś szkoleniu albo z wizytą u przyjaciółki i po prostu skorzystała na ten czas z tamtego mieszkania. Kto wie, może w ogóle nie mieszka w Sztokholmie?

– Mnie też to przyszło do głowy. Ale nawet jeśli tak było, to chętnie bym się dowiedział, czemu jej telefon nie odpowiada.

– Jak ona się nazywała?

– Nie pamiętam, a właściwie nie wiem.

– Martin, do jasnej cholery!

– O co ci chodzi? Czy ty wiesz, jak nazywają się wszyscy faceci, z którymi idziesz do łóżka?

Lucy zrobiła poważną minę.

– Tak.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jeśli mam być zupełnie szczerą, to uważam, że dotyczy to większości normalnych ludzi. Trzeba wiedzieć, z kim się idzie do łóżka. W przeciwnym razie lepiej tego nie robić.

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć, więc po prostu milczałem. Zasadniczo nie zgadzałem się z poglądem Lucy na tę sprawę, ale nie chciałem się kłócić. Dyskusję na taki temat można odłożyć na później.

– Czy mówiła, gdzie pracuje? – spytała Lucy.

Akurat na to pytanie znalazłem odpowiedź.

– Powiedziała, że zajmuje się rachunkowością.

– Cholernie nudne zajęcie.

Wybuchnąłem wymuszonym śmiechem.

– Tak masz rację.

Lucy westchnęła.

– Czy cokolwiek wskazuje na to, że skłamała? Może faktycznie ma taki zawód? Może naprawdę tylko skorzystała z mieszkania, które udostępniła jej koleżanka? Istnieje przecież sto powodów, dla których człowiek potrzebuje mieszkania na krótki czas. Na przykład remont łazienki albo coś w tym stylu.

– A jak wytłumaczysz to, że nie mogę się do niej dodzwonić?

Lucy nie odpowiedziała.

Wiatr zmienił kierunek i deszcz zapędził nas aż pod ścianę. W końcu znaleźliśmy się pod samym oknem.

– Jak ci poszło z personelem przedszkola? Namierzyłaś kogoś? Udało ci się zdobyć zdjęcia paszportowe?

– Nazwiska i inne dane osobowe mam w torebce. Zdjęcia dostanę jutro. A reszta? Cóż, nie za bardzo będziesz mógł wykorzystać to, co do tej pory zdobyłam.

Nie chciałem się z nią spierać o szczegóły. Mogą poczekać do jutra, gdy dostanę zdjęcia. Teraz miałem inne sprawy na głowie.

– Najważniejszy jest numer telefonu – dodałem. – Jeśli uda mi się ustalić, dlaczego go zmieniła, dowiem się też całej reszty.

Lucy podciągnęła stopy na krzesło.

– Kto wiedział, że tamtego wieczoru wybierasz się do Klubu Prasowego? – spytała. – Bo rozumiem, że tam się poznaliście?

Gorliwie jej przytaknałem. Lucy zadała mi niezwykle ważne pytanie. Jeśli bowiem do naszego spotkania nie doszło przez przypadek, Veronica musiała wiedzieć wcześniej, że tam przyjdę.

– Wiedziały tylko dwie osoby: ty i Stihl.

Lucy przez chwilę milczała.

– Tylko ja i Stihl – powtórzyła powoli.

Poczułem dziwny skurcz żołądka. Przypomniałem sobie pytanie, które w czasie lunchu zadała mi Madeleine: „Kto oprócz Lucy ma dostęp do twojego wozu?”. Przeszedł mnie dreszcz. To przecież oczywiste, że mój samochód nie posłużył do zabicia dwojga ludzi, a Lucy nie miała z tym nic wspólnego.

– O czym myślisz? – spytała Lucy.

– O niczym.

W mojej głowie zrodziła się nowa myśl i pobiegła w zupełnie nowym kierunku. Nie miało to nic wspólnego z Lucy.

– Didrik – powiedziałem w końcu cicho.

Lucy się wzdygnęła.

– Ale przecież on nie jest w to zamieszany? – spytała.

Pokręciłem głową.

– Oczywiście, że nie. Absolutnie w to nie wierzę. Gdyby tak było, Didrik i jego koledzy mieliby mnie na oku, jeszcze zanim zginęli Bobby i Jenny. Nie bardzo w to wierzę. Policja nie pracuje w ten sposób. Podstawione kobiety występują tylko w filmach.

– Podstawione kobiety?

– Tak Piękne kobiety, które najpierw kuszą mężczyzn swoimi wdziękami, a potem idą z nimi do łóżka, żeby wydobyc z nich ważne informacje.

Lucy narzuciła sweter na ramiona.

– Rozumiem.

– Lucy, daj spokój. My tylko...

– Wiem – przerwała. – Wiem.

Lucy nie jest głupia i od razu się domyśliła, dlaczego ponownie spotkałem się z Veronicą. W oddali rozległo się kolejne uderzenie grzmotu, niebo rozświetlały błyskawice, pioruny były w przypadkowe miejsca.

– On sobie robił ze mnie jaja – powiedziałem cicho.

– Kto taki?

– Didrik

– Kiedy?

– Gdy podrywałem Veronicę. Właściwie to był tylko zły, a przede wszystkim zazdrosny.

Didrik ma wiele talentów, ale czy jest aż tak dobrym aktorem? Nie byłem tego pewien. Sama myśl o tym, że w Klubie Prasowym zastawił na mnie pułapkę i podsunął mi dziewczynę, wydała mi się śmieszna. Ale jeśli tak właśnie było, to nie tylko on zaskoczył mnie w ostatnich tygodniach. Tak to niestety bywa, gdy ktoś zna wiele osób powierzchownie. Któregoś dnia zostaje w końcu sam, w poczuciu niepewności.

– Jak przebiegała wasza rozmowa? – spytała Lucy. – Czy Veronica zadawała ci dużo pytań?

Pokręciłem głową. Lucy by mnie zabiła, gdyby wiedziała, jakie obrazy przychodzą mi na myśl na wspomnienie o Veronice: ciepłe ciało, pot i zbyt duży biust.

– Z tego co pamiętam, nie.

– A po co się z tobą spotkała? Czego mogła od ciebie chcieć, jeśli nie informacji?

Zacisnąłem powieki. Co miałem wtedy w Klubie, czego mogłaby ode mnie chcieć Veronica i czego nie mogłaby dostać w inny sposób?

Otworzyłem oczy.

– Tego jeszcze nie wiem – odparłem. – Ale obiecuję, że wkrótce się tego dowiem.

Środa

Myliłem się. Niepotrzebnie straciłem tyle cennego czasu, żeby dojść, czego naprawdę chciała ode mnie Veronica. A gdy to w końcu zrozumiałem, było już za późno.

Kiedy następnego dnia rano przyszedłem do biura, niczego się jeszcze nie domyślałem. Miałem za sobą kolejną nieprzespaną noc, a Lucy przyglądała mi się niespokojnym wzrokiem i w irytujący sposób komentowała mój wygląd. Irytujący, bo nie umiałem jej wytłumaczyć, dlaczego tak źle spałem. Miałem nadzieję, że kłamstwo przyniesie mi ulgę. Niestety, pod tym względem też się myliłem. Szykowały się nowe sensacje, a ja niczego nie przeczuwałem.

Bóstwa odpowiedzialne za pogodę dały nam przedsmak dramatu, który miał się wkrótce rozegrać. Na początku, jeszcze zanim wszystko się zaczęło, mieliśmy niezwykle ciepłe lato. Potem w moim biurze pojawił się Bobby i zaczął padać deszcz. Nie twierdzę, że oba te fakty były z sobą jakoś powiązane, ale nie da się ukryć, że wydarzyły się w tym samym czasie. Pogoda robiła się coraz brzydsza aż do dnia, gdy odwiedziła mnie Malin – dziewczyna Bobby'ego. Dopiero wtedy zza chmur wyszło słońce.

Malin zadzwoniła do drzwi mojej kancelarii o dziesiątej. Lucy siedziała w swoim pokoju i rozmawiała przez telefon z klientem, a ja piłem kawę. W mojej głowie kłębiły się myśli, ale nie miałem ochoty dzielić się nimi z kimkolwiek. Koszmary, które do tej pory dręczyły mnie tylko nocami, teraz wróciły ze zdwojoną mocą i nie dawały mi spokoju w ciągu dnia.

Nie znoszę sytuacji podwójnego zagrożenia. Wystarczy mi problemów, z którymi zmagam się w realnym życiu, i dlatego staram się trzymać przeszłość na dystans. W końcu przestałem wierzyć, że do spotkania z Veronicą doszło przez przyadek. Zrozumiałem, że tamtego wieczoru ktoś ją po prostu wysłał do Klubu Prasowego. O tym, że się tam wybieram, wiedziały tylko dwie

osoby: Lucy i Stihl.

Chyba że Didrik komuś o tym spotkaniu powiedział. Na przykład Staffanowi. Dręczyło mnie, że często jestem w sytuacji, gdy potrzebuję pomocy Didrika i nie mogę jej otrzymać. Żle się z tym czuję, bo dla każdego z nas to zła sytuacja. Zwłaszcza jeśli góra problemów, która zwała mi się na głowę, miała swoje źródło właśnie w policji. Czy to w ogóle możliwe? Czy to wśród stróżów porządku publicznego znajdują ludzie, którzy stoją za tym, co przytrafiło się mnie i mojej rodzinie?

Jak już wspomniałem, Malin zjawiała się w moim biurze o dziesiątej. Wyobrazałem ją sobie zupełnie inaczej. Zresztą dość często mi się to zdarza. Byłem i jestem człowiekiem pełnym uprzedzeń. Wszyscy tacy jesteśmy. Ludzi, których spotykamy w różnych sytuacjach, zapamiętujemy i klasyfikujemy w określony sposób. Uprzedzenia są często odzwierciedleniem naszych oczekiwań. W przypadku Malin odegrały negatywną rolę, bo moje wyobrażenia na temat jej wyglądu ukształtowały się na podstawie wrażenia, jakie odniosłem po spotkaniu z mężczyzną, który udawał Bobby'ego, choć w rzeczywistości nazywał się Elias Krom. Z prawdziwym Bobbym nigdy się nie spotkałem, więc nie wiedziałem, jak wyglądał on i jego dziewczyna.

Malin trzymała się prosto. Od razu poczułem dla niej respekt, prawie taki sam, jaki kiedyś odczuwałem wobec Madeleine. Niektóre osoby samym swym wyglądem skłaniają nas do okazania im szacunku. Jeśli tego nie zrobimy, nigdy nie poznamy ich dogłębnie.

– Bardzo się cieszę, że zechciał się pan ze mną spotkać – powiedziała Malin, gdy się już przywitaliśmy. Mówiła z norrländzkim akcentem spokojnym, opanowanym głosem.

– A ja bardzo się cieszę, że pani przyszła – odparłem zgodnie z prawdą.

Miałem jej wiele do powiedzenia, o wiele innych rzeczy chciałem ją spytać. Dręczyły mnie jednak wyrzuty sumienia, co było dość nieracjonalne. Przecież to Bobby przyszedł do mnie, nie odwrotnie. To on wywrócił moje życie do góry nogami. Mimo to nie mogłem się pozbyć myśli, że wyrządziłem mu dużą krzywdę.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci Bobby'ego – powiedziałem. – Jeśli mogę być w czymś pomocny, proszę mi powiedzieć.

Malin przekrzywiła głowę. Widać było po niej, że ostatnio wypłakała wiele łez. Niespodziewanie poczułem zazdrość. Miałem w życiu tyle okazji do płaczu, ale nigdy z nich nie skorzystałem.

– Bobby wiele się po panu spodziewał – odparła Malin.

Nie mogła mnie bardziej zranić. Nie wiedziałem, co jej powiedzieć.

– Zanim do pana poszedł, wiele mi o panu opowiadał.

W tym momencie musiałem zaprotestować.

– Bobby nigdy u mnie nie był, tylko przysłał Kroma.

– On był przyzwyczajony, że nikt nie bierze go na poważnie. To dlatego przysłał Eliasa.

– Wiem. Ale dlaczego akurat jego? Krom nie należy do ludzi, którym łatwo zdobyć zaufanie innych.

– Bobby miał o nim inne zdanie. Poza tym Elias bardzo się solidaryzował z Sarą bez względu na to, co kto o tym myśli. Bobby mógł się zwrócić do Eda, to byłby całkiem naturalny wybór. Ale wolał tego nie robić.

W milczeniu jej przytaknąłem. Ed, były chłopak Sary, nie chciał się ze mną skontaktować.

Dlatego Bobby powierzył to zadanie Kromowi, który wykazał się bardzo szlachetną postawą.

– Z tego co wiem, Bobby bardzo się interesował tym, co spotkało Sarę i jej synka. Zrobił pod tym względem o wiele więcej, niż wynikałoby ze słów Kroma.

Malin zamrugła.

– Kiedy Sara zaszła w ciążę i wróciła ze Stanów do Szwecji, była kompletnie rozbita. Ja i Bobby uważaliśmy, że jej stan się poprawi, gdy urodzi dziecko. Niestety, Sara popadała w coraz większą paranoję. Przykro było na to patrzeć.

– A więc już wtedy byliście z Bobbym parą? – spytałem, nie kryjąc zdumienia.

Kolejne uprzedzenie: wydawało mi się, że Bobby nie potrafiłby wytrwać w związku z kobietą zbyt długo.

– Byliśmy ze sobą od siedemnastego roku życia – wyjaśniła Malin. – Chcieliśmy razem stawić światu czoło. Mieliśmy tylko siebie. Czy nie brzmi to zbyt patetycznie?

Jej pytanie mnie zaskoczyło.

– Nie, absolutnie.

– W ogóle? A ilu pan zna nastolatków, którzy mają tylko siebie?

Na tak postawione pytanie nie potrafiłem odpowiedzieć. Byłem jednak pewien, że ja należę do ludzi samotnych. Ojciec nas porzucił, a matka nadużywała alkoholu, przez co nie była zdolna do sprawowania należytej opieki nade mną, ani nad moją siostrą.

– Czy Sara wam opowiadała, czym zajmowała się w Ameryce? – spytałem.

Malin spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie wiem, o co panu chodzi. Domyślaliśmy się tylko, że miała tam ogromne problemy ze swoim facetem. Mówię o ojcu jej dziecka.

Skinąłem szeptem głową.

– Sara miała na karku wytatuowane słowo „Lotus” – powiedziałem. – Czy mówiła wam, jak się tam znalazło?

Malin wzruszyła ramionami.

– Twierdziła, że dała sobie zrobić ten tatuaż po pijaku i teraz tego żałuje.

Po pijaku. Niezły sposób na to, żeby ukryć prawdę. Tatuaż wskazywał, do którego gangu dziewczyna należy i kto jest jej właścicielem. Lotus to pseudonim, jaki Sarze nadał Lucyfer. Napiętnował ją po wieczne czasy, żeby nigdy nie zapomniała, że już nie jest wolna.

– Rozumiem – odparłem.

– Sugeruje pan, że Sara kłamała? Że z tym tatuażem chodziło o coś innego?

Rozłożyłem ręce. Podobny gest wykonują kiepscy lekarze, gdy udają, że ich pacjent mimo wszystko ma rację.

– Ależ skąd!

Malin dotknęła paska zegarka. Zauważyłem, że wskazówki stoją w miejscu, a na dodatek wskazują błędną godzinę.

– Wiem, że Bobby prosił pana za pośrednictwem Eliasa, aby oczyścił pan Sarę z zarzutów. Co udało się już ustalić?

Przebyłem już całą drogę i dotarłem do brudnej, brutalnej prawdy, a mianowicie, że Sara nie była seryjną zabójczynią, tylko wykorzystywaną prostytutką.

– Nie zaszedłem aż tak daleko, jak bym sobie życzył.

– Ale po śmierci Bobby’ego przestał się pan zajmować tą sprawą?

Spłotłem dłoń nad biurkiem i pochyliłem się w stronę Malin.

– Tak, przestałem.

– Mówią, że Bobby został zamordowany. Pewnie się pan przestraszył?

– Tak, i to bardzo.

– Bobby też się bał. To dlatego nikomu nie powiedział, że wybiera się do Sztokholmu.

W mojej głowie znowu rozległy się alarmowe dzwonki, jak gdyby chciały mnie ostrzec, że za chwilę mogę przeoczyć coś istotnego.

– Ktoś się jednak dowiedział. Gdyby nie to, żyłby do dzisiaj.

– Bobby opowiedział o wszystkim Eliasowi. Nawet jego matka nie wiedziała, że przyjeżdża do Szwecji, podobnie jak jego znajomi i koledzy.

– Ale Ed wiedział?

– Nie, on też nie. To Ed skontaktował Bobby'ego z Eliaszem. Potem bardzo długo trzymał się z dala od tej sprawy. On zazwyczaj zachowuje się z rezerwą, zawsze ma coś do roboty.

Oczywiście wyobraźni ponownie ujrzałem, jak Krom trzęsie się z nerwów. Tak mnie to przestraszyło, że o mało się nie przewróciłem. Musiałem chwycić palcami za blat biurka, żeby nie upaść.

– Czy Elias potrafi dochować tajemnicy? – spytałem.

– Jasne. Sprawia wrażenie prymitywa, ale ja i Bobby mu ufaliśmy.

Chociaż siedział w więzieniu, a w młodości, czyli nie tak dawno, miał szczególne hobby: dokonywał rozbojów na ulicy, za co został skazany prawomocnym wyrokiem. Nazywanie go prymitywem to zbyt łagodne określenie.

– Ktoś się jednak dowiedział, że Bobby przyjedzie do Sztokholmu. Inaczej nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Proszę sobie przypomnieć, co się stało, gdy Bobby zjawił się w Sztokholmie? Ukrywał się przez cały czas w mieszkaniu? A może się z kimś spotkał? Czy wspominał coś o tym?

W tym momencie zadzwonił mój telefon. Głośno i ostro.

– Przepraszam – powiedziałem i odrzuciłem rozmowę.

Otworzyłem górną szufladę biurka i wrzuciłem do niej aparat.

– Nie, Bobby w ogóle nas nie informował, co robił po śmierci Sary – odparła Malin cicho. – Domyślałam się jednak, że nie zakończył swoich poszukiwań. Do Sztokholmu przyjeżdżał tak często, że na pewno musiał na to poświęcić część urlopu. Dlatego w końcu postanowił powierzyć tę sprawę panu. Zwłaszcza to, o czym dowiedział się w przedszkolu.

Dostałem gęziej skórki.

– A czego się tam dowiedział?

– Nawiązał kontakt z jedną z przedszkolank. Zapewniała, że widziała, jak Mio został porwany.

Od razu się uspokoiłem, bo o tym już wiedziałem. Tylko dlaczego prawdziwy Bobby nie poinformował mnie o wszystkim, czego się dowiedział? Mógł to przecież zrobić za pośrednictwem Kroma albo spotkać się ze mną i zakończyć całą tę mistyfikację. Nie mogłem tego zrozumieć.

– Powiedział pan, że los chłopca pana nie interesuje – ciągnęła Malin cicho, jak gdyby czytała w moich myślach. – Bobby się bał, że pan nie zrozumie, jak bardzo Mio jest ważny w całym kontekście tej sprawy.

– A dlaczego nie opowiedział mi całej prawdy?

– Chciał się najpierw przekonać, jak pan pracuje. Przecież mógł go pan nabrać? Gdyby tak się stało, oznaczałoby to, że całkiem niepotrzebnie przekazał panu zbyt dużo informacji.

Takie wyjaśnienie niezbyt mnie przekonało, ale zachowałem te wątpliwości dla siebie.

– A więc spotkał się z Susanne... Z kim jeszcze? – spytałem.

– Susanne?

– Jeśli mówimy o tej samej opiekunce z przedszkola, z którą rozmawiałem o Mio, to właśnie tak ma na imię.

Malin pokręciła głową.

– Nie wiem, jak miała na imię.

W tym momencie przypomniało mi się, że nie przejrzałem jeszcze listy pracowników przedszkola, którą przygotowała dla mnie Lucy.

– Nieważne – kontynuowała Malin. – W każdym razie spotkał się z jedną z opiekunek. Ta kobieta twierdziła, że wie, kto porwał chłopca. Chyba miała na imię Rakel.

Wstrzymałem oddech.

– Czy Bobby ją odnalazł? – spytałem. – Czy spotkał się z nią?

Malin przełknęła kilka razy ślinę.

– Nie. Nie zdążył tego zrobić, bo wcześniej zginął.

Zaczął mi być żal Bobby'ego. Tak bardzo się starał, a tak niewiele osiągnął. Ktoś go śmiertelnie potrafił. Użył do tego mojego porsche albo innego, podobnego samochodu. Malin nic o tym nie wiedziała. Uznałem, że tak będzie lepiej.

– Chciał pan czegoś ode mnie – powiedziała. – Dlatego tu dzisiaj przyszedłem.

Postanowiłem jej w końcu zdradzić, czego potrzebuję.

– Potrzebuję zdjęcia Mio. Czy pani je ma?

– Widzę, że Elias miał rację. Uprzedzał, że mnie pan o to poprosi. Po co to panu? Przecież już się pan nie zajmuje sprawą Sary.

– Zgadza się, to się stało zbyt niebezpieczne. Ale Bobby chciał się dowiedzieć, co się stało z jego siostrzeńcem. Myślę, że nie zaszkodzi pogrzebać trochę w tej sprawie.

Było to zręczne kłamstwo i czułem, jak pieką mnie policzki. Przecież Bobby nie żył. Dlaczego miałbym się martwić o to, co chciał, a czego nie chciał?

Malin sięgnęła do torebki i wyjęła z niej niewielką fotografię.

– Została zrobiona na kilka tygodni przed zniknięciem Mio z przedszkola – wyjaśniła, kładąc ją przede mną.

Chociaż byłem przygotowany na to, co zobaczę, nie umiałem ukryć zdumienia. Mio miał zupełnie inną karnację niż Sara.

– Można by powiedzieć, że został adoptowany, prawda? – zauważyła Malin.

Nie miała niczego złego na myśli, było to raczej stwierdzenie faktu. Nie mogłem oderwać wzroku od fotografii. Mio zyskał w końcu twarz. Był o wiele drobniejszy, niż się spodziewałem. Wpatrywał się w obiektyw poważnymi, szeroko otwartymi oczami. Wyglądał na zadbanego. Miał na sobie kraciatą koszulę i zbyt dużą jak na niego kamizelkę.

– Ładny chłopiec – stwierdziłem. – Czy mogę zachować to zdjęcie?

– Oczywiście. Mam ich więcej.

Malin zamknęła torebkę i wstała z krzesła. Ja też się podniosłem zza biurka.

– Wie pan, Bobby uważał, że to straszne, że Mio trafił do rodziny zastępczej. W wydziale opieki socjalnej uznali, że Bobby nie dorósł do sprawowania opieki nad dzieckiem, a mnie nie wzięli nawet pod uwagę. Bobby nie żyje, ale ja nadal tu jestem. Jeśli Mio gdzieś jest...

chciałabym stworzyć mu dom.

O mało się w tym momencie nie rozpląkałem.

– Nie jestem czarodziejem, ale zobaczę, co się da zrobić – odparłem.

Malin wyciągnęła do mnie rękę. Mocno ją uściśnięłem.

– Sara wiele się po panu spodziewała – powiedziała. – Jakby miała nadzieję, że jest pan takim czarodziejem.

– Sara?

Malin puściła moją dłoń.

– Tak

– Ma pani chyba na myśli Bobby’ego? To on wysłał do mnie Kroma z prośbą o pomoc, bo wcześniej słyszał mnie w radiu.

Malin roześmiała się szczerze.

– Możliwe, że tak powiedział, ale to Sara podała mu pana nazwisko.

Do pokoju wpadły pierwsze promienie słońca i zaczęły błędzić po biurku.

– A kiedy to się stało? Przecież Krom przy szedł do mnie pół roku po jej śmierci.

Zacząłem gorączkowo myśleć. Czyżby kiedykolwiek spotkał się z Sarą? Raczej nie.

Malin uśmiechnęła się do mnie słabo.

– Pytał pan, co Sara opowiedziała nam o swoim pobycie w Stanach. W jej życiu był jeszcze ktoś, nie tylko jej facet. A może to była ta sama osoba? Sara nazywała go Szatanem, ale o nim dowiedzieliśmy się dopiero, gdy zaczęła z nią walczyć policja.

Wstrzymałem oddech, czekając na dalszy ciąg.

– Bobby bardzo chciał pomóc Sarze, ale ona odrzucała jego prośby. Przekazała mu za pośrednictwem swojego adwokata, że to nie ma sensu. Bobby był upartym człowiekiem, ale Sara nie chciała o niczym słyszeć. Siedziała wtedy w areszcie, więc nie mogliśmy się z nią spotkać, a jej adwokat w niczym nam nie pomagał. Kiedy Sara odebrała sobie życie, Bobby wiedział w zasadzie tylko to, co mu opowiedziała, zanim trafiła do aresztu. Zdawała sobie sprawę, że grozi jej niebezpieczeństwo, i próbowała temu jakoś zaradzić. Wybrała jednak niewłaściwą osobę. Któregoś dnia przyznała się przed Bobbym, że żałuje, że nie zwróciła się od razu do pana. Powiedziała, że tylko pan mógłby dopaść Szatana.

Że tylko ja mógłbym dopaść Szatana?

– A dlaczego tak uważała? – spytałem z napięciem w głosie. Znowu dostałem gęsiej skórki.

– Bo pana znała.

– Słucham?

– Sara opowiadała czasem dziwne rzeczy. Na przykład o Szatanie. Przecież on nie istnieje. Jej adwokat uprzedzał nas, że powinniśmy zapomnieć o jej słowach, bo to zwykłe brednie. Twierdził, że liczy się tylko to, że przyznała się do zabójstw. Ale Bobby uważał inaczej. W wielu sprawach miał zupełnie inne zdanie niż adwokat. Uznał, że warto spróbować, dlatego zgłosił się do pana. Sara już wtedy nie żyła, więc nic nie ryzykowałem, prawda?

Szatan naprawdę istniał, ale Malin o tym nie wiedziała.

Znowu poczułem, jak grunt usuwa mi się pod nogami, jak otwiera się bezdenne przepaść. W otoczeniu Sary znajdowało się mnóstwo złych ludzi, ale żadna z tych osób nie dorównywała pod tym względem Szatanowi.

Szatan to szczególna osoba. Szatan to Lucyfer.

Nagle usłyszałem głos dobiegający z grobu: *Ty i Sara się znacie.*

Na pewno nie. To nie może być prawdą.

– Nie rozumiem – odparłem. – Niby w jakich okolicznościach poznałem człowieka, który używa pseudonimu Szatan? Gdzie mieliśmy się poznać?

– Tego nie wiem. Bierze pan to na poważnie?

Nie bardziej niż wszystko, o czym dowiedziałem się w ostatnich tygodniach.

– A dlaczego Sara uważała, że powinna była zwrócić się do mnie? – spytałem nieswoim głosem.

Malin zrobiła niepewną minę.

– Powiedziała, że ktoś, kogo Szatan tak bardzo nienawidzi, musi być jedyną osobą, która nad nim góruje – wyjaśniła słabym głosem.

Poczułem się tak, jak gdyby w moim biurze rozpuętała się nagle burza. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby papiery pofrunęły w górę i spadły w nieładzie na podłogę.

Szatan mnie zna i nienawidzi.

Nie miałem pojęcia, o czym Malin do mnie mówi. Uznałem, że to jakieś nieporozumienie, że wszystko jest nieporozumieniem. Nie byłem jednak pewien, czy nie jest wprost przeciwnie.

– A dlaczego nie zwróciła się wtedy do mnie? – spytałem. – Dlaczego nie powierzyła mi swojej obrony? Chętnie bym jej pomógł.

Malin spuściła oczy.

– Sądzę, że gdy mówiła o pomocy, nie chodziło jej o usługi adwokackie. Chyba jednak miała na myśli coś innego. Nieważne. Prawda jest taka, że z powodu tej drugiej sprawy nie miała odwagi zwrócić się do pana o pomoc. Bała się panu zaufać. Nie była pewna, czy stanie pan po jej stronie.

Na koniec zadałem Malin jeszcze jedno pytanie, chociaż nie do końca byłem pewien, czy chcę usłyszeć na nie odpowiedź.

– Z powodu jakiej sprawy? Dlaczego bała mi się zaufać?

Malin nie odpowiedziała. Dotknęła zamka torebki, jak gdyby nie do końca była przekonana, czy powinna mi to wyjaśnić.

– Twierdziła, że pan zabił człowieka – szepnęła w końcu. – Podobno człowiek, którego nazywała Szatanem, powiedział jej, że jest pan jedynym adwokatem w Sztokholmie, który wymigał się od kary za zabójstwo.

Dopiero w tym momencie przejrzałem na oczy. Jak się okazało, w sprawę Sary Teksas zostałem wciągnięty nie przez przypadek. Miałem do odegrania własną rolę bez względu na to, czy byłem tego świadomy, czy nie. Na dodatek ta rola była powiązana z najgłębiej skrywaną przeze mnie tajemnicą. I jeszcze te koszmary! Za każdym razem byłem w nich grzebany na stojąco. A może stanowiły tylko bezpieczny pomost między przeszłością a teraźniejszością? Pomost, który doprowadza mnie do szaleństwa?

Po wyjściu Malin byłem tak wykończony, że miałem ochotę się położyć i zasnąć. Nie zrobiłem jednak tego, tylko długo siedziałem przy biurku. Wspomnienia o tym, że kiedyś pozbawiłem życia człowieka, rozpałały mi umysł. Było nas tam trzech, dookoła panowały kompletne ciemności.

W końcu uporządkowałem myśli i podjąłem decyzję. Wstałem zza biurka i poszedłem do pokoju Lucy.

– Musimy porozmawiać o pewnej sprawie – oznajmiłem.

Kiedy opowiedziałem jej o tym, czego dowiedziałem się od Malin, Lucy przez długą chwilę siedziała w milczeniu. Ostatni fragment rozmowy zachowałem dla siebie. Wiedziałem, że jeśli powiem jej całą prawdę, na zawsze zmieni to nasze stosunki.

– Kochanie, on wiedział o tym, kim jestem, na długo przed tym, zanim zostałem wplątany w tę sprawę – podsumowałem.

Od dawna nie mówiłem do niej „kochanie”. Życie stało się tak skomplikowane, że w naszych wzajemnych relacjach zaczęły funkcjonować same imiona.

Lucy przeciągnęła dłonią po włosach.

– Nie wolno nam stracić nad tym kontroli – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– Zgadzam się z tym, co powiedział adwokat Sary. Nie możemy wszystkiego, co mówiła, uważać za prawdę. A jeśli nawet – podkreślam: jeśli – rzeczywiście miała na myśli Lucy fera i jeśli faktycznie go znasz, to i tak nie musimy nazywać rzeczy zrozumiałych niezrozumiałymi.

Byłeś policjantem, pracowałeś w Teksasie, ale to się działo dwadzieścia lat temu. Mogłeś się z nim zetknąć w okolicznościach, które dla ciebie nie miały znaczenia, za to dla niego okazały rozstrzygające. Powtarzam: jeśli.

Rzuciłem górne guziki koszuli i poczułem, jak pot spływa mi po plecach. Nasza wspólna podróż do Teksasu otworzyła wrota szaleństwa, o którym starałem się zapomnieć. Teraz przeszłość znowu mnie dopadła. Starcie przeszłości z teraźniejszością okazało się wprost niezwykłe.

Lucy zauważyła, jak zmieniam się na twarzy.

– Martin, co się wtedy wydarzyło?

Odwrociłem głowę i spojrzałem przez okno. Sztokholm kąpał się w blasku słońca. W takich chwilach stolica Szwecji jest najpiękniejsza. Błękitne niebo, błękitna woda, błękitna krew rodziny królewskiej...

– Kiedy byłem młodszy, moja mama mawiała, że niebieski to kolor innych ludzi.

A potem wkładała mi zielony sweter z łatami na rękawach.

Nabrałem głęboko powietrza. Za chwilę wypowiem słowa, których nigdy wcześniej nie wypowiadałem. Nie byłem w stanie przewidzieć, jakie będą ich konsekwencje.

– Kiedy mieszkaliśmy w Teksasie, wydarzyła się pewna rzecz. Nigdy o niej nie opowiadałem ani tobie, ani nikomu innemu. Przed chwilą przyznałem się do niej w rozmowie z Malin.

Na twarzy Lucy odmalowało się pewne zdziwienie, że po tylu latach mam jeszcze przed nią jakieś tajemnice.

Zabiłem człowieka. Inaczej nie można tego nazwać. Ja, Martin Benner, zabiłem człowieka. Przez pomyłkę. „Musimy go zaopacać” – powiedział tamtego wieczoru mój szef. I tak się stało. Nie lubię wracać myślami do tamtych kilku chwil po oddaniu strzału. Stałem w deszczu i byłem w takim szoku, że cały się trząsałem. Od razu zadzwoniłem do mojego szefa. „Nie ruszaj się stamtąd” – powiedział. Dwie godziny później pojechaliśmy na dawne tereny roponośne pod Houston. Nadal pamiętam ciężką rękę szefa na moim ramieniu.

„Musimy go zaopacać, Martin”.

Łatwo nam przyszło uznać coś, co się wydarzyło, za niebyłe. O sprawie wiedziało niewiele osób, wszystkie zachowały ją w tajemnicy. Solidarność i lojalność wśród policjantów jest wprost niezwykła. Nie występuje w żadnej innej grupie zawodowej.

– Zabiłem człowieka – powtórzyłem. – Przez pomyłkę.

W jednej chwili zrozumiałem, że już nigdy nie będę dla niej tym samym Martinem, którym byłem do tego momentu. Wydaje nam się, że o pewnych sprawach nigdy nie usłyszymy. Lucy na pewno się nie spodziewała, że kiedykolwiek dowie się ode mnie, że zabiłem człowieka. Z pobladłą twarzą przysłuchiwała się mojej historii, którą – jak mi się zdawało – już dawno zdołałem pogrzebać.

– Było wtedy ciemno – zacząłem. – Środek nocy. Policjantem zostałem niecały rok wcześniej. Razem z moim partnerem siedzieliśmy w radiowozie i rozmawialiśmy. Nagle odezwała się do nas centrala. Kilką przecznic od miejsca, gdzie zaparkowaliśmy nasz wóz, zauważono dilera narkotyków poszukiwanego przez policję. „Już tam jedziemy”, powiedziałem i tak zrobiliśmy. Włączyliśmy syrenę, kłoguta i pojechaliśmy w tamto miejsce. Zachowaliśmy się jak amatorzy. Jakieś sto metrów przed nami zauważyliśmy faceta. Przerazony biegł chodnikiem. Padał deszcz, więc się poślizgnął. Dogoniliśmy go w ciągu trzech sekund i wyskoczyliśmy z samochodu. Zerwał się z ziemi i znowu zaczął uciekać jak szalony. Wbiegł w ślepy zaułek

w którym po obu stronach ciągnął się szereg zamkniętych o tej porze warsztatów samochodowych. W żadnym z okien nie paliło się światło. Ani ja, ani mój partner nie mieliśmy z sobą latarek. Pędziliśmy za facetem, wołając: „Stój! Zatrzymaj się!”. W końcu nas posłuchał. Odwrócił się w naszą stronę i wtedy zauważyliśmy, że jedną rękę trzyma pod kurtką.

Lucy zwilżyła wargi językiem.

– Dlatego do niego strzeliłeś?

– Mój partner oddał ostrzegawczy strzał w powietrze. Krzyknęliśmy do dilera, żeby pokazał nam ręce i je podniósł. Nie zrobił tego. Uśmiechnął się tylko szyderczo i zaczął szukać czegoś pod kurtką. W końcu wyjął spod niej rękę... Deszcz zaczął w oczy, widoczność była słaba, ale byłem prawie pewien, że facet coś trzyma. Samo podejrzenie i jego szyderczy uśmiech wystarczyły. Strzeliłem. Celowałem w nogę, ale trafiłem go w brzuch. Zmarł po kilku minutach.

Lucy siedziała w milczeniu. Miała taką minę, jakby chciała mnie spytać, czy nie oszalałem, i w ostatniej chwili się rozmyśliła. Tymczasem ja dalej opowiadałem o tym, co powiedział mój szef i co zrobiliśmy ze zwłokami. O tym, jak wyjechałem z Teksasu, i o moim partnerze, który wkrótce później zginął na służbie.

– Nie wiem, co o tym myśleć – powiedziała Lucy. – Naprawdę nie wiem.

Kilka razy głęboko odetchnąłem.

– To nie było morderstwo – odparłem.

– Rozumiem.

– Jak to: rozumiem? Po prostu nie było.

– Okej.

– Lucy...

– Muszę się przejść. – Wstała z krzesła. – Wybacz, ale... Nie wiem, co o tym myśleć.

– Wiem. Powiedziałeś to kilka razy.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Nie rozumiesz, o czym mi przed chwilą opowiedziałeś?

Wygląda na to, że nie. Po prostu zwierzyłem się z czegoś, o czym nigdy wcześniej nikomu nie mówiłem. Miałem w swoim życiu takie chwile – i to całkiem długie – gdy udawało mi się zapomnieć o tym, co się wtedy wydarzyło. W tym sensie, że przez jakiś czas w ogóle o tym nie myślałem. Nie chciałem pamiętać, jak kopałem szpadlem dół, żeby pogrzebać zwłoki. Nawet podczas ostatniego pobytu w Teksasie udawało mi się nie przywoływać tych wspomnień. Miałem przecież na głowie sprawę Sary Teksas, moją przyszłość i ojca.

– Jakim cudem twój szef uznał, że najlepiej będzie, jeśli zakopiecie trupa? Dlaczego nie zaproponował, żeby sprawa potoczyła się zwykłym trybem? Mógłbyś przecież udowodnić, że działałeś w samoobronie, bo myślałeś, że diler był uzbrojony. Z takim argumentem uniknąłbyś kary. Zwłaszcza w Teksasie.

– On nie miał przy sobie broni – odparłem. – Obszukaniliśmy go i niczego przy nim nie znaleźliśmy. Ani broni, ani narkotyków. Niczego. Znalazłem tylko jego portfel i dokument tożsamości. Zabiliśmy niewłaściwego człowieka. Sprawdziliśmy jego dane w naszej bazie i okazało się, że to jakiś drobny przestępca. Należał do gangu ulicznego, który był pod obserwacją policji.

Lucy podniosła z podłogi torebkę i przewiesiła ją przez ramię. Naprawdę zamierzała wyjść.

– A więc to był zwykły chuligan?

– Tak

– Ile miał lat?

– Siedemnaście.

Lucy zrobiła taką minę, jak gdybym uderzył ją w twarz.

– O Boże – szepnęła.

Zerwałem się z krzesła.

– Proszę cię, nie przesadzaj! – zawołałem. – Ja...

– Nie przesadzaj? Nie przesadzaj? Martin, ty zastrzeliłeś dziecko, a potem zakopałeś je na odludziu!

Lucy rozpląkała się i ruszyła w stronę drzwi. Podbiegłem do niej i próbowałem objąć. Wyrwała mi się.

– Nie dotykaj mnie, chcę zostać sama.

– Ja też byłem wtedy młody!

To była moja jedyna linia obrony. Tylko dzięki takiemu podejściu do sprawy mogłem spokojnie spać po nocach. Byłem młody i nigdy nie powinienem znaleźć się w takiej sytuacji.

Lucy zatrzymała się na chwilę.

– Rozumiem – odparła. – Ale nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłeś. Nawet po tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni.

– Nawet w najśmielszych myślach nie wyobrażałem sobie, że tamto zdarzenie może mieć cokolwiek wspólnego ze sprawą Sary Teksas.

Tym razem to ja mówiłem podniesionym głosem i od razu poczułem się lepiej. Ani jedno moje słowo nie było kłamstwem. Kiedyś postanowiłem, że nie zdradzę Lucy, dlatego przestałem pracować w policji w Teksasie. Mogę też zapewnić z ręką na sercu, że w najśmielszych myślach nie przypuszczałem, że to, co się wydarzyło tamtej strasznej nocy, może mieć cokolwiek wspólnego z tragicznym losem Sary.

Pokręciłem głową. Drżałem przy tym na całym ciele.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziałem. – Nie wiem, jakie wyciągnąć wnioski z tego, co przed chwilą usłyszałem. Okazuje się, że Lucyfer mnie zna, a na dodatek nienawidzi. Może przyczyną jest to, co się wydarzyło wtedy w Teksasie? A może istnieje inny powód?

Lucy otarła łzy z policzków. Z mojej strony była to dość żałosna ostatnia deska ratunku. Pękała w chwili, gdy na nią wszedłem. Mimo to brnąłem dalej:

– Może to jakieś nieporozumienie – powiedziałem. – Przecież Sara niekoniecznie musiała mieć na myśli Lucyferę, gdy mówiła o Szatanie.

Lucy pokręciła głową i wyszła z pokoju. Odprowadziłem ją do drzwi.

– Kiedy wrócisz? – spytałem.

– Kiedy sobie to wszystko przemyślę – odparła. – Będziesz musiał trochę poczekać.

CZEŚĆ 3

„Teraz oni zginą”

**ZAPIS WYWIADU Z MARTINEM BENNEREM (MB)
PROWADZĄCA WYWIAD: KAREN VIKING (KV), NIEZALEŻNA DZIENNIKARKA
MIEJSCE ROZMOWY: SZTOKHOLM**

KV: Zastrzelił pan siedemnastolatka?

MB: Tak. Na swoją obronę mam tylko jedno wytłumaczenie: ja też byłem wtedy młody. Moi przełożeni nie powinni byli dopuścić, żebym znalazł się w takiej sytuacji. Taka linia obrony jest moim zdaniem słuszna. Nie mogę się wypowiadać za innych.

(milczenie)

KV: Chyba nie do końca rozumiem. Zadzwoił pan do swojego szefa i poinformował go, że właśnie zastrzelił człowieka. Co pan usłyszał w odpowiedzi?

MB: Żebym został na miejscu do jego przyjazdu.

KV: Nie kazał wezwać karetki?

MB: Chłopak był już martwy.

KV: Ale to, że go w tajemnicy załopaliście... Jego rodzina...

MB: Rozumiem, co chce pani powiedzieć. W okresie gdy służyłem w policji, w dzielnicy, w której znajdowała się nasza komenda, wiele się działo. To były trudne czasy. Wielu moich kolegów zostało oskarżonych o nieuzasadnione użycie siły w różnych sytuacjach. Goryle z jednostki wewnętrznej mieli już dość naszych przewinień. Nasz szef się bał, że śmierć tego chłopaka będzie kroplą, która przeleje czarę gorzycy. Był przekonany, że dla niego może to oznaczać koniec kariery. Gdyby sąd skazał mnie za zabójstwo, cała odpowiedzialność spadłaby na niego. Wywaliliby go z roboty i straciłby prawo do emerytury, a właściwie do całego pakietu. Amerykanie są bezlitni, jeśli chodzi o wyciąganie konsekwencji za brak odpowiedzialności.

KV: Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że to, co zrobiliście, było głęboko niemoralne?

MB: Oczywiście, że tak i to wiele razy.

KV: Czy rozmawiał pan o tym ze swoim partnerem?

MB: Po tamtym wydarzeniu przestaliśmy jeździć wspólnie na patrolu. Poprosił

o przeniesienie do innej dzielnicy i straciliśmy z sobą kontakt. Później zginął na służbie. Został zastrzelony.

KV: Pan już wtedy mieszkał w Szwecji?

MB: Tak Zostawiłem to, co się stało, za sobą. Okoliczności, które w tamtym czasie kształtowały moje życie, były naprawdę wyjątkowe. Czuję się tak jakgdybym obudził się z nocnego koszmaru. Całe to bagno – strzelaninę, rozczarowanie ojcem – zostawiłem za sobą i przyjechałem do Szwecji jako nowy człowiek. Mniej więcej takto wyglądało.

KV: Czy utrzymywał pan potem jakieś kontakty z ojcem?

MB: Kilka lat później ponownie przyjechałem do Stanów i skontaktowałem się z nim. Niestety, nadal nie miał dla mnie miejsca w swoim życiu.

KV: Nie mogę sobie teraz przypomnieć, ale wydaje mi się, że czytałam o tym w notatkach Fredrika... Pana rodzice poznali się w Stanach?

MB: Poznali się w Szwecji, ale przeprowadzili się do Ameryki, żebym się tam urodził i uzyskał prawo do amerykańskiego obywatelstwa. Rok później mieli wrócić do Szwecji. Marianne – moja mama – wyjechała pierwsza. Zabrała mnie i swoje rzeczy. Ojciec został w Stanach, porzucił nas.

KV: „Porzucił” to ciężkie słowo.

MB: Może pani użyć ładniejszego, jeśli to konieczne.

KV: Przepraszam, nie o to mi chodziło.

(milczenie)

KV: Chciałabym jeszcze wrócić do tamtej strzelaniny w Teksasie.

MB: Słucham.

KV: W notatkach Fredrika nie ma na ten temat ani słowa.

MB: Nie miałem powodu, żeby mu o tym wszystkim opowiadać. Nawet nie przypuszczałem, że mogłoby to mieć jakieś znaczenie. Poza tym...

KV: Poza tym co?

MB: Poza tym zastanawiałem się, czy nie wspomnieć o tym Lucy podczas naszego pobytu w Teksasie. Miałem jednak ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład mojego ojca. Ale ma pani rację, nie powiedziałem Fredrikowi o zabójstwie. Dlatego w jego wersji zatytułowanej „Zagadka Sary Tell” nie ma na ten temat ani słowa.

(milczenie)

KV: Jaki był pana kolejny krok? Co się wydarzyło później?

MB: Zająłem się zdjęciami osób zatrudnionych w przedszkolu, które zdobyła dla

mnie Lucy. Poza tym czekaliśmy, tak jak przedtem.

KV: Czekaliście? Na co?

MB: Na śmierć kolejnych ofiar.

KV: I co, doczekaliście się?

MB: Tak. Niestety.

16

Wielkie sztuki teatralne składają się z kilku aktów. Są między nimi przerwy, żeby widzowie mogli rozprostować kości i kupić coś w bufecie. Dzięki temu mogą dotrzeć do końca przedstawienia. W moim życiu nigdy nie było takiej przerwy. Pędziło do przodu, a ja za nim podążałem. Uważałem, że to niesprawiedliwe, że powinienem mieć szansę na chwilę oddechu. Los chciał inaczej.

Na biurku Lucy leżała brązowa koperta ze zdjęciami. Zabrałem ją do mojego pokoju i położyłem obok innych materiałów, które dla mnie zdobyła. Nie byłem jednak w stanie jej otworzyć. Uznałem, że zanim znowu przeżyję jakąś niespodziankę, powinienem trochę odetchnąć. Nie miałem pojęcia, co się jeszcze może zdarzyć.

Nie wspomnę już o tym, co przeżyłem. Miałem za sobą lata ciężkiej pracy, by zdobyć dystans do najstraszniejszej rzeczy w moim życiu. Czy teraz zjawi się nagle Lucyfer i rozdrapie dawne rany?

To niemożliwe, żebym go znał. To wykluczone pod każdym względem.

W tym momencie zadzwonił jeden z moich telefonów komórkowych. Ten numer znała tylko jedna osoba: Boris, który obiecał, że będzie strzegł Belle. Niestety zawiódł na całej linii.

– Słucham – powiedziałem.

– To ja. Możesz rozmawiać? – spytał Boris. Głos miał ochryply, jakby mówił z trudem.

– Jasne – odparłem. – I tak zamierzałem się z tobą skontaktować

Domyśliłem się, że Boris jest na ulicy. W słuchawce rozlegały się dźwięki, jakby poruszał się pod wiatr. Tak jak ja, chociaż bardziej dosłownie.

– Nie mogę rozmawiać przez telefon. Musimy się spotkać.

– Kiedy?

– Zaraz.

Wziąłem z biurka kopertę, którą dała mi Lucy. Kolejna niespodzianka, zle wiadomości? Czuję to przez skórę.

– Nie ma sprawy. Gdzie się spotkamy?

– W tym samym miejscu, co ostatnio.

Przez chwilę się zawahałem. Co Boris ma na myśli? W końcu domyśliłem się, że chodzi mu o to samo miejsce, w którym spotkaliśmy się na Sleppeholmen. Tego samego wieczoru zadzwonił do mnie człowiek Lucyfera. To wtedy zawarłem umowę z szefem mafii. Potem zwrócił mi Belle.

– Będę za pół godziny.

– Dobrze.

Niedawno postanowiliśmy z Lucy, że do biura będziemy dojeżdżać rowerami. W takim mieście jak Sztokholm to znakomity środek lokomocji. Rowerem też mogłem szybciej dotrzeć na miejsce spotkania z Borisem.

Kiedy zdejmowałem kłódkę ze stojaka, obok mnie przeszła kobieta. Z początku jej nie poznałem, bo prawie całą twarz zakrywały jej ogromne okulary przeciwsłoneczne. Dopiero po chwili do mnie dotarło, że to Rebecca, żona Didrika Stihla. Powolnym ruchem podciągnęła okulary wyżej, na czoło, i dopiero wtedy spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Cześć – powiedziałem.

Przez moment zastanawiałem się, czy Didrik jej powiedział, o co podejrzewa mnie policja. Rebecca zareagowała dopiero po chwili. Najpierw znieruchomiała, potem zrobiła się biała jak ściana.

– Cześć! – odparła. Próbowwała się przy tym uśmiechnąć, ale słabo jej to wyszło. Uśmiech zamarł jej na ustach i zamienił się w sztuczny grymas. Zachowywała się tak, jak gdyby nie wiedziała, czy się zatrzymać i zamienić ze mną kilka słów, czy raczej iść dalej. W końcu postanowiła poświęcić mi trochę czasu.

Jej zachowanie zirytowało mnie. Zdjąłem kłódkę i wyciągnąłem rower ze stojaka.

– Wszystko w porządku? – spytała ostrym głosem.

I znowu ten sam grymas.

– Dzięki, wszystko dobrze. Powiedziałbym nawet, że jest superdobrze.

Uśmiechnąłem się jak najszerszej i poczułem, jak sztywnieją mi policzki.

– To dobrze – odparła Rebecca. – Bardzo dobrze.

Ponownie włożyła okulary, jakby chciała się za nimi ukryć. Przedstawienie dobiegło końca. Zaraz się pożegnamy.

Przypomniałem sobie, jak podczas naszego ostatniego spotkania Didrik nie potrafił ukryć zmieszania, gdy przekazałem mu pozdrowienia dla Rebekki. Dlatego uważnie ją obserwowałem. Coś mi się w jej zachowaniu nie zgadzało. Nie chodziło jednak o to, że czuła się niezręcznie w towarzystwie byłego kumpla swojego męża, podejrzanego o popełnienie kilku zabójstw.

– A co u ciebie? – spytałem.

– Wszystko w porządku.

– Jesteś na urlopie czy tylko wyszłaś na przedpołudniowy spacer?

Sam nie wiem, dlaczego zadałem jej tak dziwne pytanie. W dość bezczelny sposób próbowałem się dowiedzieć, co zamierza zrobić. A przecież nie miała obowiązku zwierzać mi się ze swoich planów.

– Nie wiem, czy można to nazwać urlopem – odparła. – Mam kilka dni wolnego, więc skorzystałam z okazji, żeby tu przyjechać.

– Przyjechać? Tutaj? To znaczy dokąd?

– Do Sztokholmu. Mieszkam teraz w Danii, w... na wsi.

To znaczy, że jest z Didrikiem w separacji. Ciekawe od kiedy? Kiedy ostatnio spotkałem się z nim w Klubie Prasowym, był jeszcze żonaty. Tylko czy na pewno mówił prawdę? Ale przecież nie musiał tego robić. Nie jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. Przed tamtym spotkaniem ostatni raz widzieliśmy się chyba rok wcześniej. Niby dlaczego miałby mnie informować, że rozstał się z żoną? Albo został porzucony, jak się właśnie okazało?

Rebecca skinęła głową.

– Muszę lecieć – powiedziała. – Wszy stkiego dobrego.

– Wzajemnie. Przykro mi, że się rozstaliście.

Przez chwilę wyglądała na zmieszaną, ale potem uśmiechnęła się i odeszła. Poczułem się nieswojo. Czy żym coś źle zrozumiał? Może nie byli w separacji? Nie, na pewno byli, przecież Didrik nie mieszka w Danii.

Wsiadłem na rower i pojechałem Sankt Eriksgatan. Rozmowa z Rebeccą nie dawała mi spokoju. Może fakt, że Didrik był z nią w separacji, miał jakieś znaczenie? Może właśnie dowiedziałem się czegoś istotnego? Nie byłem pewien i bardzo mnie to męczyło.

Z początku stałem zamyślony i w ogóle go nie zauważyłem. Czy na pewno ostatnim razem spotkaliśmy się z Borisem na Skeppsholmen? Przycocowałem rower do stojaka i obszedłem teren. Nie chciałem go wołać, więc wyjąłem telefon, na który Boris do mnie niedawno dzwonił. Żadnych nieodebranych połączeń. W tym momencie kilka metrów od siebie usłyszałem kroki na wysypanej żwirnej alejce. Odwróciłem się i stanąłem oko w oko z Borisem. Wzdrygnąłem się na jego widok. Wyglądał na kompletnie wykończonego. Ale uspokoiło mnie to, że o trudach, jakich musiał doświadczyć w ostatnich dniach i tygodniach, świadczył tylko jego zewnętrzny wygląd. Na szczęście jego oczy nie straciły nic z dawnej energii. Stały się za to zimne i twarde.

– Nie jesteś zbyt dyskretny – powiedział. Głos miał trochę bardziej ochryply niż zwykle.

Rozejrzałem się, ale nikogo innego oprócz nas nie zauważyłem. Boris pokręcił głową.

– Nie bój się. Nikt cię nie śledzi. Chodzisz tu sobie beztrudko, jak gdyby to miejsce należało do ciebie. W biały dzień.

Mówiąc to, wskazał przez ramię na zaplecze restauracji pokrytej brzydkiem, wystającym dachem. Ruszyliśmy w tamtą stronę.

– Nie zauważyłem cię – odparłem. Broniełem się jak małe dziecko.

Boris znowu pokręcił głową.

– Chodźmy – powiedział.

Weszliśmy pod dach.

– Byłem na policji. Didrik Stihl pytał mnie o ciebie – oznajmiłem.

– No proszę.

– Twoje nazwisko pojawiło się w śledztwie w sprawie śmierci dziadków Belle.

Boris wyjął z kieszeni skórzaną kurtkę kartkę. W moim środowisku nikt by nie włożył na siebie czegoś takiego w tak upalny dzień. Ja też nie czułem potrzeby, żeby tak jak on wyglądać cool.

– Po co poszedłeś na policję? – spytał Boris.

Sam nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się wstyd.

– Podejrzewają, że zamordowałem kolejną osobę.

Boris wybuchnął śmiechem.

– Widzę, że z każdym kolejnym dniem przechodzisz samego siebie – powiedział.

Jego śmiech przeszedł w kaszel.

– Powinieneś przestać palić.

– Za późno. Nie tylko na to, ale i na wiele innych brzydkich rzeczy.

Wyprostował się i podał mi kartkę, którą wyjął z kieszeni kurtki.

– Wiem, że policja wezwała cię w sprawie kolejnego zabójstwa. Wiem też, że i mnie wzięli pod lupę. Dlatego na pewien czas muszę się wycofać. Wyjechać z kraju, aż sprawa przyćmienie.

Ogarnął mnie lodowaty, nieopisany strach. Boris był jednym z moich niewielu kół ratunkowych. Co się ze mną stanie, gdy wyjedzie z kraju?

– Nie rób takiej przerażonej miny – powiedział Boris. – Beze mnie też sobie świetnie poradzisz.

Chciałem zaprotestować, powiedzieć coś o Lucyferze albo o człowieku, którego kiedyś zastrzeliłem, ale nie zrobiłem tego. Boris nie miał obowiązku zajmować się moimi problemami. To wyłącznie moje zmartwienie.

– Nie sprawdzisz, co ci dałem?

Kiedy rozkładałem kartkę, czułem, że palce mam zeszywniałe i wilgotne. Spojrzałem na czarno-białą, lekko zamazaną odbitkę zdjęcia przedstawiającego jakąś kobietę. Popatrzyłem pytającym wzrokiem na Borisa.

– Poznajesz ją? – spytał.

Tak, i to bardziej, niżbym sobie tego życzył. Zdjęcie zostało zrobione kilka ładnych lat temu, ale bez problemu poznałem, kogo przedstawia: Veronicę, którą poznałem w Klubie Prasowym.

– Oczywiście, że tak – potwierdziłem. – Dlaczego mi pokazujesz to zdjęcie?

– Należała do tego samego gangu w Sztokholmie co Sara. Dostałem je wczoraj, bo moje źródło nie dostarczyło mi jej danych osobowych i zdjęcia w pierwszej przesyłce.

Po moim powrocie z Teksasu Boris wyświadczył mi nieocenioną przysługę. Za pośrednictwem swoich kontaktów w policji zdobył dla mnie nazwiska i zdjęcia osób, z którymi Sara zadawała się przed wyjazdem do Stanów. Wszystkie należały do gangu, którego członkowie urozmaicali sobie czas rozbojami na ulicach. Tym sposobem trafiłem do Eliasa Kroma. To była ta „pierwsza przesyłka”, o której wspomniał Boris. Byłem za to zdumiony informacją, że Veronica należała do tego samego gangu co Sara.

– Myślałem, że Veronica jest starsza od Sary – powiedziałem, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć.

– Bo jest – potwierdził Boris. – Niedawno skończyła trzydzieści lat.

– Jak się nazywa?

– Nie wiesz?

Boris uśmiechnął się szeroko. Najprawdopodobniej od razu się domyślił, w jakich okolicznościach poznałem kobietę ze zdjęcia.

– Powiedziała, że ma na imię Veronica – odparłem.

– W rzeczy wistości ma na imię Rakel.

Zastygłem w bezruchu.

– Rakel? – szepnąłem.

– Rakel Minnhagen, panieńskie nazwisko Svensson.

Z Borisem pożegnałem się bez szczególnych emocji. Byłem w szoku i przestałem jasno myśleć. Boris chętnie by został w Szwecji, żeby mi pomóc, ale w tej sytuacji byłoby to trudne, a nawet wręcz niemożliwe. Nie wiedziałem, kto dał policji cynk o nim, ale jego nazwisko wypłynęło w śledztwie dotyczącym śmierci dziadków Belle. Fatalna sprawa.

– Nie obarczaj się wszystkimi kłopotami – poradził mi Boris, zanim się pożegnaliśmy, jak gdyby mi na tym szczególnie zależało.

– Jasne, że nie – odparłem.

Wróciłem do domu i przesiadłem się z roweru na samochód z wypożyczalni, który stał zaparkowany w garażu. Pojechałem odwiedzić kobietę, którą znałem jako Veronicę, chociaż najwidoczniej nazywała się Rakel Minnhagen. Dlaczego nikt o niej wcześniej nie wspomniał? Ani Krom, ani Jenny, ani policja. Nawet Malin. Myślę, że odpowiedź na to pytanie jest całkiem prosta: Veronica zmieniła nazwisko, żeby się chronić. Poza tym Bobby nie zdążył do niej dotrzeć. Gdyby spotkali się przed jego śmiercią, na pewno by ją rozpoznał.

Źródło Borisa okazało się bardzo dokładne. W papierach znalazłem wszystkie informacje, dzięki którym miałem dotrzeć do Rakel. Kiedy zjawiłem się na miejscu – przed niewielkim szeregowcem w Solnie – okazało się, że dom stoi pusty. Dzwoniłem do drzwi, ale nikt nie otworzył. Budynek przy tej ulicy stały w szeregu. Rakel mieszkała w narożnym. Obszedłem go i znalazłem się na jego tyłach. Dom był oddzielony od sąsiedniego wysokim płotem. Wokół panowała cisza, nie docierały do mnie żadne dźwięki, nigdzie nie zauważyłem najmniejszego ruchu. Przycisnąłem twarz do tylnych szklanych drzwi i zajrzałem do środka. Pusto. Podszedłem do każdego okna na tylnej ścianie, ale wszystkie z wyjątkiem ostatniego należały do kuchni, ostatnie zaś do czegoś w rodzaju pokoju gościnnego. Stało w nim wąskie posłane łóżko i niewielkie biurko. Pokój przypominał więzienną celę. Puste ściany, żadnych przedmiotów osobistych, ubrań czy butów. Zmarszczyłem czoło i przeszedłem do okien należących do kuchni. Ale i tam nie zauważyłem niczego, co wskazywałoby na to, że została urządzona w indywidualny sposób. Przed przyjazdem na miejsce sprawdziłem w rejestrze nieruchomości, że Rakel jest jedyną

właścicielką domu. Może mieszka pod innym adresem, a tu jest tylko zameldowana?

Wydawało mi się, że działam racjonalnie, że jestem skupiony i skoncentrowany na osiągnięciu celu. Tymczasem prawda była taka, że w moje zachowanie wkradła się panika. Byłem wstrząśnięty tym, czego dowiedziałem się w ciągu dnia. Zacząłem się zastanawiać, czy w domku jest włączony alarm. Może uda mi się rozbić jedną z szyb tak, żeby nikt tego nie zauważył? Na samą myśl o tym przeszedł mnie dreszcz. Jeśli włamię się do cudzego domu, przekroczę granicę, której do tej pory nigdy wcześniej nie przekroczyłem. Popełnię przestępstwo i nic mnie nie uratuje. Sąd nie weźmie pod uwagę faktu, że działałem w stresie. Nie ma szans. Wpadnę, i to dokumentnie.

Nie wiedziałem, co zrobić. Minęło południe, słońce stało już wysoko na niebie. Na włamanie wybrałem nieszczęśliwy moment. Ale być może właśnie to uchroni mnie przed prawnymi konsekwencjami, bo włamanie do cudzego domu za dnia jest rzeczą tak niezwykłą, że można je uznać za nieprawdopodobne. Rozbiję szybę, wejdę do środka i spokojnie się rozejrzę. Odniosłem wrażenie, że wszystkie domki stojące po tej samej stronie ulicy są zamknięte na glucho. Może ich właściciele byli w pracy, a może wyjechali na urlop? To nie miało znaczenia, bo w tym momencie byłem tutaj zupełnie sam.

Na samą myśl o tym, że planuję włamanie, ugięły się przede mną nogi. W mojej praktyce adwokackiej broniłem już tylu przestępców, że nie powinienem popełniać tego samego błędu co oni. W głowie roilo mi się od nieprzyjemnych myśli. Kiedyś udało mi się uniknąć kary za zabicie człowieka. Czyżbym teraz miał trafić do paki za tak pospolite przestępstwo jak włamanie?

Wróciłem do samochodu i odjechałem. Niektórzy włamywacze są tak dobrymi specjalistami w swoim fachu, że nigdy nie trafiają do więzienia. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem telefon. Boris odebrał po drugim sygnale.

– Słucham?

– Jesteś jeszcze w kraju? – spytałem.

– Wyłatuję za godzinę.

– A czy znalazłbyś czas, żeby mi wyświadczyć ostatnią przyługę?

Zlecenie włamania było dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. Teraz mogłem się skoncentrować na innych sprawach, na przykład na przywróceniu normalnych stosunków z Lucy. Najpierw jednak postanowiłem coś przekąsić. Byłem już tak głodny, że mógłbym zjeść konia z kopytami albo krowę, w zależności od tego, które z tych zwierząt pierwsze znalazłoby się w zasięgu moich rąk. Podjechałem do McDonalda i zamówiłem hamburgera z shakiem.

Jadłem w samochodzie. Obie przednie szyby były opuszczone, a auto zaparkowałem w cieniu. Lucy szczerze by się uśmieła na taki widok. McDonald to ostatnie miejsce, do którego poszłaby coś zjeść. Ze mną jest inaczej. Na szczęście jej sprzeciw wynika wyłącznie z jedzenia, które jest tam serwowane, i nie ma podłoża ideologicznego. Nigdy nie rozumiem tych wszystkich durniów, którzy postrzegają tę sieć jako symbol skrajnie szkodliwego wpływu kapitalizmu na przyrodę. „Jeździć tylko w te miejsca, które nie są zbyt eksploatawane” – mawiają przedstawiciele lewicy. A mówią o „eksploatacji”, mają na myśli obecność sieci McDonald’s. Fakt, że najczęściej oznacza to, że dany kraj jest słabo rozwinięty, a ludzie biedni

i wyzyskiwani, jakoś uchodzi ich uwagi.

Zadzwoiłem do Lucy, ale nie odebrała. Zaniepokoiło mnie to. Co zrobię, jeśli po powrocie do domu stwierdzę, że spakowała swoje rzeczy i się wyprowadziła? Na samą myśl o tym hamburger stanął mi w gardle. Sięgnąłem więc po shake'a, żeby go nim popić, i znowu zadzwoniłem do Lucy. Tym razem też nie odebrała.

Czy Lucy musi odbierać moje telefony? To trudne pytanie, ale należy je sobie zadać. Nie, nie jest mi niczego winna. To cud, że tak długo wytrzymała u mego boku. Do tego, że z Veronicą jest coś nie tak, doszedłem tylko dlatego, że zachciało mi się z nią seksu. Lucy o tym wiedziała, ale nie protestowała. Nigdy nie rozmawiamy o trudnych sprawach. Zawsze tak było. Bądźmy jednak szczerzy – co w tym złego? Takie dyskusje nigdy do niczego dobrego nie prowadzą. A skoro tak, to lepiej ich nie zaczynać.

W tym momencie zadzwonił mój telefon.

– To ja – usłyszałem cieniutki głos.

Marianne, moja mama.

– Cześć.

– Jak się czuje Belle?

– Dobrze.

Dressing spłynął z hamburgera, a ponieważ bułka była zbyt luźno owinięta w papier, cała maź przykleiła mi się do palców.

– Cholera! – zawołałem, starając się wytrzeć palce w serwetkę, żeby nie poplamić tapicerki.

– Przeklinasz, kiedy do ciebie dzwonię?

Cały zeszywniałem.

– Zakląłem z powodu hamburgera – wyjaśniłem. – Z tobą nie ma to nic wspólnego.

Marianne westchnęła.

– Zawsze takim samym kłopskim kłamacz jak on. Widzę jednak, że stałeś się takim samym męskim kłamacz jak on.

Zmiałem serwetkę i rzuciłem ją na podłogę.

– Dzwonisz do mnie w jakiejś konkretnej sprawie? – spytałem. To nie był najlepszy dzień na kłótnie. Byłem zbyt zmęczony, żeby robić sobie wyrzuty sumienia.

– Chcę się tylko dowiedzieć, kiedy będzie pogrzeb.

– Jaki pogrzeb?

Zmarłych zaczęło przybywać, podobnie jak pogrzebów. Bobby leżał już w grobie, ale nie wiedziałem, kiedy odbędzie się pogrzeb Ohlandera. Zresztą nie miałem powodu, żeby o to pytać. Marianne nie znała żadnego z nich, na pewno miała na myśli kogoś innego.

Dopiero po chwili się domyśliłem, że pytała o dziadków Belle.

– Dopiero za dwa tygodnie – odparłem.

– Dopiero?

– Wydaje mi się, że wcześniejsze terminy w kościele były zajęte.

Nie mogłem sobie przypomnieć, co mi powiedziała ciotka Belle. Rozmów było wiele, wszystkie krótkie i przerywane płaczem. Traktowałem je jako karę za mój groteskowy grzech. Prawda jest taka, że dziadkowie Belle zginęli przeze mnie.

– Czy mogłabym spotkać się z Belle? – spytała Marianne. – Stęskniłam się za nią.

Wysiadłem z samochodu i wyrzuciłem resztki jedzenia do kosza. Nie miałem ochoty

spotykać się z Marianne akurat teraz.

– Może w przyszłym tygodniu – odparłem. – Teraz jestem strasznie zapracowany.

Usłyszałem, jak pociąga nosem.

– Któregoś dnia będziemy musieli porozmawiać – powiedziała.

„Po co?” – chciałem spytać. Nie da się porozmawiać o braku więzi rodzicielskich albo o zawodzie, jaki odczuwałem przez lata. Było, jakbyło. Żle.

– Jasne – odparłem.

– Szczerze mówiąc...

Przerwałem jej, bo miałem już dosyć tej rozmowy:

– Szczerze mówiąc, nie mam na to teraz czasu – oświadczyłem i się rozłączyłem.

Modliłem się w myślach, żeby Belle nigdy nie odezwała się do mnie w taki sposób.

Przejechałem niecały kilometr, gdy mój telefon znowu się odezwał. Dzwoniła śmierć, która ciągle jeszcze nie była mną nasycona.

18

Kiedy byłem dzieckiem, chowałem się czasem za kuchennymi drzwiami i podsłuchiwałem, jak Marianne rozmawia przy winie ze swoimi przyjaciółkami o różnych bzdurach. Częstym tematem ich rozmów był mój ojciec. Marianne zachowywała się zawsze najgłośniejszą i to ona nadawała ton spotkaniom. Nic dziwnego, przecież dokonała czegoś, co nie udało się wielu kobietom: poznała Amerykanina, wyjechała do Stanów, urodziła tam dziecko, a potem wróciła do Szwecji jako samotna matka. „Dla mnie mogłby być martwy – mawiała. – Rozumiecie? Nigdy z sobą nie rozmawiamy. Nigdy!” Wtedy jeszcze nie pojmowałem, co miała na myśli, z tej prostej przyczyny, że nie zdążyłem jeszcze zawrzeć znajomości ze śmiercią. Wprawdzie wiedziałem, że nikt nie jest nieśmiertelny, ale nie miałem pojęcia, co to oznacza w praktyce.

Sens śmierci poznałem dopiero w pierwszej klasie podstawówki. Tuż przed Bożym Narodzeniem utopił się mój kolega Oliver. Poszliśmy razem na basen, na lekcję pływania. W pewnej chwili, gdy nikt na niego nie patrzył, Oliver wskoczył do tej części basenu, gdzie woda jest głębsza. Niestety, już nie wypłynął na powierzchnię. Z początku nikt niczego nie zauważył. Dopiero po dłuższej chwili jakaś dziewczynka zawołała: „Patrzcie! Oliver pływa”. Rzeczywiście, jego bezwładne ciało unosiło się na wodzie jak korek. Nauczyciel pływania wskoczył do basenu. „Uważajcie! – zawołała nasza wychowawczyni. – Uważajcie!” Chciała przez to powiedzieć, żebyśmy natychmiast odsunęli się od skraju basenu, bo kiedy Olivera wyłowiono z wody, właśnie tam go położono. Nigdy nie zapomnę, jak robiono mu sztuczne oddychanie. Wargi miał sine, twarz białą. Wychowawczyni i nauczyciel pływania płakali, a my obserwowaliśmy to w zupełnym milczeniu. Oliver odszedł na zawsze. To wtedy tak naprawdę zrozumiałem, czym zajmuje się śmierć: kradnie nam ludzi sprzed nosa.

Jako dorosły człowiek miałem już bardziej wyrobiony pogląd na jej temat. Zwłaszcza po tym, jak zabiłem tamtego człowieka. Dopiero w tym momencie zrozumiałem, że śmierci nie da się cofnąć i że brak możliwości odwrócenia tego stanu rzeczy jest po prostu zły. Nigdy nie jest tak jak na filmach: śmierć nie gra z nami o nasze życie w szachy². Robi to, co wszyscy inni:

wykonuje swoją robotę.

– Elias zaginał – usłyszałem w słuchawce kobiecy głos. – Nie wiem, co się z nim dzieje.

Dzwoniła dziewczyna Kroma. Widzieliśmy się tylko raz, ale najwidoczniej to jej wystarczyło. Zapamiętała mnie i doszła do wniosku, że los nie przypadkiem zetknął mnie z jej partnerem.

Tego, że Krom ma kłopoty, domyśliłem się, gdy zobaczyłem go przed kościołem. Zresztą on sam potwierdził moje przypuszczenia. Bał się i uważał, że ktoś go śledzi. Miałem nadzieję, że to zwykła paranoja, a jego obawy są nieuzasadnione. Niestety stało się inaczej. Zrozumiałem to na pogrzebie Bobby'ego, ale postanowiłem dać sobie z tym spokój. Nie miałem czasu, żeby zamartwiać się problemami innych. Poza tym i tak nie mogłem nic zrobić.

– Zaginał wczoraj wieczorem – opowiadała mi z płaczem dziewczyna. – Pojechał do pracy, ale nie dotarł na miejsce. Zadzwonili do mnie, żeby sprawdzić, co się stało. Nocą zgłosiłam jego zaginięcie, ale nie wiem, czy ktoś go szuka.

Pomyślałem, że ktoś to jednak robi. Policja wiedziała, że byłem z nim w kontakcie. Sam ich o tym poinformowałem. Z ulgą stwierdziłem, że moje porsche nie mogło być użyte jako narzędzie zbrodni, bo stoi w warsztacie. Niedawno dzwonił do mnie mechanik, żebym je odebrał. Wykręciłem się obietnicą, że zgłoszę się po odbiór „któregoś dnia”. Postanowiłem to zrobić dopiero, gdy będę pewien, że nic nie ryzykuję.

Podczas rozmowy z dziewczyną Kroma unikałem słowa „zabójstwo”. W ogóle starałem się unikać jakichkolwiek spekulacji związanych z jego zaginięciem. Przeczuwałem jednak, że Krom nie żyje. Pytanie tylko, kiedy policja znajdzie zwłoki.

– Najlepiej będzie, jeśli pozwoli pani policji zająć się tą sprawą – zaproponowałem. – Niech im pani udzieli wszelkich informacji, o jakie poproszą. Proszę sobie przypomnieć, czy w ciągu ostatnich dni nie wydarzyło się coś niezwykłego. Może Elias wspomniał o jakiejś kłótni albo o kimś, kogo się bał?

– W ciągu ostatnich dni? Żartuje pan ze mnie? Od kilku tygodni dziwnie się zachowuje. Nie śpi po nocach i kiepsko się odżywia. Przestał nawet pić piwo.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby w zachowaniu Kroma najdziwniejszy był właśnie ten ostatni fakt. To potwierdziło moje wcześniejsze przypuszczenia: Krom nie czuł się bezpiecznie.

– Kiedy był w domu, dokładnie zamykał drzwi na podwójny zamek i zaciągał firany w oknach. Ostrzegł mnie, żebym uważała, czy ktoś mnie nie śledzi na ulicy. Nienormalny! – Kobieta zaszlochała do słuchawki.

– Czy Elias mówił, kogo się tak boi? – spytałem.

– On sam tego nie wiedział. Tak przynajmniej twierdził. Kiedyś tylko wspomniał, że ma to coś wspólnego z Sarą Tell.

– Czy pani ją znała?

– Wszyscy ją znaliśmy. Przez kilka ładnych lat tworzyliśmy paczkę, do czasu gdy wyjechała do Stanów. Po powrocie urodziła dziecko. W takim momencie w życiu kobiety dokonują się duże zmiany.

Przyszło mi coś do głowy, więc od razu postanowiłem o to spytać:

– Czy zna pani Rakel Minnhagen? Przedtem nazywała się Svensson.

Kiedy wypowiadałem to nazwisko, czułem, jak krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach.

– Rakel? Oczywiście, dawno temu. Była od nas trochę starsza.

Staralem się nie okazać, jak bardzo jest to dla mnie ważne.

– Czy pani wie, co się z nią teraz dzieje? Czym się zajmuje?

– Nie mam pojęcia. Od czasu gdy znikła, nie miałam z nią kontaktu.

– Znikła?

– Tak, z naszego gangu.

Z gangu, który dokonywał ulicznych rozbojów. Wielu jego członków trafiło do więzienia – z wyjątkiem Sary. Jak widać, Rakeł los też oszczędził.

– Co się z nią stało? – spytałem, choć wiedziałem, że moja ciekawość może się wydać podejrzana. – Przecież ludzie nie rozplývają się tak po prostu we mgle.

– Ona też się nie rozplýnęła. Powiedziałybyśmy raczej, że się wycofała. Niektórzy z nas mieli wtedy problemy z policją. Rakeł zdążyła się wycofać w odpowiednim czasie. Potem nie utrzymywała z nami kontaktów.

– Czy wolno mi spytać, czy pani też była jedną z tych osób, które miały problemy z policją?

Usłyszałem, jak moja rozmówczyni wyciera nos.

– Nie – odparła. – Ja nie chciałam wdepnąć w takie bagno.

– W odróżnieniu od Eliasa.

– Elias się zmienił. Naprawdę.

Cały samochód wypełniał zapach hamburgerów. W mojej głowie eksplodowało nagle tysiąc obrazów. Moim zdaniem istniał powód, dla którego policja nie znalazła jeszcze zwłok Kroma – w odróżnieniu od zwłok Bobby’ego, Jenny i innych osób, które zostały zamordowane. Jeśli sprawca nie mógł upozorować ostatniego zabójstwa w taki sposób, aby dowody wskazywały na mnie, to na pewno bardziej mu zależało na zatartciu śladów po sobie. A może Krom miał już tego wszystkiego dosyć i postanowił uciec? Może żył pod tak wielką presją, że nie był w stanie jej wytrzymać? Jeśli tak, to dołąd się udał?

– Czy macie jakiś domek letniskowy albo coś w tym stylu? – spytałem. – Wy albo wasi rodzice?

– A skąd, nigdy nie było nas stać na coś takiego. Chyba sam pan rozumie?

Być może, ale nie zaskodzi spytać.

– Czy Elias ma jakichś krewnych albo przyjaciół, u których mógłby się ukryć? Jeśli rzeczywiście podejrzewał, że ktoś go śledzi.

– Nikt taki nie przychodzi mi na myśl.

Emocje opadły. Byłoby naiwnością sądzić, że Krom ukrywa się z własnej woli. Od dawna podejrzewał, że ktoś go śledzi. Na pewno nie żył.

Czy na pewno? Przecież tamtej nocy, gdy szedłem na spotkanie z nim, też byłem przekonany, że ktoś mnie śledzi. Kto inny oprócz mnie mógł się domyślić roli, jaką Krom odegrał w tym wszystkim, co się wydarzyło?

– Kiedy Elias zaczął podejrzewać, że ktoś go śledzi? – spytałem.

– Kilka dni po tym, jak się dowiedział, że Bobby nie żyje.

– A jak się o tym dowiedział?

– Bobby nie zjawił się na spotkanie w barze, w którym się umówili. Potem przestał odbierać telefon. Elias zadzwonił więc do jego matki, ale ona nawet nie miała pojęcia, że Bobby jest w mieście. O tym, że jej syn został potrącony przez samochód, dowiedziała się od policji.

– A wtedy Elias doszedł do wniosku, że Bobby został zamordowany? Nie przyszło mu do

głowy, że to był zwykły wypadek?

– Niby dlaczego miał tak pomyśleć? Matka Bobby'ego sama mu powiedziała, że to było zabójstwo. Policja doszła do takiego wniosku na podstawie jego obrażeń.

Obrażenia Bobby'ego były spowodowane przez samochód. Mój samochód, który ktoś wykradł z zamkniętego na klucz garażu tamtej nocy, gdy byłem z Belle w szpitalu. Zakazane myśli wróciły. Czy to rzeczywiście był mój wóz? Kto mógł nim wyjechać, nie zostawiając śladów włamania ani do garażu, ani do samochodu?

Jedyne ktoś, kto miał klucz.

Lucy.

Ale to niemożliwe.

– Muszę się dowiedzieć, co mu się stało – powiedziała dziewczyna Kroma i znowu się rozpłakała. – Jak go znaleźć?

Było to całkiem uzasadnione pytanie. Niestety nie mogłem jej pomóc.

– Nie wiem – odparłem. – Bardzo mi przykro, ale naprawdę nie wiem.

Nie powiedziałem jej, że moim zdaniem Krom już nie żyje, a życie dalej się toczy w tak szybkim tempie, jak gdyby nic się nie stało. I wtedy usłyszałem słowa, których w ogóle się nie spodziewałem:

– Elias dzwonił na policję.

– Co takiego?

– Powiedział im, że prawdopodobnie ktoś go śledzi, że to się zaczęło po śmierci Bobby'ego. Nie chciał im jednak powiedzieć, skąd biorą się te podejrzenia, więc chyba nie wzięli jego słów na poważnie.

Poczułem dreszcz na plecach.

– Jest pani pewna, że nie opowiedział im wszystkiego?

– Jestem tego najzupełniej pewna. Policja zaproponowała, że jeśli będzie gotów opowiedzieć im resztę tej historii, ma się do nich zgłosić. Na pewno podejrzewali, że coś przed nimi ukrywa.

– Czy pani wie, z kim rozmawiał?

– Nie, ale wiem, że prosił, aby go połączono z kimś, kto zajmował się sprawą Sary Teksas.

Zdenerwowałem się. Co robi policja? Bobby nie żyje, Jenny nie żyje, a gdy zjawia się u nich trzecia osoba i prosi o pomoc, odmawiają, chociaż wyraźnie widać, że ma to jakiś związek ze sprawą Sary. Tych dziwnych zdarzeń było już zbyt wiele, żeby uznać je za zwykły zbieg okoliczności. W aktach sprawy brakowało zdjęć Mio, a gdy Krom zadzwonił na policję, odmówiono mu pomocy.

– Musi się pani dowiedzieć, z kim Elias wtedy rozmawiał – powiedziałem. – Słyszysz pani? To ważne.

– Spróbuję. Ja...

– Proszę zadzwonić na policję. Teraz. A zaraz potem do mnie.

Kiedy wróciłem do domu, mieszkanie było puste. Signe nie odebrała jeszcze Belle z przedszkola, a Lucy nie odbierała moich telefonów. Z ulgą stwierdziłem, że jej rzeczy są na swoim miejscu. Wszystko wyglądało więc tak jak rano, gdy wychodziliśmy do biura. Ale coś się zmieniło. Wywlokłem na wierzch swoje brudy z przeszłości i opowiedziałem o nich osobie, którą kochałem najbardziej po Belle. Co stanie się z nami w przyszłości?

– Kochanie?

Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Przecież wiedziałem, że nie ma jej w domu. Na swoją obronę mam mocny argument: tego dnia nie zachowywałem się racjonalnie. Popadłem w paranoję tak jak Krom. Jeden błędny krok i skutki mogą być katastrofalne – dla mnie i moich najbliższych.

Dokonałem szybkiego przeglądu sytuacji i wystawiłem sobie pozytywną ocenę. Jedyłą nową osobą, którą wciągnąłem w to bagno, była Madeleine. Staralem się jednak nie przekazywać jej zbyt wielu szczegółów. Chciałem ją chronić i tylko tyle mogłem dla niej zrobić. Na samą myśl o tym, że to za mało, zadrzałem. Wystarczyłoby, że w sprawę byliby zamieszani jacyś policjanci. Podczas rozmowy z dziewczyną Kroma przyszła mi do głowy nowa przerażająca myśl. Nie wiedziałem, kim jest źródło Madeleine i kto jest źródłem Borisa. Jeśli w sprawę zamieszana była policja, to istniała obawa, że Boris albo Madeleine rozmawiali z niewłaściwą osobą. Zdenerwowany podszedłem do zlewu i nalałem wody do szklanki, choć wolałbym się napić czegoś mocniejszego. Ale nie w tym momencie.

Wyszedłem na taras. Niebo było błękitne, świeciło słońce i wiał łagodny wiatr. Przede mną rozciągał się rozległy widok, ale prawie tego nie dostrzegałem. Równie dobrze mogłem usiąść przed górą śmieci i też bym nic nie poczuł. Każdy mój zmysł pracował gorączkowo nad tym, aby z tysięcy drobnych okruczeń stworzyć jedną całość. Bez powodzenia. To był paskudny dzień, a co gorsza, jeszcze się nie skończył.

W tym momencie zadzwonił telefon. Dziewczyna Kroma.

– Zrobiłam, jak pan kazał – powiedziała. – Zadzwoniłam na policję i poprosiłam, aby

połączyli mnie z tym samym policjantem, co Eliasa. Powstał jakiś problem, ale po chwili zgłosił się niejaki Staffan Ericsson.

Staffan. Nieudacznik, który pracuje z Didrikiem. Przypomniałem sobie, że jego nazwisko znalazłem w aktach śledztwa w sprawie Sary. Czy na pewno przewijało się w różnych dokumentach?

Wróciłem do mieszkania. Pudła z aktami stały w bibliotece. Podziękowałem dziewczynie Kroma, że oddzwoniła, i poprosiłem ją, aby skontaktowała się ze mną ponownie, gdy tylko się dowie, gdzie jest Elias.

Staffan Ericsson. Rzuciłem się jak oszalały na pudła i prawie od razu znalazłem to, co chciałem. Ericsson był jednym ze śledczych, którzy przesłuchiwali Sarę. Odłożyłem dokument do kartonu. Czyżbym tracił panowanie nad sobą? Z braku konkretnych osób i wątków goniłem za zjawą?

W tym samym momencie usłyszałem, jak ktoś wsuwa klucz do zamka w drzwiach wejściowych. Zerwałem się i pobiegłem do przedpokoj. Drzwi się otwarły i w progu stanęła Lucy. Na mój widok wydała z siebie głośny okrzyk zdumienia.

– Jesteś w domu? – spytała.

– Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem – odparłem.

Chciałem ją spytać, dlaczego moja obecność w mieszkaniu tak ją zdziwiła, ale uznałem, że nie taki był sens jej pytania. Przy okazji stwierdziłem, że zrobiłem się potwornie nadwrażliwy.

Lucy rzuciła klucze na komodę, zdjęła buty i weszła do kuchni. Poszedłem za nią.

– Gdzie byłeś? – spytałem.

– Mówiłam ci przecież, że chcę pobyć trochę sama – odparła.

Otworzyła lodówkę, wyjęła z niej colę i wypiła prosto z puszki.

– Kochanie, wracając do tego, o czym ci opowiadałem...

– Chodzi ci o to, że zamordowałeś człowieka i zakopałeś go w piasku?

– Nie zamordowałem go.

– Oczywiście, że nie. Ty go tylko przy padkiem postrzeliłeś.

Nabrałem głęboko powietrza.

– Bardzo mi przykro, że nigdy ci o tym nie opowiedziałem.

Każde wypowiedane przez mnie słowo brzmiało dokładnie tak, jak tego chciałem. Ważniejsze było to, co czuję, niż to, co jest możliwe w praktyce. Oczywiście, że o wszystkim mogłem jej opowiedzieć wcześniej, zwłaszcza że Lucy nigdy by tego nikomu nie zdradziła. Nie zrobiłem tego. Po prostu nie chciałem, żeby ktoś inny – zwłaszcza ona – dowiedział się jakichś paskudnych rzeczy na mój temat. Dlatego zakopałem tę historię głęboko w pamięci. Było to możliwe, ponieważ nie chodziło o zbrodnię. Bez względu na to, ile razy analizowałem tamtą scenę, moje wnioski zawsze były takie same: w tamtych okolicznościach nie mogłem się zachować inaczej. Dziś być może tak, ale nie wtedy.

Lucy zerknęła na mnie znad puszki, jak gdyby czekała na dalszy ciąg.

– Strasznie się bałem – szepnąłem. – Po tamtym zdarzeniu zrozumiałem, że w ogóle nie nadaję się do pracy w policji. Nie pasowałem do tej instytucji ani wtedy, ani w ogóle.

Lucy spuściła wzrok, żeby nie patrzeć mi w oczy.

– Tamtej nocy, gdy Jenny i Bobby zginęli w wypadkach, nie było cię w domu – odparła cichym głosem. – Po tym, co mi opowiedziałeś o strzelaninie w Teksasie... potrzebuję dowodu.

Muszę wiedzieć, że nie zrobiłeś tego, o co podejrzewa cię policja, że nie zabiłeś ani Bobby'ego, ani Jenny, ani Bóg wie kogo jeszcze. Sam wiesz najlepiej, że jeśli się nad tym głębiej zastanowić, sprawa nie wygląda dla ciebie zbyt różowo. Kto oprócz ciebie mógł wyprowadzić samochód z garażu, nie uszkadzając zamków ani w wozie, ani w bramie?

Na świecie jest mnóstwo mądrych ludzi, którzy zadają mądre pytania. Najpierw Madeleine, teraz Lucy.

– Na przykład ty – odparłem. – Ty mogłaś się włamać i zabrać samochód.

Lucy pokręciła głową.

– Tak właśnie myślałam. To ja mam zapasowe klucze do mieszkania, gdzie znajduje się dodatkowy klucz do twojego porsche.

Chrząknąłem w obawie, że Lucy przyzna się za chwilę do jakiejś niedorzeczności.

– Ale to nie ja włamałam się do twojego garażu – dokończyła zrezygnowanym tonem.

– Ja też nie – odparłem.

Lucy nabrała głęboko powietrza.

– Bardzo bym chciała ci wierzyć. Sam o tym wiesz.

Nie wierzyłem własnym uszom. Co ona wygaduje?

– Lucy... Musisz mnie wysłuchać. Ja naprawdę nie zabiłem tamtych ludzi. To przecież oczywiste. Jaki miałbyś motyw?

Lucy pochyliła się nad zlewem.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju... Co tobą kieruje, jeśli to ty jesteś zabójcą?

Czas zatrzymał się dla mnie w miejscu.

– Tamtego dnia, gdy do naszej kancelarii przyszedł Krom, który udawał Bobby'ego, nie było mnie w biurze – kontynuowała Lucy. – Pomyślałam, że może zacząłeś kłamać już wtedy, że od tamtego dnia stałeś się zakładnikiem Lucyfera, ale nie chciałeś mi o tym powiedzieć, a twoje zaangażowanie w sprawę Sary Teksas i zaginięcie jej syna są próbą zapewnienia sobie mądrego alibi.

Zaniemówiłem.

– Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas cię oszukiwałem? – spytałem.

– Nie dlatego, że chciałeś, tylko że musiałaś. I żeby mnie chronić.

– A co z porwaniem Belle? Jak to pasuje do twojej tezy?

– Byłeś opętany myślą odnalezienia Lucyfera. Chciałeś go zidentyfikować, żeby się pozbyć niebezpieczeństwa, jakie ci groziło z jego strony. Kiedy poleciliśmy do Teksasu, uznał, że znaleźliśmy się zbyt blisko niego. Porwał więc Belle i zmusił cię do rezygnacji z poszukiwań.

Brzmiało to całkiem logicznie. Pokręciłem głową.

– Kochanie, posłuchaj mnie uważnie. Ja...

– Mam na imię Lucy i słucham cię od bardzo dawna. Lepiej mi wyjaśnij, dlaczego pojechałeś do mieszkania tamtej kobiety, którą poznałeś w Klubie Prasowym i z którą poszedłeś do łóżka. Jak ona miała na imię? Veronica?

Czy właśnie tak wygląda prosta droga do piekła? Jest wykładana paskudnymi kłamstwami i poręcznymi teoriami na temat tego, jak sprawy wyglądają w rzeczywistości? Podjąłem kolejną próbę: postanowiłem powiedzieć Lucy prawdę.

– Pojechałem tam, bo nie mogłem się do niej dodzwonić. A dzwoniłem do niej dlatego, bo chciałem się z nią znowu przespać. Znowu.

Musiałem zrobić pauzę i usiąść na krześle w kuchni. Wydało mi się twarde i odpychające. Lucy słuchała mnie z płonąącym wzrokiem.

– Już kiedyś o tym rozmawialiśmy – kontynuowałem. – O tym, kim jestem i jak żyję. Jeśli chcesz, możemy wrócić do tej samej rozmowy, ale nie wiem, do czego nas to doprowadzi.

Oczy Lucy straciły poprzedni wyraz. Zauważyłem w nich coś nowego, co mnie przeraziło: zrezygnowanie i smutek

– Bo jesteś, jaki jesteś, prawda?

– Coś w tym stylu.

Po jej policzku spłynęła pojedyncza łza.

– Głupio się czuję w całej tej sytuacji – szepnęła.

Zrobiło mi się wstyd, i to bardziej niż kiedykolwiek w całym moim dotychczasowym życiu. Ale nie z powodu tego, co zrobiłem, tylko dlatego że nagle dotarło do mnie, kim tak naprawdę jestem i kim chciałem być.

Powoli wstałem z krzesła.

– Nasza obecna sytuacja... – zacząłem. – Razem mieszkamy, jesteśmy normalną parą. Już przez to przechodziliśmy i nie mam na myśli wspólnego mieszkania, tylko bycie parą. Niezbyt dobrze nam to wyszło. Życie rodzinne to nie nasza specjalność. To...

– Martin, przecież my nie mieszkamy teraz razem. My tylko udajemy rodzinę, bo próbujemy przetrwać koszarne piekło, w którym się znaleźliśmy, chociaż żadne z nas nie wie, jak do tego doszło!

– Przepraszam, bardzo przepraszam. Tyle dla mnie zrobiłaś, a ja zachowałem się podle. Ja teraz...

Lucy uniosła rękę.

– Nie chcę słyszeć żadnych fałszywych obietnic. Żadnych. Zrozumiałeś?

Skłoniłem głowę.

– Zgoda. Nie będę ci składał obietnic, bo najwidoczniej nie potrafię ich dotrzymać. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że cię kocham. Bardziej niż kogokolwiek innego. Nie ma takiej osoby...

Lucy znowu mi przerwała.

– Powiedz, że to nie ty zamordowałeś Bobby'ego, Jenny i pozostałe osoby.

W końcu coś.

– Przysięgam, że nie mam nic wspólnego z ich śmiercią.

Wydało mi się, że Lucy odetchnęła z ulgą. Najchętniej zrobiłbym to samo. Przypomniała mi się analiza dokonana przez Madeleine, chociaż sam w nią nie wierzyłem.

– Rozumiem, że ty też nie jesteś zamieszana w te zabójstwa? – spytałem.

Zapadła cisza. Poczulem wstyd.

– Ani trochę.

Potem staliśmy w milczeniu i spoglądaliśmy na siebie. Długo to trwało. Zbyt długo. W końcu wykonałem w jej stronę jeden niepewny krok. Lucy nie opierała się, kiedy ją objąłem.

– Kiedy to wszystko się skończy, będziemy musieli spróbować czegoś nowego – powiedziała. – A właściwie to ja będę musiała to zrobić. Inaczej stanę w miejscu. Czuję, że jestem z tobą zbyt mocno związana. To niezdrowa sytuacja.

Mocno ją objąłem. Poczulem, że jeśli mnie opuści, zginę.

– Ale zostaniesz ze mną do czasu, aż wszystko się wyprostuje? – spytałem, wtulając głowę

w jej włosy.

– Tak Ale nie dla ciebie, tylko ze względu na Belle i dla mojego dobra. Mnie też grozi niebezpieczeństwo ze strony Lucyfera. Nic nie zyskam, zostawiając cię teraz na lodzie.

Z pokorą przysłuchiwałem się jej słowom. Na nic lepszego nie zasługiwałem. Za to ona tak Uścisnęła mnie i odsunęła się ode mnie. Nie przeszkodziłem jej w tym.

– Nadal nie wiemy, czego chciała od ciebie Veronica – powiedziała Lucy.

– Być może chciała wydobyć ode mnie jakieś informacje?

– A czy próbowała cię o coś wypytać? Czy czułeś się tak jakby coś od ciebie wyciągała?

Nic takiego nie zauważyłem. Trzeba mieć talent, żeby umieć robić takie rzeczy. Ten, kto jest w taki sposób wykorzystywany, nie powinien się niczego domyślać.

– Po twoim wyjściu wydarzyło się kilka rzeczy – powiedziałem.

– Co takiego?

Nabrałem powietrza i powoli je wypuściłem.

– Dzwoniła do mnie dziewczyna na Eliasa Kroma. Powiedziała, że zaginęła.

Lucy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie dałem jej sobie przerwać.

– Dowiedziałem się też, że Veronica ma naprawdę na imię Rakel. To ona wyprowadziła Mio z przedszkola. Rozumiesz? Rakel, która uprowadziła Mio, to ta sama kobieta, którą poznałem w Klubie Prasowym.

Lucy opadła szczęka, ale ja i tym razem nie dałem sobie przerwać.

– Poprosiłem więc Borisa o przysługę, a mianowicie zleciłem mu włamanie do jej mieszkania.

Lucy zamknęła usta.

– Czy nadal chcesz ze mną zostać, kochanie? – spytałem. – Tak jak przed chwilą obiecałaś?

Wyglądała na wyczerpaną. Nic dziwnego: kilka godzin temu dowiedziała się przecież, że jej najlepszy przyjaciel zastrzelił człowieka i zakopał go gdzieś na pustyni.

– Nie cofnę się ani o krok – odparła.

Zapadł wieczór. Lucy siedziała na łóżku i czytała akta śledztwa w sprawie zaginięcia Mio. Wprawdzie wcześniej przejrzałem większą część materiału, ale nie chciałem jej martwić, że wykonuje niepotrzebną pracę. Niech już lepiej coś robi, zamiast siedzieć beczyennie. Ja miałem zupełnie inne plany. Po pierwsze, chciałem jakoś przetrwać noc i obronić się przed koszmarami, które na pewno wrócą wzbogacone o wydarzenia dzisiejszego dnia. Po drugie, miałem do przeprowadzenia trudną rozmowę telefoniczną. Dyskretnie wsunąłem telefon do kieszeni i wyszedłem na taras. Lucy poszła za mną.

– Dlaczego tu stoisz? – spytała.

– Chcę zadzwonić.

– To jakaś tajna rozmowa?

Przez chwilę się wahałem.

– Pomyślałem, że zadzwonię do starego kumpla w Houston. Nie daje mi spokoju, że to, co wydarzyło się tam i wtedy, może mieć coś wspólnego z tym, co dzieje się tutaj i teraz. Obawiam się, że przywiązujemy zbyt dużą wagę do tego, co powiedziała dziewczyna na Bobby'ego. Może w tej sprawie chodzi o coś innego?

Lucy zrobiła taką minę, jak gdyby chciała powiedzieć: „A czy ty w to wierzysz?”, ale się rozmyśliła. Tak to już jest, że nadzieja nigdy nie umiera i żadne z nas nie życzyło sobie, aby sprawa, w którą się wplątaliśmy, okazała się jeszcze bardziej przerażająca, niż była.

– Czy zdążyłeś przejrzeć listę osób zatrudnionych w przedszkolu, którą dla ciebie zdobyłam? – spytała Lucy.

Zrobiło mi się wstydy. Zupełnie mi to wyłeciało z głowy po rozmowie z Borisem.

– Przepraszam, ale nie miałem czasu.

Słowo „przepraszam” zaczęło się pojawiać zbyt często w naszym wspólnym życiu. Słynny film *Love story* pokazał, że miłość czyni to słowo bezużytecznym. Nie ma czego wybaczać i nie ma za co prosić o wybaczenie. Jest to utopia tak daleka od rzeczywistości, że powinno się zabronić ludziom szerszego rozwodzenia się na ten temat.

– Nie ma sprawy – odparła Lucy. – Chcesz zostać sam?

– Jeśli pozwolisz...

Lucy wróciła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi prowadzące na taras. Odprowadziłem ją wzrokiem, aż znikła w sypialni. Dopiero wtedy wyjąłem telefon, żeby zadzwonić do pewnego człowieka, chociaż nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał skontaktować się właśnie z nim.

W Szwecji była godzina wpół do dziesiątej wieczorem. Oznaczało to, że w Houston jest wpół do trzeciej po południu. Zamierzałem zadzwonić do byłego szefa posterunku policji, na którym pracowałem przed dwudziestu laty. Dyżurny, który odebrał mój telefon, miał sympatyczny głos. Policja powinna wzbudzać zaufanie obywatela, upewnić go w przekonaniu, że mu pomoże i nie będzie działać przeciwko niemu.

Podąłem zmyślane nazwisko i przedstawiłem moją sprawę.

– Chciałbym rozmawiać z komisarzem Joshem Taylorem, jeśli nadal u was pracuje.

– A o co chodzi?

– O pogrzbę pastora Parsona.

– Słucham?

Powtórzyłem, a dyżurny poprosił o numer telefonu i obiecał, że ktoś do mnie oddzwoni. Ktoś, a więc niekoniecznie Taylor. Po jego głosie domyśliłem się, że sam wierzy w to, co mówi. Na pewno jest tak, że do osób, które proszą o połączenie z konkretnym policjantem, oddzwania zupełnie inny funkcjonariusz. Ale tym razem sprawa nie była typowa, Taylor na pewno się domyśli, gdy dyżurny przekaże mu moją wiadomość.

Kiedy zastrzeliłem tamtego człowieka, razem z Taylorem wymyśliliśmy dla niego pseudonim. Zrobiliśmy to na wypadek, gdybyśmy kiedykolwiek musieli znowu porozmawiać o tej sprawie. Parson to nazwa firmy eksploatującej kiedyś pole naftowe, na którym zakopaliśmy trupa. Dodaliśmy do niej słowo „pastor”. Miałem nadzieję, że Taylor od razu się domyśli, jakie znaczenie ma w tym kontekście słowo „pogrzbę”.

Usiadłem i zacząłem czekać, aż oddzwoni. Od mojego wyjazdu z Teksasu nie kontaktowaliśmy się z sobą. Nie było powodu. Nie wiedziałem więc, czy Josh nadal tam pracuje. Chciałem się też dowiedzieć, jakie miejsce zajmuje w policyjnej hierarchii.

W chwili gdy wstałem, żeby pójść do kuchni po szklankę wody, zadzwonił telefon. Tak szybko? Spojrzałem na niego jak zaczarowany, jak gdyby nie rozumiał, dlaczego ktoś do mnie dzwoni. Przyслуchiwałem się kolejnym sygnałom i nie byłem w stanie wyciągnąć ręki, żeby odebrać. Co mam powiedzieć mojemu dawnemu przełożonemu? Jeśli to w ogóle on do mnie dzwonił. Taylor pracował przecież w skurumpowanej przez Lucyferę policji. W najgorszym wypadku Lucyfer był jego bezpośrednim przełożonym. Kto wie, może potężny szef gangu przekupił także jego?

W końcu ciekawość wzięła górę. Odebrałem.

– Słucham? – powiedziałem ochryplym głosem po szwedzku.

Na szczęście głos, który chwilę później usłyszałem w słuchawce, sprawił, że pozbyłem się wszelkich wątpliwości.

– Benner?

Tak, to był Taylor. Człowiek, który przyszedł mi z pomocą, gdy potrzebowałem tego

najbardziej.

– Dawno nie rozmawialiśmy – odparłem.

Przez chwilę panowała cisza.

– Nie powiem, żeby twój telefon sprawił mi radość – oznajmił Taylor.

– Uwierz mi, że ja też nie miałem ochoty na tę rozmowę.

Taras wydał mi się nagle statkiem kosmicznym oddalonym od reszty świata.

– Czy możesz rozmawiać? – spytałem.

– Tak, ale niezbyt długo.

– Właściwie chciałbym ci zadać tylko jedno pytanie. Ile osób wie o pogrzebie pastora

Parsona?

Taylor oddychnął ciężko do słuchawki.

– To delikatna sprawa – odparł. – Mogę mówić tylko za siebie. Nie pisałem o sprawie nikomu ani słowa.

Moja dłoń, która trzymała telefon, była już śliska od potu.

– A ja odnoszę wrażenie, że wie o niej więcej osób.

– No to mów, co się dzieje.

Uznałem, że to, czy Taylor należy do gangu Lucyfera, czy nie, nie jest istotne. Po raz pierwszy od spotkania z Ohlanderem postanowiłem opowiedzieć o wszystkim, co mnie spotkało, postronnej osobie. Wprawdzie Josh mnie uprzedził, że nie ma dla mnie zbyt dużo czasu, ale wysłuchał mojej historii do końca, chociaż trwało to dwadzieścia minut. Tak to bywa, gdy dwoje ludzi dopuści się wspólnie zbrodni. Nie chodzi o przyjaźń albo uprzejmość – każdy słucha dla własnego dobra, aby ratować własną skórę.

– Zginęli jeden po drugim: najpierw Bobby i Jenny, potem Fredrik, a teraz pewnie i Krom.

– Zginęli, żeby nie można było ustalić, kim jest Lucyfer? – spytał Taylor. – Wątpię.

Pokręciłem ze złością głową. Ja też byłem zdania, że do śmierci tych osób nie doszło z winy Lucyfera, a przynajmniej nie była to jedyna przyczyna. Okazało się, że mój dawny szef pracuje teraz w wydziale walki z przestępczością gospodarczą. Ale słyszał o Lucyferze i razem z innymi policjantami walczył kiedyś energicznie o to, aby położyć kres jego działalności.

– My już złapaliśmy Lucyfera – dodał Taylor. – Wprawdzie sąd skazał go tylko za jakies drobne przestępstwa, ale został zidentyfikowany.

Ponownie pokręciłem głową. Taylor nie miał racji i musiałem mu to uświadomić.

– To nieprawda – odparłem. – Nie złapaliście żadnego Lucyfera. Ale to możemy pominąć, bo Lucyfer nie jest tu najważniejszy. Najważniejszy jest Mio.

– A kto tak twierdzi? Ty czy Lucyfer?

– Ja tak twierdzę – odparłem, a ciszej dodałem: – I Lucyfer.

Usłyszałem, jak Taylor roześmiał się gorzko do telefonu.

– Do diabła, Martin, przecież stać cię na więcej. Chyba sam rozumiesz, że w to, co mówi Lucyfer, nie należy wierzyć? Przecież ty nawet nie wiesz, czy to z nim nawiązałeś kontakt. Pozwól, że wyrażę tu poważną wątpliwość. – Taylor przerwał na moment i po chwili wrócił do rozmowy: – Nieważne. Wygląda na to, że masz na karku niezwykle sprytnego prześladowcę. To, że zamordował Jenny i Bobby’ego, uważam w całym kontekście tej sprawy za drobiazg. Powiedz mi jednak, jak twoja nemezis znalazła tych innych, których wymieniał – Ohlandera i Kroma,

kóry być może nie żyje?

– Nie mam dobrej odpowiedzi na to pytanie. Krom bardzo się przestraszył po śmierci Bobby’ego. A Ohlander... Podejrzewam, że nie uwierzył we wszystko, co mu opowiedziałem, i dlatego postanowił na własną rękę znaleźć potwierdzenie mojej wersji.

– A wtedy pewne osoby, do których nie powinien się być zwracać, doszły do wniosku, że wie za dużo?

– Coś w tym stylu. Ale to tylko przypuszczenie. Zauważ jednak, że sprawa toczyła się dość szybko aż do jego śmierci.

Usłyszałem, jak Taylor mruknął coś do telefonu. Ujrzałem go oczami wyobraźni. Kiedy człowiek jest już dorosły, wzorzec ruchów, które wykonuje, się nie zmienia. Wyobraziłem sobie, że Taylor siedzi na krześle z jedną nogą założoną na drugą, ma na sobie zbyt krótkie spodnie i gładzi się dłonią po zarosniętej brodzie.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie martwi – powiedziałem.

– A mianowicie?

– Wiele śladów, które badam, prowadzi do policji.

– Ja też to zauważyłem, gdy słuchałem twojej historii. Jest całkiem prawdopodobne, że twój przeciwnik, Lucyfer, jest w to zamieszany w o wiele szerszym zakresie, niż ci się zdaje, i że udało mu się – choć nie wiem, jakim cudem – pozyskać pomocników w szwedzkiej policji.

– Sara twierdziła, że Lucyfer ma jakieś prywatne powiązania ze Szwecją.

– Ja bym podchodził do takich rewelacji dość ostrożnie.

Milczałem. Brakowało mi zawodowego doświadczenia Taylora, czułem się mały wobec jego ostrzeżeń i komentarzy.

– Twierdzisz, że człowiek, który został skazany po naszej akcji przeciwko gangowi, nie był Lucyferem – ciągnął Taylor. – W takim razie kto nim jest?

Wolałem nie odpowiadać na tak postawione pytanie. W mojej historii bowiem pominąłem pewien szczegół: że moim zdaniem Lucyferem może być szeryf Esteban Stiller z Houston. Stało to jednak w sprzeczności z tym, czego się dowiedziałem, gdy dostałem zdjęcie Mio: widoczny na nim chłopiec jest czarny. Jego mama była biała. Oznacza to, że ojciec chłopca miał ciemną karnację i to on jest Lucyferem. Stiller był biały.

– Nie wiem – odparłem.

Taylor chrząknął do słuchawki.

– Być może się starzeję, ale wyjaśnij mi, dlaczego dzwonicz do mnie i opowiadasz mi tę historię?

– Na razie jeszcze nie doszedłem do jej sedna – odparłem. – Do tej pory rozmawialiśmy o innych rzeczach. Czy pamiętasz, co ci opowiedziałem? Że Bobby przyszedł do mnie, bo podobno słyszał, jak w radiu rozmawiałem o Sarze?

– No i?

– Jego dziewczyna mówi, że kłamał. Przyszedł do mnie, bo chciał, żebyśmy sam dotarli do Szatana. Sara twierdziła, że ja i Lucyfer się znamy.

Jest taki rodzaj ciszy, który nie jest kłopotliwy, tylko uwalniający. Takie chwile zdarzają się

rzadko, ale podczas mojej rozmowy z Taylorem było ich wiele. Odnosiłem wrażenie, że są nie tylko uwalniające, ale także konstruktywne, a może nawet produktywne.

– I że sam zdołasz przstraszyć Szatana? – dopytywał się Taylor.

– Nie wprost. Powiedziała, że...

– ...że być może uda ci się do niego dotrzeć, bo cię nienawidzi i nazwał cię mordercą. Słyszałem to. Ale to ty się boisz, i to tak bardzo, że postanowiłeś do mnie zadzwonić. To, co powiedziała dziewczyna na Bobby'ego, wskazuje, że to ty masz przewagę, nie Lucyfer. Jeśli tak, to do jakich doszedłeś wniosków? Że zostałeś wciągnięty w tę sprawę z powodu pogrzebu pastora Parsona?

Część mojej świadomości burzyła się na myśl o tym, że nadal używamy tego określenia: pogrzeb pastora Parsona. Ktoś, kto nie żyje, zasługuje na to, żeby go nazywać po imieniu i nazwisku. Niestety na taki luksus nie mogliśmy sobie pozwolić, bo przecież ktoś mógł podsłuchiwać naszą rozmowę. Gdybyśmy wymienili jego nazwisko, sami moglibyśmy wpaść po uszy w gówno.

– Nie jestem pewien – odparłem. – Kto wie? A może jestem zwykłym paranoikiem? Ponieważ jednak dziewczyna na Bobby'ego tak powiedziała... Coś takiego uruchamia procesy myślenia, i to te najbardziej mroczne. Ja nie wierzę w przypadki i zbieg okoliczności.

Z ulicy dobiegało intensywne trąbienie samochodów. Sztokholm jeszcze nie chciał iść spać. Podobało mi się to.

– Przecież sam powiedziałeś, że nie było świadków tamtego wypadku – powiedział Taylor. – A uprzedzając twoje pytanie: tamtego człowieka zakopywało nas wtedy trzech.

Wypadek Nigdy bym tak nie nazwał tego, co zrobiłem.

– A ty? Czy tak jak ja też nigdy o tym nikomu nie opowiadałeś?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie powinniśmy sprawdzić, czy Tony nie puścił pary.

– Będzie to trudne, bo Tony nie żyje.

Tamtej nocy, gdy zabiłem człowieka, Tony był ze mną na patrolu. Wspomniałem Lucy, że Tony nie żyje.

– Nigdy go tak do końca nie znałem – powiedziałem. – Odnosiłem jednak wrażenie, że był dobrym człowiekiem i policjantem. Nie wyglądał na papłą.

– Ja też odnosiłem takie wrażenie.

Tony był wstrząśnięty tym, co się stało, równie mocno jak my. Kiedy stał ze szpadlem w ręce i pomagał nam zakopać trupa razem z naszą brudną tajemnicą, twarz miał twardą i zaciętą. Nie wiem, jak ja wtedy wyglądałem, ale prawdopodobnie żałośnie. Tak się też czułem.

– Czasem pewne formy rozmowy można określić innym słowem niż paplanina – dodał Taylor. – Nawet jeśli efekt końcowy jest taki sam.

– Nie rozumiem.

– Czy możesz powiedzieć z ręką na sercu, że nikomu innemu nie wyjawiałeś naszej tajemnicy?

Wyprostowałem się.

– Z ręką na sercu – odparłem. – Aż do dzisiejszego przedpołudnia nikt nie wiedział o tym, co się wydarzyło tamtej nocy.

– Do dzisiejszego przedpołudnia?

– Tak, bo dzisiaj opowiedziałem o wszystkim Lucy.

– Wytrwałeś dwadzieścia lat. Szacunek. Nie wszyscy są takimi twardzielami.

Z ulicy dobiegły nowe dźwięki. Tym razem mi przeszkodziły. Klaksony samochodowe, gwizdki. Brzmiało to tak, jak gdyby ulicą przechodziła grupa kibiców piłkarskich.

– Próbujesz mi coś powiedzieć? – spytałem. – A komu ty opowiedziałeś o tej sprawie?

– Mojej żonie.

Odpowiedź padła tak szybko, że poczułem zaskoczenie. Jak gdyby zwierzenie się z takich tajemnic ukochanej kobiecie było najbardziej oczywistą sprawą na świecie. A może tak właśnie jest? Może to ze mną coś jest nie tak?

– Aha. A komu innemu opowiedziała o tym twoja żona?

– Nikomu.

– Naprawdę? Opowiedziałeś jej o wszystkim, bo byłeś w szoku. To znaczy, że ona też była tym zszokowana i musiała zwierzyć się komuś innemu. Wydawało mi się, że zapewniałeś mnie, że nikomu innemu o tej sprawie nie wspomniałeś?

– Kiedy jej o tym opowiedziałem, o sprawie wiedzieliśmy już oboje. Dzięki temu mogliśmy się wzajemnie wspierać. Możesz być pewien, że nikomu innemu o niej nie opowiedziała.

Spojrzałem w ciemne niebo.

– Tony nie był żonaty, więc możemy wykluczyć, że się zwierzył żonie.

– Faktycznie. Ale za to miał trzech braci.

– I to oni się o wszystkim dowiedzieli?

– Teraz oczywiście snuję domysły, ale jeśli oprócz nas jest jeszcze ktoś, kto wie o pogrzebie pastora Parsona, to do przecieku mogło dojść właśnie z tej strony. Uważam jednak, że idziesz błędną drogą. Przynajmniej jeden z trójki braci jest policjantem w Houston. A gdyby się dowiedział o Parsonie, to na pewno i on trzy małby gębę na kłódkę.

Policjantem w Houston. Kolejne ewentualne powiązanie z Lucy ferem.

– Jak on się nazywa?

– Ten brat?

– Tak

– A po co ci ta informacja?

– Być może go znam.

– Żartujesz? Nie mieszkasz w Stanach od dwudziestu lat.

– Może był policjantem w tym samym okresie co ja?

– Nie, zaczął później. Poza tym pracował nie tylko w Houston. Karierę zaczynał w Dallas, tak mi się w każdym razie wydaje.

– Podaj mi jego dane. Być może miał coś wspólnego z Sarą.

– Już mi opowiedziałeś swoją historię, z nazwiskami i innymi szczegółami. Uwierz mi, gdybyś wymienił brata Tony'ego, podałbym ci jego dane. Ale nie zrobię tego, bo jest ci to do niczego niepotrzebne.

Nie mogłem się z tym zgodzić. Josh nie miał racji i dobrze o tym wiedział. Nie wymieniłem nazwisk wszystkich osób, które poznałem w związku ze sprawą Sary. Zwłaszcza nazwisk policjantów, którzy pracowali razem z Taylorem i z którymi się skontaktowałem.

– A dwaj pozostali bracia? – spytałem. – Czy oni też są policjantami?

– Nie, chociaż sam nie mam pojęcia. Wydaje mi się tylko, że jeden z nich jest właścicielem

kawiarni. O drugim nic nie wiem. Z tego, co Tony mi opowiadał, wynikało, że nie utrzymywał stosunków ze swoją rodziną.

– Mimo to zasugerowałeś, że mógł się zwierzyć któremuś z nich.

– Wyraziłem się niezręcznie. Tony miał właściwie trzech braci, ale tylko dwaj byli mu bliscy. Na trzecim jakoś się zawiódł. Brat Tony 'ego, który był policjantem, powiedział mi o tym, gdy spotkał się po jego śmierci. Zabrzniało to tak, jak gdyby ten trzeci brat zdradził swoją rodzinę w haniebny sposób. Na pogrzebie Tony 'ego też się nie zjawił.

– A jak przeżył śmierć Tony 'ego?

– Ciężko, bardzo ciężko.

Próbowałem zebrać myśli, ale nie było to łatwe.

– A ten trzeci brat, który ich tak zawiódł... czy mógł się czegoś dowiedzieć od Tony 'ego, zanim stali się wrogami?

– A co to ma za znaczenie? Daj sobie z tym spokój.

Jak wyjaśnić, że doznało się olśnienia i trzeba za nim podążyć? Jak wyjaśnić to, co przestaje być racjonalne?

– Powiedz mi, jak on się nazywa.

– Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Po prostu nie wiem.

– A ten, który jest policjantem?

– Minutę temu zadałeś mi to samo pytanie. Odpowiedź brzmi: „Nie, nie i jeszcze raz nie”.

A teraz wybaczyć muszę już kończyć. Mam zaraz spotkanie.

Usiadłem na krześle.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczny, że poświęciłeś mi tyle czasu – powiedziałem.

– Nie ma sprawy. My, policjanci, powinniśmy sobie pomagać. Inaczej się nie da. Ale nie dzwoń już do mnie. Nie chcę być zamieszany w twoje sprawy.

Czy w tych kilku krótkich zdaniach kryła się krytyka skierowana pod moim adresem? Wprawdzie wystąpiłem w policji i zostawiłem kolegów, ale obowiązuje też stara zasada, która brzmi: „Kto raz został policjantem, ten będzie nim do końca życia”.

– Dziękuję – odparłem.

Chciałem się rozłączyć, gdy nagle Taylor powiedział:

– To ciekawe, że nigdy nie przyszło ci na myśl, że jednak mogą istnieć jacyś świadkowie.

Zastygłem w pół ruchu.

– Świadców czego?

– Twojego grzechu. Wy padł.

Pokręciłem głową.

– Już o tym rozmawialiśmy – odparłem. – Nie było żadnych świadków. Byliśmy tam wtedy sami.

– Skąd wiesz? Nie twierdzą, że jacyś byli, tylko że mogli być.

Zrobiło mi się sucho w ustach.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Minęło dwadzieścia lat. Gdyby tacy świadkowie byli, wiedzielibyśmy o tym.

– Naprawdę?

Przełknąłem głośno ślinę.

– Jeszcze raz dziękuję za pomoc – powiedziałem.

Rozmowa dobiegła końca, ale ja zostałem na tarasie. Nigdzie nie widziałem Lucy. Wieczór był ciepły i gdyby sytuacja była inna, zaprosiłbym ją na lampkę wina. Ale nie teraz, bo postanowiłem zrobić coś innego.

Podjąć jeszcze jedną próbę.

Ponownie zadzwoniłem na centralę policji w Houston, podałem zmyślane nazwisko i przedstawiłem swoją sprawę.

– Jestem znajomym policjanta, który przed laty został postrzelony na służbie. Nazywał się Tony Baker. Zbliżają się jego urodziny i chciałbym wysłać jego rodzinie bukiet kwiatów. Z tego co wiem, Tony miał brata, który też pracuje w policji. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak się nazywa? Chciałbym być pewien, że kwiaty trafią do właściwej osoby.

Brat Tony'ego nazywał się Vincent Baker i pracował na posterunku policji w jednej z większych dzielnic Houston. Z tego co pamiętam, jego nazwisko nigdy nie obito mi się o uszy. Moje rozważania przerwało pukanie do szklanych drzwi prowadzących na taras. To Lucy starała się w ten sposób zwrócić moją uwagę. Pomachałem jej ręką. Energicznie, żeby wiedziała, że chcę być blisko niej.

– Szybko skończysz? – spytała, wychodząc boso na taras.

Uważam, że Lucy ma najzgrabniejsze stopy, jakie kiedykolwiek widziałem u kobiety.

– Za chwilę – odparłem.

– Dowiedziałeś się czegoś ważnego?

– Całkiem możliwe – odrzekłem zgodnie z prawdą.

Świadkowie. Jestem przekonany, że nie było żadnych świadków. Przecież przeszukaliśmy każdy skrawek terenu i nikogo nie znaleźliśmy.

Zrobiło się chłodno, Lucy poczuła dreszcze.

– Kiedy będzie już po wszy stkim, wyjadę stąd jak najdalej – oznajmiła.

– Czy mogę pojechać z tobą?

Nie odpowiedziała. W tym momencie znowu zadzwonił telefon. Sygnał brzmiał inaczej, bo dochodził z innego aparatu niż ostatnim razem.

Boris.

Lucy została na tarasie i przysłuchiwała się naszej rozmowie.

– Martin – powiedziałem.

– A to ja – odparł Boris.

– Widzę, że jeszcze nie wyjechałeś.

– A skąd wiesz? Zadzwoić można z każdego miejsca.

– Mądrała z ciebie.

Boris westchnął zrezygnowany. Uważał mnie za ofertę, ale nie zamierzałem protestować. Nikt nie jest w stanie utrzymać się w wysokiej formie przez cały czas.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, poprosiłeś mnie o pewną przysługę – przy pominięciu mi Boris. Przysługę? Mowa była o włamaniu, bo sam bym się na coś takiego nie odważył.

– Zgadza się.

– Jak sztybko mógłbyś się zjawić w Tyson’s Bar? To taki lokal w Solnie.

Zawahałem się. Nie odpowiadała mi ta propozycja, bo bar znajdował się w tej samej dzielnicy, gdzie doszło do przestępstwa.

– Za jakieś dwadzieścia minut. Czemu pytasz?

– Czeka tam na ciebie Marie.

– Jaka Marie?

– To ona wyświadczyła ci przysługę, o którą mnie prosiłeś. Marie chętnie ci opowie, jaki był jej wynik

Oblałem się zimnym potem. Nie wiem dlaczego, ale myślałem, że do przekazania tych informacji dojdzie inaczej.

– A więc coś znalazła?

– Tego będziemy pewni dopiero, gdy sam to od niej usłyszysz i uznasz, czy ci się to do czegoś przyda. Moim zdaniem jednak odpowiedź brzmi „tak”, Marie coś znalazła.

– W porządku, będę tam najpóźniej za pół godziny.

– Powiedziałaś: dwadzieścia minut.

– Maksymalnie trzydzieści.

– Marie jest niecierpliwa. Nie będzie czekała ani sekundy dłużej.

– Postaram się nie spóźnić. Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co.

Rozłączyłem się.

– Co zamierzasz? – spytała Lucy.

Czy kiedykolwiek będę miał jeszcze choć trochę czasu na odpoczynek i zastanowienie? Żebym się mógł odprężyć i poleniuchować? Mówię o rzeczach, które w życiu, jakie prowadziłem jeszcze do niedawna, były dla mnie ważne.

– Muszę wyjść w pewnej sprawie – odparłem. – Wygląda na to, że Boris znalazł coś w domu Rakeł.

Zaufanie buduje się latami. Proces ten może trwać krócej, jeśli zachodzą szczególne okoliczności. Weźmy na przykład grupę ludzi, którzy utknęli w windzie: jeżeli się okaże, że będą musieli zostać w niej dłużej, powinni jak najszybciej zacząć darzyć się zaufaniem. Podobnie było z Borisem. Wyglądało to tak, jak gdybyśmy obaj utknęli w tej samej windzie, przy czym ja znalazłem się w niej z własnej woli.

Na początku miałem wybór. Mogłem się go pozbyć, gdy zjawił się w moim biurze, ale nie zrobiłem tego. Mogłem go też wyrzucić później, gdy zdradził mi powód swojej wizyty. Ale i tego nie zrobiłem. W ten sposób powstały między nami szczególne więzi, których później nie dało się rozplątać, i pewien kapitał zaufania. Kiedy więc Boris wysłał mnie do obskurnego baru w Solnie, po prostu wsiałem w samochód i pojechałem tam. Uznałem to za rzecz całkiem normalną.

– Uważaj na siebie – powiedziała Lucy.

Miałem już po dziurki w nosie takich zaleceń. Przecież to nieważne, co robię. I tak przez cały czas jestem narażony na niebezpieczeństwo.

Jechałem przez miasto i słuchałem muzyki. Najpierw Bruce'a Springsteena, potem Iggy'ego Popa. Muzyka to balsam, którego potrzebuje każdy człowiek, żeby mógł jakoś funkcjonować. Staram się wpajać Belle takie przyzwyczajenia. Muzyka jest ważna, podobnie jak książki. Wszystko, co przenosi nas do alternatywnej rzeczywistości – na przykład muzyka i książki – jest pożyteczne i dobre.

Samochód zaparkowałem kilka przecznic od baru, w którym miałem się spotkać z Marie. Nie wiedziałem, jak wygląda przyjaciółka Borisa, ale uznałem, że to bez znaczenia – Marie na pewno musiała wiedzieć, jak ja wyglądam.

Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Kiedy wszedłem do baru, przy jednym ze stolików stojących w dyskretnym miejscu ujrzałem kobietę, która pomachała mi ręką. Na mój widok barman zawołał:

– Nie przyjmujemy już zamówień! Zamykamy za pół godziny!

– Dziękuję – odparłem. – Teraz już wiem.

Jeśli ktoś nie chce zostać zapamiętany, nie powinien się niczym wyróżniać. Na przykład wkładać rzucającego się w oczy ubrania, dawać zbyt dużego albo zbyt małego napiwku, zachowywać się zbyt hałaśliwie. W tym barze wszystko poszło na odwrót. Byłem jedyną osobą w eleganckiej kszuli i żaden z gości nie był tak zadbany jak ja. Niestety, kiedy zamknąłem za sobą drzwi i wszedłem do środka, nie mogłem już nic zrobić. Było już za późno, aby temu zaradzić. Kiedy podszedłem do stolika, kobieta wstała z krzesła.

– Marie – powiedziała, podając mi rękę.

– Martin.

Oboje usiedliśmy.

– Gdybyś nie był tak ważny dla Borisa, jak najwidoczniej jesteś, na pewno już byś nie żył – zaczęła Marie.

Marie wypowiedziała to zdanie tak rzeczowym tonem, jak gdyby komentowała pogodę.

– Naprawdę? – spytałem.

– Jeśli ktoś ma do wykonania tak paskudną robotę jak ja wczoraj, powinien wykonać ją sam albo z niej zrezygnować. Zapamiętaj to sobie.

O czym ona gada?

– Rozumiem, że wiedziałeś, co znajdę po wejściu do środka.

Pokręciłem głową.

– Na tym polegał problem – odparłem. – Ja naprawdę nie wiedziałem, co znajdziesz w tym domu. To dlatego wolałem, żeby ktoś tam poszedł i go przeszukał. Chciałem się upewnić, czy znajdę tam ślady obecności dziecka.

– Ślady obecności dziecka... – powtórzyła Marie, kręcąc głową.

Włosy miała długie, związane w koński ogon. Brak makijażu, rzęsy tak jasne, że prawie przezroczyste, nos pokryty piegami, niebieskie oczy. Zafascynowany jej widokiem zastanawiałem się, jakim cudem znalazła się w najbliższym kręgu Borisa. Nie przypominała nikogo, kto się w nim znajdował. Nie wyglądała też na twardą i brutalną. Ale nie znałem przecież wszystkich ludzi należących do jego gangu.

– W takim razie przystąpmy do rzeczy – zaproponowała Marie. – Zacznijmy od śladów po

dzieciach.

Z torebki wyjęła telefon. Skupionym wzrokiem spjrzała na wyświetlacz i wcisnęła kilka klawiszy na klawiaturze.

– Popatrz – powiedziała. – To jeden z dwóch śladów po dziecku.

Spojrzałem na zdjęcie i zobaczyłem na nim opakowanie z lekarstwem. Stesolid – roztwór używany na przykład do przeciwdziałania skurczom.

– A co to ma wspólnego z dziećmi? – spytałem.

– Powiększ zdjęcie – odparła Marie.

Zrobiłem, jak kazała. Teraz niektóre szczegóły stały się wyraźniejsze. Przesunąłem palcem po ekranie i przyjrzałem się bliżej opakowaniu z lekarstwem. Dopiero teraz ujrzałem to, czego nie dostrzegłem wcześniej: sposób dawkowania. Przeczytałem na głos:

– Dzieci o wadze od pięciu do dwunastu kilogramów – wiek od około trzech miesięcy do dwóch lat – pięć miligramów. Dzieci o wadze powyżej dwunastu kilogramów – powyżej drugiego roku życia – dziesięć miligramów. Dorośli: dziesięć miligramów.

Drugie zdanie było podkreślone długopisem.

– Czy tamto dziecko chorowało na epilepsję albo jakieś inne schorzenie, w którym występują drgawki i skurcze? – spytała Marie.

– Nie mam pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą.

Była jednak pewna rzecz, którą chciałem jak najszybciej sprawdzić. Kiedy Mio zaginął, miał cztery lata. Lek niekoniecznie muszą świadczyć, że chorował na padaczkę. Mogło przecież chodzić o zwykłe dreszcze gorączkowe. Belle przeszła przez coś takiego, gdy miała dwa lata. Myślałem wtedy, że umrze na moich oczach. Wspomnienie tego, co się wtedy wydarzyło, sprawiło, że natychmiast zwróciłem Marie telefon.

– Na opakowaniu nie było nazwiska? – spytałem.

– Niestety nie. Ktoś je wymazał.

– A nazwisko lekarza, który wypisał receptę?

– Było na tej samej karcie, więc też zostało wymazane. Pudełko leżało w szafce w łazience, znalazłam w nim tylko dwie gruszki do robienia lewatywy.

– Co jeszcze masz? – spytałem, próbując ukryć zniecierpliwienie. – Powiedziałaś, że znalazłaś dwa ślady po dziecku.

Marie znowu wzięła telefon do ręki.

– Mam jeszcze to zdjęcie – odparła.

Fotografia przedstawiała parę żółtych kałoszy.

Od razu przypomniałem sobie, co mi opowiadała kobieta, która przedstawiła się jako Susanne. Że widziała przez okno, jak kilka osób wyprowadza chłopca z terenu przedszkola. Podwórze było słabo oświetlone, ale w blasku ulicznych latarni zauważyła, że Mio ma na nogach żółte gumowce.

Poczułem, jak puls mi przyśpiesza. Po raz pierwszy udało mi się wyjść poza niepewne teorie i wątpliwe świadectwa. Miałem przed sobą konkretny dowód, który stanowił potwierdzenie tego, co usłyszałem od świadka pragnącego zachować w tajemnicy swoje prawdziwe nazwisko.

– Jaki to rozmiar? – spytałem.

– Dwadzieścia sześć. Znalazłam je w garderobie, na samym dole.

Jeden rozmiar większe od tych, które nosi Belle.

– Jak wyglądała reszta domu? Czy cokolwiek wskazywało, że ktoś tam mieszka?

Marie skinęła głową.

– Oczywiście. W koszu na bieliznę leżało brudne ubranie, pod zlewozmywakiem stał kubeł ze śmieciami. Na pewno były świeże, bo nie śmierdziały.

Kiedy poszedłem tam w porze lunchu, dom stał pusty. Nie było w nim nikogo także wtedy, gdy włamała się do niego Marie.

– Do kogo należały ubrania: do mężczyzny czy do kobiety?

– Wszystkie miały kobiece rozmiary. W garderobie stało też kilka par pantofli na obcasie.

– A ubrania dla dzieci?

– Ani jednej sztuki, z wyjątkiem tych kałoszy.

Dyskretnie zerknąłem na zegarek. Zależało mi, żeby nie tkwić tu zbyt długo.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłaś – powiedziałem. – Poinformuję o tym Borisa, żeby cię odpowiednio wynagrodził za to, co zrobiłaś. A teraz...

– Jeszcze nie skończyłam.

Marie wypowiedziała te słowa cichym, acz stanowczym tonem.

– Czy pamiętasz, co powiedziałam, gdy wszedłeś do baru?

Oczywiście, że tak, chociaż wolałbym o tym zapomnieć.

– Wspomniałaś coś o paskudnym zleceniu.

I o tym, że nie powinienem już żyć, ale tego już nie powiedziałem.

– Czy ktoś wiedział, że zamierzasz włamać się do tego domu? – spytała Marie. – Odpowiedz szczerze.

Przez chwilę się zastanawiałem, czy Marie jest uzbrojona. Na szczęście obie ręce trzymała na stole. Paznokcie miała krótko przycięte, pomalowane lakierem.

– Nikomu nie pisałem ani słowa. Wiedział tylko Boris.

Nie powiedziałem nawet Lucy, dodałem w myślach.

– Nie udałoby mi się włamać do środka bez pozostawienia śladów – kontynuowała Marie. – Dlatego postanowiłam wejść na rympał. Szkody są dość znaczne, bo chciałam, żeby to wyglądało na robotę amatora.

– Rozumiem – odparłem, żeby tylko coś powiedzieć.

Ja bym tego tak nie zrobił. Lepiej, żeby okoliczności włamania wskazywały, że dokonał go jakiś narkoman.

– Z oczywistych względów zachowywałam się tak, aby nie zostawić żadnych śladów, które mogłyby naprowadzić policję na mój trop. Policja na pewno zwróci uwagę, że włamywacz, który dostał się do środka w tak prymitywny sposób, nie pozostawił odcisków palców, włosów ani żadnych innych śladów.

Marie wzruszyła ramionami, a ja skinąłem głową na znak, że podążam za tokiem jej myślenia.

– Wyszło, jak wyszło – podsumowała Marie. – Zrobiłam to jak najlepiej. Ogólnie rzecz biorąc, poszło całkiem dobrze, abstrahując od niemiłej niespodzianki, która czekała na mnie w salonie.

Nieświadomie zacząłem się wiercić na krześle.

– To znaczy?

Marie pochyliła się w moją stronę. Przysięgam, że mogłem policzyć jej wszystkie piegi na nosie.

– Źle to wyglądało – stwierdziła.

Rozłożyłem ramiona w szerokim geście.

– Wyduś w końcu, do cholery, co poszło nie tak – powiedziałem.

Marie po raz trzeci sięgnęła po telefon i podsunęła mi go pod samą twarz.

– Znasz go? – spytała.

Instynktownie odsunąłem się od telefonu, bo na wyświetlaczu ujrzałem blade oblicze Eliasa Kroma. Przez całe jego gardło biegło długie, głębokie czerwone cięcie, bardzo dobrze widoczne na zdjęciu.

A więc Krom też nie żył. Od razu poczułem się dziwnie samotny.

W mojej głowie zrodziła się nowa myśl: jeśli wszystkie osoby, które poznałem przy okazji tej sprawy, ginęły tylko dlatego, że zbyt dużo wiedziały, to dlaczego ja nadal żyłem?

Czego jeszcze nie zrozumiałem?

CZĘŚĆ 4

„Nie włosy”

**ZAPIS WYWIADU Z MARTINEM BENNEREM (MB)
PROWADZĄCA WYWIAD: KAREN VIKING (KV), NIEZALEŻNA DZIENNIKARKA
MIEJSCE ROZMOWY: SZTOKHOLM**

MB: Kolejna ofiara?

MB: Tak

KV: Mój Boże! Ile ich jeszcze było?

MB: Zależy, jakna to spojrzeć.

KV: Wspomniał pan o Kromie, którego zwłoki Marie znalazła w domu Rakel. Jakże wyciągnął pan wnioski z tego zdarzenia?

MB: Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, jak się do niego odnieść. Jeden wniosek nasuwał się sam: Rakel była kluczową postacią w całej tej historii. Czułem, że nie nadążam za rozwojem wypadków. Przecież Krom ją znał. Czyżby zjawił się u niej, żeby znaleźć schronienie, i tym samym wdepnął w gniazdo szerszeni? Nie wiem.

(milczenie)

KV: A pańska rozmowa z Taylorem?

MB: To znaczy?

KV: Czy coś panu dała? Co zrobił pan potem?

MB: Wydarzyło się mnóstwo rzeczy, i to w tym samym czasie. Do każdej z nich musiałem się zabrać po kolei.

KV: Co uznał pan za najważniejsze?

MB: Ze wszystkich stron słyszałem, że najważniejszy jest Mio i że jeśli go znajdzie, wszystko się ułoży. Niestety, moje wątpliwości związane z tą sprawą stale rosły. Niby dla łogo wszystko miało się ułożyć? Na pewno nie dla niego, bez względu na to, gdzie wtedy przebywał.

KV: Może u Rakel?

MB: Niewykluczone, ale nawet jeśli, to konkretnie gdzie? Uznałem za mało prawdopodobne, aby za wszystkim, co się wydarzyło, stała tylko ona. Po tym, jak Marie przeszukała jej dom, byłem przekonany, że Mio przebywa gdzie

indziej.

KV: Razem z Rakel?

MB: Z kimś, kto był w tę sprawę zamieszany.

(milczenie)

KV: W takim razie porozmawiajmy o Kromie, któremu ktoś poderżnął gardło.

MB: To bardzo ciekawy temat.

KV: Bo?

MB: Bo Krom zginął.

KV: Jakto? Przecież zginął wcześniej?

MB: No i zrobił to ponownie.

Czwartek

Co teraz zrobimy? – spytała Lucy, gdy opowiedziałem jej o Kromie.

– Nic.

– Nie powiadomisz policji?

– A co mam im powiedzieć? Że jego zwłoki znalazł w łamy wacz, którego wynająłem?

Lucy nie odpowiedziała. Wypiliśmy resztę wina i poszliśmy się położyć.

– Co Krom robił w domu Rakel? – spytała Lucy, gdy zgasiłymi światło.

– Nie wiem.

– Znali się?

– Mhm... Ale strasznie dawno temu.

– Czy twoim zdaniem to ona go zamordowała?

– Powinienem ci odpowiedzieć „oczywiście!”, ale nie jestem tego taki pewien.

– Rozumiem. Leżenie w jednym łóżku z kimś, kto jest niebezpieczny, to trudna sprawa.

Tego wieczoru pozwoliłem, żeby to Lucy miała ostatnie słowo. Zasłużyła na to. Byłem już tak zmęczony, że od razu zasnąłem i spałem jak zabity. Nie wiem, jak to się stało. Może byłem kompletnie wyczerpany albo zszokowany? Może czułem ulgę, że w końcu opowiedziałem Lucy o tym, co się wydarzyło w Teksasie przed dwudziestu laty? Chyba tylko Bóg (a może i Szatan) wiedział, jak bardzo chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co przekazała mi dziewczyna na Bobby'ego. Niestety, nie mogłem tego zrobić, bo mogłoby to stanowić śmiertelne zagrożenie dla Belle i Lucy, a prawdopodobnie także dla mnie. Poza tym zaistniał nowy fakt, na którym musiałem skupić uwagę: człowiekowi, którego poznałem nie tak dawno, ktoś poderżnęła gardło.

Spałem tak twardo, że nawet nie słyszałem, że Belle obudziła się w środku nocy i zaczęła

plakać. Lucy opowiedziała mi o tym dopiero rano.

– Nic się nie stało – uspokajała mnie. – Potem znowu zasnęła.

Czy w tamtym okresie poradziłbym sobie bez niej? Zacząłem się zastanawiać nad czymś, co zrozumiałem podczas naszego pobytu w Teksasie, a mianowicie, że Lucy chce mieć dziecko. W tamtym okresie i w ówczesnych okolicznościach nie było mi to głowie. Najpierw musiałem zapewnić bezpieczeństwo dziewczynce, którą adoptowałem.

Jedząc śniadanie, przeglądałem na laptopie internetowe serwisy informacyjne. Niestety, nie znalazłem ani jednej wzmianki o tym, że w Solnie znaleziono człowieka z poderżniętym gardłem. Lucy zajrzała mi przez ramię.

– Może Rakel nie zdążyła jeszcze wrócić do domu i nie znalazła go – mruknęła mi do ucha.

Jakby to było oczywiste, że Rakel nie miała z tym zabójstwem nic wspólnego.

Zerknęliśmy na Belle. Karmiła kaszką swoją lalkę i nie zwracała na nas uwagi.

Pokręciłem głową. Powinniśmy przestać tracić czas na duperele. To oczywiste, że Krom nie zginął przypadkowo. Nieprzypadkowo jego ciało znalazło się w domu Rakel. Była to dla mnie bardzo niezręczna okoliczność.

Lucy zawiozła Belle do przedszkola, a ja pojechałem rowerem do biura. Jeszcze raz przejrzałem uważnie wszystkie internetowe serwisy informacyjne, ale nadal nie było w nich ani jednej wzmianki o śmierci Kroma. Zaczęło mnie to niepokoić. Znalazienie trupa to kwestia czasu. Potem policja zaczęła szukać sprawcy.

Jakiś głos uparcie mi podpowiadał, że poszedłem do łóżka z zabójczynią. Pytanie brzmiało, czy ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało. Znowu. Byłem tak zdenerwowany, że postanowiłem zadzwonić do dziewczyny Kroma.

– Jak minęła noc? – spytałem. – Czy ma pani jakieś wieści od Eliasa?

Nie miałem innego wyjścia i musiałem jej zadać to pytanie.

– Nie – odparła kobieta. – Odchodzę od zmysłów.

Ja też się tak czułem, ale nie z powodu zaginienia Kroma, tylko dlatego, że wiedziałem już o jego śmierci. Zacząłem się zastanawiać, jakim cudem Marie znalazła go w domu, który sprawiał wrażenie pustego. Kto go tam podrzucił? Przecież zabójcy nie układają zwłok na samym środku salonu, tylko próbują się ich pozbyć. Marzyłem o tym, żeby pojechać do Solny i obejrzeć dom. Niestety, było to niemożliwe. Już raz ktoś mnie tam zauważył – o jeden raz za dużo. Gdybym znowu tam pojechał i zaczął się kręcić wokół domu, równie dobrze mógłbym się zgłosić na policję i przyznać do morderstwa. Nie miałbym szans, żeby się wykręcić od podejrzeń.

Pod warunkiem że Krom nadal tam leżał.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać i zadzwoniłem do Borisa. Chciałem go poprosić, żeby jeszcze raz wysłał Marie albo kogoś ze swoich ludzi do Solny. Niestety, Boris nie odbierał. Zniecierpliwiony oczekiwaniem bębniłem palcami po biurku. Czułem, że zaraz zwariuję.

Przypomniały mi się informacje o opiekunkach z przedszkola zebrane przez Lucy. Wyjąłem z aktówki kopertę, którą mi dała. Włożyłem ją tam przed wyjściem z domu. Niezdarnym ruchem wysunąłem z niej plik kartek Lucy potraktowała moją prośbę ambitnie. Na podstawie policyjnych akt ustaliła dane personelu i aktualne miejsca zamieszkania poszczególnych osób. Żadna z nich nie zmieniła adresu, choć niektóre pracowały już gdzie indziej. Dokładnie zapoznałem się ze wszystkimi dokumentami, ale nie było wśród nich zdjęcia Mio. To zrozumiałe. Sara świadomie nie wyrobiła mu paszportu, żeby ojciec chłopca nie mógł go wywieźć z kraju.

Próbowałem ustalić, kim jest tajemnicza Susanne, ale na próżno. Doszedłem do wniosku, że może nią być każda z kobiet patrzących na mnie z fotografii leżących na biurku. Jediną osobą, którą rozpoznałem, była Rakel Minnhagen.

– Dziewczy no – powiedzialem cichym głosem. – Czego ty ode mnie chciałaś?

Lucy sprawdziła dane meldunkowe wszystkich osób, w tym także Rakel. Nie zdziwiło mnie, że nadal była zameldowana w Solnie. W zeszłym roku mieszkała w dzielnicy Årsta. Czytałem te informacje ze zmarszczonym czołem. Po pierwsze dlatego, że Rakel była tam zameldowana przez niecałe trzy miesiące na przełomie lata i jesieni. Po drugie, bo w tamtej okolicy stoją głównie letnie domki i nie ma tam sieci wodno-kanalizacyjnej. Domek, w którym mieszkała, stoi przy ulicy Arkitektvägen. W miarę jak zagłębiałem się w tekst, zmarszczki na moim czole coraz bardziej się pogłębiały. Kiedyś byłem w Årście na imprezie, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy to było. Dziesięć lat temu? A może sto?

Zadzwońm do Lucy.

– Czy byłaś ze mną na imprezie w Årście? – spytałem.

Lucy mogła okazać zdziwienie wobec tak dziwnego pytania, ale nie zrobiła tego. Przestaliśmy już reagować na takie pytania i zachowania.

– Nie przypominam sobie – odparła Lucy. – Ale zaraz, coś mi świta. Czy to nie wtedy, gdy jeden z twoich kolegów z roku zaprosił nas na grilla? Wszystkim gościom obiecał nocleg, a skończyło się na tym, że ja i ty spaliśmy w hamaku.

– Zgadza się – potwierdziłem.

To była okropna impreza. Spośród wszystkich moich kolegów z roku żaden nie był takim sknerusem jak ten, o którym mówiła Lucy. Nazywał się Herman Nilson i był bufonem, który później został zdolnym prawnikiem specjalizującym się w nieruchomościach. No cóż, tacy ludzie też są potrzebni.

Lucy zjawiła się w biurze krótko po mnie. Pracę rozpoczęła od tego samego co ja, to znaczy od przeglądu internetowych serwisów informacyjnych.

– Nadal nic – powiedziała.

– Fakty cznie – potwierdziłem sztywnym tonem.

Bałem się chwili, gdy policja znajdzie zwłoki Kroma. Bałem się tego, co to oznacza dla mnie.

Rakel Minnhagen. Czy to ona stoi za wszystkim? A jeśli tak, czy działała sama? Uznałem, że to błędne założenie, że istniało kilka innych tropów, którymi należy podążyć. Odnalazłem kobietę, która wyprowadziła Mio z przedszkola, ustaliłem, gdzie mieszka, ale chłopca tam nie było. Za to na środku salonu leżał martwy Krom.

Został mi już tylko adres w Årście. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko zbadać ten trop. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego wybrałem akurat ten wątek. Bo byłem tam na imprezie przed dziewięćmi laty? Zadzwońm do wydziału geodezji i spytałem, kto jest właścicielem nieruchomości, w której zameldowana jest Rakel Minnhagen. W odpowiedzi usłyszałem nazwisko, które nic mi nie mówiło.

– Obecny właściciel nabył tę nieruchomość dopiero w grudniu – dodała urzędniczka.

– Czy może pani sprawdzić, kto był poprzednim właścicielem? – spytałem.

– Oczywiście. Pan Herman Nilson.

Przez dłuższą chwilę siedziałem w milczeniu. Co to znaczy, że Rakeł była zameldowana – a może nawet mieszkała – w domu należącym do mojego dawnego kolegi z roku, który nigdy nie był moim bliskim przyjacielem i z którym nie widziałem się od wielu lat? Miałem nieodparte wrażenie, że odpowiedź jest w zasięgu ręki. Musiałem coś przeczytać. Coś ważnego.

W tym momencie zadzwonił telefon. Z początku nie rozpoznałem numeru i postanowiłem nie odbierać. Doszedłem do wniosku, że limit niespodzianek na ten dzień właśnie się wyczerpał.

– Martin Benner – powiedziałem jednak do słuchawki.

– Mówi Jocke z warsztatu samochodowego. Chcę spytać, kiedy pan wpadnie po swój wóz.

Zakaszlałem i odpowiedziałem tonem, w którym kryły się zarówno pokora, jak i autorytaryzm.

– Dobrze, że pan dzwoni – odparłem. – Nazbierało mi się trochę ważnych spraw, więc chciałbym spytać, czy mój wóz mógłby jeszcze powstać w waszym warsztacie? Na przykład do poniedziałku w przysłym tygodniu?

Nie chciałem patrzeć na moje porsche, nie chciałem go nawet mieć w pobliżu.

– Niestety to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Byłoby to sprzeczne z polityką naszej firmy. Samochody po przeglądzie należy odbierać. Wynika to z zapisu w polisie ubezpieczeniowej.

– Rozumiem – odparłem. – Jeśli chodzi tu o jakieś dodatkowe wydatki, to oczywiście wszystko wam zwrócę. Zaopekujcie się nim...

– Chyba pan nie rozumiał – przerwał mi Jocke. – Ja naprawdę nie mogę pomóc. Czy może pan odebrać samochód jeszcze dziś po południu?

No cóż, tak to już bywa na tym świecie. Kłopoty zawsze chodzą parami. Przypomina to trochę grę w domino. Wystarczy, że upadnie jedna kostka, i od razu przewracają się pozostałe. Pod warunkiem że stoją w odpowiedniej odległości od siebie.

– Postaram się o tym nie zapomnieć – odparłem niegrzecznym tonem. – Muszę jednak powiedzieć, że po takiej firmie jak wasza spodziewałem się czegoś więcej.

– A my spodziewaliśmy się czegoś więcej po panu – zrewanżował się Jocke. – Była u nas policja.

Usłyszawszy te słowa, zeszywniałem.

– Zabrali samochód?

– Nie. Gdyby tak było, od razu bym panu powiedział. Sytuacja była dla nas bardzo niezręczna. W warsztacie byli inni klienci i wyglądali na zakłopotanych. Dlatego im szybciej odbierze pan swój samochód, tym lepiej.

Zrobiłem tak, jak sobie życzył Jocke. Lakier mojego porsche lśnił w blasku słońca. W normalnych okolicznościach nie mógłbym się powstrzymać i taki widok wywołałby radosny uśmiech na mojej twarzy. Ale tym razem było inaczej. Wóz wzbudził we mnie wyłącznie negatywne uczucia.

– Przy okazji wygładziłem wgniecenie na masce – powiedział Jocke.

– To dobrze – odparłem.

Wgniecenie na masce. Nie miałem nawet pojęcia, jak powstało.

– Czy mógłby mi pan coś o nim powiedzieć? – spytałem.

– Trudne pytanie. Policja też mnie o to pytała. Domyślałam się, że mają własnych ekspertów, ale widocznie postanowili zasięgnąć opinii także u nas.

– Pewnie chcieli się dowiedzieć, czy wgniecenie mogło powstać na skutek potrącenia człowieka?

– Chciał – sprostował Jocke. – Był tu tylko jeden policjant. Ale ma pan rację, właśnie o to pytał.

Tylko jeden policjant. Nie kilku.

– Jak się nazywał?

– Chyba Didrik

Oczywiście, jakże by inaczej.

– I co mu pan odpowiedział?

– Że nie jestem pewien, ale wszystko wskazuje na to, że najprawdopodobniej ktoś wskoczył na maskę i uderzył o nią tyłkiem. Coś w tym stylu.

– To musiał być mocny tyłek – stwierdziłem, zmuszając się do uśmiechu.

– No właśnie. Cholernie mocny. A jeśli chodzi o wnętrze wozu, to nie czuć w nim już zapachu pomarańczy.

Jeszcze nigdy w życiu nie prowadziłem żadnego samochodu tak ostrożnie jak wtedy, gdy wracałem z warsztatu. Pojechałem tą samą drogą co zawsze i wstawiłem wóz do garażu.

Postanowiłem, że przez dłuższy czas nie będę z niego korzystał. Na wszelki wypadek włączyłem nawigację. Jeśli ktoś mnie zapyta, czy nim jeździłem, będę miał mocny dowód w postaci zapisu.

Kiedy wróciłem do biura, Lucy już nie było, bo wyszła załatwić jakąś sprawę. Nie dawało mi spokoju, że Didrik przyjechał do warsztatu sam. Powinien tam wysłać kogoś ze swoich ludzi. Druga sprawa, która mnie zaniepokoiła, to fakt, że mój dawny i niezbyt sympatyczny kolega z roku, Hermann Nilson, udostępnił swój domek Rakeł. Doszedłem do wniosku, że istnieje jakiś wspólny mianownik łączący kilka wątków, ale trudno go będzie znaleźć.

Ponownie zagłębiłem się w materiał, który zebrała Lucy. Jeśli Nilson rzeczywiście był zamieszany w spisek, którego padłem ofiarą, to nie powinienem się z nim teraz kontaktować. Byłby to bardzo niemądry ruch. Uznałem jednak, że jest to konieczne. Po chwili wahania zadzwoniłem do Madeleine. Powitała mnie chłodnym tonem.

– Mam jedno szybkie pytanie – powiedziałem. – Pamiętasz Hermana Nilsona?

– Hmm... tak. Jeszcze kilka miesięcy temu pracowaliśmy w tej samej firmie.

Eureka!

– Super! Gdybym chciał się z nim spotkać, ale tak, żeby to wyglądało na przypadek, gdzie powinienem go poszukać?

Usłyszałem, jak Madeleine nabiera głęboko powietrza.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Słuchiłem westchnienie. Madeleine na pewno nie chciałyby stracić swoich znajomych i przyjaciół na samo dno piekła. Nawet jeśli kogoś nie lubiła.

– Chciałbym go o coś spytać – odparłem zdecydowanie ciszej niż zazwyczaj.

– Nie podoba mi się to, Martin. O co chcesz go zapytać?

– W zeszłym roku wynajął swój domek letniskowy pewnej kobiecie – wyjaśniłem. – Była tam nawet zameldowana. Chcę się dowiedzieć, skąd ją zna.

– I zamierzasz go o to spytać, wpadając na niego przypadkiem na mieście?

Jej głos zawierał tyle odieni wątpliwości, że od razu poczułem, jak płoną mi policzki.

– Przyznaję ze skruchą, że dobre pomysły powoli mi się kończą – odparłem.

Usłyszałem w telefonie cichy śmiech. Brzmiał sympatycznie. Kiedyś próbowałem skojrzyć Madeleine z jednym z moich kumpi. „Jaka jest jej najlepsza cecha?” – spytał. „Umie się śmiać” – odparłem. Nigdy nie przeszło mi przez głowę, żeby się przystawiać do Madeleine. Była dla mnie za dobra. A może zbyt mądra?

– Czy ta kobieta jakoś się nazywa? – spytała Madeleine.

Zawahałem się.

– Wolałbym teraz o tym nie mówić.

– Niech ci będzie. Ale na Hermana uważaj. Nie wolno mu ufać.

– Czy mogłabyś rozwinąć ten wątek?

– Jasne. To proste. Herman idzie do łóżka z każdą kobietą, która mu się trafi. Poza tym zostało mu niewiele męskich przyjaciół, ponieważ ma tendencję do wykorzystywania ludzi. Kiedyś przeżyłam szok, gdy nagle wyszedł ze spotkania tylko po to, żeby odebrać swojego chrześniaka z przedszkola. I to aż we Flemingsbergu. Zastanawia mnie tylko, kto wybrał na ojca chrzestnego dla swojego syna kogoś takiego jak Herman?

Chrześniak w przedszkolu. We Flemingsbergu.

Staralem się zapanować nad emocjami.

– A ja się zastanawiam, jak ktoś taki jak Herman pojechał do Flemingsbergu. Wydawało mi się, że wszyscy jego kumple są równie bogaci jak on.

Żaden bogaty człowiek nie zamieszkałby we Flemingsbergu. Zwłaszcza jeśli ma tak wysokie dochody jak Herman.

– Na to pytanie nie znam odpowiedzi – odparła Madeleine.

– A może znasz nazwiska rodziców tego chrześniaka?

– Nie, ale jeśli to ważne, mogę się dowiedzieć.

Czy sprawa jest na tyle ważna, żeby znowu narażać ją na niebezpieczeństwo?

– Będę zobowiązany.

– Odezwę się.

– Ja być może też, jeśli uznam, że rzeczywiście muszę się spotkać z Nilsonem.

Kiedy Madeleine się rozłączyła, w biurze zapadła zupełna cisza. Wszedłem do internetu, żeby przejrzeć serwisy informacyjne. Nadal ani słowa o śmierci Kroma. Zacząłem się niepokoić na poważnie. Gdzie jest ciało? I gdzie jest Mio? Przecież on też przebywał w domu Rakel, a teraz go tam nie było. Żeby go tylko nie zabili. Na samą myśl o czymś takim ogarniała mnie rozpacz. Nie znam go, a więzi, jakie mnie z nim łączą, są czysto instrumentalne. Albo go odnajdę, a wtedy wszystko się ułoży, albo nie odnajdę, a wtedy równie dobrze mogę się zastrzelić. Nie znoszę takich sytuacji.

Ogarnął mnie niepokój. Miałem do zrobienia tyle rzeczy, a nie wiedziałem, jak się do nich zabrać.

Chciałem porozmawiać z rodziną Ohlandera, ale nie miałem odwagi im zdradzić, co nas łączyło. Wszyscy, co robiliśmy, było okryte tajemnicą. I tak powinno zostać. Dla mojego dobra.

Chciałem też ustalić, kto jeszcze wiedział o człowieku, którego zastrzeliłem i zakopałem w Teksasie, ale nie miałem pojęcia, kogo o to spytać.

Przypomniał mi się stesolid. Czy Mio chorował na epilepsję albo cierpiał na dreszcze gorączkowe? Na tak postawione pytanie mogłaby odpowiedzieć jego ciotka albo babka. Powinno to zmusić policję do wykazania się większą niż do tej pory aktywnością w poszukiwaniu chłopca. Przypomniało mi się, co podczas naszego spotkania w Klubie Prasowym powiedział Didrik: policja jest absolutnie pewna, że zanim Sara popełniła samobójstwo, zabiła swojego syna. Czyżby śledczy aż tak bardzo uwierzyli w tę teorię, że postanowili zaniechać dalszych poszukiwań? Najwyraźniej tak. Potwierdzeniem tej tezy były akta śledztwa, w których nie znalazłem ani jednego zdjęcia chłopca.

Coś tu się nie zgadzało.

Powiniennem porozmawiać z jakimś innym policjantem. Któryś z nich na pewno zareagował na sposób prowadzenia śledztwa, być może wyraził odmienną opinię. Niestety, kanały komunikowania się z policją były już dla mnie zamknięte i dlatego wróciłem myślami do Susanne. Zadzwoiła do mnie w samym środku nocy i do końca rozmowy zachowała anonimowość. Nie wiem, jak się nazywa ani jak wygląda. Wiem jednak, gdzie pracuje, i to powinno mi wystarczyć. Zdecydowanym ruchem wstałem z krzesła, zamknąłem biuro i wsiadłem do samochodu z wypożyczalni. Chwilę później byłem już w drodze do przedszkola, do

kórego kiedyś chodził Mio.

Kim pan jest? Czego pan chce?

Dzieci byłyby doskonałymi policjantami, gdyby im tylko obiecano, że nimi zostaną przed ukończeniem dziesiątego roku życia. Dziewczynka, która rozłożyła ręce, żeby zagrozić mi drogę, zastawiła całe drzwi.

– Mam się tu spotkać z jedną z pań – wyjaśniłem.

– Z którą?

– Z Susanne.

– Naprawdę? Taka pani tutaj nie pracuje.

Dziewczynka odwróciła się i pobiegła do pokoju zabaw.

– Przyszędł pan! – zawołała. – Chce rozmawiać z jakąś Susanne!

Pospieszyłem za nią, ale zapomniałem zdjąć buty. Uśmiechnąłem się szeroko i serdecznie do przerażonych opiekunek, które przy patrzywały mi się z drugiego końca sali. Dzieci było mniej niż dziesięcioro. Jedne rysowały coś przy stole pod kierunkiem jednej z pań, inne bawiły się samochodami.

– Tutaj nie pracuje żadna Susanne – odparła jedna z przedszkolank

– Czy mogłaby to pani sprawdzić? – poprosiłem. Uśmiech nie schodził mi z twarzy. – Jestem pewien, że Susanne tu pracuje. Wiem o tym od kogoś, kto ją zna.

Kobieta pokręciła głową. Ruszyłem w jej stronę i nagle usłyszałem odgłos kroków dochodzący gdzieś z boku. Pojawiła się starsza kobieta, za którą szło dziecko.

– Ten pan szuka Susanne – powiedziała przedszkolanka do kobiety.

– Tu nie pracuje nikt o takim imieniu – odparła kobieta.

– Może na innym oddziale?

– Latem mamy tu tylko jeszcze jeden oddział. Ale tam też żadna Susanne nie pracuje.

– W takim razie sam pójde i sprawdzę.

– To nie jest konieczne. Ja...

W tym miejscu jej przerwałem:

– Proszę wybaczyć, ale sprawa jest poważna. Dlatego albo któraś z pań pójdzie na tamten oddział i spyta, czy pracuje tam Susanne, albo sam to zrobię. Jestem adwokatem i muszę z nią porozmawiać w delikatnej sprawie.

Kobieta się wyprostowała.

– Rozumiem – odparła. – Pójdę i spytam. Jestem jednak pewna, że się pan pomylił.

Po tych słowach odwróciła się i poszła do innej sali. Dzieci odprowadzały ją wzrokiem do momentu, aż znikła w korytarzu. Przestały rysować, przestały się bawić i siedziały w milczeniu.

– Kto to jest Susanne? – szepnął jeden chłopiec do drugiego.

– Nikt – odparł ten drugi.

Młoda przedszkolanka obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i odeszła do dzieci, które bawiły się samochodami. Zostałem sam jak palec. Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie popełniłem błędu, przychodząc tutaj. Ale uznałem, że nie. Opiekunki zrobiły na mnie pozytywne wrażenie, myślałem, że mi uwierzyły. Chyba że ta starsza dzwoni właśnie na policję. Żle by się stało.

Minutę później kobieta wróciła. Widząc jej minę, miałem ochotę podskoczyć z radości. Zdumienie, jakie widniało na jej twarzy, starczyło mi za cały komentarz.

– Przepraszam – powiedziała. – Miał pan rację. Jedna z opiekunek na drugim oddziale twierdzi, że zna Susanne, o którą pan pyta. Czeką na pana na podwórzu.

Kobieta stała w cieniu jednego z drzew. Na jej twarzy malowała się podejrzliwość wymieszana ze złością. Zatrzymałem się metr przed nią i poczułem nagłą ulgę. Rozpoznałem ją ze zdjęcia, które przyniosła mi Lucy. Miała krótko obcięte włosy i znamię na prawym policzku.

– Susanne? – spytałem.

Wiedziałem, że to nie jest jej prawdziwe imię, ale zapomniałem, jak się nazywa kobieta ze zdjęcia.

– Co pan tu robi, do cholery? – spytała ostrym tonem.

Od razu się domyśliłem, że próbuje ukryć w ten sposób to, co czuje naprawdę: rzeczywiście strach.

– Przykro mi, że zjawiłem się w tym miejscu, ale nie chciała mi pani podać ani numeru telefonu, ani nazwiska.

Kobieta pokręciła energicznie głową.

– Chyba się jasno wyraziłam, dlaczego chcę pozostać anonimowa? Nie rozumiem, dlaczego pan tego nie uszanował.

Czy powinienem mieć wyrzuty sumienia? Raczej nie. Sama była sobie winna za sytuację, w jakiej się znalazła. Poza tym ponosiła dużą odpowiedzialność za to, co stało się z chłopcem. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym trudniej było mi zrozumieć, dlaczego nie zgłosiła się na policję.

– Mam w nosie, czy pani to rozumie, czy nie – odparłem. – Proszę mi na początek powiedzieć, jak się pani nazywa. A może mam spytać pani koleżanki? Przy okazji opowiem im o tamtej kradzieży.

Kobieta spuściła oczy i oparła się o pień drzewa. Gdyby ktoś obserwował tę scenę z daleka, mógłby nas wziąć za parę, która postanawia z sobą zerwać: ona jest już tak zmęczona, że nie

może ustać o własnych siłach, ja tak wzburzony, że nie mogę ustać spokojnie w miejscu.

– Nazywam się Nadja Carlsson.

Te same dane znalazłem w materiale dostarczonym przez Lucy. Nie było ich w policyjnych aktach. Nadja wspomniała mi o tym przez telefon.

– Mam do pani kilka dodatkowych pytań – powiedziałem. – Chodzi o Mio.

– Chyba nie będę mogła panu pomóc. Spędzałam z nim niewiele czasu.

– To może pani przynajmniej wie, czy choruje na padaczkę?

Nadja uniosła szybko głowę.

– Tak – odparła. – Chorował, a właściwie choruje, jeśli jeszcze żyje.

„Oczywiście, że żyje”, pomyślałem.

– Czy choroba sprawiała mu duży problem? Czy często dochodziło do ataków?

– Na szczęście nie. W przedszkolu zdarzyło mu się to tylko raz.

Skinąłem w milczeniu głową. Zastanawiałem się, dlaczego osoba, która zabrała Mio z domu Rakel, zostawiła tam lekarstwo. Stesolid nie jest zwykłym lekiem, który można bez problemu kupić w aptece. Potrzebna jest recepta i wizyta u lekarza. A porywacz na pewno tego nie zrobił. Przestraszyłem się, bo nagle przyszło mi na myśl, że Marie znalazła lekarstwo w domu Rakel tylko dlatego, że chłopiec już nie żyje. Martwe dzieci nie są narażone na ataki padaczki.

Potrząsnąłem głową, żeby odzyskać kontrolę nad myślami.

– Czy zna pani Hermana Nilsona?

– Nie.

Wyjąłem telefon i zacząłem szukać jego zdjęcia w internecie. Znalazłem je na stronie jego firmy.

– Na pewno nie? – spytałem, pokazując jej zdjęcie.

– A, o niego panu chodzi!

A jednak!

– Widzę, że go pani zna. Skąd?

– Kilka razy przychodził do naszego przedszkola i odbierał swojego chrześniaka. Strasznie zarozumiały człowiek. Wszyscy się tu na niego skarżyli. Elegancki arogant. Zachowywał się tak, jak gdyby za wszelką cenę chciał wszystkim pokazać, że nie mieszka we Flimingsbergu.

Przykro mi było tego słuchać. Czy ja też sprawiam na ludziach takie wrażenie? Mam nadzieję, że nie, ale i tak muszę popracować nad sposobem, w jaki odnoszę się do innych.

– Czy coś go łączyło z Rakel?

Nadja popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Nie sądzę. Ktoś taki jak on nigdy by się nie zainteresował takimi kobietami jak te, które tutaj pracują. Zresztą my nim też nie.

– Który z chłopców jest jego chrześniakiem?

– Chyba Sebbe.

– Sebbe? To znaczy Sebastian. Jak ma na nazwisko?

– Nie wiem. Nie mam zajęć z jego grupą.

Sebbe. Sebastian. Coś mi zaczęło świtać. Przecież znam dziecko o takim imieniu. Może to któryś z kolegów Belle? Przypomniałem sobie rudowłosego chłopca z jej przedszkola. Zupełnie niepotrzebnie, bo ten Sebastian nigdy nie chodził do tego samego przedszkola co Mio.

– *À propos...* on też miał pewien problem.

Od razu nadstawiłem uszu.

– Kto? Sebastian?

– Całkiem niedawno. Zastanawialiśmy się, dlaczego jego rodzice postanowili przenieść go do innego przedszkola i jak to się stało, że trafił akurat do nas, do Flemingsbergu. Sebastian zawsze był zmęczony i ciągle go coś bolało. Głównie głowa. Zdarzały się też siniaki. Myślę, że dyrekcja poprzedniego przedszkola zgłosiła to odpowiednim władzom. Wszyscy byliśmy pewni, że był bity przez rodziców.

Kiedy nie wszystko jest jasne, każdy szczegół staje się ważny. Albo nieważny. Czy to, co właśnie usłyszałem, miało jakieś znaczenie? Chyba nie.

– A czy wasza dyrekcja też złożyła doniesienie? – spytałem. – Bo rozumiem, że jakaś reakcja była.

– Oczywiście, że tak. Ale nie znam szczegółów. Na początku zeszłej jesieni rodzina chłopca wprowadziła się z miasta. Sebba czuł się wtedy bardzo źle.

– Dziwne.

– A co w tym dziwnego? Powinni się wstydzić swojego zachowania.

– A dokąd się przeprowadzili?

– Za granicę, ale nie wiem dokąd. Wszystko odbyło się w błyskawicznym tempie. Nawet nie zostaliśmy o tym poinformowani. Rodzice chcieli się na pewno wywinąć od odpowiedzialności, żeby dalej mogli bić chłopca.

Poczułem ścisk żołądka. Nie toleruję ludzi, którzy biją dzieci.

Nadja się wyprostowała.

– Muszę wracać. Pewno mnie już szukają.

– Jak mogę się skontaktować z panią w przyszłości? Jeśli pani nie chce, żebym tu wrócił, proszę mi podać swój numer telefonu.

Skrzywiła się.

– Czy to szantaż?

– Nie sądzę, ale jeśli chce się pani upewnić, proszę pójść na policję i zeznać, kto uprowadził Mio.

Zbladła.

– Nigdy w życiu – szepnęła.

Postanowiłem dłużej nie naciskać. I tak zginęło już wiele osób. Niestety dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jeśli ktoś mnie śledzi, to właśnie w tym momencie podpisałem wyrok śmierci na Nadję. Zastanawiałem się, dlaczego jeszcze żyła. Krom został zabity, a jego zwłoki podrzucono w domu Rakel. Nadję pozostawiono w spokoju. Ciekawe, na jak długo. Jeśli to Rakel była zabójczynią, to wybierała swoje ofiary w sposób niekonsekwentny. Doszedłem jednak do wniosku, że to nie ona zabijała. Ktoś za nią stał i wszystkim sterował. To właśnie ten ktoś decydował o życiu i śmierci.

– Proszę mi podać swój numer telefonu, a obiecuję, że więcej mnie pani nie zobaczy.

Nadja podyktowała mi swój numer. Potem ruszyła w stronę budynku, ale ja miałem jeszcze pewne wątpliwości.

– Chwileczkę – powiedziałem.

Odwróciła się do mnie.

– Czy ma pani jakichś krewnych albo przyjaciół za miastem, u których mogłaby pani

pomieszkać przez kilka dni?

Nadja znowu zbladła.

– Mogłaby m wziąć zwolnienie lekarskie i pojechać do babci.

– Proszę tak zrobić.

– Jak długo mam tam zostać?

Co miałem jej odpowiedzieć?

– Przy najmniej przez tydzień.

Nadja odeszła, a ja wróciłem do samochodu. Jazda do centrum nie powinna mi sprawić większych kłopotów, bo ruch na drodze był niewielki. Dzięki temu łatwiej mogłem zauważyć, czy ktoś mnie nie śledzi.

Ledwo wsiadłem do auta, zadzwoniła Lucy.

– Myślę, że znowu będziesz musiał odstawić swoje porsche do warsztatu – powiedziała.

– A co się stało?

– Znowu coś w nim śmierdzi. Przed chwilą poszłam do garażu, żeby wyjąć coś ze schowka,

i...

– Chyba nim nie jeździłaś?

– Nie. Wyjęłam tylko coś ze schowka. Powtarzam – w samochodzie okropnie śmierdzi.

Pojedź z nim do warsztatu.

– Zrobię to później. Chcę odebrać Belle z przedszkola.

– O tej porze?

– Tak. Być może zabiorę ją do biura albo wpadniemy gdzieś na lody.

– Lepiej idźcie na lody. Do zobaczenia.

Przez całą drogę powrotną zastanawiałem się nad słowami Lucy. Przecież sam przy prowadził samochód z warsztatu i nic w nim nie śmierdziało. A może tego nie czułem?

Przez cały czas brzmiały mi w głowie słowa Lucy: *Znowu coś w nim śmierdzi.*

Zrobiło mi się sucho w ustach. Zaciśnąłem dłonie na kierownicy.

Powiedziała „znowu”. Oczywiście śmierdzić może cokolwiek. Ale nie w moim samochodzie. Nie w moim garażu, nie dzisiaj.

Natychmiast oddzwoniłem do Lucy.

– Czekał na mnie w garażu za piętnaście minut.

– Dlaczego?

– Rób, co powiedziałem.

– Co się stało?

Przełknąłem ślinę i dobierając słowa, odpowiedziałem:

– Myślę, że chyba znalazłem Kroma.

Wiele zapachów jest do siebie podobnych i trudno je rozróżnić. Ludzkie zwłoki pachną inaczej. Lucy nigdy nie miała do czynienia ze smrodem, jaki wydzielają, i dlatego nie potrafiła go zidentyfikować. Za to ja potrafię to zrobić bez problemu.

W chwili gdy wszedłem do garażu, wiedziałem, że moje obawy były uzasadnione. Smród wypełniał całe wnętrze, chociaż garaż jest przeznaczony dla dziesięciu pojazdów.

– Faj! – powiedziała Lucy. – Śmierdzi jeszcze bardziej niż poprzednio.

Powoli podszedłem z nią do samochodu. Wiedziałem, że już nigdy więcej do niego nie wsiądę.

Stanąłem przy bagażniku. Zanim Jocke wydał mi samochód, dokładnie go wypolerował. Od tamtej pory go nie dotykałem, z wyjątkiem drzwi od strony kierowcy. Jeśli osoba, która podrzuciła zwłoki, nie była wystarczająco ostrożna, musiała zostawić na lakierze odciski palców. Żle by było, gdyby znalazły się na nim także moje. To, że wozu dotykała Lucy, nie stanowiło problemu, bo nie była podejrzana o żadne przestępstwo. Zanim jednak cokolwiek zrobiłem, poszedłem do mieszkania po parę rękawic. Dźwignia otwierająca bagażnik znajduje się przy przednim siedzeniu.

– Pomóż mi otworzyć bagażnik – poprosiłem.

Lucy podeszła do wozu i bez słowa otworzyła drzwi od strony kierowcy. Wsiadła do środka i pociągnęła za dźwignię. Pokrywa bagażnika się uniosła. W nozdrza uderzył okropny smród.

– Niech to szlag! – powiedziałem i odskoczyłem od wozu.

Lucy wysiadła z samochodu i stanęła obok mnie.

– Powinniśmy zadzwonić na policję – stwierdziła.

– Zrobimy to, ale najpierw sprawdzimy, kto tam leży.

Myślałem, że śnię. Jak to możliwe, że do niedawna prowadziłem wygodne, rozrywkowe życie adwokata wychowującego samotnie dziecko, a teraz stałem przed moim porsche, w którym leżały ludzkie zwłoki?

Ponownie podszedłem do wozu i uniosłem pokrywę bagażnika. W środku leżał Krom

z poderżniętym gardłem. Mimo smrodu bijącego z wnętrza nie mogłem oderwać od niego wzroku. Wyrządził tak okropnie, aż litość brała. Samotny, przestraszony.

Zamknąłem kłapę i powiedziałem:

– Teraz już możemy zadzwonić na policję.

Policjanci zjawili się dziesięć minut później. Najpierw przyjechał radiowóz, potem Stihl i Staffan, którego Krom prosił przez telefon o pomoc. Ericsson nie dał po sobie poznać, co czuje na widok martwego człowieka w moim porolu.

Staliśmy wszyscy w śmierdzącym garażu, a ja opowiadałem policjantom moją historię: o pomarańczy, o warsztacie, o tym, jak odebrałem samochód z warsztatu i pojechałem nim prosto do domu.

– Możecie zabrać nawigację, jeśli chcecie sprawdzić moją wersję – powiedziałem.

– Zabierzemy cały samochód – odparł Didrik ponury m głosem.

– Proszę bardzo. Ja już go nie potrzebuję.

Starłem się wypowiedzieć te słowa w taki sposób, aby nie zabrzmiały zbyt górnolotnie.

– Pojedzie pan z nami do warsztatu – wtrącił Staffan.

– Po co?

– Musimy spisać zeznanie – powiedział Didrik – To chyba oczywiste?

– Być może.

– Być może? Porozmawiamy o tym na miejscu. Na razie zastanów się, jak nas przekonasz, że to nie ty wrzuciłeś zwłoki do bagażnika.

– W bardzo prosty sposób. Mam alibi.

– Na kiedy?

– Zwłoki zostały podrzucone, gdy samochód stał już w garażu. Nie byłem tu od momentu, gdy go tu przywiodłem z warsztatu.

– Nawet jeśli to prawda, to o czym świadczy? – spytał Staffan. – Przecież zwłoki mogły leżeć w garażu już wcześniej i czekać, aż przywiodzi pan wóz.

– Naprawdę? A nie sądzi pan, że przez cały ten czas nikt inny nie zainteresowałby się, dlaczego tu tak śmierdzi? Przecież ciągle ktoś się tu kręci.

W tym momencie zauważyłem coś na ścianie za plecami Didrika i Staffana. Wisiała tam kamera umieszczona w tak dyskretnym miejscu, że łatwo ją było przeoczyć. Zmusiłem się, żeby odwrócić wzrok i nie gapić się na nią.

– Jak już powiedziałem, porozmawiamy o tym w warsztacie – oznajmił Didrik

Ruszył w stronę wyjścia, dając mi znak, żebym poszedł za nim.

– Ja i Lucy pojedziemy sami. Mam wóz z wypożyczalni.

– Wolałbym, żebyście pojechali z nami – odparł Didrik

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż propozycja. Postanowiłem się z nim trochę podrażnić.

– W takim razie musisz dokonać oficjalnego zatrzymania, bo ja chcę jechać moim samochodem.

– No proszę – wtrącił się Staffan. – W takim razie tak właśnie zrobimy.

– Spotkamy się w warsztacie – przerwał mu Didrik

Staffan popatrzył na niego zdziwionym wzrokiem, aż w końcu doszedł do wniosku, że on też powinien się ruszyć. Kiedy wychodzili z garażu, usłyszałem, jak mówi do Stihla podniesionym głosem:

– Czemu go, do cholery, nie przy mkniemy?

Być może powód był prosty: nie uchyliłem się od współpracy z policją, a poza tym to ja do nich zadzwoniłem. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, ale miałem to gdzieś. Wiedziałem tylko jedno: nie powinienem ufać ani Staffanowi, ani Didrikowi – i dlatego postanowiłem nie wspominać im o kamerze. Nagranie przemówi na moją korzyść, więc muszę je zabezpieczyć, zanim się okaże, że kamera „uległa uszkodzeniu”. Policijni technicy od razu ją znajdą, więc musiałem działać szybko. Prawie biegiem wypadłem z garażu. Lucy nie odstępowała mnie na krok

– Dokąd idziemy? – spytała, gdy ściągałem windę. – Powinniśmy teraz pojechać na policję, tak jak obiecaliśmy.

– Pojedziemy – odparłem. – Najpierw jednak kogoś odwiedzimy.

W każdej wspólnotie mieszkaniowej jest przynajmniej jedna taka osoba. Nierzadko wchodzi w skład zarządu. Mam na myśli kogoś, kto mieszka w tym samym miejscu od wielu lat i uważa, że cały budynek należy do niego, i dlatego traktuje mieszkańców jak własnych lokatorów. W naszej wspólnotcie też ktoś taki jest. Ma na imię Wolfgang, mieszka pod tym samym adresem od ćwierć wieku i od tyłuż lat jest też wdowcem.

Kiedy jechaliśmy windą na piętro, na którym mieszka Wolfgang, Lucy wyglądała jak jeden wielki znak zapytania.

– W garażu jest kamera monitoringu – powiedziałem. – Nie zauważyłaś jej?

Pokręciła głową.

Kiedy stanęliśmy przed drzwiami mieszkania Wolfganga, nacisnąłem dzwonek. Klatkę schodową wypełnił ostry dźwięk. Wcisnąłem guzik dopóty, dopóki nie usłyszałem, jak ktoś przekręca klucz w zamku.

– O co chodzi? Pali się czy co?!

Wolfgang miał zmierzwione włosy i wyglądał na jeszcze bardziej rozszuszczonego niż zwykle. W jego oczach dostrzegłem zmęczenie, ale i pewną sympatię. Od momentu gdy podczas jednego z głosowań zarządu stanąłem po jego stronie i zaprotestowałem przeciwko sprzedaży naszych strychów, Wolfgang odnosił się do mnie lepiej niż do innych lokatorów.

– Stokrotnie przepraszam, że zakłócamy spokój, ale muszę poprosić pana o pomoc – powiedziałem.

Wolfgang podrapał się po brodzie. Widać było, że od wielu dni się nie golił.

– A o co chodzi?

– Czy możemy wejść?

Wolfgang cofnął się posłusznie i wpuścił nas za próg. Zamknąłem za sobą drzwi. Ani ja, ani Lucy nigdy nie byliśmy w jego mieszkaniu. Spodziewałem się, że będzie przypominać graciarnię pełną gazet i śmierzących *matos*, ale wcale tak źle nie było. Z miejsca, w którym staliśmy, mieszkanie wyglądało na jasne, czyste i zadbane.

– Zauważyłem w garażu kamerę – powiedziałem.

– Zgadza się – odparł Wolfgang. – Zamontowałem ją tam po tamtej historii z pańskim samochodem. Niech pan tylko nie myśli, że zламаłem prawo. Kamera wisi zgodnie z przepisami.

Zrobiłem taką minę, jak gdybym chciał pokazać, jak wielkim szacunkiem darzę jego prawniczą wiedzę.

– Oczywiście – powiedziałem. – Chcę tylko spytać, czy mógłbym pana poprosić o kopię nagrań z tej kamery?

Wolfgang obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Nabrałem głęboko powietrza. Policja zjawi się u niego w ciągu godziny. Zaraz potem o wszystkim dowiedzą się dziennikarze. Uznałem, że lepiej powiedzieć prawdę.

– Ktoś podrzucił trupa do bagażnika mojego samochodu. Chciałbym się dowiedzieć, kto to zrobił.

Wolfgang przez chwilę gapił się na mnie w milczeniu, a potem otworzył drzwi garderoby w przedpokoju. Na jednej z półek stał komputer.

– Proszę – powiedział. – Niech pan bierze co trzeba.

Kiedy jechaliśmy na komendę na Kungsholmen, na niebie nie było ani jednej chmurki. Prowadziła Lucy, bo ja byłem zajęty przeglądaniem nagrania z kamery monitoringu. Wolfgang nagrał wszystko na trzy CD i powiedział, że mu zależy, aby – jak to określił – „przypadkiem nie zaginęły”. Obiecał też, że nie pisnie policji ani słowa na temat kopii, chyba że zostanie o to zapytany wprost.

Nagranie było niezbyt ostre, co z początku mnie zaniepokoiło. Nie miałem czasu, żeby obejrzeć je od razu u Wolfganga, więc podałem mu tylko przybliżoną godzinę, którą chciałem skopiować. Samochód zaparkowałem w garażu zaledwie trzy godziny temu. Niecierpliwie przewinąłem nagranie do przodu. Zobaczyłem, jak z garażu wyjeżdża jeden z moich sąsiadów, a inny do niego wjeżdża. Potem przez pewien czas nic się nie działo. W końcu brama garażu ponownie się otworzyła i do środka wjechał nieznamy mi samochód.

– Mam cię! – mruknąłem, pochylając się nad laptopem.

Na ekranie ujrzałem toyotę. Modełu nie rozpoznałem. Zatrzymała się na środku garażu między dwoma rzędami miejsc parkingowych. Z samochodu wysiadły dwie osoby. Wszystko rozgrywało się tak szybko, że bałem się mrugnąć okiem, żeby czegoś nie przeoczyć. W niecałą minutę obie postacie zdążyły otworzyć bagażnik swojego samochodu, wyciągnąć z niego bezwładne ciało i wrzucić do porsche. Zdumiałem się, widząc, jak łatwo poradziły sobie z bagażnikiem mojego wozu. Kłapa jakby sama się uniosła.

– Jak to możliwe? – zastanawiałem się głośno.

Zanim obie postacie zamknęły bagażnik, ta wyższa wykonała jakiś ruch na wysokości zamka. Potem znowu go zatrasnęły, wsiały do swojego samochodu i wyjechały z garażu.

Pokręciłem głową i cofnąłem film.

– Rozpoznałeś ich? – spytała Lucy niecierpliwym tonem.

Niestety nie. Byłem za to prawie pewien, że jedną z osób jest mężczyzna, a drugą kobieta. Kobieta miała krótko obcięte włosy, mężczyzna trochę dłuższe. Lucy zahamowała przed czerwonym światłem i spojrzała na ekran laptopa.

– To peruki – stwierdziła pewnym siebie głosem.

– Co takiego?

– Mają peruki na głowach. Przyjrzyj się uważnie temu facetowi. Peruka mu się przekrzywiła.

Rzeczywiście, Lucy miała rację. Przy okazji zauważyłem też coś, co sprawiło mi wielką ulgę. Wprawdzie nagranie było nie najlepszej jakości, ale widać było, że mężczyzna na nim nie jest ciemnoskóry. Mimo głupiej peruki i dużych okularów przeciwsłonecznych widać było, że ma jasną karnację.

– Nie jest do mnie podobny – powiedziałem.

– Faktycznie, ani trochę.

Zerknąłem na Lucy, a potem na kobietę z nagrania. Zauważyłem między nimi pewne podobieństwa. Poczulem ukłucie w klatce piersiowej. Wmawiałem sobie, że Lucy nie może być w to zamieszana. Muszę dopilnować, żeby nikomu nie przyszło do głowy takie przyzwanie.

– Podobna do mnie? – spytała Lucy cichym głosem.

W tej samej chwili zatrąbił na nas jakiś samochód, bo zapaliło się zielone światło, a my nadal staliśmy w miejscu. Lucy puściła sprzęgło i ruszyliśmy.

– Cholera – powiedziałem.

Kobieta z nagrania, która razem z mężczyzną przenosiła zwłoki do mojego samochodu, trzymała Kroma za łydki. W pewnym momencie spojrzała wprost w obiektyw kamery. Zatrzymałem nagranie i powiększyłem obraz. Z ulgą stwierdziłem, że nie jest podobna do Lucy. Wyglądała na silniejszą od niej. Lucy nie dałaby rady unieść tak dużego mężczyzny jak Krom.

– Spokojnie – powiedziałem, głaszcząc ją po ramieniu. – To nie ty jesteś na tym nagraniu. Od razu to widać.

Spojrzałem uważnie na twarz kobiety. Gdyby tylko udało się poprawić ostrość, gdyby kobieta nie miała na głowie tej głupiej peruki, która zasłaniała jej całe czoło...

– Czy to Rake! – spytała Lucy.

– Tego się nie da ustalić – odparłem.

Byłem naprawdę poirytowany. To mogła być każda kobieta. Na nagraniu wyglądała jak zamazana zjawą. Wcisnąłem funkcję play i ponownie uruchomiłem nagranie. Wpatrywałem się w plecy kobiety, która wracała do swojego samochodu. W tym momencie byłem już na sto procent pewien.

– To ona, to Rake!

– Skąd wiesz?

Nie miałem ochoty odpowiadać na to pytanie, ale od razu rozpoznałem jej sylwetkę i chód. Trudno, taki już jestem. Choć nagranie było niezbyt wyraźne, nie miałem wątpliwości. Kobieta poruszała się tak samo jak Rake! To, jak również fakt, że zwłoki Kroma znajdowały się w jej domu, dały mi wiele do myślenia. To na pewno była Rake!, nikt inny. Pytanie brzmiało: kim jest mężczyzna i co ich łączy.

– No i znowu się spotkaliśmy – powiedział Didrik, gdy dotarliśmy na komendę.

– Jak widać – odparłem.

– Ostatnim razem, kiedy pytaliśmy o śmierć Fredrika Ohlandera, okazało się, że pański samochód stał przez całą noc w warsztacie – zagaił Staffan. – To bardzo praktyczne rozwiązanie, bo dzięki temu mogliśmy skreślić pana z listy podejrzanych.

Staffan mówił przez nos, co mnie irytowało. Na stoliku, przy którym siedzieliśmy, zauważyłem rozlaną ciecz nieznanego rodzaju. Kawę albo herbatę, na pewno nie krew.

– Słucha mnie pan? – spytał ostrym tonem.

Popatrzyłem na niego.

– Oczywiście. To, co pan mówi, jest tak interesujące, że przykuwa całą moją uwagę.

Lucy parsknęła śmiechem, ale natychmiast się opanowała. Właściwie nie miała powodu do wesołości, jeśli wziąć pod uwagę całą sytuację.

– Muszę przyznać, że kiedy dziadkowie Belle zginęli w pożarze, zaczęliśmy patrzeć na tę sprawę zupełnie inaczej – powiedział Didrik – Uznaliśmy, że być może faktycznie padłeś ofiarą spisku. Nie potrafiliśmy zgromadzić odpowiednich dowodów technicznych, żeby powiązać ciebie i twój samochód z poprzednimi zabójstwami. Teraz jednak, kiedy w twoim wozie znaleźliśmy zwłoki, sprawa nabiera innego wymiaru. Mam rację?

Przekrzywiłem głowę i spojrzałem na niego.

– Przecież mieliście świadka – odparłem.

Na twarzy Didrika pojawiło się napięcie, ale szybko zniknęło. Trwało to tak krótko, że przez chwilę wydawało mi się złudzeniem.

– Jakiego świadka? – spytał ostrym tonem.

– Świadka zabójstwa Jenny. Czy zeznanie tej osoby nie zastąpi wam dowodów technicznych?

Didrik długo mi się przyglądał, a ja uśmiechałem się do niego krzywo. Jeśli nie zrozumiał tego wcześniej, dotarło to do niego w tym momencie: wiedziałem, że ma świadka, którego zeznania są niewiele warte. Didrik jednak nie odważył się spytać ślad.

– Na razie rozmawiamy o tym zabójstwie, nie o innych – wtrącił Ericsson.

– No właśnie – potwierdził Didrik – Skłonny jestem zaakceptować twoje zapewnienia, że kiedy wracałeś z warsztatu, w bagażniku nie było zwłok. Sprawdziłem też zapis w twojej nawigacji, który potwierdził twoje słowa. Rzeczywiście, pojechałeś prosto do domu. Ale – jak już wspominałem – nie na wiele się to zda. Musisz nam opowiedzieć, co robiłeś po powrocie do siebie.

Zacząłem bębnić palcami po stole. Nie miałem ochoty zdradzać Nadji. Szczerze mówiąc, nie chciałem mu w ogóle o niczym mówić. Mogłem się z nim za to trochę podrażnić.

– Pojechałem obejrzyć nowe przedszkole, które wybrałem dla Belle – powiedziałem.

– To miłe. A co to za przedszkole?

Didrik uśmiechnął się do mnie, ale wzrok miał czujny.

– We Flemingsbergu. Nazywa się Zagroda Trolli.

Uśmiech zgasł na twarzy Didrika.

– Za cholerę nie uwierzę, że pojechałeś tam oglądać przedszkole dla Belle.

– Tak właśnie było. Jeden mój znajomy poradził mi, że to dobra placówka. Możesz tam pojechać i porozmawiać z opiekunkami. Na pewno mnie zapamiętały.

Didrik wypił trochę kawy z kubka. Nas nie poczęstował.

– Martin, co ty wyrabiasz? – spytał Didrik.

– Próbuję odzyskać moje dobre imię.

Była to szczerza prawda, ale Didrik pokręcił tylko głową.

– Tyle się już wydarzyło, a ty ciągle nie dajesz za wygraną. Co tobą kieruje?

Na tak postawione pytanie musiałem odpowiedzieć. Nad moją rodziną nadal wisiała groźba wypowiedziana przez Lucyfera. Obiecałem mu, że o niczym policji nie powiem, i na razie dotrzymywałem słowa. Nie mógł mnie winić za to, że policja wezwała mnie na przesłuchanie.

– Myślę, że istnieje proste rozwiązanie w sprawie zwłok w bagażniku – powiedziała Lucy, gdy milczenie się przedłużało.

Didrik uniósł brwi.

– Jakie?

Lucy popatrzyła na mnie niepewnym wzrokiem.

– Czy mam rację? – spytała, jakby chciała zasięgnąć mojej opinii.

Skinąłem głową przyzwalająco.

– Oczywiście – potwierdziłem. – W garażu jest kamera monitoringu. Ale pewnie już o niej wiecie?

Didrik skinął głową.

– Oczywiście. Nasi ludzie zauważyli ją tuż po naszym odjeździe z garażu. Zadzwonili do nas, gdy jechaliśmy na komendę, i przekazali nam tę dobrą wiadomość.

Wzruszyłem ramionami.

– No to sprawa jest jasna – powiedziałem.

– Jak to jasna?

– To nie ja podrzuciłem zwłoki do bagażnika. Przypuszczam, że nagranie z kamery potwierdzi, że zrobił to ktoś inny.

W pokoju znowu zapadła cisza.

– Tak by się z pewnością stało, gdyby nie to, że...

W tym momencie zadzwonił telefon Staffana, który od razu wyszedł z pokoju. Zmrużyłem oczy i wbiłem wzrok w Didrika.

– Że co? – spytałem.

– Gdyby nie to, że nagranie uległo uszkodzeniu. Chyba kamera była zepsuta.

Kiedy byłem dzieckiem, grałem czasem w szachy. Uważam, że gdybym się przyłożył, mógłbym odnosić sukcesy. Jestem dobrym strategiem i potrafię przewidzieć, jaki ruch będzie najlepszy. Ale w tym momencie się zawahałem. I ja, i Lucy wiedzieliśmy, że kamera działała normalnie. Lucy miała w torebce CD z kopią nagrania. Pozostałe kopie ukryliśmy w kilku miejscach. Didrik grał o wysoką stawkę, kłamiąc na ten temat.

Po powrocie do domu będę musiał porozmawiać z Wolfgangiem. Muszę go spytać, kto u niego był i pytał o nagranie. I czy rzeczywiście ktoś się u niego zjawił. Przecież równie dobrze ktoś mógł niepostrzeżenie zniszczyć kamerę, a potem powiedzieć, że przez cały czas była zepsuta.

Lucy położyła dłoń na torebce. Szybko chwyciłem ją za rękę, chyba zbyt mocno. Popatrzyła na mnie zdumionym wzrokiem. Wolałem nie patrzeć jej w oczy. Najważniejsze było to, żeby jeszcze nie zdradziła, że mamy kopię.

– Widzę, że chcesz mi powiedzieć coś ważnego – powiedział Didrik.

Wyczułem, że po raz pierwszy w czasie tej rozmowy nie jest pewny siebie.

– Ależ skąd – odparłem. – Zdziwiłem się tylko, że kamera była uszkodzona.

– Tak fatalnie się składa. *À propos*, czy możesz mi powiedzieć, kto odpowiada za monitoring?

Didrik rzucił to pytanie jakby mimochodem, ale ja i tak wiedziałem, że to dla niego ważna sprawa. Ważniejsze jednak było to, czy dobrze zrozumiałem jego pytanie. Wynikało z niego, że nie wie o Wolfgangu.

Przestraszyłem się i poczułem nieprzyjemny chłód. Oczywiście wyobraźni ujrzałem stos dotychczasowych ofiar. Nie wiedziałem już, komu ufać, komu wolno żyć, a kto musi umrzeć. Wiedziałem tylko, że muszę ratować Wolfganga, jeśli pozwolą mi na to czas i okoliczności.

Zerwałem się na równe nogi. Zrobiłem to tak gwałtownie, że przewróciłem krzesło, na którym siedziałem.

– Jeśli nie masz więcej pytań, to już pójdę – powiedziałem i spojrzałem mu prosto w oczy.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Jeśli postanowi mnie zatrzymać, Lucy wyjmie z torebki CD z nagraniem. Zależało mi tylko na jednym: żeby jak najszybciej stamtąd wyjść.

Twarz Didrika przybrała posępny, zacięty wyraz.

– Zdzwonimy się jeszcze – powiedział.

– Na pewno.

Lucy też wstała z krzesła i wyszła za mną z pokoju.

– Co teraz? – spytała, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

– Wracamy do domu, żeby uratować Wolfganga – odparłem.

Tak właśnie zrobiliśmy. Wchodząc schodami na górę, natknęliśmy się na dwóch policjantów, którzy rozmawiali na klatce schodowej z sąsiadem mieszkającym trzy piętra pod Wolfgangiem.

– Kamera w garażu? – usłyszeliśmy jego głos. – Nie, nic o tym nie wiem. Spytajcie kogoś z zarządu.

Nie chcąc zwracać uwagi obu funkcjonariuszy, szliśmy po schodach normalnym krokiem. Przychodziło nam to z trudem, bo wiedzieliśmy, że czas uciekał nam w błyskawicznym tempie. Zatrzymaliśmy się przed mieszkaniem Wolfganga, ale zanim Lucy nacisnęła dzwonek, wpadłem na lepszy pomysł.

– Skontaktujmy się z nim przez telefon – powiedziałem jak najciszej.

Policjanci na niższym piętrze słyszeli nas tak samo wyraźnie jak my ich. Pewnie by ich zainteresowało, dlaczego zdyszani dzwoniimy do drzwi sąsiada. Weszliśmy więc szybko do mojego mieszkania i dopiero stamtąd zadzwoniłmy do Wolfganga. Na szczęście odebrał po pierwszym sygnale.

– Słabo pana słyszę – powiedział. – Jestem na zakupach w sklepie.

Odetchnąłem z ulgą.

– Niech pan uważnie posłucha – zacząłem. – Dzwonię w związku z kamerą w garażu. Obawiam się, że może pan mieć z jej powodu poważne kłopoty. Musi pan zniknąć na kilka dni. Czy to możliwe?

Już drugi raz tego dnia prosiłem kogoś, aby wyjechał z miasta i ukrył się w bezpiecznym miejscu. Zaczynałem przypominać wysłannika śmierci. Wolfgang gwałtownie zaprotestował. Początkowo twierdził, że nie ma się gdzie podziać, potem, że zna takie miejsce, ale nie ma na to ochoty. W końcu zgodził się i obiecał, że nie wróci do swojego mieszkania. Umówiliśmy się na spotkanie za dwie godziny na stacji benzynowej za miastem. Obiecałem, że przywiozę mu torbę z ubraniami i innymi rzeczami, które na pewno się przydadzą.

– Chyba nie ostrzega mnie pan przed policją? – spytał.

Co mogłem mu odpowiedzieć?

– Mam nadzieję, że nie. Obawiam się jednak, że tego nie możemy być pewni.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czy policja jest zamieszana w śmierć Kroma? Jeśli tak, to na jakim szczeblu? Czy chodzi o pojedynczych funkcjonariuszy sprzedających informacje za pieniądze, czy też mamy do czynienia ze sprawą o szerszym zakresie?

– O Boże – mruknął Wolfgang.

Mój sąsiad był już starym człowiekiem. Miałem nadzieję, że nie wystraszyłem go śmiertelnie.

– Co z lekarskami? – spytałem.

– Mam je zawsze przy sobie.

Wolfgang należy do pokolenia, które doświadczyło zimnej wojny i przeżyło kryzys kubański. Tacy ludzie przechowują w piwnicach stopy konserw i zawsze mają przy sobie potrzebne rzeczy, w tym także lekarstwa.

– Wspaniale – powiedziałem.

Oceniliśmy z Lucy, że Wolfgang nosi ubrania mniej więcej tego samego rozmiaru co ja. Szybko spakowaliśmy torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Zawahałem się, kiedy składałem w kostkę moje majtki, żeby włożyć je do torby. Przecież nie zawsze jest tak, że dwaj mężczyźni, którzy noszą ubrania w tym samym rozmiarze, muszą mieć podobny gust. Wprawdzie nigdy nie widziałem bielizny Wolfganga, ale akurat tego byłem pewien.

– Szczoteczka do zębów – przypomniała Lucy.

– Kupię po drodze w jakimś sklepie.

– Jeśli jesteś pod obserwacją, to ci, którzy za tobą chodzą, zaczną się zastanawiać, dokąd wyjeżdżasz i po co kupujesz przybory toaletowe. Pomyśl, że szykujesz się do ucieczki.

– Na pewno nie – odparłem. – Pozbędę się ich po drodze, a jeśli mi się nie uda, to równie dobrze mogę sobie darować spotkanie z Wolfgangiem.

Stałem się już specjalistą od gubernia ogona. Jeśli tak dalej pójdzie, to pewnie wkrótce będę mógł wrócić do zawodu policjanta. Ale od razu odrzuciłem ten pomysł. Nie chciałem wracać pamięcią do tamtego okresu w moim życiu, znowu myśleć o człowieku, którego zabiłem, a potem zakopałem w ziemi.

Zakopiemy go, Benner.

Koszmary przestały mnie na pewien czas dręczyć, a ich miejsce zajęła ponura rzeczywistość. I tylko Lucyfer gdzieś nade mną wisiał. Ten sam Lucyfer, który wiedział o mnie na długo przed tym, jak ja usłyszałem o nim, który zabronił mi, żebym go szukał, i którego – zdaniem Sary – ja też znałem.

– O co chodzi? – spytała Lucy, widząc, że nad czymś się zastanawiam.

– O nic. Albo o wiele. Zależy, jak na to spojrzeć.

Kiedy wychodziłem, Lucy mnie pocałowała. To był jej pierwszy pocałunek od wielu godzin. Zbyt wielu.

– Belle powinna wrócić niedługo do domu? – upewniła się.

– Tak

Zerknąłem na telefon. Żadnych nieodebranych połączeń od Signe. Mimo to przez cały czas podświadomie się niepokoiłem. Jeśli Belle miałyby znowu zaginać, chybaby oszalał.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, gdy nagle usłyszałem, jak ktoś wsuwa klucz do zamka. Chwilę później do przedpokoju wpadła Belle. Prawie wyważyła drzwi, zanim Signe

zdążyła wyjąć klucz. Poczulem ulgę, której nie da się opisać słowami.

Pożegnałem się z Belle i wyszedłem z mieszkania. Postanowiłem pojechać rowerem do innej niż poprzednio wypożyczalni samochodów i zapłacić gotówką, jak jakiś kryminalista.

– *À propos* – powiedziałem, zatrzymując się w progach. – Znasz może kogoś, kto ma na imię Sebastian albo Sebbe?

Lucy przekrzywiła głowę. Z kuchni dobiegało trzaskanie talerzy. Usłyszałem głos Signe:

– Belle, umyj ręce. Jesteś już dużą dziewczynką.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby największym zagrożeniem dla Belle były bakterie na jej rączkach.

– Nie – odparła Lucy. – A właściwie tak. Znam pewnego Sebastiana Berga. Pracuje w ministerstwie finansów.

Wybuchnąłem śmiechem.

– To na pewno nie on. Pytałem o dziecko.

Lucy też się roześmiała, ale nie dlatego, że było jej tak wesoło, tylko po prostu potrzebowała tego.

– Z tym będzie gorzej – odparła. – Nie przypominam sobie, żeby Belle miała kolegę o tym imieniu.

W tym momencie do przedpokoju weszła Belle.

– Belle, czy masz jakiegoś kolegę, który ma na imię Sebastian albo Sebbe? – spytała Lucy. Jej zdaniem Belle posiada talent do opowiadania. Ja taknie uważam.

Belle spoważniała.

– Nie mam – odparła. – Nie mam grzecznego.

Popatrzyliśmy na siebie z Lucy.

– Aha, a niegrzecznego?

– Tak, Sebbe z pieskiem.

Czułem, że dzieje się coś ważnego. Sebbe z pieskiem. Starałem się uporządkować myśli.

– Czy to prawdziwy piesek? – spytała Lucy.

– Tak, co można klaskać.

Wszystko stało się od razu jasne. Zrozumiałem, co Belle ma na myśli. Dawne wspomnienia wynurzyły się na powierzchnię jak tajemnica, którą ktoś zatopił w wodzie i która uwolniła się nagle od ciężaru przytrzymującego ją na dnie. W zeszłym roku Belle była latem na przyjęciu urodzinowym u jednego z kolegów. Wróciła z niego tak poruszona, że musiałem zadzwonić do mamy solenizanta i spytać, co się stało. Od razu się przyznała, że na uroczystość zaprosiła do swojego mieszkania dziesięcioro trzylatków, ale bez rodziców. Nie mieściło mi się to w głowie. Kiedy Belle będzie obchodzić urodziny, wynajmę jakiś lokal i zaproszę wszystkich rodziców.

– Klaskaliśmy w ręce, a on to słyszał i szedł – wyjaśniła Belle.

Okazało się, że jeden z zaproszonych chłopców miał psa zabawkę, który reagował na różne dźwięki. Belle, która kocha psy, ale wie, że dopóki mieszka ze mną, żadnego nie dostanie, była wprost zachwycona. Potem cały czas o nim mówiła, zwłaszcza gdy przechodziliśmy koło sklepu z zabawkami.

Jak widać, zapamiętała pieska, nie chłopca. Mama chłopca, z którą rozmawiałem przez telefon, rozśmieszyła mnie w pewnej chwili. Okazało się bowiem, że ów chłopiec zagroził Belle, że jeśli nie zostawi pieska w spokoju, to przyjdzie po nią jego tata policjant.

– Możliwe, że pan go zna – powiedziała. – Jest pan przecież adwokatem i na co dzień utrzymuje pan kontakty z policją.

Kobieta wymieniła jego nazwisko.

– To nie może być prawda – mruknąłem.

Lucy spojrzała na mnie niespokojnie.

– Nie domyślasz się, kim był ojciec tamtego chłopca od pieska? – spytałem.

Lucy pokręciła głową.

– Pamiętam, że coś wspominałeś, ale wyleciało mi to z pamięci.

– Ojcem chłopca był Didrik. To jego syn miał tamtego pieska.

Wszedłem z powrotem do mieszkania. Torba z rzeczami dla Wolfganga ciążyła mi na ramieniu. Lucy chwyciła się za głowę.

– Chwileczkę – powiedziała. – Co ty sobie ubzdurałeś? Że Herman Nilson jest ojcem chrzestnym syna Didrika? I że syn Didrika chodził do tego samego przedszkola co Mio? To mało prawdopodobne. Przecież on nawet nie mieszka we Flemingsbergu.

Moje myśli nagle przyspieszyły i popędziły z prędkością pociągu, który mknie po prostym odcinku torów. Przypomniały mi się siniaki na ciele dziecka, na które zwróciły uwagę przedszkolanki. Ale przecież Didrik nie bije dzieci. A może jednak?

– Naszym zdaniem Rakel znała Hermana Nilsona – powiedziałem powoli. – Nilson jest ojcem chrzestnym dziecka o imieniu Sebbe, które chodziło do tego samego przedszkola. Pewnie tego nie pamiętasz, ale Didrik i Nilson znają się osobiście. Didrik był na grillu, który Nilson zorganizował w Årście. Nie sądzę, żeby obaj utrzymywali z sobą aż tak zażyłe kontakty, ale ich żony spędziły w kuchni pół nocy na plotach. Być może to dlatego obie rodziny trzymają się razem.

Lucy jednak miała wątpliwości.

– Nie wiem, co powiedzieć. To chyba zbyt daleko idąca interpretacja.

Słyszając to, wałęnałem pięścią w ścianę z taką siłą, że Lucy i Belle aż podskoczyły.

– Zbyt daleko idąca? Kochanie, wybaczone, ale ty chyba oszalałaś. Cała ta pieprzona historia zaszła za daleko. Uważam, że mam rację – że na pewno mam rację. Rakel poznałem tego samego wieczoru, w którym umówiłem się z Didrikiem. Didrik jest ojcem Sebrego. Czy to nie logiczne rozumowanie?

– Chcesz powiedzieć, że Didrik też bije swojego syna? I dlatego Rebecca wyprowadziła się do Danii?

Pokręciłem głową.

– Nie i jeszcze raz nie.

Mimo wszystko poczułem ulgę. W końcu udało mi się wyjaśnić pewne wątki, które do tej pory były zbyt zawikłane, żeby móc je połączyć.

Belle podeszła do Lucy i objęła ją rękami w pasie. Kiedy zdążyła tak urosnąć? Lucy pogłaskała ją po głowie.

– Musisz to po prostu sprawdzić – powiedziała. – Jutro zadzwonimy do przedszkola albo spytamy kogoś, kto coś wie.

Na przykład Nilsona. Nazwisko znowu do mnie wróciło. Tylko on jeden może mi powiedzieć, jaka jest prawda. Być może sam nie wszystko rozumie, ale to bez znaczenia.

– Jutro skontaktuję się z Nilsonem – powiedziałem.

– To zbyt wielkie ryzyko.

– No i co z tego? To się musi wreszcie skończyć.

– Zgadzam się z tobą. Czy Susanne nie wspominała o chłopcu, który ma na imię Sebbe? Nie powiedziała ci na przykład, jak mają na nazwisko jego rodzice?

– Tego nie wiedziała.

Lucy westchnęła.

– Wiele osób nie wie tego, co powinny wiedzieć – powiedziała. – Na przykład ty nie wiedziałeś, że Didrik przeprowadził się do Danii.

Mało brakowało, a znowu roześmiałybym się na cały głos.

– Nie rozmawiam z nim o takich sprawach – odparłem, dodając w myślach: „Kiedyś ci wyjaśnię dlaczego”. Spojrzałem na Belle. – Sebbe z pieskiem. Hau, hau, hau.

Lucy uśmiechnęła się, ale Belle zrobiła poważną minę.

– On jest niegrzeczny – powiedziała. – Chłopiec z pieskiem jest niegrzeczny.

Ten dzień wyglądał tak, jak gdyby nie chciał się skończyć. Wyjechałem z domu, żeby zapewnić Wolfgangowi pewne poczucie bezpieczeństwa. Spotkaliśmy się na stacji benzynowej pod Sztokholmem, tak jak się umówiliśmy. Byłem absolutnie pewien, że nikt za mną nie jechał.

– Czy mogę prosić o klucz do pańskiego mieszkania? – spytałem, zanim się rozstaliśmy.

– A po co?

– Chciałbym się zaopiekować pańskim komputerem. – „Zanim zrobi to ktoś inny”, dodałem w myślach. Na przykład policja, Staffan albo Didrik. Albo obaj razem.

Wolfgang bez słowa podał mi klucz. Wyglądał tak, jak gdyby od naszego ostatniego spotkania znacznie się postarzał. Właściwie powinienem go pochwalić za to, że tak dzielnie się trzymał. Udał się nawet do wypożyczalni, żeby wynająć jakiś pojazd. Spytałem go, dokąd chce pojechać, i usłyszałem, że do letniego domku w Strömstad. Dla kogoś w jego wieku daleka podróż o tak późnej porze mogła być trudna. Poza tym nie spodobało mi się, że zamierza pojechać właśnie tam, bo przecież ci, którzy będą go ewentualnie szukać, sprawdzą przede wszystkim to miejsce. Od razu się z nim podzieliłem moimi wątpliwościami.

– No to co mam zrobić? – spytał.

Niestety nie potrafiłem mu udzielić dobrej odpowiedzi.

– Nie ma pan krewnych albo jakiegoś dobrego przyjaciela? – spytałem. – Taki przyjaciel to nawet lepsze rozwiązanie, trudniej będzie go wytropić.

Wolfgang przez moment zastanawiał się nad moimi słowami ze zrezygnowaną miną. Po chwili twarz mu się trochę rozjaśniła.

– Jest ktoś taki – odparł. – Mój były szwagier. Nie widziałem go od ponad pięciu lat, a on ciągle przysyła mi kartki na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Za każdym razem pisze, że jeśli będę miał ochotę, to mogę go odwiedzić. Mieszka w Gävle.

– Doskonale! – zawołałem, chociaż podejrzewałem, że ów szwagier nie taką wizytę miał na myśli. – Na pewno się ucieszy z pana widok – „Zwłaszcza późnym wieczorem, po raz pierwszy od pięciu lat”, pomyślałem.

Wolfgang skinął niepewnie głową.

– No dobrze, w takim razie tak właśnie zrobię – zdecydował.

Zabrał torbę z rzeczami, które mu przywiozłem, i wsiadł do swojego samochodu.

– Przykro mi, że wciągnąłem pana w tę sprawę – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– Przecież ja nawet nie wiem, w co zostałem wciągnięty – odparł.

Jego głos nie był już tak dziarski jak poprzednio. Chwilę później włączył silnik i odjechał. Uniosłem rękę, żeby mu pomachać, i też wsiadłem do samochodu. Wypożyczalni obiecałem, że odstawię go tego samego wieczoru. Firma jest otwarta całą dobę, więc mogłem tam przyjechać w każdej chwili.

Byłem już zmęczony. W powrotnej drodze do miasta odczuwałem to bardzo wyraźnie. Niestety nie dane mi było zaznać spokoju. Ścigało mnie mnóstwo upiórów, miałem zbyt wiele zagadek do rozwikłania. Jeśli prawdą jest, że syn Didrika chodził do tego samego przedszkola co Mio, to dlaczego Didrik umieścił swojego syna w przedszkolu we Flemingsbergu? Didrik jest dumny ze swojego nazwiska. Nie znosi przedmieść, bo nie mieszkają na nich milionerzy. Majątek, który odziedziczył, nie jest owocem jego pracy. Nie rozumiem, po co został policjantem.

Didrik nigdy nie zaprosił mnie do swojego domu. Nasze dzieci nie bawiły się razem (z jednym wyjątkiem, gdy trafiły kiedyś do tej samej grupy), a jego żona Rebecca nie utrzymywała bliskich stosunków z Lucy. Z Didrikiem spotykaliśmy się w pracy i przy pojedynczych okazjach, żeby wypić wspólnie drinka. Porządek naszych spotkań wyglądał zawsze tak samo. Rozmawialiśmy o pracy, kobietach, karierze i o tym, dlaczego działania policji są tak nieskuteczne. Pytałem go, gdzie kupuje swoje eleganckie garnitury, ale nigdy tematem naszych rozmów nie były sprawy rodzinne. Nie znałem jego syna, a Didrik nigdy nie widział Belle. Za to miał u mnie jednego plusa, bo pamiętał, jak Belle ma na imię. Ja nie mam głowy do takich szczegółów. Zapamiętałem jedynie to, że syn Didrika był adoptowany, ale nad tym się akurat nie rozwodziłem. Belle też jest adoptowana, chociaż z zupełnie innych powodów.

Mimo to wiedziałem, gdzie Didrik mieszka, a właściwie mieszkał. Nie wiedziałem tylko, czy po rozstaniu z Rebeccą nie wyprowadził się stamtąd. Jeśli w ogóle doszło do separacji. W każdym razie tak to zabrzmiało, gdy Rebecca przyznała się, że mieszka teraz w Danii. Didrik odziedziczył po babce dom w Djursholmie. Dowiedziałem się o tym od jego zazdrosnych kolegów z pracy. Jego błyskawiczna kariera w policji wywołała niechęć w różnych kręgach. Wielu policjantów uważało – a ja podzielałem tę opinię – że powinien być wybrać inny zawód, bo nie pasuje do tego środowiska. Dla mnie nie miało to większego znaczenia, bo ja też nie pasowałem do tej grupy zawodowej. Być może właśnie to nas do siebie zbliżyło. Czuliśmy, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

Kiedy jechałem przez Sztokholm, samochód poruszał się jakby o własnych siłach. Nie chciało mi się wracać do domu. Wiedziałem, gdzie Didrik mieszka, bo przed kilku laty jednym z moich klientów był jego sąsiad. Został oskarżony o to, że będąc w stanie nietrzeźwym, pobił kogoś na imprezie. Gazety szeroko się rozpisywały o tym, jak jeden milioner spotkał się w sądzie z innym milionerem w sprawie o pobicie, w której ważniejsza była obawa przed utratą dobrego imienia niż fizyczne obrażenia. Skończyło się na tym, że mój klient został uniewinniony. Był mi za to niezmiernie wdzięczny i po sprawie zaprosił mnie do siebie na poncz.

Na samo wspomnienie tego, jak siedzieliśmy wtedy na werandzie jego domu i popijaliśmy poncz, głośno się roześmiałem. Nie był to jednak radosny śmiech. Kryła się w nim pewna troska.

Poncz, klienci i weranda należały już do przeszłości, do dawnego życia. Moje obecne działania obejmowały jedynie prowadzenie śledztwa w wiadomej sprawie i skupienie się na tym, aby za wszelką cenę przeżyć.

Mój samochód sunął powoli ulicą w eleganckiej dzielnicy willowej, w której mieszkał mój ówczesny klient. Jego dom znajdował się na samym końcu. Obok stał dom Didrika. Na podjeździe zauważyłem dwa mercedesy. Zatrzymałem się i zajrzałem do ogrodu, w którym jakiś człowiek kosił trawę. Nie przy pomyślał wcale Didrika. Po ogrodzie biegał pies i głośno szczekał. Czyżby to był pies Didrika? Chyba nie. Z willi wyszedł kilkunastoletni chłopak, który podszedł do mężczyzny z kosiarką. Zauważyłem między nimi podobieństwo, na pewno byli ojcem i synem. Mężczyzna wyłączył kosiarkę i wziął od chłopaka przedmiot, który ten mu podał. Może telefon?

Zaparkowałem wzdłuż chodnika. Kiedy wysiadłem z samochodu i podszedłem bliżej, mężczyzna i chłopak popatrzyli na mnie. Mężczyzna powiedział coś do telefonu i schował go do kieszeni ciemnozielonych spodni z licznymi kieszeniami. Lucy nazywa takie spodnie myśliwskimi.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał, gdy podszedłem do kamiennego murku oddzielającego ogród od ulicy.

Murek sięgał mi nad kolana. Przypomniały mi się młode lata i przez chwilę miałem ochotę przeskoczyć na drugą stronę.

– Szukam Didrika Stihla – odparłem.

– Niestety, od dawna już tu nie mieszka.

– A wie pan, kiedy się stąd wyprowadził?

– Oczywiście. Przecież to ja z żoną kupiliśmy od niego ten dom. W zeszłym roku, na początku września.

Przypomniało mi się, że wtedy też się z nim nie kontaktowałem.

– Czy wie pan, dokąd się wyprowadził?

Mężczyzna miał na sobie jasnobrązową, zbyt grubą jak na tę porę dnia i na strzyżenie trawy koszulę. Widać było na niej plamy potu.

– A dlaczego chce pan to wiedzieć? – spytał.

Mądry człowiek wie, że nie wolno rozmawiać z obcymi. To głupie, że wpajamy dzieciom, że ta zasada przestaje obowiązywać, gdy stają się dorośli. A przecież obowiązuje od kołyski aż po grób, przynajmniej w tym zakresie, że należy być ostrożnym. Tak jak ten mężczyzna w myśliwskich spodniach.

Postanowiłem zagrać tą samą kartą, co zwykle. Udałem, że jestem rozluźniony. Zmusiłem się nawet do uśmiechu.

– Jestem adwokatem i szukam Didrika w sprawie służbowej.

Mężczyzna opuścił ramiona.

– Rozumiem – odparł.

Dał synowi znak, żeby ten wziął od niego kosiarkę. Chłopak bez słowa zaczął dalek kosić trawę. Mężczyzna chrząknął.

– Z tego co wiem, jego rodzina mieszka w Danii – powiedział.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdził, robiąc przy tym smutną minę. – Z tego co słyszałem, wyprowadzali się w niezbyt przyjemnych okolicznościach.

Znowu wyraziłem swoje zdumienie i czekałem na dalsze słowa.

– A może pan wie, co się stało i dlaczego się wyprowadzili? – spytał mężczyzna.

Pokręciłem głową.

– Nie – odparłem zgodnie z prawdą. – Nie mam pojęcia.

Mężczyzna obserwował, jak jego syn krąży po trawniku.

– W takim razie informowanie pana o tym nie należy do moich obowiązków.

– Czy to miało coś wspólnego ze skargami?

Mężczyzna przestał obserwować syna i spojrzał na mnie pełnym złości wzrokiem.

– Jeśli przyszedł pan tutaj, żeby rozmawiać o takich rzeczach, to lepiej będzie, jak pan już sobie pójdzie.

Patrzyłem na wspaniałą willę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Didrik i Rebecca na pewno dostali za nią grube miliony. Przypomniało mi się, jak Rebecca wyglądała, gdy się przypadkowo spotkaliśmy. Była blada i zmęczona.

– Przyszedłem tu tylko po to, żeby się dowiedzieć, gdzie mieszka Didrik – odparłem. – Jeśli pan tego nie wie, nie musimy ciągnąć tej rozmowy.

Chciałem, żeby mężczyzna zmiękł, bo uważałem, że jednak ma mi coś do powiedzenia. Mogłoby to wyjaśnić, dlaczego rodzina Stihlów wyprowadziła się za granicę, bo w historii dotyczącej pobicia dziecka było sporo luk.

– Didrik jest policjantem – zaczął mężczyzna. – Z takiej pracy nie odchodzi się z dnia na dzień. Na pewno znajdzie go pan gdzieś w mieście. Wydaje mi się, że do Danii wyprowadziła się tylko jego żona z dzieckiem, a on ich co jakiś czas odwiedza.

Nagły podmuch wiatru poruszył gałęziami drzew w ogrodzie. Zbliżała się jesień. Uświadomiłem sobie, że tęsknię i czekam na porę roku, której zwykle nie znoszę.

– Dość dziwny układ – odparłem.

– Oględnie rzecz ujmując.

– Na pewno pan nie wie, jak mogę się skontaktować z Didrikiem?

Przed wyjazdem do Djursholm sprawdzałem w biurze meldunkowym, ale tam też się niczego nie dowiedziałem. Albo więc Didrik dopuścił się oszustwa i jest zameldowany w Danii, albo jego prywatne dane są chronione. Wcale bym się nie dziwił, gdyby tak było, bo wielu policjantów i prokuratorów ma je zastrzeżone. Ja też wiele razy próbowałem załatwić sobie taką ochronę, ale bezskutecznie.

– Na pewno – odparł mężczyzna.

– Czy nie wpisał nowego adresu w umowie kupna-sprzedaży, gdy przekazywał panu dom?

Mężczyzna przez moment się zastanawiał.

– Być może – odparł po chwili. – Może faktycznie wpisał tam duński adres? Nie pamiętam, ale jeśli ma pan czas, to pójdę i sprawdzę.

To oczywiście, że w tych okolicznościach miałem dla niego mnóstwo czasu.

– Chętnie poczekam – zapewniłem.

Kiedy mężczyzna wszedł do willi, otworzyły się drzwi domu należącego do mojego dawnego klienta i w progu stanęła młoda kobieta. Nie znałem jej. Może tamten dom też ma nowych właścicieli?

W tym momencie zadzwonił telefon. Lucy.

– Co tak długo robisz? – spytała.

– Zaraz wracam. Muszę jeszcze coś sprawdzić.

– Okej.

Rozłączyłem się i w tym samym momencie mężczyzna wyszedł z domu z dokumentem w ręku. Starał się iść szybkim krokiem, ale od razu zauważyłem, że kuleje. Może ma jakiś problem z biodrem? Tylko czy nie jest na to za młody? Zawsze miałem i nadal mam dziecienny pogląd na kwestię starzenia się ludzi. Sama myśl o tym, że któregoś dnia nie będę w stanie sam się sobą zająć, pójść o własnych siłach do toalety albo zadbać o podstawowe czynności higieniczne, napawa mnie przerażeniem. Jeśli do tego dojdzie, wolę umrzeć. Nie umiałbym sobie poradzić z własną bezradnością.

– Proszę – powiedział mężczyzna, który nawet nie próbował ukryć zadowolenia. – Tak to jest, gdy ktoś dba o dokumenty. Zawsze to powtarzam mojej żonie.

Mówiąc to, podał mi umowę. Zorientowałem się, że to pierwsza strona długiego aktu kupna-sprzedaży. Były na niej dane obu stron.

– Na pewno mieszka w Södermalmie – powiedział mężczyzna. – Bo to chyba tam jest ta ulica?

Nie odpowiedziałem, bo ciągle gapilem się na kartkę.

– Jakiś problem? – spytał mężczyzna zaniepokojony m głosem.

„Tak – odparłem w myślach. – I to wielki”.

Okazało się, że adres, który Didrik podał jako swoje nowe miejsce zamieszkania, jest identyczny z adresem mieszkania, do którego Rakel zabrała mnie z Klubu Prasowego.

30

Do domu wróciłem niecałą godzinę później. Z samochodu zadzwoniłem do Harriet, którą poznałem w trakcie poszukiwań Rakel (to znaczy Veroniki, bo pod tym imieniem ją wtedy znałem). Poinformowała mnie, że we wspólnocie mieszkańców nie ma żadnego Didrika Stihla. Za to mężczyzna o tym nazwisku podnajmuje jedno z mieszkań. Harriet nie potrafiła jednak określić, od jak dawna.

Bingo.

Wchodząc na górę, zakradłem się do mieszkania Wolfganga i zabrałem z niego komputer. Wyglądał na nienaruszony, ale wiedziałem, że przekonam się o tym dopiero, gdy go uruchomię. Byłem prawie pewien, że zdążył się już do niego włamać ktoś, komu zależało, żeby usunąć z dysku niewygodne pliki. Na przykład Didrik.

Wyszliśmy na taras i otworzyliśmy butelkę wina. Słyszając, czego się dowiedziałem o Didriku, Lucy zbladła. Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem jest zamieszany w całą tę brudną sprawę. Czy to on potrafił śmiertelnie Jenny i Bobby'ego samochodem podobnym do mojego i popełnił pozostałe zbrodnie? Przewiół zwłoki z Solny i wrzucił je do bagażnika mojego wozu? Czy zrobił to razem z Rakel? Na samą myśl o tym, że któraś z tych tez może być prawdziwa, zachciało mi się śmiać, choć czułem przerażenie. Ale moje podejrzenia wydawały mi się jak najbardziej uzasadnione.

Dźwięki dobiegające z ulicy zwróciły uwagę Lucy. Pod tym względem jest podobna do mnie: zawsze zachowuje czujność. Nie potrafi odróżnić tego, co ważne, od tego, co nieistotne. Kiedy dźwięki ucichły, Lucy się uspokoiła.

Postanowiłem opisać jej w krótkich zdaniach naszą sytuację:

– W bagażniku mojego samochodu znaleźliśmy ludzkie zwłoki. Ten sam człowiek jeszcze wczoraj leżał w pewnym domku w Solnie, należącym do kobiety, z którą kiedyś poszedłem do łóżka i która mnie okłamała, podając fałszywe imię i fałszywy adres. Ta sama kobieta uprowadziła Mio. Poznałem ją na spotkaniu z Didrikiem, który jest zameldowany w domu, do

kórego ta kobieta mnie potem zabrała. Didrik udostępnił jej mieszkanie, w którym spędziłem z nią tamten wieczór. To on prowadził śledztwo w sprawie Sary Teksas. Kiedy Elias Krom zadzwonił na policję, prosząc o pomoc, rozmawiał ze Staffanem Ericssonem. To Didrikowi zaufałem od samego początku. Oznacza to, że Didrik i Rakeł są w znowie. To oni stoją za tą całą historią. Nie rozumiem tylko dlaczego. Nie wiem też, z jakiego powodu próbują mnie posłać za kraty.

Poczułem nagle dławienie w gardle, miałem kłopoty z oddychaniem. Didrik nie był moim przyjacielem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, ale zawsze uważałem go za mojego sojusznika, któremu mogę zaufać.

Lucy odstawiła kieliszek z winem. Miała sine wory pod oczami. Podobno ładnemu we wszystkim ładnie, ale nie odnosi się to na pewno do zmęczenia.

– Musimy się dowiedzieć, co kieruje Didrikim. Dlaczego robi te wszystkie dziwne rzeczy – powiedziała. – Oczywiście, jeśli to jego sprawa.

– Jeśli? Kochanie, na sto procent. Zrobił to wszystko razem z Rakeł. Gdyby w tej grze występowali też inni aktorzy, ujawniliby się w różnych sytuacjach.

Lucy nie odpowiedziała. Nad czymś się zastanawiała.

– Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o jego przeprowadzce do Danii – powiedziałem.

– A co w tym dziwnego? Może Rebecca dostała po prostu nową pracę?

Przypomniało mi się, jak całkiem niedawno spotkałem się z Rebeccą na ulicy. Była biała, miała zapadnięte oczy. Przede wszystkim jednak widać było po niej, że się czegoś boi. Wtedy podejrzewałem, że Didrik naopowiadał jej o mnie niestworzonych rzeczy i dlatego na mój widok tak bardzo się przestraszyła. Teraz nie byłem już tego taki pewien. Być może Rebecca bała się z innych powodów. Niewiele rzeczy jest w stanie bardziej przestraszyć ludzi niż świadomość, że ich tajemnica ujrzy światło dzienne.

– Całkiem możliwe – odparłem.

Lucy sięgnęła drżącą dłonią po kieliszek.

– Nie znamy żadnego znajomego Didrika – powiedziała. – Nie dowiesz się niczego więcej o jego przeprowadzce, nie wzbudzając przy tym podejrzeń.

– Znam Hermana Nilsona.

Lucy rozlała trochę wina na bluzkę. Z trzaskiem odstawiła kieliszek na stolik.

– Wcale go nie znasz – odparła, akcentując wyraźnie każdą sylabę. – Nie na tyle, żeby się z nim spotkać i zacząć wypytywać go o Didrika.

– Nie przesadzaj, byliśmy przecież razem na grillu.

– Lepiej powiedz, że czuliśmy się w ich towarzystwie dość niezręcznie. Herman jest ojcem chrestnym syna Didrika. To nam wiele mówi o tym, wobec kogo zachowa się lojalnie. Nie zdążyś zadać mu dwóch pytań, a on już będzie dzwonił do Didrika, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. A jeśli Didrik ma na sumieniu chociaż połowę tego, co sugerujesz, to ryzykujesz, że i ciebie spotka jakieś nieszczęście.

Jakbym sam o tym nie wiedział... jakbym już nie siedział po uszy w bagnie.

– Muszę się w końcu na coś zdecydować, bo inaczej nigdy się od nich nie uwolnię – odparłem. – Właściwie nic się nie stanie, jeśli Didrik usłyszy, że zaczynam o niego wypytywać. Może zaczniesz popełniać błędy i sam się wpakuje w kłopoty? Pod warunkiem że faktycznie jest w to wszystko zamieszany.

Przypomniał mi się mężczyzna, którego widzieliśmy na nagraniu z garażu. Nie da się

jednoznacznie wykluczyć, że to nie był Didrik. Ktoś, kto zna się na tym lepiej ode mnie, musiałyby dokonać szczegółowej obróbki nagrania.

– Nie znoszę takich sytuacji – stwierdziła Lucy. – Nie daję mi spokoju, że wiemy tak mało, że nas ścigają. Nie potrafimy nawet ustalić, dlaczego Rakel cię wtedy poderwała.

Lucy miała rację, a mnie przeszkadzała głównie jedna rzecz: że jest tyle tropów, które łatwo można przeoczyć. Na każdym kroku, w każdym momencie.

Ziewnąłem tak szeroko, że szczęka prawie mi wyskoczyła z zawiasów. Potrzebowałem snu.

– Pójdziemy już spać? – spytałem.

Chciałem, żeby zabrzmiało to jak pytanie, a tymczasem wyszło z tego błaganie.

– Oczywiście.

Położyliśmy się do tego samego łóżka, pod tę samą kołdrę. Leżeliśmy blisko siebie, ale żadne z nas nie miało ochoty na fizyczne zbliżenie. Czułem się tak, jak gdyby obok mnie leżała moja siostra. Kiedy nasze kłopoty się skończą, to też się zmieni. Będę sobie wypruwał żyły, żeby wrócić do dawnego stylu życia. Wtedy znowu będziemy szczęśliwi.

Lucy zasnęła, a ja leżałem i wsłuchiwałem się w jej oddech. Ogarnął mnie niepokój. Lista zmartwień, które przyprawiały mnie o ból głowy, była naprawdę długa. Dwa z nich były ważniejsze od pozostałych. Po pierwsze, musiałem ustalić, czy Didrik jest w to zamieszany. Po drugie, nadal nie wiedziałem, dlaczego ludzie Lucyfera jeszcze się ze mną nie skontaktowali. Czyżby przestało mu zależeć? Może nie interesowało go, jak wygląda sytuacja i jak idą poszukiwania? A może śledził każdy mój krok i wszystko wiedział? Na samą myśl, że tak właśnie jest, przeszedł mnie dreszcz. Nie mogłem się powstrzymać i obudziłem Lucy.

– Nagranie z kamery Wolfganga... mam nadzieję, że go nie stracimy? – spytałem.

– Zanim się położyłam, jeszcze raz sprawdziłam. Wszystkie trzy kopie są na swoim miejscu.

Uspokojony tym zapewnieniem, otuliłem się szczerlnie kołdrą. Jeśli jest tak, jak mówi Lucy, nie trafię do więzienia za trupa w bagażniku. Zawsze to coś.

Wydaje mi się, że na chwilę zasnąłem. Koszmary kłębiły mi się w głowie, ale tym razem zostały tam, gdzie były. Przypomniała mi się strzelanina sprzed dwudziestu lat – szpadel, dół, ciepła ziemia i plamy krwi na ubraniu. Ale w sumie spało mi się całkiem dobrze. Nie wiedziałem tylko, co przyniesie kolejny dzień.

Piątek

Najpierw zadzwonił Didrik. Nie spodobał mi się ton jego głosu.

– Czy mógłbyś wpaść do nas na komendę? Chcielibyśmy cię poddać testowi DNA.

Cały zeszywniałem. DNA?

– A po co?

– Jest nam to potrzebne, żeby cię wykluczyć z kręgu podejrzanych. Nie powinno być z tym problemu. Przecież niczego złego nie zrobiłeś.

– Uważasz więc, że na dowód chęci do współpracy z wami powinienem się u was zjawić i zostawić trochę śliny do zbadania?

– Coś w tym stylu.

Nigdy w życiu. Przez ostatnią noc poziom mojego zaufania do policji jeszcze bardziej spadł. Z takimi próbami będą mogli zrobić wszystko. Na przykład oskarżyć mnie o zamordowanie Olofa Palmego, jeśli będzie to konieczne.

– A jaki macie materiał porównawczy? – spytałem. – Odniosłem wrażenie, że brakuje wam dowodów technicznych.

– Nie wiem, na jakiej podstawie odniosłeś takie wrażenie. Poza tym nie mam zamiaru dyskutować z tobą o śledztwie. Przyjdiesz?

Nie wahałem się ani sekundy.

– Nie, nie przyjdę.

– No to sam wiesz, co się teraz stanie – stwierdził Didrik. W jego głosie wyczułem zdumienie moją odpowiedzią, chociaż starał się je ukryć.

Teraz jego ton nie był już tak łagodny jak na początku rozmowy. Przeciwnie, nagle stał się

twardy. Didrik wystrzeliwał pojedyncze kule, a ja musiałem uważać, żeby nie być zbyt pewnym siebie. Nie dawało mi to spokoju. Czyżby na serio zastanawiał się nad skierowaniem wniosku do prokuratora o poddanie mnie testowi DNA?

– Nie, nie wiem, co się stanie – odparłem ochryplym głosem. – W którym z zabójstw zabezpieczyłeś ślady DNA sprawy?

Didrik nie musiał nawet odpowiadać na to pytanie. Chyba jednak zrozumiał, że wcześniej czy później i tak się tego dowiem. Poza tym zdradził mi już tyle, że równie dobrze mógł wyjawić więcej szczegółów.

– W zabójstwie Ohlandera.

Mógł wymienić kilka nazwisk, ale to zaskoczyło mnie najbardziej. Fredrik Ohlander. Dziennikarz, któremu o wszystkim opowiedziałem i który w odpowiedzi na pytanie Didrika zaprzeczył, jakoby utrzymywał ze mną kontakty.

– Fredrik? Ale...

– Tak, on nie żyje, a ty wiedziałeś, kim był. Sam chyba rozumiesz, że to wystarczy, aby wykluczyć cię ze śledztwa jako podejrzanego, zwłaszcza w świetle tego, co zeznała jego rodzina. Okazuje się, że Ohlander spotykał się z jakąś tajemniczą osobą, która przed śmiercią opowiedziała mu pewną wstrząsającą historię.

Poczułem się tak, jak gdybym znalazł się nagle pod ostrzem gilotyny. Fredrik zginął, bo ktoś go śmiertelnie potrafił. Samochód sprawcy był podobny do mojego. W tym samym czasie moje porsche stało w warsztacie, bo pachniało w nim pomarańczą. Teraz znowu chodzi o próbki DNA. Akurat w tym momencie.

– To bardzo dziwna historia – powiedziałem. – Najpierw go potrafiłem, potem wysiadłem z samochodu i naplułem na zwłoki. I co znaleźliście? Włosy? A może dwa? Albo trochę moczu?

Wydawało mi się, że Didrik się roześmiał, ale chyba rzeczywiście mi się tylko zdawało.

– Ani włosy, ani mocz, mój przyjacielu – odparł Didrik.

– Zdzwonił się – powiedziałem i się rozłączyłem.

W czasie rozmowy żołądek skurczył mi się ze strachu. Policja nie żądałaby ode mnie, żebym się poddał testowi DNA, gdyby nie miała materiału porównawczego. Jeśli to pułapka, to mogłem być pewien, że mój prześladowca uczyni wszystko, żeby posłać mnie na resztę życia do więzienia. Pytanie brzmiało: co ze mnie „pobrał”? Pojedyncze włosy?

W całym tym kontekście dwa słowa miały decydujące znaczenie. Dwa słowa, które mogły mi pomóc wyjaśnić to, co każdego dnia starałem się zrozumieć. Odpowiedź była na wyciągnięcie ręki, mimo to nie potrafiłem jej dostrzec.

Chociaż sobie obiecałem, że już więcej tego nie zrobię, znowu musiałem poprosić Madeleine o przysługę. Zgodziła się z dużą niechęcią.

– Stałem w miejscu – powiedziałem. – Muszę się skontaktować z Hermanem.

– Robię to tylko dla ciebie i tylko dlatego, że ciągle sobie wmawiam, że jesteś porządnym człowiekiem.

Madeleine zdradziła mi, że Hermana mogę spotkać w restauracji Tennstopet w dzielnicy Vasastan. Cztery razy w tygodniu jadał tam lunch, sam albo w czymś towarzystwie. Jeśli nie

udałoby mi się go tam zastać, mógłbym go znaleźć w jego biurze. Ale tam szansa na dyskretną rozmowę była niewielka i prawie na pewno mogło się okazać, że Herman jest zajęty. Szczerze mówiąc, miałem to gdzieś. Nie miałem już czasu na finezję.

O pierwszej zjawilem się w restauracji Tennstopet. Od razu go zauważyłem. Herman siedział sam przy dwuosobowym stoliku. Był w trakcie jedzenia, więc uznałem, że na nikogo nie czeka. Swobodnym krokiem ruszyłem w jego stronę. Herman mnie zauważył, gdy stanąłem tuż przed nim. Z początku mnie nie poznał, ale po chwili twarz mu się rozjaśniła. Zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że nóż i widelec spadły na podłogę.

– Cholera, kupę lat! – zawołał, ściskając mi rękę.

– Co za spotkanie – odparłem. – Postanowiłem przetestować nowy lokal, a tu, proszę, spotykam ciebie.

Radość Hermana ze spotkania była tak szczerą, że na pewno nikt go jeszcze nie ostrzegł, że jestem straszny i niebezpieczny człowiekiem.

– Siadaj. – Wskazał puste krzesło. – Dotrzymasz mi towarzystwa!

Kelnerka przyniosła mi menu i czyste sztućce dla Hermana. Przejrzałem spis potraw. Straciłem apetyt, więc było mi obojętne, co zamówię. Chciałem mieć pretekst, żeby dłużej posiedzieć przy stoliku z Hermanem.

– Jak sprawy? – spytał.

Typowe pytanie, typowa odpowiedź: wszystko w porządku, lato mamy piękne tego roku. Czy byłem już na urlopie? Tak, w Teksasie, ale praca zajmuje mi zbyt dużo czasu.

– A co u ciebie? – spytałem.

– Wyśmienicie.

– No to dobrze. Za to słyszałem, że Didrik i jego rodzina mieli kłopoty?

Była to bardzo odważna próba zmiany tematu. Rzadko strzelam z biodra, ale tym razem się zdecydowałem. Herman zrobił niespokojną minę.

– Znowu? – spytał. – Myślałem, że sytuacja się w końcu wyjaśniła.

Bez trudu potwierdziłem, że nie wszystko w życiu Didrika układa się jak należy. Gorzej mi poszło ze szczegółami. Niepełna informacja jest równie bezwartościowa, jak jej całkowity brak. Kelnerka przyniosła moje zamówienie. Ze zdziwieniem spojrzałem na zupę.

– Czy ja to zamówiłem? – spytałem.

– Zamówił pan menu dnia – wyjaśniła kelnerka, robiąc przy tym niepewną minę. – Chce pan wybrać coś innego?

– Nie, wszystko w porządku.

Nienawidzę zup i kasz.

– A co takiego słyścieś o Didriku? – spytał Herman.

– Głównie plotki. Na pewno spotykasz się z nim częściej niż ja.

Herman nie odpowiedział. Już nie był tak serdeczny jak na początku.

– Od kiedy się wyprowadzili, prawie w ogóle się nie widujemy – odparł.

– No właśnie. Słyszałem, że są z Rebeccą w separacji?

Herman się roześmiał. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– To stare ploty. Nie, aż tak źle nie jest. W zeszłym roku jego rodzina wyprowadziła się do Danii, a on został w Sztokholmie i co jakiś czas do nich jeździ. Zamierza poszukać pracy w policji w Malmö, wtedy do rodziny będzie miał prostą drogę jak strzełił: przez most.

– To dobra wiadomość. A dlaczego się tam przeprowadzili?

Herman znowu spowaźniał.

– To delikatna sprawa. Lepiej sam go o to spytaj.

Postanowiłem zażartować:

– Daj spokój... Pewnie dlatego że kogoś miał?

Herman spojrzał na mnie, ale nie zauważyłem, żeby moje sugestie go uraziły.

– Wcale nie. On by nigdy czegoś takiego nie zrobił.

„W przeciwieństwie do takich jak ty i ja”, pomyślałem i nabrałem zupy na łyżkę. Spróbowałem. Miała pasłudny smak

– Rozumiem. Nie będę grzebał w sprawach, które mnie nie dotyczą.

Herman znowu zrobił poważną minę.

– Jak już powiedziałem, nie mogę odpowiadać na takie pytania.

„Odpowie na nie ktoś inny”, odparłem w myślach. Mnie najbardziej interesowała przeprowadzka rodziny Didrika do Danii. Postanowiłem podjąć ostatnią próbę:

– Rozumiem, ale i tak dziękuję ci za to, że mi opowiedziałeś o Danii. Trochę się zaniepokoiłem, kiedy doszły mnie słuchy o tamtej historii we Flemingsbergu. Przez chwilę pomyślałem nawet, że Didrik stracił styl. – Uśmiechnąłem się z własnego dowcipu i nabrałem kolejną łyżkę zupy.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że Didrik przeniósł się do Flemingsbergu? – zdziwił się Herman. Zrobił przy tym taką minę, jak gdyby samo przyznanie, że może to być prawda, szczerze go rozbawiło. Tak jak mnie.

– Jedna z moich znajomych twierdziła, że jej dzieci chodzą do tego samego przedszkola, co jego syn. A to przedszkole jest właśnie we Flemingsbergu.

Herman dał znać kelnerce, że prosi o rachunek

– To prawda, Sebbe rzeczywiście chodził do tamtego przedszkola. Nie trwało to zbyt długo, bo ich przedszkole zostało zamknięte poprzedniej wiosny. Moim zdaniem dobrze się stało, bo dzięki temu nagonka na Didrika trochę osłabła. Nieważne. W tym samym czasie Rebecca dostała jakieś zlecenie w Huddinge. Uznali więc, że najpraktyczniej będzie znaleźć przedszkole właśnie tam. Nie wiem, jak długo to potrwa. Wszystko zmienia się przecież tak szybko... A teraz jeszcze ta Dania. Skończyło się na tym, że Sebbe często przebywał w domu.

Nagonka. Czy tak właśnie Herman nazywa zachowanie personelu przedszkola, który próbował ustalić, dlaczego chłopiec źle się czuł?

– A dlaczego w domu?

Zadałem to pytanie zbyt szybko. Zauważyłem, że Herman znowu się w sobie zamknął. Do stolika podeszła kelnerka z rachunkiem. Herman zapłacił.

– Jak już powiedziałem, nie mogę rozmawiać o tych sprawach. Powiem tylko, że to było straszne. Teraz sytuacja się poprawiła. To ci powinno wystarczyć.

Po tych słowach wstał od stolika i odszedł. Nie byłem zadowolony z wyniku rozmowy. Będę musiał dokładniej zbadać przyczyny przeprowadzki rodziny Didrika do Danii. Ustalić, dlaczego była taka straszna. Nie zrezygnuję, dopóki nie poznam prawdy.

Myśli kłębiły mi się w głowie, jak gdyby rozpętała się w niej burza. Czułem, że jestem bliski prawdy. Ale to było za mało. Zwłaszcza że policja zaczęła się interesować moim DNA, a ja nie znalazłem tego przychy ny.

Słowa Didrika nie dawały mi spokoju. Powiedział, że nie chodzi o włosy. Nie o włosy.

Zostają więc ślina, krew i sperma. Nie pamiętam jednak, żebym Ohlandera całował, poplamiał krwią albo uprawiał z nim seks. Jeśli na jego ciele znaleziono moje DNA, musiał je tam zostawić ktoś inny. Mogło do tego dojść wtedy, gdy się okazało, że mój samochód stoi w warsztacie i nie będzie można mnie powiązać z zabójstwem Ohlandera. Jeśli jednak na zwłokach policja rzeczywiście znalazła ślinę, krew albo spermę, to rodzi się pytanie, kto je tam zostawił. Instynktownie spojrzałem na swoje dłonie i przeciągnąłem nimi po twarzy. Nie, nie ma na niej żadnych ran. Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam, kiedy krwawiłem ostatni raz. Od czasu do czasu gdzieś splunę, ale kto chodzi po ulicach i zbiera cudzą ślinę?

Nie włosy, nie krew i nie ślina. Pozostaje sperma.

Tyle że jej zdobycie też nie jest łatwe. Chyba że ktoś włamał się do mojego mieszkania i znalazł coś na prześcieradle. Lucy jest jedyną kobietą, z którą kocham się bez zabezpieczenia. Bez względu na to, jak bardzo inne kobiety mnie zapewniają, że biorą tabletki antykoncepcyjne, twardo obstają przy swoim i zawsze używam prezerwatyw.

W końcu znalazłem odpowiedź na pytanie, które nie dawało mi spokoju. Zrozumiałem, dlaczego było tak ważne, żebym poszedł z Rakel do łóżka.

Na samą myśl o tym, jak brzmi odpowiedź, zrobiło mi się niedobrze: chodziło o zdobycie mojego DNA.

Przez wszystkie lata bałem się, że w końcu dojdzie do sytuacji, po której Lucy zostawi mnie na zawsze. Zostawi w tym sensie, że nie będzie chciała ze mną dłużej pracować ani sypiać. Jedna z nich nastąpiła, gdy się przyznałem, że w Teksasie zastrzeliłem człowieka, a potem zakopałem go na pustyni. Druga, gdy opowiedziałem jej w naszym biurze, do jakich doszedłem ustaleń.

– Już wiem, o co chodziło Rakel. Nie zależało jej na zdobyciu informacji, ona chciała mojej spermy. Rozumiesz? Co za obrzydliwa sprawa!

Sądziłem, że Lucy zdążyła się uodpornić na takie niespodzianki i moje słowa nie zrobią na niej wrażenia. Brzmi to jak rojenia idioty, ale tak właśnie myślałem.

Po moich słowach jej twarz nawet nie drgnęła. Lucy siedziała bez ruchu przy biurku i wpatrywała we mnie takim wzrokiem, jak gdyby przed chwilą się dowiedziała, że jestem Marsjaninem. Zmieniłem pozycję, bo krzeselka dla klientów, które Lucy ma w swoim pokoju, są niewygodne. Zawsze się boję, że się z nich zsunę.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Czego nie rozumiesz?

– W jaki sposób ją zdobyła. Chyba nie chodzisz po ulicy z kieszonią pełną spermy?

Lucy oparła się o krzesło i popatrzyła na mnie wzrokiem, którym mogłaby zabić. Poczuliśmy się wywołany do odpowiedzi.

– Chyba nie rozumiem, na czym polega problem. Przecież wiedziałaś, że z nią spałem. Ja...

– Kiedy to było?

– To też wiesz: pierwszym razem w tym samym dniu, w którym spotkałem się z Didrikiem w Klubie Prasowym. Drugim razem kilka dni później.

– Od tamtej pory upłynęło już trochę czasu. Sądysz, że przechowywała twoją spermę w lodówce?

– Tak A właściwie nie wiem. Liczy się to, że miała do niej dostęp.

„Miała do niej dostęp”. Było to dość niezręczne sformułowanie. Lucy od razu to wykorzystała.

– W takim razie wróciłem do punktu wyjścia. Wy tłumacz mi, jakim sposobem zdobyła swoją spermę.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparłem ze złością. – Kiedy się pieprzę, mam wytrysk. Czy to takie dziwne?

– Absolutnie. Dziwi mnie tylko, że jesteś na tyle głupi, że nie używasz prezerwatywy!

Lucy rzadko na mnie krzyczy, ale tym razem to zrobiła. Zupełnie bez powodu.

– Co ty sobie o mnie myślisz? – zaprotestowałem. – Oczywiście, że używam prezerwatywy.

Lucy zrobiła zdziwioną minę i przez chwilę pomyślałem, że wybuchnie śmiechem. Nie wiedziałem, co byłoby gorsze.

– Masz czternaście lat czy żarty sobie ze mnie stroisz? – spytała. – Nie mów mi, że zużyte prezerwatywy zostawiasz na podłodze, bo jeśli to prawda, stracę do ciebie cały szacunek.

Ucieszyłem się, że Lucy nadal mnie szanuje, ale ogólnie rzecz biorąc, nie wyglądało to najlepiej. Musiałem się zastanowić nad odpowiedzią. Pytanie mnie o to, co zrobiłem ze zużytymi kondomami, przypominało próbę ustalenia, co jadłem na śniadanie w pierwszą sobotę września, gdy skończyłem dziesięć lat. Zużytej prezerwatywy można się pozbyć na różne sposoby. Przyznaję, że od czasu do czasu zachowuję się po świńsku, ale rzadko zapominam o higienie. Czy to możliwe, że którąś z prezerwatywy zostawiłem na wierzchu, dzięki czemu wpadła w ręce Rakel? Nie sądzę.

– Prosiła mnie, żebym jej nie spuszczał w sedesie – odparłem. – Wiem, że nie należy tego robić, ale co jakiś czas mi się to zdarza. Za pierwszym razem Rakel nie zdążyła mi o tym powiedzieć, bo wrzuciłem prezerwatywę do sedesu. Za drugim razem wspomniała, że kiedyś użyta prezerwatywa wrzucona do sedesu zatkała odpływ. Dlatego poprosiła mnie, żebym ją wrzucił do małego kosza stojącego obok sedesu. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi.

Lucy znowu na mnie spojrzała, ale tym razem innym wzrokiem. Kryło się w nim współczucie, które okazujemy osobom upośledzonym umysłowo, gdy robią dziwne rzeczy.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziałem i skrzyżowałem ręce na piersiach.

– Patrzę tak, jak na to zasługujesz.

Westchnąłem głośno.

– Nie podoba mi się to spojrzenie.

Lucy doszła najwidoczniej do tego samego wniosku. Jej oczy zmatowiały.

– Jeśli moje spojrzenie tak bardzo ci przeszkadza, to powiedz, jak zamierzasz się wykręcić z tej sytuacji.

Sam zadawałem sobie to pytanie i przyznam, że byłem przerażony. Wynik testów DNA może być dla mnie gwoździem do trumny.

– Czy ten Ohlander był homoseksualistą? – spytała Lucy.

– Tak.

– Ale ty nie jesteś.

– Jeśli z dowodów będzie wynikać, że tuż przed śmiercią uprawiałem z nim seks, to będzie to oznaczać, że jednak jestem.

– Czy da się ustalić, że sperma była zamrożona albo przechowywana w chłodnym miejscu? Powinniśmy komuś zlecić, żeby to sprawdził.

Poczułem gwałtowny ucisk w okolicach mostka.

– Jeśli mi to udowodnią, jestem załatwiony. Rozumiesz?

Wypowiedziałem te słowa cichym głosem, żeby osłabić ich wymowę.

– Myślę, że dotarliśmy do końca drogi – odparła Lucy. – Łatwo się z tego nie wywiniesz. Musisz po prostu zniknąć. Zatrudnić dobrego adwokata i zniknąć.

Na samą myśl o czymś takim zakręciło mi się w głowie. Nie należę do ludzi, którzy się ukrywają. Za bardzo lubię wygodne życie, jestem zbyt leniwy. Poza tym czuję się odpowiedzialny za Belle. Coś takiego zobowiązuje.

– Ja już mam zdolnego adwokata, któremu ufam – stwierdziłem.

Lucy pokręciła głową.

– To nie moja dziedzina i dobrze o tym wiesz.

Lucy miała rację, ale jednocześnie jej nie miała. Nie chciałem szukać nowego pełnomocnika. Uważałem bowiem, że to, jakiego będę miał adwokata, nie zrobi zbyt wielkiej różnicy. Testy DNA zrewolucjonizowały cały wymiar sprawiedliwości. Stanowią niepodważalny dowód w śledztwie, o wiele bardziej przekonujący niż zeznania tamtej kobiety, która twierdziła, że widziała na miejscu zbrodni moje porsche. Przy pominięciu mi się to, co pominąłem wcześniej.

– Policja musiała skądś wystraszyć fałszywego świadka zabójstwa Ohlandera – powiedziałem. – Przecież ktoś zeznał, że Ohlandera potrącił samochód tej marki.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę z tamtej historii z pomarańczą.

Zdobyłem się na lekki uśmiech, chociaż od razu wróciły bardziej ponure myśli.

– A Belle? – spytałem.

– Ja się nią zaopiekuję – obiecała Lucy.

– Dziękuję. Miło to słyszeć.

Powinienem się rozpłakać, ale nie umiałem się na to zdobyć. Nie w tym momencie.

– Mamy w zanadru trumfa – powiedziałem. – Nagranie z kamery w garażu.

– No właśnie. Wyślę kopię policji, gdy uznam, że jest na to właściwy czas.

Nie chciało nam się dalej rozmawiać. Siedzieliśmy na krzesłach, czekając, aż czas się zatrzyma albo niebo spadnie nam na głowy.

– Kiedy zamierzasz zniknąć? – spytała Lucy.

Zabrzmiało to tak, jak gdybym miał już dokładny plan.

– W ciągu kilku godzin.

– Dokąd pojedziesz?

Na to pytanie znałem już odpowiedź.

– Wypożyczę samochód i złożę komuś wizytę.

Lucy popatrzyła na mnie pytającym wzrokiem.

– Komu?

– Didrikowi. W Danii.

Tym samym sprawa została wyjaśniona. Po raz pierwszy w życiu musiałem uciekać – przed policją i nieznanym wrogiem. Uznałem, że mam trochę czasu, może nawet kilka godzin. Tymczasem nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Zrozumiałem, że na ucieczkę zostało mi kilka sekund.

CZĘŚĆ 5

„Co się stało z Mio?”

ZAPIS WYWIADU Z MARTINEM BENNEREM (MB)
PROWADZĄCA WYWIAD: KAREN VIKING (KV), NIEZALEŻNA DZIENNIKARKA
MIEJSCE ROZMOWY: SZTOKHOLM

KV: Tarantino.

MB: Słucham?

KV: Cała ta historia ma tyle skomplikowanych wątków, że przypomina filmy Tarantino.

MB: To prawda. Albo Woody'ego Allena.

KV: Ma pan na myśli jego sypialniane farsy?

MB: Farsy? Allen nie robił takich filmów. Miałem raczej na myśli neurotyczny chaos w stosunkach między dwójgim ludzi.

KV: Jeśli tak, to Tarantino stanowi chyba lepszy przykład.

MB: To bez znaczenia. Czy to, co dotychczas opowiedziałem, jest dla pani jasne?

KV: Jaknajbardziej. Co więcej, cała ta historia strasznie mnie zacielawiła. Czy udało się panu potwierdzić, czy policja znalazła na zwłokach spermę?

MB: Jeszcze do tego dojdziemy.

KV: Gdyby jednak podsumować pana ówczesną sytuację, to chyba nie wydawała się zbyt jasna.

MB: Ma pani rację. Im bliższy byłem poznania prawdy, tym bardziej pętla zaciskała mi się wokół szyi. Prawda była w zasięgu ręki, ale nawet sobie nie wyobrażałem, jak wygląda w rzeczywistości.

KV: Powiem szczerze, że mam swoje podejrzenia co do końca tej historii.

MB: Ja też je miałem i mogę wyznać, że prawda mnie zdumiała. Pani też się zdziwi.

(milczenie)

KV: Czuję niesmak słysząc, że tamci ludzie nie zostawili Ohlandera w spokoju nawet po śmierci. Mam na myśli to, że próbowali umieścić na nim pańskie DNA. To wstrętne.

MB: Wydaje mi się... a nawet wiem... że sytuacja wymknęła im się spod kontroli.
Przestali nad nią panować. I właśnie to było w tym wszystkim najgorsze.

KV: Stracili kontrolę?

MB: Ale nie w taki sposób, jakmi się wydawało. To, co się działo, było niesmaczne.
I to bardzo.

KV: Postanowił pan poszukać rozwiązania w Danii. Znalazł pan to, czego szukał?

MB: Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

KV: Ale coś pan tam znalazł?

(milczenie)

MB: Tak, coś, czego zupełnie się nie spodziewałem.

To Boris mnie przekonał, że powinienem mieć kryjówkę, w której w razie potrzeby będę mógł się schować. „Jest pan adwokatem – powiedział, gdy po raz pierwszy zjawił się w moim biurze. – Wcześniej czy później któryś z klientów okaże niezadowolenie z pańskich usług. W takiej sytuacji lepiej jest mieć dokąd uciec”. Nie bardzo wtedy zrozumiałem, co miał na myśli. „Chodzi panu o to, że na przykład powinienem wyskoczyć przez okno? Aż tak groźnych klientów nie mam”. Boris jęknął. „Wyskoczyć przez okno? Nie o to mi chodziło. Biuro znajduje się na dziewiątym piętrze i w ogóle... Co pan wie o ciemnych stronach swoich klientów? Lepiej mieć bezpieczne schronienie, jeśli nagle zjawi się jakiś wariat z siekierą albo pistoletem w ręce”. Na samą myśl o czymś takim roześmiałem się głośno. „Może się pan śmiać, ale taka kryjówka jest naprawdę potrzebna” – stwierdził Boris.

Kryjówka. Mniej więcej taka, o jakiej marzą dzieci. Na przykład wnęka za tylną ścianą szafy albo tajny schowek na strychu. W naszej kancelarii takim miejscem mogłaby być ciasna, pusta przestrzeń za wysuniętą do przodu tylną ścianą magazynku. Nawet nasz asystent Helmer nie wiedział o jej istnieniu.

Nigdy nie musieliśmy korzystać z tego miejsca. No, może kilka razy, gdy mieliśmy ochotę na seks. Ale to się nie liczy. W naszej kancelarii nigdy nie doszło do groźnych incydentów. Po raz pierwszy doświadczyliśmy grozy sytuacji w dniu, gdy siedzieliśmy z Lucy na tarasie i ktoś zadzwonił do drzwi.

– Otworzę – powiedziała Lucy. – A ty się schowaj.

– Daj spokój. Po co?

– Na wszelki wypadek. To może być policja.

Ani ja, ani ona nie przypuszczaliśmy, że jak prorocze okażą się jej słowa. Niestety, tak się właśnie stało. Lucy otworzyła drzwi dopiero, gdy była pewna, że ukryłem się za ścianą. Stojąc w ciemnym pomieszczeniu, czułem się wprost bohatercko. Tyle że Boris popatrzyłby na mnie z pogardą, gdyby wiedział, jak wygląda moja kryjówka. Mała i nieumeblowana, dobra w sytuacji, gdy będę musiał spędzić w środku nie więcej niż kilka minut. A przecież wizyty policji

nie trwają tak krótko.

Przyszło ich dwoje – kobieta i mężczyzna. Nie rozpoznałem ich po głosie.

– Niestety nie ma go w biurze – powiedziała Lucy.

– Czy pani wie, gdzie możemy go znaleźć?

– Niestety nie.

– W takim razie proszę mu przekazać, że chcielibyśmy się z nim spotkać. Mamy nakaz prokuratora, będzie musiał się poddać testowi DNA. Mamy nadzieję, że stawi się u nas do wieczora.

Lucy obiecała, że przekaże mi treść rozmowy. Wstrzymałem oddech, czekając, aż wyjdą, ale nic takiego nie nastąpiło, bo oboje postanowili rozejrzeć się po naszym biurze. Chodzili po pokojach, a ja nie śmiałem poruszyć palcem. Policjant wyraził się z uznaniem o wyposażeniu biura. Lucy powiedziała coś o firmie, która nam w tym pomagała.

– Proszę mu przekazać, że tym razem sprawa jest poważna – powiedziała policjantka.

– Oczywiście – obiecała Lucy.

Kiedy wyszli, poszła do mojego pokoju, a ja zostałem w kryjówce. Mijały kolejne minuty. Czekaliśmy, aż policjanci wrócą, ale nie zrobili tego. W końcu odważyłem się wyjść.

– Może powinnam pojechać z tobą? – zaproponowała Lucy, gdy wybierałem rzeczy, które zamierzałem zabrać z biura.

– To zły pomysł – odparłem. – Ktoś musi się zaopiekować Belle.

– Czy zdążysz się z nią zobaczyć przed wyjazdem?

– Nie, ale to żaden problem. Spodziewam się, że wrócę jutro albo w niedzielę, a potem ukryję się w Sztokholmie. Wynajmę samochód, który łatwo będzie wyśledzić, i pojedę do Kopenhagi. Wynajmę pokój w hotelu, zostawię tam samochód i wrócę pociągiem do Sztokholmu. W taki sposób zyskamy trochę czasu.

– Myślisz, że tak łatwo ich oszukasz?

– Uwierz mi, po moim wyjeździe nasza sytuacja od razu się poprawi. Jest piątek. Jeśli jest tak, jak podejrzewamy, Didrik wyjedzie na weekend do rodziny. Opowie mi o wszystkim, co wie, a potem doprowadzi mnie do Rakel. Dzięki temu dowiem się, co się stało z Mio.

Lucy nie miała zastrzeżeń. Ludzie, którzy nie mają lepszych propozycji, wolą się nie odzywać.

W tym momencie zadzwonił telefon. Madeleine.

– Możesz rozmawiać? – spytała.

„Chyba tak”, pomyślałem.

– Właśnie dzwoniło moje policyjne źródło – oznajmiła. – Dowiedziałam się czegoś, o czym muszę ci powiedzieć.

Usiadłem przy biurku i czekałem. Chciałem ją ostrzec, że nie powinna zbyt ryzykować, ale i tak była już zamieszana w tę sprawę. Cóż, każdy musi być odpowiedzialny za siebie. Madeleine jest dorosła i zgodziła się na ryzyko. Jeśli nadal będzie mi przekazywać informacje, muszę wierzyć, że wie, co robi.

– Moje źródło twierdzi, że widziało coś dziwnego w aktach śledztwa w sprawie zabójstwa Jenny.

– Co takiego?

– Istnieje drugi świadek

Od razu dostałem gęsiej skórki.

– Ktoś więcej oprócz kobiety, która była świadkiem jej śmierci i która była tak niezadowolona, że bronilem człowieka oskarżonego o gwałt?

– Tak. Tym drugim świadkiem jest młoda kobieta. Siedziała przy Jenny, gdy przyjechały karetka pogotowia i policja.

Zacisnąłem kurtczowo dłoń na telefonie i czekałem na dalszy ciąg.

– Zeznała, że Jenny została potrącona przez czarne volvo.

– Volvo? Przecież oba samochody znacznie się różnią.

– Policja ją przesłuchała, ale później te zeznania zostały pominięte, bo pojawił się inny świadek – ta kobieta, o której mówiliśmy. Z notatki w aktach śledztwa wynika, że tamta młoda kobieta była pijana, zeznawała nieskładnie i dlatego policja jej nie uwierzyła.

Powoli pokręciłem głową. Ktoś, kto potrafił określić markę samochodu, a nie tylko powiedzieć, że to był ciemny wóz, nie mógł zeznawać nieskładnie.

– Ona na pewno nie była pijana – odparłem. – Czy masz jej nazwisko i adres? Ciekawe, czy jeszcze żyje.

Ostatnie pytanie mi się wymknęło. Mimo to Madeleine odpowiedziała takim tonem, jak gdyby wcale nie była nim zdziwiona.

– Żyje, ale po śmierci Jenny przeprowadziła się do Malmö. Nazywa się Viola Benson. Nie mogłam się powstrzymać i sprawdziłam ją. Wygląda na to, że co pewien czas wyjeżdża za granicę. Należy do grupy tanecznej, która występuje w różnych krajach.

Malmö. To po drodze do Kopenhagi. Benson wyjeżdża za granicę. Może nie ma jej teraz w domu? Mimo to warto spróbować. Poprosiłem Madeleine o jej adres i zapisałem go.

– Zaczynam się o ciebie naprawdę bać – powiedziała.

– A ja o ciebie. Obiecuj, że nie będziesz już więcej grzebać w tej sprawie.

– Chętnie. Ale dowiedziałam się też tej drugiej rzeczy, o którą pytałeś, a mianowicie czyjego dzieckiem ojcem chrzestnym był Herman.

– Didrika Stihla.

– A więc już wiesz?

– Tak, ale dzięki za potwierdzenie.

– Nie ma sprawy. Rozumiem, że będziesz miał teraz o czym myśleć.

Zerknąłem na zegarek Madeleine nawet nie wiedziała, jak bardzo miała rację. Trudno mi było stwierdzić, ile wolno mi jej przekazać. Zazwyczaj jest tak, że ten, kto ma więcej informacji, posiada przewagę nad tym, kto ma ich mniej. Moja sytuacja była inna. Tu chodziło o informacje dotyczące bagna, w które wpadłem. Im mniej ktoś wiedział, tym lepiej, bo inaczej mogło się to dla niego tragicznie skończyć.

– Na pewno znasz Didrika? – spytała Madeleine.

– Oczywiście – odparłem i znowu zabrałem się do przygotowywania rzeczy, które zamierzałem z sobą zabrać.

Nie mogłem sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach się poznaliśmy. Na pewno stało się to podczas śledztwa, nad którym obaj pracowaliśmy: on jako policjant, ja jako adwokat. Co to była za sprawa? Nie pamiętałem. Już niczego nie pamiętałem. W głowie miałem tylko to, co dotyczyło mojej sprawy, a jeśli tak, to okoliczności, w jakich się poznaliśmy z Didrikiem, były nieistotne.

– Muszę przyznać, że ze zdobyciem tych informacji poszło mi lepiej, niż się spodziewałam – oznajmiła Madeleine. – Okazało się, że moja przyjaciółka dobrze zna Hermana. Ma nawet w telefonie zdjęcia wszystkich dzieci.

– Wszystkich dzieci?

– Swoich i Hermana. Wygląda na to, że często się razem bawią. To przez nie poznali się ich rodzice. Rodzina Didrika też należała do kręgu znajomych, ale w zeszłym roku wyprowadziła się chyba z miasta.

– Do Danii – dodałam.

– O, widzę, że o tym też wiesz. Co za straszna historia. Biedni rodzice.

W jej głosie było coś, co kazało mi przerwać pakowanie torby. Lucy zrobiła zniecierpliwioną minę. Pewno chciała, żebym już skończył tę rozmowę.

– Biedni rodzice? Masz na myśli oskarżenia, które wobec nich kierowano?

– Nie – odparła Madeleine niepewnym głosem. – Jakie oskarżenia?

– Podobno wyprowadzili się do Danii, bo zarzucano im, że biją syna.

– To dziwne, bo moja przyjaciółka nie wspomniała o tym ani słowem, a ja nie chciałam jej wypytywać o szczegóły. Dowiedziałam się tylko, że syn Didrika był bardzo chory i dlatego się wyprowadzili. Chcieli mu zapewnić lepszą opiekę niż w Szwecji.

Zastygłem w bezruchu. Czy to dlatego Herman wzbraniał się ujawnić szczegóły dotyczące Stihla? Nie chciał chronić swojego chrześniaka, tylko jego?

– Co to za choroba?

– Nie wiem, ale to chyba nieważne.

Już dawno przestałem dzielić informacje na ważne i nieważne. Zachowywałem się jak odkurzacz, który wciąga wszystko, co znajdzie na swej drodze.

– A co to za kuracja jest dostępna w Danii, za to niedostępna w Szwecji?

– Nie mam pojęcia. Gdybym wcześniej wiedziała, że będziesz o to pytał... Moja przyjaciółka mówiła coś o transplantacji, ale nie była pewna.

– Transplantacji?

– Może chodziło o przeszczepienie organu rodziców?

– Nie sądzę. Sebbe jest dzieckiem adoptowanym. Przybył do Szwecji w wieku niemowlęcym, mnie więcej w tym samym czasie, gdy ja adoptowałem Belle.

– Uważasz, że ta choroba ma jakieś znaczenie w tej sprawie? Nie jestem pewna, czy uda mi się zdobyć więcej informacji, ale mogę...

– Nie trzeba – przerwałem jej ostro. – Pod żadnym pozorem. Twoja pomoc dla mnie kończy się tu i teraz. Zrozumiałaś?

Przez chwilę panowała cisza.

– Rozumiem.

– To dobrze.

Choroba syna Didrika na pewno nie miała żadnego znaczenia w kontekście całej sprawy. Rozłączyłem się i spojrzałem na Lucy, jakbym szukał u niej pomocy.

– Nie wiem – powiedziała. – Ja już nic nie wiem.

Bardzo mi się podoba angielskie słowo „roadtrip”. Nie istnieje dobre tłumaczenie, a szkoda. „Daleka podróż” nie brzmi najlepiej. Moja ostatnia „daleka podróż” wiodła przez Teksas. Przyjechałem wtedy do Stanów, żeby pogodzić się z ojcem. Skończyło się tym, że go uderzyłem. Od tej pory nigdy więcej go nie widziałem. Droga, w którą wybrałem się teraz, wiodła ze Sztokholmu do Kopenhagi z krótkim postojem w Malmö. Słowo „roadtrip” brzmi w tym kontekście zbyt pozytywnie, lepiej pasowałoby inne, a mianowicie „exodus”, bo byłem w trakcie ucieczki wypożyczonym samochodem. Nie mogłem się doczekać dnia, gdy nie będę musiał załatwiać nowego wozu i nowego numeru telefonu. Tęskniłem za momentem, gdy w moim życiu znów zapanuje spokój.

Policja rzadko reaguje tak szybko, jak to oglądamy na filmach. Zanim się zorientują, że mnie nie ma, minie przynajmniej dzień. W tym momencie będę już miał za sobą przejazd mostem nad cieśniną Öresund oddzielającą Szwecję od Danii. A oni od razu się domyślą, dokąd zmierzam. Pod warunkiem że najpierw dotrą do firmy, w której wypożyczyłem samochód. Instynktownie reagowałem na widok każdego policyjnego radiowozu, który mnie mijał. Bałem się, że nie dojadę na miejsce, że zostanę zatrzymany, zanim zrobię to, co zaplanowałem.

Musiałem dojechać do Malmö. Musiałem dotrzeć do Danii.

Sztokholm dzieli od Malmö około sześciuset kilometrów. Nie chciałem zwracać na siebie uwagi szybką jazdą i dlatego utrzymywałem znacznie niższą prędkość niż zwykle. Mijały godziny, a ja pokonywałem kolejne kilometry. Jechałem przez miasta, w których nigdy nie byłem, bo w ogóle mnie nie interesowały. Nienawidzę małych miasteczek. Do dzisiaj pamiętam pewne wakacje, gdy byłem dzieckiem. Marianne wynajęła przyczepę kempingową i przez dwa tygodnie jeździliśmy z nią i siostrą z jednego pola na drugie. Zapamiętałem ten wyjazd, bo to Marianne siedziała za kierownicą i dlatego piła o wiele mniej niż zwykle. Sam wyjazd nie był zbyt wielkim przeżyciem, ale Marianne udowodniła nam, że jeśli trzeba, może nie pić przez długi czas.

Zatrzymałem się w przydrożnej restauracji, żeby zjeść kolację. Siedziałem przy stole

z kierowcami ciężarówek i jadłem pulpety, które smakowały jak guma. W kiosku obok kupiłem torebkę lukrecyjnych cukierków i wróciłem do samochodu. Lucy uwielbia czekoladę, ale ja wolę cukierki o takim smaku. Belle też je lubi. Całkiem możliwe, że tylko dlatego, że mnie smakują, ale i tak mi się podoba, że coś nas łączy.

Zadzwońnię do domu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i powiedzieć Belle „dobranoc”. Lucy miała zdyszany, roześmiany głos.

– Jak nastroje? – spytałem.

– Szalejemy – odparła Lucy. – Potrzeba nam tego.

Ja też tak uważałem. Usłyszałem, że Belle pędzi po mieszkaniu jak tornado. Byłem zachwycony tymi dźwiękami.

– Chciałem wam tylko powiedzieć dobranoc.

Lucy oddała słuchawkę Belle, która była tak zajęta zabawą, że zamieniła ze mną jedynie parę słów. Już dawno nie słyszałem u niej tak radosnego głosu.

Rozłączyłem się i poczułem, że bardzo mi ulżyło. Najważniejsze, że wszystko u nich w porządku. Teraz mogłem się skupić na tym, co mnie czekało. Najpierw miałem się zatrzymać w Malmö, potem pojechać do Danii, a później wrócić do Sztokholmu. Tam nadal będę się ukrywał, aż wszystko się wyjaśni.

Sprawy jednak wzięły inny obrót. Właściwie nie powinno mnie to dziwić. Od kilku tygodni los mi nie sprzyjał. Mimo to, kiedy stanąłem przed drzwiami mieszkania Violi Benson i nikt nie otworzył, doznałem rozczarowania. Długo stałem na chodniku z nadzieją, że dostrzegę jakiś ruch w oknie. Może Viola jest w domu, ale ze strachu nie chce się pokazać? Może boi się otworzyć drzwi, bo nie wie, kto za nimi stoi: przyjaciel czy wróg? A może po prostu jest za granicą?

Niech to szlag!

Pomyślałem o ludziach, którzy przeze mnie musieli wyjechać ze Sztokholmu: o Wolfgangu i Susanne, która miała naprawdę na imię Nadja. Miałem nadzieję, że uniknęli tragicznego losu. Musiałem w to wierzyć, bo bałem się, że inaczej zwiariuję.

Spadł deszcz. Zawsze mi się wydawało, że na południu Szwecji i w Göteborgu bez przerwy leje. Lucy mówi, że przesadzam, a ja uważam, że tylko stwierdzam fakty. Dochodziło w pół do dziewiątej. Zamiast rezerwować w Danii tradycyjny hotel, wybrałem zajazd położony przy autostradzie prowadzącej z Roskilde do Kopenhagi. To była naprawdę świetna decyzja. Następnego dnia zamierzałem pojechać na sam koniec Zelandii, żeby przepłynąć się promem do miejscowości Ebeltoft, gdzie zamieszkała rodzina Didrika. Obliczyłem, że na miejsce powinienem dotrzeć około dziesiątej rano. Teraz, kiedy już wiedziałem, czego szukam, było mi łatwiej posuwać się naprzód. Rebecca była zarejestrowana w Danii jako właścicielka nieruchomości, więc bez problemu uzyskałem w jednym z urzędów jej dane adresowe. Ebeltoft leży w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Århus. Dla mnie wybór tego miejsca był niezrozumiały. Dlaczego nie zamieszkali w Kopenhadze? Byłoby to znacznym ułatwieniem dla Didrika w jego ciągłych podróżach ze Sztokholmu i z powrotem.

Tuż po północy zgasilem lampkę na nocnej szafce. Zamknąłem oczy, położyłem się na plecach i czekałem, aż zasnę, chociaż wcale nie byłem pewien, czy mi się uda.

Sobota–niedziela

Tym razem moje obawy zupełnie się nie potwierdziły, bo od razu zapadłem w sen. Niestety wróciły koszmary, i to gorsze niż kiedykolwiek wcześniej. Tym razem ktoś mnie gonił w strumieniach deszczu przez ciemną dzielnicę. Z każdym krokiem byłem coraz bardziej zmęczony i przerażony. Wiedziałem, że nie uniknę swego losu, że zostanę zastrzelony.

Kiedy padł strzał, krzyknąłem. Przed dwudziestu laty, gdy rzeczywiście zabiłem człowieka, wyglądało to inaczej: kiedy trafił go pocisk, runął bez słowa na ziemię. Tymczasem w koszmarze, który mnie męczył, krzyczałem. Głośno, z głębi duszy. Ktoś mnie znowu włókł przez brudne, opuszczone tereny przemysłowe, grzebał żywcem. Obudziłem się złany potem, z okrzykiem, który utknął mi w gardle. Zadzwonił budzik, a ja leżałem z otwartymi oczami i gapilem się w sufit. Pomyślałem, że już nigdy nie będę normalnym człowiekiem. Przeszłość nie pozwalała mi spać po nocach, teraźniejszość nie dawała mi spać w ciągu dnia.

Zrzuciłem z siebie kódrę i poszedłem do łazienki. Wziąłem prysznic. Potem wyjąłem z neseseru przybory do golenia, umyłem zęby, ubrałem się, opuściłem pokój i zapłaciłem w recepcji za nocleg.

– Czy jest pan zadowolony z pobytu?

– Oczywiście. Chętnie zatrzymam się tu jeszcze kiedyś.

Wiedziałem, że nigdy tu nie wrócę. Nie nocuję w hotelach tej kategorii, a ten znajdował się w miejscu, przez które rzadko przejeżdżam. To wszystko nie powinno oczywiście interesować recepcjonisty i dlatego nie zaprzętałem mu głowy takimi uwagami. Zrobiłem to, co wszyscy inni klienci hotelu: zapłaciłem rachunek, wsiadłem do samochodu i ruszyłem w dalszą drogę.

Do przeprawy promowej miałem osiemdziesiąt kilometrów. Pierwsze dziesięć pokonałem

w szybkim tempie, bo jechałem szeroką autostradą. Przebycie ostatniego odcinka zabrało mi więcej czasu, bo podróżowałem drogami lokalnymi. Nie pamiętam, o czym myślałem po drodze. Może o słońcu, które dość rzadko przebijało się przez chmury? Albo o tym, że w takich chwilach trawa robi się bardziej zielona, morze bardziej niebieskie, a droga bardziej szara? A może w ogóle o niczym nie myślałem? Znalazłem się w intelektualnym zaułku, w obliczu gordyjskiego węzła myślowego. Zrezygnowałem z próby rozwikłania wielu wątków i tropów. Miał zrobić to Didrik, dobrowolnie albo pod przymusem. Nie wyjadę, dopóki wszystkiego mi nie wyjaśni. Niech powie, o co w tym wszystkim chodzi.

Nie wyjadę, dopóki nie odnajdę Mio, którego z przedszkola uprowadziła Rakeł – bliska koleżanka Sary. Jak to możliwe, że policja nie zainteresowała się nią ani w związku ze śledztwem w sprawie zaginięcia chłopca, ani w sprawie ucieczki Sary? Przecież inne osoby zostały sprawdzone i przesłuchane.

Kiedy płynąłem promem z północnego cypla Zelandii do Ebeltoft, wiał wiatr. Katamaran kołysał się na falach. Pasażerowie stali w kolejce po kawę i kanapki, a ja siedziałem spokojnie na swoim miejscu, z którego rozciągał się widok na morze. Belle bardzo by się tu podobało. Uwielbia łodzie, statki i morze. Jej dziadek mawiał, że nigdy wcześniej nie widział dziecka, które odnosiłoby się do morza bez żadnego respektu. Kiedy o nim myślałem, czułem klucie w sercu. Był jedyną osobą w rodzinie mojego szwagra, którą lubiłem. Na zawsze zachowam go w pamięci, zrobię to dla Belle. Opowiem jej, czego dokonał w życiu i dlaczego był dobrym człowiekiem.

Prom dobił w końcu do nabrzeża, wyjechałem na brzeg. Dom Didrika stał nad morzem, kilka kilometrów od centrum Ebeltoft. Dojazd zabrał mi kilka minut. Nie pamiętam, o czym wtedy myślałem, za to na pewno bardzo dobrze zapamiętałem, co czułem.

Drzałem na całym cieple, pocity mi się dłonie. Zaparkowałem kilka domów przed willą Didrika. Po jednej stronie ulicy rozciągały się pola uprawne, po drugiej stały domki, jeden za drugim. Dom Didrika znajdował się na końcu ulicy. Czy go tam zastanę? Czy w ogóle ktoś tam będzie? Przecież w tym tygodniu spotkałem w Sztokholmie Rebeccę. Może dom stoi pusty, a cała rodzina przebywa w Sztokholmie?

Serce biło mi tak mocno, że prawie czułem jego uderzenia. Było to nieprzyjemne i przez chwilę nawet myślałem, że dostanę zawału. Szłoda, że o rozwiązanie wszystkich zagadek muszę się zwrócić właśnie do Didrika, a nie do kogoś innego.

Drżącymi palcami zacząłem szukać właściwego telefonu, żeby zadzwonić do Lucy. „Kochanie, za chwilę zginę. Zaopiekuj się Belle”.

W końcu zapanowałem nad nerwami i zacisnąłem dłonie na kierownicy. Byłem wzburzony i wściekły z powodu chwilowej słabości. Na pewno nie dam się zabić w samochodzie na duńskiej prowincji. Nie zginę, dopóki się nie dowiem, co Didrik przede mną ukrywa. Może ktoś wprowadził mnie w błąd? Może Stihl wcale nie jest taki ważny, jak sobie wyobrażałem? W każdym razie musi mi udzielić jakichś wyjaśnień, bo nie mam się już do kogo zwrócić. Rakeł przepadła, a reszta nie żyje.

W końcu wysiadłem z samochodu. Nie doznałem zawału serca, ciśnienie spadło, dłonie przestały mi się pocić. Zdecydowanym ruchem zatrzasnąłem za sobą drzwi i zamknąłem samochód pilotem. Wydaje mi się, że szedłem w stronę domu Didrika w pozycji wyprostowanej. Byłem przygotowany na wszystko bez względu na to, co usłyszę lub zobaczę. Na każdą niespodziankę.

Dzisiaj wiem, jak bardzo byłem głupi.

Willa Didrika przy pominała klasyczny drewniany dom ze skośnym dachem i kilkoma dużymi oknami na parterze. Ściany były pomalowane na czerwono, narożniki na biało. Tak dom prezentował się od ulicy. Świeciło słońce, wiatr nie wiał aż tak mocno jak na morzu. W środku zobaczyłem Rebecę i Didrika, którzy w tylnej części domu jedli śniadanie. Siedzieli naprzeciwko siebie i obierali jajka ze skorupki. Oprócz nich przy stole siedziały dwie inne nieznane mi osoby, mnie więcej w moim wieku. Znajomi z wizytą? Sąsiedzi?

Zapowiadał się piękny, spokojny dzień. Wokół nie zauważyłem żadnych innych ludzi. Z jednej strony mnie to ucieszyło, z drugiej – zaniepokoiło. Brak świadków to dobra rzecz. Niestety nie tylko dla mnie, ale i dla Didrika.

Nadeszła w końcu długo oczekiwana chwila. Dłużej nie da się jej już odwlekać. Czuję się jak wojownik uzbrojony wyłącznie we własny rozum. Bez wahania wkroczyłem na teren Didrika. Szedłem zdecydowanym krokiem jak robot. Kiedy znalazłem się po drugiej stronie domu, Rebecca opowiadała zebranych jakąś wesołą historię. Siedziała plecami do mnie i nie widziała, jak się zbliżam. Za to Didrik od razu mnie zobaczył. Wyraz jego twarzy zmienił się w ułamku sekundy, ale nie zrobiło to na mnie wrażenia. Szedłem dalej, jak gdyby nic się nie stało. Didrik był tak zszokowany moim widokiem, że chyba w ogóle mnie nie poznał. Dopiero po chwili na jego twarzy pojawiło się zdumienie i wściekłość. Nie zważałem na to, tylko dalej szedłem w jego stronę.

– Cześć – powiedziałem. – Przepraszam, że się wpraszam na to sobotnie śniadanie.

Rebecca zerwała się z krzesła. Uśmiechnąłem się do niej przepraszająco i rozejrzałem swobodnie wokół siebie.

– Piękne miejsce – powiedziałem.

Ogród był wprost cudowny, miał przynajmniej sto metrów długości i ciągnął się aż do plaży. Para nieznanymi mi przypadkami mi się w milczeniu. Nie bardzo wiedzieli, co myśleć o reakcji gospodarzy na moją wizytę. Postanowiłem im pomóc:

– Przepraszam, powinienem się przedstawić. Nazywam się Martin Benner i jestem starym znajomym Didrika i Rebekki.

Przywitałem się z kobietą, a potem z jej towarzyszem. Oboje uśmiechnęły się do mnie serdecznie. Po duńsku mówili bardzo wyraźnie, z pewnością po to, żebyśmy mogli ich lepiej rozumieć. Powiedzieli, że jest im miło. Ja też tak powiedziałem, ale Didrik szybko mi przerwał:

– Czy mogę ci w czymś pomóc? – spytał.

– I owszem – odparłem i uniosłem znacząco brwi.

– Może wejdziemy do środka?

– Jeśli o mnie chodzi, nie jest to konieczne – odparłem.

Naszą rozmowę przerwały dziecięce głosy. Jedno z dzieci mówiło czysto po duńsku, drugie – ze szwedzkim akcentem. Chłopiec i dziewczynka. Oboje wypadli nagle z krzaków rosnących koło dużej jabłoni. Przodem biegła dziewczynka przebrana za Indianina. Gonił ją ciemnoskóry chłopiec, Sebba. Na jego ciele nie zauważyłem śladów obrażeń. Poczuję coś w rodzaju ulgi. Didrik nie bije dzieci. Chłopak nie wyglądał też na chorego. Na razie wszystko było w porządku.

– To fantastyczne – powiedziała z uśmiechem kobieta, patrząc na chłopca. – Widzę, że mu się polepszyło.

Spojrzałem z troską wrokiem na Didrika i Rebecę.

– Czy on był chory? – spytałem. – Przykro mi to słyszeć. Nic o tym nie wiedziałem.

– Martin, wejdźmy do środka. – Didrik wypowiedział te słowa spokojnym tonem. Pewnie przez wzgląd na swoich gości.

Stałem w miejscu i nawet się nie poruszyłem. Obserwowałem dzieci, które jak szalone biegały po ogrodzie przypominającym park. Chłopiec poruszał się szybko i energicznie.

– Zaraz cię złapię! – krzyknął w stronę dziewczynki.

Nie udało mu się, bo biegł zbyt daleko za nią.

– Ha! – zawołała dziewczynka.

Zmieniła kierunek i popędziła w stronę morza. Sebba ruszył za nią. Nikt nie potrafił biec szybciej niż ośmieszony mężczyzna. Ktoś, kto nie ma nic do stracenia, gotów jest na każde ryzyko. Obserwowałem, jak stopy chłopca śmigają po trawie, a niebieska koszula fruwa na wietrze. Już wiedziałem.

– Mio! – zawołałem. – Mio!

Chłopiec natychmiast się zatrzymał. Zrobił to tak gwałtownie, że upadł. Powoli się odwrócił i spojrzał na mnie wielkimi, szeroko otwartymi oczami.

– Tatusz? – spytał.

Martin, daj spokój!

Ostrzeżenie zawarte w głosie Didrika było tak wyraźne, że nie mogło ujść niczyjej uwagi. Dzieci też je usłyszały. Dziewczynka zatrzymała się w biegu i spojrzała w naszą stronę. Didrik pomachał jej ręką.

– Wszystko w porządku – powiedział, próbując się uśmiechnąć. – My, dorośli, mamy do omówienia ważne sprawy.

Ale chłopiec skierował się w naszą stronę.

– Czy to ty jesteś moim tatą? – spytał.

Jego słowa wzbudziły we mnie straszne wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy dorastałem, ani razu nie widziałem się z ojcem. Mieszkałem z mamą i z siostrą, które były jasnymi blondynkami. Za każdym razem kiedy widziałem na ulicy czarnego mężczyznę, zastanawiałem się, czy to nie mój tata. Do dziesiątego roku życia byłem opętany myślą, że gdzieś istnieje i że jeśli się odpowiednio postaram, znajdę go. Nigdy do tego nie doszło. Szukałem go, pytałem o niego wiele osób, ale nigdy nie udało mi się go odnaleźć.

Rebecca podbiegła do chłopca.

– Sebbe, to tylko nasz znajomy. Ten pan nie jest twoim tatą.

Sąsiedzi gapili się na Didrika i Rebeccę z na wpół otwartymi ustami. Didrik próbował im wytłumaczyć, co się stało.

– Jak państwo wiecie, chłopiec był adoptowany. Jest już prawdopodobnie w tym wieku, gdy chciałby się czegoś dowiedzieć o swoim pochodzeniu.

– I o tym, jak się nazywa – dodałem.

Gdyby można było zabijać wzrokiem, natychmiast padłbym trupem. Serce biło mi jak oszalałe, ale nadal żyłem.

– Mamo, o co chodzi? – spytała dziewczynka.

– Chyba o nic – odparła kobieta, zerkając niespokojnie na Didrika.

– Wszystko w porządku – potwierdził Didrik tym samym głosem, jakiego przed chwilą użył

wobec mnie.

Jego ton zmusił pozostałe osoby do reakcji. Nikt nie lubi, gdy ktoś mu grozi. Mężczyzna wstał z krzesła.

– Chyba już pójdziemy – powiedział. – Dziękujemy za kawę.

Kobieta też wstała. Dziewczynka podbiegła do niej i wzięła ją za rękę. Rebecca stała na trawniku, obejmując Mio. Chłopiec miał wystraszoną minę.

– Wyjaśnię wam to innego dnia – zapewnił Didrik

Najwyraźniej był większym optymistą ode mnie.

Sąsiedzi wyszli, Rebecca wzięła chłopca za rękę i weszła do domu.

– Co tu jeszcze wyjaśniać? – spytałem, gdy zostaliśmy sami. – Wolałbym nie czekać do następnego dnia.

Didrik stał nieruchomo z rękami w kieszeniach spodni wpatrzony w jakiś oddalony punkt nad wodą, gwałtownie oddychał. Wdech, wydech. Wyglądał jak zawsze: miły, ciepły, otwarty, dobrze sytuowany mężczyzna w kwiecie wieku. Nie przypominał mordercy ani sadystycznego pogromcy dzieci. Cisza, która zapadła po moich słowach, nic dobrego nie wróżyła. Trwała zbyt długo.

– To nie był Sebbe – powiedziałem, żeby ją przerwać.

Didrik oderwał w końcu wzrok od morza.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? Martw się o swoje.

Starałem się nie zwracać uwagi na jego obraźliwy ton.

– To prawda – odparłem. – Nie wiem, jak wygląda Sebbe. Ale znalazłem zdjęcia Mio, chociaż próbowałeś mi to utrudnić. Poza tym w przeciwieństwie do innych ludzi potrafię odróżnić jedno czarne dziecko od drugiego. Chłopiec, którego widzieliśmy na trawniku, jest synem Sary Teksas. Co zrobiłeś ze swoim synem?

W tym momencie z lewej strony usłyszałem charakterystyczne kliknięcie. Rozpoznałem je bez trudu i dlatego dokładnie wiedziałem, co zobaczę, kiedy odwrócę głowę w tamtym kierunku.

– Idź już.

Rebecca stała w progu z karabinem w rękach. Była zadziwiająco spokojna. Ku memu zdumieniu ja też zachowałem spokój.

– Oszalałaś? – spytałem. – Chcesz mnie tu zastrzelić? Nieuzbrojonego człowieka? Trzeźwa, za dnia, w samym środku dzielnicy willowej?

Pokręciłem głową i zanim Rebecca zdążyła się zastanowić nad tym, co robię, usiadłem przy stole. Oparcie krzesła było dość wysokie i sięgało mi karku. Wygodnie się rozsiadłem.

– Zrób to, zastrzel mnie. Potem będziesz musiała się z tego tłumaczyć na policji. Spytają cię, dlaczego mnie zabiłaś, gdy siedziałem przy stole.

– Nie znajdą cię.

Mówiąc to, podeszła bliżej. Didrik obserwował całą sytuację z niemądrą miną. Zauważyłem, że nie podoba mu się, że sprawa przybrała taki obrót. Przypomniały mi się inne ofiary. Wcześniej czy później ich ciała zostały znalezione, mnie też w końcu znajdą. Rebecca podeszła kilka kroków bliżej. Chłopca nie było nigdzie widać, a ja zachowywałem spokój i nie ruszałem się z krzesła.

– Najlepiej będzie, jeśli na tym poprzestaniesz – powiedziałem. – Nigdy nie przekonasz policji, że musiałaś mnie zastrzelić z karabinu z odległości nie większej niż jeden metr.

W tym momencie Didrik podeszedł do Rebekki. Spokojnie położył dłoń na jej ramieniu.

– Wystarczy – powiedział. – Oddaj mi broń.

– Nie ma mowy.

Jej odpowiedź zdenerwowała Didrika. Wykonał szybki ruch, żeby wyrwać jej karabin. Rebecca bronila się i doszło do szarpaniny. Jej krzyki sły chać było w całej okolicy.

– Puść mnie! Do jasnej cholery, puść mnie!

W drzwiach znowu pojawił się chłopiec. Stał w progu, po twarzy płynęły mu łzy. Poczulem dławienie w gardle. To na sto procent był Mio. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Rebecca też go zauważyła.

– Chłopcze, przecież powiedziałam, żebyś został w domu.

W końcu opuściła broń, a Didrik próbował ukryć karabin za plecami. Idiota! Dzieci nie da się oszukać takimi sztuczkami. Widzą, co się dzieje, a potem żądają wyjaśnień.

Rebecca miała oczy pełne łez. Odwróciła się i weszła do domu. Wzięła chłopca na ręce, a on płakał cicho na jej ramieniu.

Zostaliśmy z Didrikim sami, z tą różnicą, że teraz to on trzymał broń. Nie da się ukryć, że nie byłem z tego powodu szczęśliwy.

– Nie usiądziesz? – spytałem.

– Rebecca miała rację. Powinieneś już iść. Sam powiadomię policję.

– Co ty nie powiesz.

Wypowiedziałem te słowa ciszej, niż zamierzałem. Czy on naprawdę sądził, że oboje z Rebeccą unikną kary?

– Nikt ci nie uwierzy – powiedział Didrik, jak gdyby czytał w moich myślach. – Absolutnie nikt.

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. Przecież miałem dowody. Były zdjęcia Mio, można też zrobić badania DNA. Policja bez problemu udowodni, że Mio jest synem Sary. Wszystkie te argumenty przedstawiłem Didrikowi.

– Poza tym nadal żyje ojciec chłopca – dodałem na zakończenie.

Didrik wzdrygnął się na dźwięk tych słów.

– Któremu na nim w ogóle nie zależy – powiedział.

– Przeciwnie, i to bardzo. To dlatego do ciebie przyjechałem.

Didrik się roześmiał.

– Sam nie wiesz, o czym mówisz – odparł.

Usiadł na krześle, karabin położył sobie na kolanach, dłonią przesunął po twarzy. Ludzie wykonują ten gest od najdawniejszych czasów. Próbuje pozbyć się zmęczenia, rozcierając twarz. Ale to nie pomaga.

Trudno mi było ogarnąć tę scenę. Siedzieliśmy w ogrodzie nad samym morzem. Mogło być naprawdę pięknie. Tymczasem rozpełtało się piekło.

– Powiedz mi: zabiłeś swojego syna? – spytałem.

Didrik drgnął, jak gdyby mu uderzył go w twarz.

– Co ty pieprzysz? – spytał.

Rozłożyłem ręce. Ogarnęło mnie zwątpienie. Może Didrik faktycznie bił dzieci?

– Wiem o wszystkim – powiedziałem. – Wiem, że musieliście się przeprowadzić, bo do wydziału opieki społecznej wpłynęła na was skarga. Wiem o strasznych siniakach i o tym, że z radością zmieniliście przedszkole. A potem przeprowadziliście się tutaj.

Didrikowi opadła szczęka. Kilka razy otwierał i zamykał usta, aż w końcu wykrztusił z siebie kilka sensownych słów.

– Czy tak o nas mówią? – spytał. – Takie rzeczy o nas słyście?

– Tak – potwierdziłem. – Ale nie tylko to. Ktoś mi mówił, że Sebbe jest bardzo chory.

– Kto tak twierdzi?

– Rozmawiałem z różnymi ludźmi. Robiłem to ostrożnie, żeby oni też nie musieli zginąć. Na przykład z ojcem chrzestnym chłopca. Twoim najlepszym przyjacielem.

Była to marna sztuczka, bo Herman nawet słowem nie wspomniał o tym, jakoby Didrik bił Sebastiana.

– On nie jest moim najlepszym przyjacielem. Jego żona przyjaźniła się kiedyś z Rebeccą. Trwało to do chwili, aż i ona uwierzyła w te kompletne brednie. Kiedy się dowiedziała, że Sebbe jest bardzo chory, zmieniła zdanie, ale było już za późno. Zerwaliśmy znajomość. Widzę, że Herman tego nie rozumiał. Pewnie nadal myśli, że jesteśmy kumplami. Herman i jego żona prowadzą, że tak powiem, oddzielny tryb życia.

Pochyliłem się i oparłem łokciami o ciepły blat stolika.

– No to wyjaśnij mi: gdzie jest Sebbe?

Didrik nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Patrzył na drzewa, na trawnik i niebo, ale nie na mnie.

– Sebbe nie żyje.

– Zabiłeś go?

– Czyś ty oszalał?

Didrik zerwał się z krzesła. Karabin upadł na ziemię. Mimo to zachowałem spokój i nie ruszyłem się z miejsca. A więc to prawda, co opowiedziała mi Madeleine. Sebbe chorował, nie został pobity.

– Nie zabiłem mojego syna – szepnął Didrik. Ciężko dyszał, jak gdyby przebiegł długi dystans podczas upału. – Nie zabiłem też Jenny, Bobby’ego, Fredrika, Kroma ani nikogo innego – dodał.

Milczałem. Wolałem nie podnosić głosu. Didrik pokręcił głową.

– Sebbe miał złośliwy nowotwór. Niestety, choroba została zdiagnozowana zbyt późno. Lekarze w Szwecji nawet nie chcieli się podjąć leczenia. Powiedzieli tylko, że mogą mu przepisać środki na złagodzenie bólu.

Przed przyjazdem do Danii nie wiedziałem, co tu usłyszę, ale takich słów na pewno się nie spodziewałem. Ze zdumieniem przysłuchiwałem się opowieści, której nie miałem podstaw kwestionować.

– Lekarze w Danii spojrzeli na nasz problem inaczej – kontynuował Didrik – Mieli lek, który był w trakcie testów. Uznali, że mogą go podać mojemu synowi w ramach próby.

– I dlatego sprzedaliście dom, żeby sfinansować kurację?

– Fundusz zdrowia nie chciał zapłacić za leczenie, a my nie mieliśmy czasu, żeby się z nim procesować. Wiedzieliśmy, że możemy zdobyć pieniądze.

– A nie mogliście wziąć pożyczki pod hipotekę?

Didrik odwrócił wzrok.

– Nie. Wiedzieliśmy, że przez pewien czas zostaniemy w Danii. Na początku mieszkaliśmy w Kopenhadze, gdzie Sebbe został poddany kuracji. Potem przeprowadziliśmy się tutaj. Kiedyś Rebecca mieszkała przez pewien czas w Århus. To było wtedy, gdy zaczęła pracę.

– Gdzie zmarł twój syn?

– Tutaj, w Ebeltoft.

– Kiedy to się stało?

– W listopadzie, kilka miesięcy po otrzymaniu diagnozy, że jest chory. Chorował od dłuższego czasu, ale postawienie właściwej diagnozy się opóźniło, bo według pierwotnej diagnozy jego problemy ze zdrowiem nie były skutkiem choroby, tylko wynikiem tego, że jego rodzice byli potworami.

Nie wiedziałem, od czego zacząć. Ta sprawa mnie przerosła. Sebbe zmarł w listopadzie, to znaczy w tym samym miesiącu, w którym Sara popełniła samobójstwo, a jej syn zaginął.

– Zastąpiliście jedno dziecko drugim. Nie widzisz, że to jest nienormalne?

Didrik jakby się skurczył.

– Widzę, że nie masz na mój temat najlepszej opinii – odparł.

Z trudem przełknąłem ślinę.

– Porwałś dziecko, zamordowałeś przynajmniej czworo ludzi. Jaką opinię mogę mieć na twój temat?

Didrik nie odpowiedział od razu. Może też miał o sobie nie najlepsze zdanie? Nagle w naszą stronę pofrunęła osa. Leciła wolno, jak gdyby była zmęczona. Machnąłem ręką i strąciłem ją na ziemię. „Zmęczeni wojownicy szybko giną”, stwierdziłem w myślach.

– Ja go nie porwałem. – Didrik wypowiedział te słowa spokojnym, łagodnym tonem. Każde z nich ważyło niewiele, ale razem miały siłę dynamitu.

– Słucham?

Didrik spojrzał mi prosto w oczy.

– Obiecałem, że go uratuję. Właściwie to nie była obietnica, bo wymuszono ją na mnie, ale dzisiaj to bez znaczenia. Wtedy nawet w najgorszych koszmarach nie mogłem sobie wyobrazić, że wszyscy tak się skończy.

Zaschło mi w ustach.

– Komu to obiecałeś?

Didrik odpowiedział tak cicho, że prawie go nie słyszałem.

– Jego matce. Sarze.

Podobno dorośli mężczyźni lubią robić pewne rzeczy wspólnie. Rzekomo trudniej znośmy samotność niż kobiety. Opuściliśmy z Didrikiem jego piękny ogród i zesłiliśmy na plażę, żeby się przejść. Jakdwoje ludzi, którzy nie chcą zostać sami.

– Sara przyszła do naszego domu – zaczął Didrik – To było na samym początku śledztwa. Skontaktowali się z nami Amerykanie, poprosili nas, żebyśmy ją przesłuchali. Był wieczór, padał deszcz. Nagle rozległo się głośne walenie do naszych drzwi. To była ona. Myślałem, że je wysadzi z zawiasów. Kiedy otworzyłem, stała na klatce schodowej i trzymała chłopca za rękę. „Niedługo trafię do więzienia – powiedziała. – Ktoś musi się nim zaopiekować”.

– Dramatyczna sytuacja – wtrąciłem.

– To prawda, coś takiego nie zdarza się codziennie. Poza tym w całej tej sprawie jest pewien szczegół, o którym dotychczas nie mówiłem moim drogim kolegom z policji.

– Że Sebbe chodził do tego samego przedszkola, co Mio?

– Tak. Zazwyczaj to Rebecca go tam zaprowadzała i odbierała, ale ja też tam kilka razy byłem. Kiedyś natknęliśmy się na Sarę, chociaż nasze dzieci chodziły do różnych grup. To bardzo duże przedszkole, jest w nim mnóstwo dzieci. Mio i Sebbe byli rówieśnikami, ale chodzili do różnych grup. Uważaliśmy, że to źle, bo Sebbe ciągle nam opowiadał w domu o Mio. Często bawili się razem, gdy dzieci wychodziły na dwór. Zapraszaliśmy do nas Sarę i jej synka, ale zawsze miała jakąś wymówkę. Ciągle coś jej stało na przeszkodzie: praca, nauka, pranie, ciotka albo cholera wie co jeszcze.

– Nie prowadziła zbyt unormowanego trybu życia?

– Wprost przeciwnie. Domyślaliśmy się, że coś jest nie tak, ale nawet sobie nie zdawaliśmy sprawy, jak blisko byliśmy prawdy. Tak bym to dzisiaj określił.

Nogi zapadały mi się w piasku. Spacer stawał się coraz trudniejszy.

– Powiedziałeś „prawdy”?

– Tak. Wydaje ci się, że coś wiesz na jej temat?

– Jestem tego całkiem pewien – odparłem.

Didrik odgarnął z oczu zbyt długą grzywkę. To chyba jedyna wada, gdy ktoś chce mieć modną fryzurę, która zawsze powinna mieć tę samą długość. Po tygodniu nie jest już taka elegancka.

– Powiedz mi, ile wiesz – poprosił Didrik

– Tego niestety nie mogę zrobić. Obiecałem, że nie będę kłbował policji. Myślę, że ten, kto to na mnie wymógł, nie odróżnia prywatnej rozmowy z policjantem od oficjalnego przesłuchania.

– To ciekawe. A komu złożyłeś taką głupią obietnicę?

Didrik wypowiedział te słowa spokojniejszym tonem. Nie był już tak podekscytowany, jak przed chwilą.

– Istota sprawy polega na tym, że tego też nie wolno mi wyjawić.

Didrik westchnął.

– W takim razie pozwól, że zgadnę: Lucyfer?

Zatrzymałem się w pół kroku. Didrik skinął głową i poszedł dalej. Pospieszyłem za nim.

– Jeśli wiesz, kim jest Lucyfer, to powinieneś także wiedzieć, że to nie Sara popełniła tamte zabójstwa.

– Oczywiście, że wiem – odparł Didrik

– To dlaczego go kryjesz? Przez wzgląd na Mio? Gdybyś zostawił mnie w spokoju i nie próbował wsadzić do paki za tamte zabójstwa, na pewno udałoby ci się rozwiązać tę sprawę. Miałbyś...

– A co mogłem więcej zrobić, ty idioto? Czy ty naprawdę uważasz, że obaj jesteśmy w diametralnie różnym położeniu i że ja nie wiem tego, co ty wiesz?

Nie miałem już siły, żeby iść dalej. Usiadłem na piasku jak małe dziecko. Didrik zrobił to samo, ale o wiele zęczniej ode mnie. Zawsze istniała między nami pewna różnica. Didrik zachowywał się elegancko nie tylko na zewnątrz. On po prostu cały emanował elegancją. Zawsze.

– Zacznijmy od początku – powiedziałem. – Sara przyszła do waszego domu po pierwszym przesłuchaniu. Wiedziała, że trafi do więzienia, i chciała zadbać o Mio. Czy dobrze cię zrozumiałem?

– Tak Pomyślałem wtedy, że przyszła właśnie do nas, bo byłem policjantem, bo ja i Rebecca odnosiliśmy się do niej przyjaźnie i dlatego że to ja prowadziłem pierwsze przesłuchanie. Rozumiała, że będę prowadził śledztwo do samego końca. Wierzyła, że ja i Rebecca możemy i zechcemy zrobić coś dla jej syna.

– I dlatego od razu zadeklarowałeś, że razem z Rebeccą się nim zaopiekujecie? To bardzo szlachetne z waszej strony.

– Po tak długim czasie trudno to wyjaśnić w kilku słowach. Przecież Sara nie orientowała się, jaka jest nasza sytuacja życiowa. Nie wiedziała na przykład, że Sebbe jest chory, a my harujemy jak woły, żeby zapewnić mu właściwą opiekę. Została u nas do rana. Przez cały czas mówiła. Zapewniałem ją, że jej strach jest nieuzasadniony. Jeśli nie ma nic na sumieniu, zostanie niewinniona. Wymyśliła jakąś historię. Boże, nigdy wcześniej czegoś podobnego nie słyszałem.

– Uwierzyłeś jej?

– Nie, ale widać było, że jest bardzo wzburzona. Przez chwilę się nawet zastanawiałem, że może naprawdę jest niewinna, a odwiedziła nas po to, żeby potem, gdy będzie już po wszystkim

i gdy zmieni się wymowa materiału dowodowego, móc powiedzieć: „Przecież mówiłam, że tak się to skończy”. Potem sprawy potoczyły się w błyskawicznym tempie. W ciągu jednej nocy zebraliśmy mnóstwo dowodów, a ona przyznała się do winy. Została zatrzymana i aresztowana, a Mio trafił do rodziny zastępczej.

– A jak to się stało, że najpierw byłeś pewien, że Sara kłamie, potem zacząłeś jej wierzyć, a w końcu zaopiekowałeś się jej synem?

Didrik przełknął ślinę.

– Być może nie uczyniłem tego z własnej woli, przynajmniej na początku. Ja i Rebecca nigdy nie mieliśmy własnych dzieci. Marzyliśmy o czwórce, a nie powiodło nam się nawet z jednym. Adopcja Sebbego trwała latami. Rok temu oboje skończyliśmy czterdzieści lat i zaczęło nam się spieszyć z adopcją drugiego dziecka. Na początku zeszłego roku chcieliśmy wszczęć kolejną procedurę. Niestety miesiąc później ktoś złożył na nas doniesienie, zostaliśmy oskarżeni o pobicie dziecka. Od tamtej pory mam żal do personelu przedszkola, który nie chciał z nami rozmawiać, i do lekarzy, którzy nie traktowali nas poważnie, gdy zwróciliśmy się do nich o pomoc. Przecież my nie biliśmy własnego syna. Sebba był przemęczony, cierpiał, a na skórze miał ślady, które personel przedszkola wziął za siniaki. Mijał czas, a nam nikt nie chciał pomóc. Słabym pocieszeniem była też opinia lekarzy duńskich, którzy stwierdzili, że nie mamy co liczyć na „doliczony czas”. Być może zyskalibyśmy dla niego kilka dodatkowych miesięcy życia, ale to wszystko. – Didrik przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza. Po chwili kontynuował opowieść o tym, jak jego życie legło w gruzach: – Sara poprosiła nas o pomoc krótko po tym, jak się dowiedzieliśmy, że Sebba jest chory. Nie uwierzyłem jej. Zrobiłem to dopiero, gdy została aresztowana. Wtedy znowu ktoś zadzwonił do naszych drzwi.

– Jenny i Bobby?

– Nie. Lucyfer.

Poczułem się tak, jak gdyby ktoś wylał na mnie kubeł lodowatej wody.

– Słucham? Mam w to uwierzyć? Lucyfer na pewno by się przed tobą nie ujawnił. Wolałby wysłać kogoś w swoim imieniu.

– To słuszne przypuszczenie, ale stało się inaczej. Nie mam powodu sądzić, że czegoś ważnego nie zrozumiałem. Popeliłem za to ten sam błąd: na początku zareagowałem tak samo jak ty. Lucyfer był uzbrojony, więc musiałem go wpuścić do środka. Stał na schodach z odbezpieczoną bronią. Byłem wtedy sam w domu. Poszliśmy do salonu, gdzie mnie pouczył, czego ode mnie oczekuje. Potem mnie ostrzegł, żebym nie informował innych policjantów o tym, co usłyszałem i co zamierzam zrobić. To Sara go do mnie doprowadziła. Nie zdawała sobie sprawy, że ją obserwuje. Po pierwszym przesłuchaniu na każdym kroku czuła na sobie jego oddech.

– A czego Lucyfer od ciebie chciał?

– Żebym zaopiekował się Mio.

– Ale przecież...

– Odmówiłem i stwierdziłem, że to się nie uda. Odparł, że on nie ma jak wywieźć Mio do Stanów i dlatego prosi, żebym mu w tym pomógł. Najpierw miałem porwać chłopca i gdzieś go ukryć. Potem, gdy sprawa przycichnie, miałem z nim polecieć do Stanów i oddać go Lucyferowi.

– Rozumiem, że odmówiłeś?

– Oczywiście. Powiedziałem, że nie da się wyjechać z kraju z dzieckiem, które zostało uznane za zaginione i jest poszukiwane przez policję. Ale sam wiesz najlepiej, jak się rozmawia z Lucyferem. Odparł, że Mio może polecieć z paszportem Sebbego, bo tak właśnie funkcjonuje rynek handlu dziećmi. Dziecko podróżuje na paszporcie innego dziecka, które jest do niego podobne. Odparłem, że mu nie pomogę, a wtedy on mnie spytał, gdzie są Rebecca i Sebbe. Rzuciłem coś w tym stylu, że poszli załatwić jakąś sprawę, chociaż w rzeczywistości byli u lekarza. Lucyfer uśmiechnął się szyderczo i powiedział: „No to zadzwoń do nich”. Zrobiłem, jak kazał.

Znad morza nadciągnęły czarne chmury. Zanosilo się na deszcz, a może nawet na burzę. Zmarzłem, ale nie zwracałem na to uwagi.

– Nie odebrali? – domyśliłem się.

– Przeciwnie. Rebecca płakała, a w tle słyszałem krzyki Sebbego. Lucyfer zabrał mi telefon i powiedział, że wróci za trzy dni, a ja mam mu wtedy powiedzieć, co postanowiłem: czy będę z nim współpracował, czy nie. Jeśli nie, to Rebecca i Sebbe zginą. Jeśli się zgodzę, wrócą do mnie tego samego dnia. Potwornie się przeraziłem. Zażądałem, żeby mi ich natychmiast oddał, i obiecałem, że zrobię, co mi tylko każe. Nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Przez trzy dni byłem bez rodziny. To była prawdziwa tragedia. Wydawało mi się, że Lucyfer jest wszędzie i wszystkich zna. Sam wiem najlepiej, co należy zrobić, kiedy ktoś jest szantażowany: trzeba się zgłosić na policję. Ale ja nie mogłem tego uczynić, bo wiedziałem, że Lucyfer nie żartuje. Jeśli będzie musiał, nie zawaha się: zamorduje moją żonę i syna i nikt mu niczego nie udowodni. Przynajmniej tyle zrozumiałem z tego, co opowiedziała mi Sara. Nikomu o niczym nie mówiłem. – Didrik spojrzął mi prosto w oczy. – Dni bez Rebekki i Sebbego należały do najdłuższych w moim życiu. Kiedy więc Lucyfer zadzwonił i spytał, jaka jest moja odpowiedź, byłem gotów obiecać mu wszystko. Krzyczałem do słuchawki, że spełnię każde jego życzenie, byle tylko oddał mi Rebeccę i syna. Lucyfer zawiózł ich na parking przy autostradzie, na północ od Sztokholmu, i tam zostawił. Rebecca była w tak złym stanie, że ledwo mogła chodzić. Zabrałem ją do szpitala i powiedziałem, że ktoś ją pobił na mieście. Lekarze jednak zauważyli, że niektóre urazy powstały kilka dni wcześniej, i to mnie oskarżyli o pobicie. Wszczęto dochodzenie, ale sprawa została umorzona. Rebecca zeznała, że potknęła się na schodach, przytrzasnęła rękę drzwiami od samochodu, a potem ktoś ją pobił na mieście. W tamtym czasie szykowaliśmy się już do wyjazdu do Danii. Wyjechaliśmy jakiś tydzień później, a pieniądze, które dostaliśmy za sprzedany dom, bardzo nam się przydały. Tymczasem w Szwecji nadal toczyło się śledztwo w sprawie Sary. W innych okolicznościach bym to olał, wziąłbym urlop i pojechał do rodziny. Ale po spotkaniu z Lucyferem nie miałem odwagi tego zrobić. Musiałem zostać na miejscu, żeby być na bieżąco ze śledztwem. Nie wiedziałem, że Sara nie zamierza wrócić z przepustki. Zadzwoniła do mnie z aparatu na kartę. „Czy weźmie pan do siebie Mio? – spytała z płaczem w głosie. – Musi go pan zabrać, żeby jego ojciec go nie znalazł!”

Wspomnienia musiały być dla Didrika bardzo bolesne, bo aż się rozplakał. Nie wiedziałem, że został oskarżony o pobicie żony.

– Sara nie wiedziała, że Lucyfer już u ciebie był? – spytałem.

– Nie, a ja oszczędziłem jej tej przykrej informacji. Zaproponowałem tylko, żeby oddała się w ręce policji, ale nawet nie chciała mnie słuchać. Wiedziała, że jej życie dobiega końca. Chciała się tylko upewnić, że jej syn będzie bezpieczny. Obiecałem jej to, bo nic innego nie

mogłem zrobić.

- Słyszałem, że Jenny przyjechała do Szwecji, żeby zaopiekować się chłopcem?
- Być może, ale zrobiła to bez wiedzy Sary.
- Myślałem, że to był ich wspólny plan.
- Trudno mi w to uwierzyć.

Zrozumiałem, że człowiek Lucyfera, który zadzwonił do mnie w jego imieniu i kazał odszukać Mio, po prostu mnie okłamał. Nic dziwnego, przecież w innych sprawach też nie mówił prawdy.

- Obiecałeś więc, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy. Chciałeś to zrobić wspólnie z Rakel? Na dźwięk jej imienia Didrik zrobił zdumioną minę.

- Tak Rakel była przyjaciółką Sary i to Sara wpadła na ten pomysł. Po uprowadzeniu Mio z przedszkola Rakel opiekowała się nim przez kilka dni. Myślę, że chciała go zatrzymać dla siebie. Ostatecznie stało się inaczej. Rakel nie mogła go ochronić.

Przypomniały mi się spotkania z Rakel, wspólny seks.

- Widzę, że Rakel była bardzo lojalną przyjaciółką Sary – wtrąciłem.

- No cóż, masz swoje słabości.

- Bależ się, że historia z moim porsche nie wystarczy, i dlatego chcieliście zdobyć moje DNA?

Słowo „sperma” nie chciało mi przejść przez usta.

- Za pierwszym razem chciałem się tylko dowiedzieć, ile wiesz. Rakel tkwiła już po uszy w gównie i nie musiałem jej nawet przekonywać do tego, co miała zrobić. Kilka dni później, przed waszym drugim spotkaniem, sytuacja się zmieniła. Bardzo nam zależało, żebyś trafił za kraty. Dlatego potrzebne nam było twoje DNA.

„To jakieś szaleństwo – pomyślałem. – Do tego niesmaczne”.

- Czy musiałeś wciągać w ten cyrk Hermana?

- Herman prawie nie ma przyjaciół. Nie wtyka nosa w nie swoje sprawy. Nie znam drugiego takiego człowieka. Rakel musiała się przeprowadzić, a jego domek letniskowy świetnie się do tego nadawał. Na początku uzgodniliśmy, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, właśnie tam ukryjemy Mio. Niestety nasz plan się szybko posypał, bo Herman postanowił sprzedać dom.

- I dlatego Rakel musiała się wprowadzić do szeregowca w Solnie?

- Musiała albo nie musiała. Mieszkała wtedy w Årście i szukała nowego mieszkania. Letni domek, gdzie woda jest tylko latem, a toaleta w krzakach, to nie najlepsze rozwiązanie.

Postanowiłem zmienić temat:

- Wzięliście Mio do siebie tego samego dnia, w którym Sara nie wróciła z przepustki?

Didrik skinął głową.

- Na początku wcale nie zamierzaliśmy tego robić, ale powstało zamieszanie, więc postanowiliśmy skorzystać z okazji. To był straszny dzień.

Didrik przeciągnął dłoń po twarzy. Zaczął padać deszcz, więc wstaliśmy z ziemi. W drodze powrotnej do willi wiatr wiał nam prosto w twarz.

- To wtedy umarł Sebbe? – domyśliłem się.

- Tak

- A Mio go zastąpił, stał się nim z dnia na dzień? Ludzie przecież nie zauważą, gdy miejsce jednego czarnego dziecka zajmie inne czarne dziecko?

Didrik się zachnął.

– Oczywiście, że zauważą, i dlatego musieliśmy się przeprowadzić tam, gdzie nikt nas nie znał. Mio musiał zdobyć nową tożsamość, więc przejął tożsamość naszego zmarłego syna. Tak było najprościej.

Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć.

– Czy Sebbe nie miał babć i dziadków albo innych krewnych, którzy chcieliby się z nim regularnie spotykać?

– Od czasu gdy odziedziczyłem po babci mój wspaniały dom, nie utrzymywałem z moimi rodzicami żadnych kontaktów – odparł Didrik – Ojciec Rebekki nie żyje, a jej matka miała rok temu wylew krwi do mózgu. Od tamtej pory żyje w innym świecie. Mamy dwoje rodzeństwa, ale po wyjeździe do Danii zerwaliśmy z nimi stosunki. To był po części świadomy wybór. Oni na serio nas przekonywali, żebyśmy zrezygnowali z ratowania naszego syna. Ich zdaniem lekarze jasno stwierdzili, że to bezcelowe, a szukając innych dróg ratunku za granicą, tylko wydłużamy jego cierpienia.

– Rodzeństwo zachowuje się czasem naprawdę paskudnie – potwierdziłem, chociaż wcale nie miałem na myśli mojej siostry. Może chodziło mi o jej męża?

– To prawda.

Nadal jednak czegoś nie rozumiałem.

– Dlaczego postanowiliście zastąpić waszego syna dzieckiem Sary? Przecież wiedzieliście i nadal wiecie, że Lucyfer zażąda, abyście mu je oddali. A może ma – przepraszam, że tak powiem – umrzeć ponownie? Tego chcecie? Czy nie lepiej było nadać mu inne imię? Przecież tu, w Danii, Sebbe i tak jest martwy.

– Zadajesz wiele pytań – odparł Didrik – Rebecca i Sebbe są zameldowani w Malmö, głównie po to, żeby nie czepiały się ich duńskie władze i urzędnicy w Sztokholmie. Sebbe oficjalnie nadal żyje, zarówno dla władz duńskich, jak i szwedzkich. Zmarł w naszym domu w Ebeltoft, ale nigdzie nie zgłosiliśmy jego śmierci. Lekarzom w Kopenhadze powiedzieliśmy, że gdy stało się jasne, że nie mogą nam pomóc, zabraliśmy go z powrotem do Szwecji. Lekarzom w Szwecji powiedzieliśmy, że Sebbe nadal przebywa w Danii i przechodzi kurację. Prawda jest taka, że pozwoliliśmy mu umrzeć w naszym nowym domu. Tylko w taki sposób mogliśmy zapewnić Mio nową tożsamość. Śmierć Sebbego musi pozostać tajemnicą.

Plan przedstawiony przez Didrika zawierał tyle luk, że w każdej chwili mógł się posypać. Mimo to nic złego się jeszcze nie wydarzyło. Didrik mieszkał w Sztokholmie, a Rebecca prowadziła dom w Danii i opiekowała się dzieckiem. Najpierw tym, które umierało, a teraz tym, które cudownie ozdrowiało.

– Czy Mio cierpi na epilepsję? – spytałem.

– Tak, ale znaleźliśmy lekarza, który co jakiś czas wypisuje mu niezbędne leki. To dość proste.

Zatrzymałem się w pół kroku. Deszcz siekł mnie po twarzy, musiałem zebrać myśli. W zalewie słów od Didrika było coś, co umknęło mojej uwadze. Coś, co miało decydujące znaczenie.

Didrik wziął do siebie Mio, bo zmusił go do tego Lucyfer. Jeśli tak, to w jakim celu kazał mi szukać chłopca?

– A Lucyfer? – spytałem ochryplym głosem. – Wygląda na to, że utrzymujecie dość ożywione kontakty?

– Częstsze, niżby m sobie tego życzył.

– To znaczy, że Lucyfer wie, gdzie mieszkasz i gdzie jest Mio?

– Tak

Pokręciłem głową. To jakieś szaleństwo. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało. Na sto procent.

– Rozumiem, że Mio wróci do Lucyfera? – spytałem.

– Nie, nie zamierzamy mu go oddawać. Kupiliśmy mu wolność.

– A jakim sposobem, jeśli wolno spytać?

Didrik spojrzał na morze. Jego blada twarz przybrała zacięty wyraz.

– Zabrałem Mio ze Sztokholmu tydzień po śmierci Sebbego – odparł. – To było siedem potwornych dni. Nie mieszkaliśmy już w Kopenhadze, bo przeprowadziliśmy się do tego domu. Ukrywaliśmy Mio i Sebbego przed otoczeniem. Nie jestem w stanie opisać, jak bardzo Mio był wtedy samotny. Razem z Rebeccą poświęciliśmy cały nasz czas naszemu choremu synowi. To było wstrętne, po prostu wstrętne! Kiedy Sebbe umarł, całą noc spędziliśmy na rozmowie, zastanawiając się, co powinniśmy zrobić. Ty tego nie zrozumiesz... Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak wielką pogardę człowiek może odczuwać wobec samego siebie... Nie wiesz, czym jest żal po utracie dziecka. A w samym centrum tego wszystkiego był Mio. To Lucyfer nas zmusił, żebyśmy przenieśli na niego tożsamość naszego zmarłego syna. Dzięki temu będzie mógł wyjechać ze Szwecji, i to mimo kłopotów, które mogą się w związku z tym pojawić. Zgodziliśmy się, ale wiele nas to kosztowało. Dzisiaj bardzo się cieszę, że tak się stało. Taka okazja nigdy się nie powtórzy.

A więc to Lucyfer wpadł na pomysł, żeby Didrik i Rebecca usynowili Mio. Powinienem być się tego domyślić. Przez ostatnie tygodnie zapewniałem wszystkich, że nie znam Didrika zbyt dobrze. Nie wiedziałem, jak ma na imię jego syn, nigdy nie byłem w jego domu... Ale przecież słowo „znać” ma tyle znaczeń. Myślałem, że znam Didrika w tym sensie, że jest on przewidywalny. Teraz już wiedziałem, że tak nie było. Historia, którą mi opowiedział, zawierała tyle sprzeczności, że nie miałem pojęcia, od czego zacząć.

– Gdzie go pochowaliście? – spytałem.

Didrik zadrżał.

– Na naszej działce, pod jabłonią – odparł tak słabym głosem, jak gdyby za chwilę miał się całkowicie załamać.

Nie mogłem go dłużej słuchać. Nie pasowało mi jednak słowo „okazja”. Czulem, że coś przeoczyłem w jego historii. Coś, co już powiedział. „Nie zamierzamy mu go oddawać”.

– Na początku Lucyfer twierdził, że mu się nie spieszy z odzyskaniem syna – kontynuował Didrik – Minęło kilka miesięcy, przyszła wiosna. Potem zaczął się niecierpliwić i zażądał, żebyśmy mu go oddali. Przez cały czas kręciłem, tłumaczyłem, że nie mogę pojechać do Stanów. Potem dzięki tobie zyskaliśmy okazję, żeby zatrzymać Mio.

– Jak to?

– Zgodziłem się oddać Lucyferowi coś, co wolał bardziej od swojego syna.

– Niby co takiego?

Didrik odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

– Ciebie. Lucyfer chce dostać ciebie.

Nie udało mi się wydobyć z Didrika, co miał na myśli, mówiąc: „Lucyfer chce dostać ciebie”. Zrozumiałem natomiast jedno: że od pierwszej chwili, gdy pojawiłem się w sprawie Sary, jego zadanie polegało na przeszkadzaniu mi i wplątywaniu w przestępstwa, o które była oskarżona. Didrik sam to zresztą kiedyś powiedział: „Bez trudu mógłbym przekonać prokuratora, że Sara nie popełniła tamtych zbrodni samodzielnie”. Domyśliłem się, że stałoby się to w taki sam sposób jak w przypadku Sary, to znaczy na podstawie fałszywych dowodów i wymuszonych zeznań. Potem doszło do nowych zabójstw, za które do więzienia miałem trafić ja. Śmierć Bobby’ego i Jenny zmieniła wszystko. Był to jednak wniosek, który wyciągnąłem na własną rękę. Didrik mniej mówił o sobie, a więcej czasu poświęcił na wyjaśnianie, co jego zdaniem zrobiliśmy ja i Lucyfer.

Odkąd zacząłem szukać Mio, nie zadzwonił do mnie ani Lucyfer, ani żaden z jego ludzi. Nie wiedziałem, jak się z nim skontaktować. Za to Didrik wiedział. Kiedy wróciliśmy do willi, nie chciałem wejść do środka.

– Spokojnie – powiedział. – Nasze zadanie nie polega na tym, żeby cię zabić.

– Nie? Przecież zabiłeś ty lu innych ludzi.

Didrik spuścił wzrok i stanął z boku, żeby mnie przepuścić przez próg. Mimo to nie ruszyłem się z miejsca.

– Będę musiał zadzwonić teraz – oznajmił.

– Do kogo?

– Do Lucyfera. Miałem go poinformować, czy i kiedy się zjawisz.

Mimo to Didrik nie zrobił tego.

– Chyba się domyślasz, dlaczego kazał ci odnaleźć Mio? – spytał. – Musieliśmy cię czymś zająć, żeby policyjne śledztwo mogło się czymś żywić. Dzięki temu mieliśmy cię wsadzić do więzienia.

Stałem jak sparaliżowany. Gdybym tylko wiedział, skąd Lucyfer mnie zna. Pomyślałem o pogrzebie pastora Parsona. Byłem przekonany, że odgrywa w tym kontekście ważną rolę. Tylko

jaką?

– Będziesz tak stał w deszczu czy wejdiesz do środka?

Niechętnie przekroczyłem próg.

– Co teraz będzie? – spytałem.

– Muszę do niego zadzwonić. Po prostu muszę.

Wyjął komórkę i zaczął wybierać numer.

– Daj spokój – powiedziałem.

– Przykro mi, ale...

– Mnie też jest przykro. Cholernie. Uważam, że nie powinienes teraz dzwonić do Lucyfera.

Nie rozumiesz, co to oznacza? To nie tylko mój koniec, ale także twój. – Kroczyłem po bardzo cienkiej linii, ale nie miałem innego wyboru. – Jeśli teraz zadzwonisz, będę skończony – kontynuowałem. – Ty zresztą też. Mamy dwa wyjścia: albo obaj trafimy za kraty, albo podpiszesz wyrok śmierci na nas obu, opowiadając Lucyferowi, że dokonałem tego, do czego mnie zmusił: że znalazłem chłopca i tego, kto chciał mnie posłać za kraty. To po prostu jego gra. Nie rozumiesz? Lucyfer załatwi nas obu.

– Zawarłem z nim jasny układ – odparł Didrik – Nie muszę się o nic martwić.

Widać było, że nie do końca jest co do tego przekonany, bo dalej stał w miejscu.

– Zadzwonił w końcu – usłyszałem za sobą czyjś głos.

Z głębi domu wyszła Rebecca.

– Zrób to – powtórzyła.

– Tak bardzo ci się spieszy do zakończenia tej historii? – spytałem.

– Bardziej, niż ci się wydaje.

– Ale takie zakończenie nie istnieje! – Wykrzyczałem ten słowa na cały głos, z głębi płuc. –

Czy wy naprawdę niczego nie rozumiecie? Jak sobie wyobrażacie wasze dalsze życie po tym wszystkim, co się wydarzyło? Czy jesteście w stanie żyć ze świadomością tego, co zrobił Didrik? Sorry, ale jeśli to do ciebie jeszcze nie dotarło, to ci powiem, że to twój mąż popełnił te wszystkie zbrodnie, za które próbuje zrzucić odpowiedzialność na mnie.

Rebecca otuliła się kamizelką.

– To nieprawda – odparła.

– Co ty nie powiesz... W takim razie kto ich wszystkich zabił? Lucyfer?

Milczenie, które zapadło po moich słowach, było chyba bardziej kruche niż stara porcelana.

Po chwili padły słowa, na które nie byłem przygotowany:

– To ja ich zabiłam.

– Ty?

Rebecca skinęła głową.

– Ja to wszystko zaczęłam, a Didrik musi to ciągnąć przeze mnie.

Rebecca miała tak bladą i zniszczoną twarz, jakiej chyba nigdy przedtem u nikogo nie widziałem. To samo mogłem powiedzieć o Didriku. Co też kłamstwa potrafią zrobić z człowiekiem! Myślałem, że coś o tym wiem, ale okazało się, że Didrik i Rebecca wiedzą znacznie więcej. Sytuacja całkowicie wymknęła im się spod kontroli. Życie, które do niedawna prowadzili, przestało istnieć. Już nigdy nie będzie takie samo jak kiedyś.

– To był nieszczęśliwy wypadek – skomentował jej słowa Didrik

Rebecca potrząsnęła gorączkowo głową.

– Tak właśnie było – odparła.

O mało nie wybuchnąłem śmiechem.

– Zamordowania czterech osób nie da się nazwać nieszczęśliwym wypadkiem! – zawołałem.

– Przecież ci ludzie nie zginęli wszyscy naraz.

Rebecca zasłoniła twarz rękami i odwróciła się ode mnie.

– Przepraszam, ale nie jestem w stanie tego słuchać – powiedziała.

Pobiegła schodami na piętro i zniknęła w głębi domu. Chwilę potem rozległo się głośne trzaśnięcie drzwi.

– To może ty posłuchasz? – spytałem Didrika. – Porozmawiajmy na jakiś prosty temat. Na przykład: kiedy Lucyfer kazał ci mnie namówić, żebyś przestał się interesować sprawą Sary?

– Faktycznie, jestem w stanie to wytrzymać, chociaż nie mam ochoty. To się stało tego samego dnia, gdy do mnie zadzwoniłeś, prosząc o spotkanie w sprawie Sary. Akurat tej rozmowy życzyłem sobie najmniej. Że też akurat tobie zachciało się grzebać w jej życiu! Lucyfer podał mi specjalny numer i kazał dzwonić, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty dotyczące jego albo chłopca. Tamtego wieczoru zadzwoniłem do niego od razu po rozmowie z tobą. Bałem się, że dowie się o naszym spotkaniu od kogoś innego. Pewnie by pomyślał, że coś knują za jego plecami.

– Oczywiście. To miłe, że jesteś taki lojalny.

Didrik kontynuował:

– Jesteś zdolny i sprytny, więc zacząłem cię obserwować, żeby ustalić, jakie masz zamiary. Obserwowałem też wszystkie inne osoby, które mogły mi sprawić kłopot. Kiedy zjawiała się Jenny, uznałem, że czas zacząć działać. O tym, co się dzieje, na bieżąco informowałem Rebeccę. I to był mój wielki błąd. Nie zauważyłem, że była w fatalnym stanie i bardzo się bała. Miałem na głowie swoje kłopoty, musiałem walczyć z własnym strachem. Późnym wieczorem umówiłem się z Jenny i Bobbym. Mieliśmy się spotkać kilka godzin później, w środku nocy. Namówiłem ich bez problemu. Znaliśmy się przecież od czasów, gdy prowadziłem śledztwo w sprawie Sary. Udałem, że wydarzyło się coś, co skłoniło policję do zmiany stanowiska w jej sprawie. Nie chciałem wyjawić przez telefon, o co chodzi, powiedziałem tylko, że ze względów bezpieczeństwa powinniśmy się spotkać w nocy. To ich jeszcze bardziej podekscytowało. Mój plan polegał na tym, żeby podczas spotkania wyłożyć karty na stół. Powiedzieć, że Mio czuje się dobrze, że Sara była niewinna, ale nie mogłem jej pomóc. I że będzie najlepiej, jeśli zostawią chłopca w spokoju. Nie bardzo wiedziałem, jak daleko mój plan mnie zaprowadzi, ale uznałem, że warto spróbować.

– Ale Rebecca nie była do końca przekonana?

– Słusznie się domyślasz. Była wtedy w Sztokholmie. Postanowiła, że zanim Jenny i Bobby spotkają się ze mną, ona spotka się z nimi – najpierw z Jenny, potem z Bobbym. Pewnie chodziło jej o to, żeby ich porządnie nastraszyć. Chciała im dać do zrozumienia, że jest jedną z osób, które działają wspólnie przeciwko Sarze, i że mogą sobie narobić kłopotów, jeśli nie odpuszczą. Niestety, niezbyt dokładnie przemyślała swój plan. Rebecca nigdy nie była dobrym kierownicą. Kiedy zauważyła Jenny, dodała gazu. Zamierzała w ostatniej chwili gwałtownie zahamować, ale źle to wyliczyła i wpadła na nią. Wysiadła z wozu i zobaczyła, że ją zabiła. Ale Jenny nie zginęła od uderzenia, tylko upadła i skręciła sobie kark o krawężnik. Nie pomniejsza to winy samej Rebeccy, jednak tak to się właśnie odbyło.

Moja koszula była tak mokra od deszczu, że przykleiła mi się do ciała. Chłód, jaki odczuwałem, różnił się znacznie od chłodu, który odczuwamy latem, gdy pada deszcz. Drżałem na całym ciele, nie tylko z zimna, ale także ze złości i na skutek szoku.

– A śmierć Bobby 'ego? – spytałem.

– Rebecca wpadła w panikę. Doszła do wniosku, że jeśli Jenny nie żyje, Bobby też powinien zginąć.

– Dlaczego?

– Chyba sam rozumiesz! Gdyby Bobby przeżył, mógłby poinformować policję, gdzie i z kim mieli się spotkać tamtej nocy. Jak myślisz, ile czasu potrzebowałaby policja, żeby ustalić, kto wiedział, że Jenny i Bobby mieli się z kimś spotkać tamtej nocy?

Poczułem nagłe dławienie w gardle.

– I dlatego postanowiliście zwalić winę na mnie?

– Mogliśmy bez trudu udowodnić, że znałeś obie ofiary.

– A wgniecenie na pokrywie silnika mojego wozu?

– Takie coś można zrobić od ręki.

– Po epizodzie z pomarańczą poszedłeś do warsztatu. Po co?

– Chciałem się upewnić, czy twój samochód rzeczywiście miał alibi, tak jak twierdziłeś. Chciałem też zasięgnąć dodatkowej opinii w sprawie wgniecenia.

– Bałeś się, że wgniecenie, które sam zrobiłeś, nie wystarczy, żeby ekspert uznał, że samochód posłużył jako narzędzie zbrodni?

Didrik nie odpowiedział. Zacząłem chodzić po pokoju i zastanawiać się, czy kiedykolwiek uda mi się pozbyć demonów, które mnie opętały.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wygląda nasze życie – odezwał się w końcu Didrik – Sebba zmarł jesienią, a my tkwimy na tej prowincji samotni jak palec. Brakuje mi słów, żeby opisać, w jak kiepskim jesteśmy stanie. Byliśmy kompletnie wykończeni. Kiedy tu przyszedłeś, spotkałeś naszych sąsiadów. Tylko z nimi utrzymujemy tu jakieś kontakty. No, może jeszcze z kilkoma innymi osobami. – Mówiąc to, usiadł ciężko na fotelu z telefonem w ręce.

– Z tego, co powiedziałeś, zrozumiałem, że kiedy zadzwoniłeś do Lucyfera i powiedziałeś mu o mnie, poruszyłeś też sprawę Mio?

– Tak. To był jego pomysł. Powiedział, że rozumie, jak bardzo się do niego przywiązaliśmy, i dlatego obiecał, że jeśli odwołę cię od dalszych poszukiwań i usunę z drogi, pozwoli nam go zatrzymać.

– A nie przyszło ci do głowy, że siedząc w więzieniu, zacznę sypać?

Didrik przełknął z trudem ślinę.

– Nie, bo gdybyś to zrobił, mógłbyś zaszkodzić Belle. – Widząc moją reakcję, szybko dodał: – To słowa Lucyfera, nie moje.

– Chyba sam rozumiesz, że Lucyfer wydyma nas obu? – spytałem. – Kiedy już wsadzisz mnie do więzienia, on zgłosi się do ciebie po chłopaka, a ty nie będziesz mógł mu odmówić. Porwałeś dziecko i przeniosłeś na nie tożsamość swojego syna. Gdybyś chciał usłyszeć, ile paragrafów w ten sposób zlamaleś, chętnie służę pomocą.

Didrik siedział nieruchomo w fotelu. Przez moment wydawało mi się, że za chwilę zaśnie. Telefon nadal trzymał w ręce. On naprawdę wierzył, że zawarł z Lucyferem *deal*. Czy po stracie dziecka człowiek naprawdę jest tak zrozpaczony, że zaczyna wierzyć w bajki opowiadane przez

innych?

– Czy da się to jakoś rozwiązać? – spytał w końcu. – Wygrzebać z tego bagna?

Krople deszczu bębniły o szyby. Stałem na środku pokoju jak niemy posąg. Didrik mówił coś o wykręceniu się sianem z całej sprawy, chociaż przed chwilą opowiadał o tym, jak jego żona potrafiła śmiertelnie dwoje ludzi, którym chodziło tylko o sprawiedliwość.

– Kto zamordował Kroma i Ohlandera? – spytałem. – Też Rebecca?

Didrik odłożył w końcu telefon.

– O tym nie musisz wiedzieć – odparł. – Może ona, może ja. Niech to zostanie między nami.

Nie był już taki pewny siebie, zaczął się wycofywać. Był zaniepokojony, że powiedział zbyt wiele.

– Krom dzwonił na policję i prosił, żeby przydzielono mu ochronę – naciskałem ochryplym głosem.

– I pewnym stopniu ją dostał – odparł Didrik z grymasem na twarzy. – Staffan mi mówił o jego telefonie. Krom kręcił się w miejscu i pewnie doszedł do wniosku, że jest śledzony. Po śmierci Bobby’ego popadł w paranoję. Zupełnie niepotrzebnie.

Staffan – nieudacznik

– Rzeczywiście niepotrzebnie. Rakel miała tylko kłopot z trupem w salonie.

Didrik zrobił zdumioną minę.

– To ty tam byłeś?

Tym razem to ja nie odpowiedziałem na pytanie. Didrik miał taką minę, jakby moje słowa sprawiły mu ulgę.

– Uznaliśmy, że to było zwykłe włamanie na tle rabunkowym, a gdy włamywacz zobaczył... no, sam wiesz, co... spanikował i uciekł. Dobra robota, Benner.

Istnieje granica tego, ile brudu można wchłonąć za jednym razem. W moim przypadku została zdecydowanie przekroczona. Nie chciało mi się nawet pytać, skąd Krom wziął się w domu Rakel. Może od początku miał trafić do bagażnika mojego wozu? A może zabójca miał dla niego zupełnie inny plan? W każdym razie nie został tam zbyt długo.

– A Ohlander? – spytałem.

– Zadzwoił do mnie i zaczął stawiać niewygodne pytania. Nie był zbyt dyskretny.

Byłem oburzony takim postawieniem sprawy. Nie wolno tak postępować, pod żadnym pozorem. Najgorsze było to, że to wcale nie Lucyfer zamienił Didrika w maszynkę do zabijania. Didrik sam to ze sobą zrobił, a potem wpadł na pomysł, żeby winę zwalić na mnie i posłać mnie za kraty. Nie wiem, dlaczego Lucyfer uznał to za wspaniały plan. Nie potrafiłem też pojąć, dlaczego zrobienie ze mnie ofiary uznał za korzystne dla siebie.

– A jak ci się udało uszczelnić przepływ informacji w policji? – spytałem. – Gazety prawie w ogóle nie pisały o tych wydarzeniach. Nie było żadnych przecieków.

Didrik unikał mojego wzroku.

– Mam autorytet wśród moich ludzi, słuchają mnie – odparł z nadzieją, że taka odpowiedź mi wystarczy.

– *À propos* słuchania: czy podsłuchiwaście i czy nadal podsłuchujecie moje rozmowy telefoniczne?

– Tak, robiliśmy to do czasu, gdy zginęli dziadkowie Belle. Po tym, co się stało, prokurator odmówił nam przedłużenia zgody na podsłuch. Aż pojawiły się nowe dowody. Wtedy dostaliśmy nową zgodę. Nie wiem, ile telefonów jest na podsłuchu teraz.

– A wywiadowcy?

Stihl uśmiechnął się krzywo.

– Zdarzało się. Muszę jednak przyznać, że trudno było cię śledzić.

Pomyślałem o wszystkich ofiarach i o tych, którzy wyszli z tego cało: Madeleine, Nadja. Ciekawe, że jedyny świadek uprowadzenia chłopca z przedszkola nadal żyje, chociaż Rakel ją widziała. Oznacza to dwie rzeczy: że Didrik nie miał pełnej kontroli nad wszystkim i wszystkimi i że Rakel nie jest do szpiku zła. Najwidoczniej nie wspomniała mu, że Nadja widziała uprowadzenie chłopca. Paraliżowała ją myśl, do czego jej wyznaczenie mogłoby doprowadzić. „To Didrik jest mordercą – pomyślałem. – Rakel mu ty lko pomaga”.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc po prostu milczałem. Trzeba było położyć kres temu szaleństwu. Musieliśmy się pozbyć człowieka, który wywołał cały ten koszmar: Lucyfera. Jeśli zaś ceną za moją wolność miałyby być pomoc dla Didrika i Rebekki, niech tak będzie. Jeżeli pozbedziemy się niebezpieczeństwa, które nam grozi ze strony Lucyfera – bez względu na to, jaką metodą się posłużymy – reszta jakoś się ułoży.

I właśnie taką propozycję zamierzałem złożyć Didrikowi.

– Kim on jest? – spytałem. – Spotkałeś się z nim. Jak ten facet się nazywa?

– Nie mam pojęcia.

– Daruj sobie... Musisz...

– Pewnie ci się wydaje, że ja wiele wiem, ale to nieprawda. Wiem jednak o dwóch innych rzeczach, które wystarczą do zakwestionowania twojego pomysłu, aby tego człowieka unieszkodliwić.

Usiadłem na krześle i zacząłem słuchać w milczeniu.

– Po pierwsze: Lucyfer rządzi taką siatką ludzi, że nigdy się do niego nie zbliżysz. Nie masz szans.

Ile razy słyszałem podobne słowa podczas pobytu w Teksasie? W końcu przestałem na nie zważać.

– Gówno prawda – odparłem. – Do każdego można jakoś dotrzeć. A ta druga rzecz, o której

podobno wiesz?

Didrik obrzucił mnie ostrym spojrzeniem.

– On cię nienawidzi.

– Powiedział ci to?

– Tak. Poza tym wiem, że wcześniej mnie okłamałeś. Twierdziłeś, że nigdy nikogo nie zabiłeś.

Były to twarde, bezlitosne słowa. Stała przede mną kolejna osoba, która znała moją tajemnicę i dowiedziała się o niej od Lucyfera. To naprawdę bardzo nieprzyjemne doświadczenie. Zadałem więc pytanie, na które musiałem usłyszeć odpowiedź:

– Czy to z tego powodu mnie tak nienawidzi? – spytałem, wstrzymując oddech.

Didrik przez chwilę się zawahał, w końcu odparł:

– Tak to przynajmniej zrozumiałem.

Długo czekałem na takie słowa, na potwierdzenie podejrzeń, że istnieje jakaś niewyjaśniona krzywda, która łączy mnie i Lucyfera z tamtym zdarzeniem, gdy zastrzeliłem nieuzbrojonego człowieka, a potem zakopałem go na pustyni.

Didrik obserwował moją minę ze źle skrywaną satysfakcją.

– No proszę. Myślałem, że Lucyfer kłamał, ale widzę, że mówił prawdę.

Nie zwróciłem uwagi na te słowa. Byłem zły i przerażony. Co miałem teraz zrobić?

– Daj mi trzy dni – rzuciłem w końcu.

– Trzy dni na co?

– Pojadę do Stanów i zakończę tę historię. Raz na zawsze.

– Nie ma mowy.

– Bo?

– Bo Lucyfer dowie się, że tutaj byłeś, a ja go o tym nie poinformowałem, a wtedy zemści się na mojej rodzinie. To wykluczone.

– A jak się o tym dowie?

Didrik spuścił wzrok.

– Odnoszę wrażenie, że jest wszędzie.

– Bzdury. Wiesz, że to nieprawda.

W pokoju zapadła cisza.

– Tylko trzy dni – powtórzyłem. – Dopilnuj, żeby nie zablokowano mi paszportu. Muszę wyjechać, bo inaczej mnie aresztują.

Didrik zastanawiał się przez dłuższą chwilę nad moimi słowami.

– Trzy dni – zgodził się w końcu. – Odliczanie zaczynam od tej chwili.

Poczułem, że stoi przede mną człowiek, jakiego znałem dawniej. Rzeczowy, konkretny. Niestety, wiele stracił ze swoich dawnych zalet.

Wstałem z krzesła, podszedłem do niego i powoli wyciągnąłem rękę.

– Chciałbym jeszcze coś z tobą uzgodnić – powiedziałem. – Jeśli załatwię Lucyfera, dzięki czemu ty będziesz mógł zatrzymać chłopca, dopilnujesz, żeby oskarżenia wobec mnie zostały wycofane.

Didrik też wstał i podał mi rękę.

– Zrób tak, żeby Lucyfer zniknął, a ja zajmę się resztą – odparł.

40

Do Teksasu wyleciałem jeszcze tego samego wieczoru. Lucy powiedziałem, że muszę zostać w Danii kilka dni dłużej.

– Co do tej pory ustaliłeś? – spytała.

– Na razie nic.

– Ale byłeś u Didrika?

– Tak

– No i?

– Dom stoi pusty. Dlatego zostanę i poczekam na niego.

– Przecież jutro miałeś wrócić do Szwecji.

Niestety, od teraz obowiązywały inne reguły gry. Prawda stała się towarem luksusowym, na który nie było mnie stać. Lucy dowie się o wszystkim po fakcie, nie wcześniej. Nie miałem czasu na dyskusje. Najbardziej jednak zależało mi na tym, żeby ją chronić.

– Wrócę, ty lko trochę później.

– Gdzie teraz jesteś?

„Siedzę w samochodzie koło lotniska Kastrup”, odparłem w myślach.

– W moim hotelu.

– Rozumiem.

Zapadła cisza. To nie był dobry znak Lucy jest jedyną znaną mi osobą, której zawsze mam coś do powiedzenia.

– Skontaktuję się z tobą – obiecałem w końcu.

– Nie chcesz porozmawiać z Belle?

Poczułem klucie w sercu. Jasne, że chciałem. Ty lko czy będę w stanie?

– Oczywiście – odparłem.

Usłyszałem, jak Lucy prosi Belle do telefonu.

– To ty, Martin?

Serce natychmiast przestało mnie boleć, zatrzymało się w miejscu. Próbowałem sobie

przypomnieć, kiedy Belle przestała mówić do mnie „tato”, a zaczęła zwracać się do mnie po imieniu.

– Tak, to ja. Wszystko fajnie?

W rozmowie z Belle zadaję pytania, których nigdy nie zadałbym osobie dorosłej.

– Super! Lucy dała mi szpilkę.

– Mówi się „szminkę”.

– Nie.

Usłyszałem jakiś dźwięk, jak gdyby Belle coś upuściła.

– Nie mogę już rozmawiać – powiedziała i rzuciła aparat na podłogę.

Lucy go podniosła.

– Bawimy się w modelki i kombojów – wyjaśniła przepraszącym tonem.

– A ilu was tam jest?

– Tylko ja i Belle. Belle jest modelką, ja kombojką.

– Kochanie, nie używaj tego słowa. Mówi się „kowbojką”...

Lucy roześmiała się głośno do telefonu.

– Szkoda, że nie widzisz Belle. Wsunęła plastikowy pistolet za pasek sukienki i włożyła elegancki kapelusz. Daleko zajdzie!

Zastanawiałem się, które z nas kupiło Belle plastikowe pistolety. Na pewno ja, bo zależy mi, żeby nie wyrosła na ofermę. Nagle pożałowałem tego pomysłu. Dzieci nie powinny się bawić bronią, ani chłopcy, ani dziewczynki.

– Tęsknię za tobą – powiedziała Lucy.

– Ja za tobą też – odparłem.

Przypomniało mi się, że muszę już jechać, bo inaczej spóźnię się na samolot. Kolejna podróż do Teksasu. Poprzednim razem towarzyszyła mi Lucy, teraz miałem lecieć sam. Jeśli szeryf Stiller zablokuje mi paszport, będę miał duży problem, i to zarówno z władzami amerykańskimi, jak i szwedzkimi.

– Muszę już iść – przeprosiłem. – Zadzwoń.

– Uważaj na siebie.

– Oczywiście, kochanie.

Rozmowa dobiegła końca. Włożyłem telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki. Najchętniej poleciałbym tam w krótkich spodniach i koszulce, ale przecież musiałem odpowiednio wyglądać, zwłaszcza w mojej sytuacji. Zastanawiałem się, co zrobić ze wszystkimi telefonami, które przy sobie miałem. Wolałbym, żeby nikt nie uznał mnie za przemytnika. Ostatecznie zostawiłem sobie cztery aparaty. Jeśli będę ich potrzebował więcej, kupię na miejscu. Didrikowi podałem numer, pod który miał do mnie w razie potrzeby zadzwonić. Postanowiłem, że nie będę go używał do rozmów z nikim innym.

Samolot wystartował punktualnie. Leciałem pierwszą klasą, więc ciągle oferowano mi coś do jedzenia albo picia. Także alkohol. Ostatecznie zdecydowałem się na zjedzenie samej kolacji. Potem rozsiadłem się wygodnie w fotelu i zamknąłem oczy. Śniło mi się, że znowu ścigają mnie potwory. Zostałem zakopany żywcem, na stojąco, w tylnej części grobowca Didrika. Grabarzem

był Mio, który trzymał w ręce szpadel.

– Chcę zostać tutaj! – zawył. – Chcę zostać tutaj!

– No to zostań! – zawołałem w jego kierunku. – Obiecuję, że nikt nie będzie cię zmuszał, żebyś zamieszkał z twoim prawdziwym tatą!

Kiedy obudziła mnie stewardesa, byłem obłany zimnym potem.

– Wszystko w porządku? – spytała. – Zaraz lądujemy.

Skinąłem głową. Tak, wszystko w porządku. Nie, nic nie jest w porządku.

Błagania małego Mio o to, żeby wolno mu było zostać z Didrikiem i Rebeccą, przyparowały mi ból głowy. Oboje żyli w przekonaniu, że któregoś dnia chłopiec przestanie pamiętać, jak miał wcześniej na imię. Pomyślałem o Belle. Ma tyle samo lat, co on, ale chyba nie aż tak słabą pamięć, żeby zapomnieć, kim jest? Gdyby tak się stało, musiałaby zapomnieć duży fragment swojego dzieciństwa. Obserwowałem, jak funkcjonuje jej pamięć. Odniosłem wrażenie, że chyba nie do końca do niej dotarło, co się stało, że dziadka i babcia nie ma i nigdy nie będzie. Belle nie potrafi dokładnie określić, kiedy oboje odeszli, tak jak nie umie odnieść tygodnia do roku. Dzieci nie definiują czasu w taki sam sposób jak dorośli. Kiedy wspominał dawne dzieje, łapię się na tym, że nie potrafię sobie przypomnieć niczego, co się wydarzyło, zanim ukończyłem sześć lat.

Przypomniało mi się, że Didrik i Rebecca zamordowali sześcioro ludzi. Nie mają prawa do chłopca.

Może tu jednak nie chodzi o ich prawa? Może to on jest najważniejszy? Co się z nim stanie, gdy go stracą? Przecież wyraźnie widać, że łączą go z nimi silne więzi. Jeśli zapadnie decyzja, aby go przenieść do rodziny zastępczej, Mio przeżyje to o wiele gorzej niż wszystko, co się do tej pory wydarzyło. Jakim będzie człowiekiem, gdy dorośnie? Wolałem o tym nie myśleć. Być może Didrik i Rebecca mają rację, twierdząc, że Mio powinien zapomnieć, kim kiedyś był. Nie oznacza to jednak, że utrata mamy nie zostawi mu blizn życia.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, stojąc z paszportem w ręce w kolejce do odprawy. Starałem się nie myśleć, co bym zrobił, gdybym się znalazł na miejscu Didrika i Rebekki. Czy też straciłbym zimną krew i zaczął zabijać ludzi? Na tak postawione pytanie chętnie bym odpowiedział „nie”, ale – prawdę mówiąc – nie miałem pojęcia.

Odprawa przebiegała w szybkim tempie, kolejka robiła się coraz krótsza. Zacząłem się zastanawiać, co się stanie, jeśli tutaj utknę. Wsadzą mnie do aresztu? Odeślą najbliższym samolotem do Szwecji?

– Następna osoba.

Podszedłem do okienka obłany zimnym potem i ciśnienie od razu mi skoczyło.

– Jaki jest cel pańskiego pobytu w naszym kraju? – spytała urzędniczka, studiując mój paszport.

„Chcę odnaleźć seryjnego zabójcę i szefa gangu”, odpowiedziałem w myślach.

– Przyjechałem na urlop.

– Był pan u nas nie tak dawno.

W jej głosie nie wyczułem oskarżenia, było to raczej stwierdzenie faktu.

– Stany Zjednoczone to piękny kraj – odparłem.

Kobieta zastygła w pół ruchu i spojrzała na mnie. Zmusiłem się do uśmiechu z nadzieją, że nie wyglądam na zbyt spanikowanego. W tym momencie stojący za mną mężczyzna zawołał na

cały głos:

– Że też zawsze musi to tak długo trwać!

Ubrany był w garnitur i wyglądał na zestresowanego. Podobnie wyglądają biznesmeni, którzy nigdy nie osiągną sukcesu, jakiego by sobie życzyli.

Urzędniczka skinęła głową. Zdjęła moje odciski palców, kazała spojrzeć w obiekty w aparatu, a na koniec postawiła pieczętkę w moim paszporcie.

– Witamy w Teksasie.

Od mojej ostatniej wizyty w tym stanie minęły trzy tygodnie. Już wtedy stwierdziliśmy z Lucy, że jest tu piekielnie gorąco. Teraz upał stał się nie do zniesienia. Wtedy sobie żartowaliśmy, że za chwilę stopi się asfalt. Teraz zabrzmiałoby to jak stwierdzenie faktu. Nie wszędzie było tak gorąco, ale nie wytrzymałbym w tym ukropie dłużej niż kilka minut. Dlatego szybko wsiadłem do taksówki i pojechałem do centrum miasta. Wybrałem inny hotel niż ostatnio. Nie chodziło mi jednak o zacieranie śladów. Nie miałem na to ani czasu, ani ochoty.

Szczerze przyznam, że się bałem, ponieważ złamałem jedną z najważniejszych zasad uzgodnionych z Lucyferem: że pod żadnym pozorem nie będę próbował zbierać informacji na jego temat, a tym bardziej nie będę go szukał. Poza tym bałem się, że Lucyfer się dowie, że wykonałem zadanie, jakie mi zlecił, a ja go o tym nie poinformowałem: odnalazłem Mio, ale nie przekazałem go jego biologicznemu ojcu, który i tak wiedział, gdzie chłopiec się znajduje, choć zachowywał się tak, jak gdyby nie miało to dla niego znaczenia. W przekonaniu o tym, że moje przypuszczenia są słuszne, utwierdzało mnie to, że Lucyfer nie podał mi swojego numeru telefonu. Pewnie oczekiwał, że jakoś sobie z tym poradzę.

Czułem się dość niezręcznie, że tak bardzo zaufałem Didrikowi. Opowiedział mi historię, która wydawała mi się wręcz nieprawdopodobna. Ale wszystko – dosłownie wszystko – co się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni, należałoby uznać za nieprawdopodobne. Gdyby ktoś mi nagle powiedział, że Ziemia jest płaska, pewnie bym w to uwierzył. Bez dwóch zdań.

Pracownicy hotelu powitali mnie z otwartymi ramionami. Robią to w przypadku każdego klienta, który mieszka w dobrym pokoju. Ja zarezerwowałem jeden z bardziej eleganckich na przedostatnim piętrze.

– Mam nadzieję, że się panu u nas spodoba – powiedziała recepcjonistka, podając mi kartę.

– Dziękuję, jestem tego pewien – odparłem.

Pokój był naprawdę elegancki, obszerny i jasny. Klimatyzacja działała jak należy, na nocnej szafce czekał na mnie obowiązkowy kosh z winem i owocami. Widok z okna ciągnął się na wiele mil. „Pewnie widać stąd Mariannelund”, pomyślałem.

Walizkę postawiłem w rogu pokoju, w ręce trzymałem butelkę wody. Wokół mnie panowała cisza i spokój. Człowiek jest zawsze najbardziej samotny w hotelowym pokoju. Jestem żołnierzem bez wsparcia i bez broni, nie znam odpowiedzi na wiele ważnych pytań. Jest jednak ktoś, kto może mi pomóc. Nazywa się Vincent Baker i jest bratem policjanta, który widział, jak przed dwudziestu laty zastrzeliłem i zakopałem człowieka.

Modliłem się, żeby Vincent Baker okazał się elementem układanki, którą tak rozpaczliwie starałem się ułożyć.

Poniedziałek

Gdyby rzecz działa się w Szwecji, odnalazłbym Bakera w kilkanaście sekund. Pod warunkiem że jego dane osobowe nie byłyby chronione, bo tak właśnie jest z większością mieszkańców naszego kraju. W Stanach jest inaczej. Nie istnieje ogólnie dostępny spis ludności, w którym każdemu wolno grzebać. Dlatego znalezienie kogoś, kto sobie tego nie życzy, jest trudne. Nie miałem jednak czasu, żeby zastanawiać się nad amerykańskim systemem ochrony danych osobowych. Miałem proste pytania i szukałem prostych odpowiedzi: Gdzie mieszka Vincent Baker? Kiedy można go zastać? Na to drugie pytanie żaden urzędnik nie byłby w stanie mi odpowiedzieć. Mogłem to sam ustalić, pod warunkiem że poznam jego adres.

Postanowiłem pójść na skróty i zagrać o wysoką stawkę. Niestety, musiałem na to poczekać całą niedzielę. Dopiero następnego dnia udałem się na posterunek policji, gdzie pracował Baker. Ktoś mi na pewno pomoże, mniej lub bardziej dobrowolnie.

Zauważyłem ją od razu po wejściu przez oszklone drzwi do środka. W policyjnej recepcji siedziała dziewczyna. To jej powinienem zgłosić moją sprawę. Koło recepcji stało kilkanaście metalowych krzeseł. Wszystkie pomalowane na czarno i przykręcone do podłoża. Na pewno nikt nie lubił siedzieć na nich zbyt długo.

Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy i na chwilę stałem się tym, kim byłem dawniej: facetem, który potrafi uwieść każdą kobietę. Podeszedłem do recepcji i oparłem się łokciami o blat.

– Czy mógłbym rozmawiać z Vincentem Bakerm? – spytałem.

Właściwie to wcale nie chciałem się z nim spotykać, a na pewno nie w tym momencie i w tym miejscu.

– Niestety, na takie spotkania należy się umówić wcześniej – odparła dziewczyna. – A o co

chodzi?

Popatrzyła na mnie i szeroko się uśmiechnęła. To najlepsze połączenie: zmysłowość i profesjonalizm. Żałowałem, że nie posiada tylko tej pierwszej cechy.

– Tego nie mogę niestety powiedzieć – odparłem z powagą.

W odpowiedzi na to dziewczyna na też zrobiła poważną minę.

– Chodzi o jego brata, który zginął przed laty – wyjaśniłem, chociaż wiedziałem, że Baker może się później dowiedzieć, o czym tu mówiłem.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nigdy o tym nie słyszałam – odparła.

Pewnie, że nie. Miałś wtedy z pięć lat.

– Jestem adwokatem – ciągnąłem moją opowieść. – Pojawiły się nowe fakty w tej sprawie. Sądzę, że pan Baker byłby nimi zainteresowany. Czy może mi pani podać jego domowy adres, pod którym byłby osiągalny?

Byłbym rozczarowany, gdyby dziewczyna mi go podała, bo dopuściłaby się w ten sposób zaniedbania obowiązków. Na szczęście nie wyglądała na kogoś, kto popełnia takie błędy.

– Bardzo mi przykro, ale nie wolno mi tego zrobić. Może pan zostawić wiadomość dla komisarza Bakera. Nie wolno mi podawać nikomu ani jego domowego adresu, ani numeru telefonu.

Niech to diabli. Moje nadzieje na „mniej lub bardziej dobrowolnie” rozwiały się jak dym. Taki ze mnie papierowy tygrys i nie ma co udawać, że jest inaczej. Trzeba się wycofać i użyć innej metody. Tutaj na pewno się nie dowiem, gdzie Baker mieszka.

Skinąłem głową i zrobiłem taką minę, jak gdybym rozumiał jej sytuację.

– Oczywiście – powiedziałem. – W pełni akceptuję tę zasadę. Będę się musiał zastanowić, co w tej sytuacji powinienem zrobić. Proszę mu jednak przekazać, że tu byłem.

Zauważyłem, że dziewczyna przyjęła moją postawę z ulgą. Pewnie myślała, że będę się awanturował.

– Jak pan się nazywa? – spytała.

Zawahałem się. Nie miałem żadnych dowodów na to, że Baker czuje do mnie jakąś urazę albo że w ogóle mnie zna.

– Proszę mu przekazać, że był Lucyfer. On będzie wiedział, o kogo chodzi.

Lucyfer. Byłem pewny, że każdy policjant w Teksasie, który usłyszy to imię, będzie wiedział, o kogo chodzi. Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę, ale nie skomentowała moich słów.

– Okej – powiedziała.

Pożegnałem się i wyszedłem. Zbliżało się południe, a ja miałem wrażenie, że przed chwilą wypowiedziałem wojnę nieznanemu mi człowiekowi.

Na świecie nie ma wielu osób, którym mogę w pełni zaufać. Prawdę mówiąc, nie ma ani jednej takiej osoby. Gdybym miał cztery lata, tak jak Belle, mógłbym zawołać: „Jestem sam!”. Niestety, jestem o wiele starszy i nie miałem powodu, żeby stać na chodniku i krzyczeć na cały głos. Czułem, że muszę coś zrobić, że bez czyjejś pomocy sobie nie poradzę. Powinienem się w końcu zdecydować, komu mogę zaufać. Musi to być osoba, która mnie nie zawiedzie, i to

od samego początku. Niestety, w Houston nie znalazłem prawie nikogo takiego. Z wyjątkiem jednej osoby: Joshua Taylora, mojego byłego szefa.

To jemu zaufałem, gdy zadzwoniłem „w sprawie pogrzebu pastora Parsona”, i to jemu powinienem zaufać ponownie, chociaż powiedział, że więcej mi nie pomoże.

Postanowiłem jednak nie dzwonić, ty lko od razu do niego pojechać. Taylor pracował w innej niż kiedyś dzielnicy Houston. Tym razem poszło mi lepiej niż na poprzednim posterunku.

– Nie jestem pewien, czy znajdzie dla pana czas – odparł policjant, z którym rozmawiałem.

– Proszę mu przekazać, że chce się z nim spotkać Martin Benner. Na pewno mnie przyjmie.

Kilka minut później Taylor zszedł do recepcji. Nie miał zadowolonej miny.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziałem.

Patrząc na niego, czułem się tak jak gdybym się nagle skurczył. Trochę mnie to zdziwiło. Taylor postarzał się o dwadzieścia lat, podczas gdy ja wyglądałem tak jak gdybym robił się coraz młodszy. Czułem się jak mały chłopiec, który przestępuje z nogi na nogę, bo wie, że zrobił coś bardzo niemądrego.

– Chodź ze mną – rzucił Taylor i wprowadził mnie do korytarza za recepcją.

Na ścianach wisiały portrety poprzednich komendantów policji. Podłogę pokrywała zużyta wykładzina, tapety odchodziły od ścian. Widać było, że policja w Houston nie ma zbyt wielu pieniędzy na remonty.

Taylor otworzył drzwi małej sali konferencyjnej.

– Wejdz – powiedział i rozejrzał się, jak gdyby chciał się upewnić, czy ktoś nas nie obserwuje.

Zauważyłem, że by liśmy sami. Taylor zamknął drzwi i od razu przystąpił do rzeczy:

– Co ty sobie wyobrażasz?! Po co tu przyszedłeś?! Straciłeś rozum?!

Rzadko ktoś na mnie krzyczy. Nie wiem, jak się w takiej sytuacji zachować.

– Potrzebuję twojej pomocy – odparłem łamiącym się głosem. Wstyd mi było, że straciłem całą pewność siebie.

– Domyśliłem się tego od razu, gdy do mnie zadzwoniłeś. Nie przypominam jednak sobie, żeby m cię tu zapraszał. A może się mylę?

Dwadzieścia lat temu Josh Taylor był wielką nadzieją policji w Houston. Jedną z jego silnych stron była niewyczerpana energia. W całej dzielnicy to on umiał najlepiej prowadzić przesłuchania i to on był najlepszym szefem. Mógł daleko zajść, ale coś poszło nie tak. Od razu to zauważyłem.

– Co się stało? – spy tałem.

– Kiedy?

– Z tobą. Jak się doprowadziłeś do takiego stanu?

Amerykanie to dumny naród. Nie lubią, gdy ktoś wypowiada się lekceważąco o ich sukcesach albo niepowodzeniach. I nie chodziło o to, że Taylor został zdegradowany, bo na pewno do tego nie doszło. Zdziwiło mnie tylko, że nie awansował wyżej. Dwadzieścia lat temu mówiło się, że ma potencjał, który pozwoli mu zostać szeryfem. Dzisiaj to już była przeszłość.

– Zmieniłem się – odparł szorstkim głosem. – A ty? Dalej jesteś taki sam jak kiedyś?

Tamtej nocy, gdy zakopy wałem na pustyni zwłoki człowieka, byłem młody. Oczywiście, że się zmieniłem, ale nie w tym sensie, że stałem się słaby. Przeciwnie. Z każdym wbiciem szpadla w ziemię rosło we mnie przekonanie, że muszę coś zrobić z moim życiem, że tylko w taki sposób

będę mógł odpokutować za to, co zrobiłem.

– Wiem, że brat Tony'ego ma na imię Vincent. Wiem też, gdzie pracuje, bo tam byłem.

– Jesteś głupcem!

– Potrzebny mi jest jego prywatny adres. Nie chciałeś mi podać jego imienia, więc dowiedziałem się sam. Niestety adresu sam nie znajdę. Musisz mi go odszukać w waszej bazie danych.

Oczy Taylora zrobiły się nagle czarne jak węgiel.

– Niczego nie muszę – odparł spokojnie. – To ty jesteś mi coś winien, nie ja tobie. Pamiętaj o tym.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– To prawda, nie jesteś mi nic winien – powiedziałem w końcu. – Przykro mi, jeśli tak to odebrałeś. Chodzi tylko o to, że... Nie mam się do kogo zwrócić o pomoc. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji się znalazłem i co mnie może spotkać.

– Chyba jednak potrafię, bo opowiedziałeś mi o tym przez telefon. Wdałeś się w konflikt z Lucyferem. To, że wyszedłeś z niego cało, wielce mnie zdziwiło.

Nabrałem głęboko powietrza.

– W tym konflikcie chodzi o pogrzeb pastora Parsona – odparłem. – Tym samym sprawa dotyczy także ciebie. Dlatego musisz mi, do cholery, pomóc.

Taylor długo i uważnie mi się przyglądał.

– Jesteś pewien, że w tym konflikcie rzeczywiście o to chodzi?

– Jestem o tym przekonany. Ostatni dowód na potwierdzenie tego, co mówię, znalazłem wczoraj w Danii.

– W Danii?

Nie było sensu cokolwiek dłużej ukrywać. Opowiedziałem Taylorowi o tym, czego dowiedziałem się w Danii. Po raz pierwszy zauważyłem niepewność na jego twarzy.

– Cholernie dużo ryzykujesz – stwierdził.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

Taylor wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Nie cierpię, kiedy ktoś się tak zachowuje: chodzi niespokojnie po małym pomieszczeniu i wypełnia sobą całą przestrzeń.

– Jeśli wciągniesz mnie w tę sprawę, nigdy ci tego nie wybaczę! Rozumiesz?! Nigdy!

Taylor wprost wykrzyczał te słowa. Byłem pewien, że inni go usłyszeli.

– Podaj mi adres Bakera – odparłem stłumionym głosem. – Rozumiem, że nie chciałeś mi pomóc, bo wtedy nie byłem jeszcze pewien, że istotną rolę w tej sprawie odgrywa pogrzeb pastora Parsona. Teraz jednak sytuacja się zmieniła i dlatego proszę cię o pomoc.

Angielskie „please” ma zupełnie inną treść niż nasze zwykłe „proszę”. Brzmi godniej, bardziej solidnie.

Taylor zatrzymał się w końcu i głęboko westchnął.

– A co będzie potem? – spytał. – Do czego ten Baker jest ci potrzebny?

Wyprostowałem się.

– Chcę się dowiedzieć, czy doprowadzi mnie do Lucyfera. Kto wie, może to właśnie on jest słynnym szefem gangu?

Taylor podszedł do mnie tak blisko, że czułem zapach tytoniu bijący mu z ust.

– Czyś ty kompletnie oszalał? – spytał. – Sugerujesz, że tak przeciętny policjant jak Baker

może być Lucyferem? Albo że wie, kto nim jest?

Zacząłem się cofać, ale Taylor szedł za mną.

– Ja... ja nie wiem. Ale muszę od czegoś zacząć.

Taylor pokręcił głową.

– No dobrze, a co potem? Co zrobisz, jeśli się okaże, że Baker to Lucyfer?

Na tak postawione pytanie nie miałem gotowej odpowiedzi i Taylor powinien to zrozumieć. Ze sto razy zastanawiałem się, co bym zrobił, gdyby rzeczywiście udało mi się ustalić, kto jest Lucyferem. Niestety nic mądrego nie wymyśliłem. Wiedziałem tylko dwie rzeczy: że nie znam spokoju, dopóki konflikt z Lucyferem się nie skończy, i że nie będę umiał go zabić.

Taylor jakby czytał w moich myślach, bo powiedział:

– Jemu nie przemówisz do rozsądku. Nigdy. Chyba sam to rozumiesz?

– Wiem o tym.

Nieprawda, wcale tego nie wiedziałem. W moim środowisku mądra rozmowa może zdziałać naprawdę wiele.

– No to co zamierzasz zrobić? – spytał Taylor. – Czy dojdzie do kolejnego pogrzebu w stylu pastora Parsona?

Pokręciłem głową.

– Nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię.

Taylor spojrzął na mnie wzrokiem pełnym współczucia.

– A jeśli Baker nie jest Lucyferem i jeśli nie wie, kto nim jest, co uważam za najbardziej prawdopodobne, to co wtedy?

Zamrugałem, bo szczypały mnie oczy.

– Nie wiem – szepnąłem. – Chyba dalej będę go szukał. Na pewno gdzieś tutaj jest.

Taylor spojrzął na mnie łagodniejszym wzrokiem, jakby zrobiło mu się mnie żal.

– Czy myślałeś o tym, co ci powiedziałem? O ewentualnym świadku, który być może widział, co się wtedy wydarzyło?

– Taki świadek nie istnieje – odparłem pewnym siebie głosem. – Jestem tego pewien. Myślę, że to wszystko jest z sobą jakoś powiązane.

Taylor w końcu ode mnie odstąpił. Wolał nie oglądać mnie w tak żałosnym stanie. Ja zresztą też nie.

– Dam ci ten adres, ale potem stąd znikniesz – powiedział. – Obiecay mi też, że obu nam wyświadcysz przy usługę.

– Jaką?

Taylor spojrzął na mnie twardym wzrokiem.

– Że nie zbliży się do Lucyfera ani do nikogo, kto twoim zdaniem nim jest, bez wcześniej opracowanego planu.

W końcu wsiadłem do samochodu i pojechałem do człowieka, którego w ogóle nie znałem. Obietnica, którą przed chwilą złożyłem Taylorowi – że nie zrobię nic głupiego – przestała obowiązywać w chwili, gdy przekręciłem kluczyk w stacyjce. Wmawiałem sobie, że nie mam już czasu na czekanie. Jest takie powiedzenie, że coś się rozsypało jak domek z kart. W moim przypadku już do tego doszło. Leżałem przygnieciony stosem kart i czekałem, aż przyjedzie jakiś buldożer, rozjedzie mnie na miazgę i zakończy moje cierpienia.

Vincent Baker mieszkał w odległości dwudziestu minut jazdy samochodem od centrum miasta. Centrum Houston to „centralnie położona dzielnica mieszkaniowa”. Jest w niej wiele pięknych willi należących do przedstawicieli klasy średniej, chociaż nie widać tam ani ekstrawaganckich samochodów, ani bijących w oczy swą ostentacyjnością rezydencji. Po ulicach chodzą kobiety z wózkami dziecięcymi. Te młodsze wyglądają jak opiekunki do dzieci, te starsze – jak żony. Większość mieszkańców to biali. Baker jest czarnoskóry – tak przynajmniej zakładałem, bo przecież jego brat Tony miał ciemną karnację. Ale mogłem się oczywiście mylić. Weźmy dla przykładu mnie i moją siostrę. Widząc nas razem, nikt by nawet nie pomyślał, że jesteśmy rodzeństwem.

Na podejździe przed domem Bakera parkował samochód typu pikap. Na platformie stał mężczyzna, który przerosił jakieś rzeczy. Ubrany był w białą, mokrą od potu koszulę, która kleiła mu się do pleców. Zahamowałem i zaparkowałem wzdłuż chodnika. Wydawało się, że Baker nie zwraca na mnie uwagi i dalej jest zajęty swoją robotą. Kilka razy przełknąłem ślinę, czując, że serce bije mi jak młot. Powoli wysiadłem z samochodu i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Baker dalej zachowywał się tak, jakbym go w ogóle nie obchodził. Kiedy w końcu na mnie spojrzął, stałem prawie tuż przy jego samochodzie. Uśmiechnął się do mnie.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał.

Miał czerwoną muszkę i przypięty identyfikator z imieniem i nazwiskiem. Taylor wspomniał, że drugi brat Tony’ego jest właścicielem kawiarni. To na pewno on.

Lucyfer?

Obserwowałem, z jaką swobodą i luzem się zachowuje, aż w końcu uznałem, że zamiast myśleć o sprawach, które są nieistotne, powinienem się wreszcie skoncentrować na tym, co ważne.

Odwzajemniłem uśmiech i – jak mi się wydawało – opanowałem w końcu nerwy.

– Szukam Vincenta Bakera – odparłem.

Mężczyzna uniósł dłoń do oczu, żeby nie oślepiło go słońce.

– A kto o niego pyta?

– Nazywam się Martin Benner – odparłem. Postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę.

– Pracowałem kiedyś z Tonym.

Uśmiech na twarzy mężczyzny momentalnie zgasł. Wolnym ruchem strącił niewidzialny pyłek z przedramienia. Rękawy miał podwinęte w taki sposób, żeby nie mogły się same rozwinąć. Na pewno były już bardzo wymięte.

– Jeśli tak to pracował pan też z moim drugim bratem. Jestem Simon.

– Przepraszam, ale nie wiedziałem, że oprócz Vincenta Tony miał jeszcze jednego brata.

Kłamałem, ale Simon nie musiał o tym wiedzieć. Zeskoczył na chodnik i stanął niecały metr ode mnie.

– Czego pan chce?

Teraz nie zachowywał się już tak bez troski jak przed chwilą. Na jego twarzy pojawiła się złość. Tak nagle zmiana całkiem mnie zaskoczyła. Nie byłem przygotowany na taką sytuację.

Simon przekrzywił głowę.

– Powiedział pan: Benner?

– Tak

– W takim razie wiem, kim pan jest.

Nie musiał mi tłumaczyć, co ma na myśli. Jego twarz mówiła, że wie, co zrobiłem, i że mnie za to nienawidzi. Tak mi się przynajmniej wydawało. Jego zachowanie było dla mnie całkowicie niezrozumiałe. Zastanawiałem się, w jaki sposób śmierć tamtego nastolatka mogła zaszkodzić moim stosunkom z rodziną mojego dawnego partnera? Tony był właściwie tak samo winny tego, co się stało, jak ja. Tamtej nocy sam to kilka razy powtórzył. Mówił też, że jest mu przykro, że do tego doszło, bo gdybym ja nie strzelił, on zrobiłby to za mnie.

– Uciekł pan – powiedział Simon. – Tak się nie robi.

O czym on gada?

– Nie uciekłem – odparłem.

Nie wiedziałem, co Simon ma na myśli, ale wolałem nie informować go o sprawach, o których być może nie wiedział.

Simon podszedł jeszcze bliżej. Zmusiłem się, by pozostać w miejscu.

– Oczywiście, że pan uciekł. Zostawił go pan, choć Tony podle się czuł. Czego pan chce od Vincenta? Cała nasza rodzina nie chce mieć z panem nic wspólnego. Jeśli nie zjawił się pan wcześniej, to tym bardziej teraz taka wizyta jest niepotrzebna.

Stałem jak oniemiały i wsłuchiwałem się w słowa, które szerokim strumieniem płynęły z ust Simona. „Cała nasza rodzina nie chce mieć z panem nic wspólnego”. A więc rozmawiali o mnie i uznali, że jestem osobą niepożądaną. W tym, co powiedział Simon, coś się kryło, chociaż nie wiedziałem co. „Cała nasza rodzina...” Czegoś tu nie rozumiałem.

– Bardzo mi przykro, ale nie wiedziałem, że Tony był w złym stanie.

Co innego mogłem powiedzieć? Skąd miałem wiedzieć, że z Tony'm było aż tak źle? Przecież po tamtej strzelaninie poprosił o przeniesienie. Zresztą nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Gówno prawda – odparł Simon. – Wszyscy o tym wiedzieli, a więc pan też.

Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął z niej pęk kluczy.

– Muszę już jechać – powiedział. – A panu radzę jedno: niech pan zniknie stąd raz na zawsze.

Nikt z nas się z panem nie spotka.

Raz na zawsze. Nikt z nas.

– Czy przekaże pan Vincentowi, że go szukam?

– Jasne, ale i tak nie zadzwoni. Nienawidzi pana tak samo jak my wszyscy.

Teraz to ja postanowiłem podejść bliżej. Byłem już zdenerwowany całą tą sytuacją.

– Co to za gadka? „Nienawidzi mnie tak samo jak my wszyscy”. Jacy wszyscy? Ja was w ogóle nie znam, a wy nie znacie mnie.

Ten cholerny upał. Czuję się tak, jakbym za chwilę miał się rozpuścić i wtopić w asfalt. W takich warunkach mózg przestaje sprawnie funkcjonować. Staliśmy z Simonem i patrzyliśmy na siebie, wzburzeni i zdenerwowani. Żaden z nas nie umiał zdobyć się na mądre słowa. Postanowiłem zmienić ton. Przemówić w grzeczny, rzeczowy sposób.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – powiedziałem. – Ale i pan, i cała wasza rodzina musicie zrozumieć, że to było fatalne nieporozumienie. Wcale mi nie chodziło o to, żeby tamtego chłopaka zabić. Staliśmy wtedy w rześystym deszczu, a on wyciągnął pistolet – a może nie wyciągnął, tylko tak mi się zdawało – i...

– O czym pan mówi? – przerwał mi Simon i popatrzył na mnie zdumionym wzrokiem.

– O tym, co się wtedy wydarzyło. A co pan miał na myśli?

W tym momencie zadzwonił telefon Simona.

– Pan ma chyba nie po kolei w głowie – powiedział i przeszedł na drugą stronę samochodu.

Ja też to zrobiłem, bo mi zależało, żeby nie rozstać się z nim z większymi wątpliwościami niż te, z którymi do niego przyszedłem.

– Przepraszam, ale ja nic nie rozumiem. Za co wasza rodzina ma do mnie żal? Nie wiedziałem, że Tony źle się czuł. Wiem tylko, że poprosił o przeniesienie.

Simon usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi i opuścił szybę.

– No właśnie. Jak pan myśli, dlaczego czuł się źle? I dlaczego poprosił o przeniesienie?

– Z powodu tego, co się stało?

Poczułem się głupio. Najwidoczniej stwierdzenie „z powodu tego, co się stało” znaczyło dla mnie coś zupełnie innego niż dla rodziny Tony'ego.

– Nie wiem, co pan przez to rozumie – powiedział Simon, jak gdyby czytał mi w myślach. – My byśmy raczej powiedzieli „z powodu tego, co pan zrobił”. To właśnie dlatego Tony poprosił o przeniesienie.

Pokręciłem głową. Simon włączył silniki zaczął cofać.

– Bardzo mi przykro – powtórzyłem. – Jeśli mi pan wyjaśni, co takiego waszym zdaniem zrobiłem, to może uda nam się dojść prawdy. Obawiam się, że zaszło jakieś koszarne nieporozumienie i...

Simon zjechał z podjazdu na ulicę.

– Tu nie ma mowy o nieporozumieniu. Niech pan się trzyma od nas z daleka.

Czułem się jak natrętne dziecko, od którego Simon się opędał. Kiedy ruszył, zacząłem biec

obok samochodu.

– Niech pan powie Vincentowi, że chcę z nim porozmawiać! – zawołałem i wrzuciłem do szoferki kartkę papieru z moim numerem telefonu.

Simon dodał gazu i tyle go widziałem.

W końcu dostałem to, co chciałem. Tak to się zazwyczaj kończy – zawsze stawiam na swoim. Najpierw jednak zadzwonił do mnie Taylor.

– Możesz swobodnie rozmawiać? – spytał.

– Myślę, że prawie na pewno – odparłem, żeby zaznaczyć, że mimo wszystko istnieje minimalne ryzyko podsłuchu.

– To „prawie” mi wystarczy – stwierdził Taylor. – Twój przyjazd do naszego miasta poruszył niebo i ziemię.

– Naprawdę?

– Tak. Uważaj na siebie. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

– Nie rozłączaj się jeszcze. Kogo mam się strzec? Policji? Ludzi Lucyfera?

– Jest wielu policjantów, którzy zapamiętali twoją poprzednią wizytę. Poproszono cię, żebyś wyjechał i nigdy tu nie wracał, a ty postąpiłeś na przekór ich radom. To wystarczy.

– A skąd oni w ogóle wiedzą, że tu jestem? Przecież...

– Wjechałeś bez problemu do kraju, bo twój paszport nie był zablokowany, ale ktoś go oznaczył czerwoną flagą. Szeryf został poinformowany o twoim przyjeździe kwadrans po odprawie celnej.

Oblałem się zimnym potem.

– Z czysto prawnego punktu widzenia nie mogą mi niczego zabronić.

– Z czysto prawnego punktu widzenia jesteś idiotą. Bądź ostrożny. Niektórzy cię obserwują.

Taylor rozłączył się, rozmowa dobiegła końca. Zacząłem się zastanawiać nad jego słowami. Siedziałem w hotelowym pokoju z głową pełną różnych myśli i czułem, jak rozpiera mnie energia. Szybkim krokiem podszedłem do okna. Mój pokój znajdował się zbyt wysoko, żebym zobaczył stąd kogoś albo coś, co mogłoby wzbudzić moją ciekawość. Jeśli na dole były jakieś cienie, to i tak nie miałem szansy ich zauważyć.

Usiadłem na łóżku. Może w tej sytuacji powinienem zadzwonić do Lucy? Do tej pory wysyłałem jej tylko esemesy. Zrezygnowałem jednak z tego pomysłu, bo w tym samym

momencie dostałem wiadomość, która oznaczała całkowitą zmianę reguł gry.

Słyszałem, że przyjechałeś do miasta i mnie szukasz. Co za niezręczność i bezczelność. Ale dostaniesz to, co chcesz. Spotkamy się dziś wieczorem tam, gdzie się odbył pogrzeb pastora Parsona. O dziewiątej. Przyjdź sam.

Przeczytałem tę wiadomość kilka razy i od razu skoczyło mi ciśnienie. Opadłem na podłogę i poczułem, jak drżą mi ręce.

Wiadomość pochodziła najprawdopodobniej od Vincenta. Nie wysłał jej jednak na numer, który przekazałem jego bratu. Przeciwnie: otrzymałem ją na telefon, z którego kontaktowałem się wcześniej z Lucyferem. Poczułem obezwładniający strach.

Kolejny raz odczytałem wiadomość i w końcu do mnie dotarło: Lucyferem jest Vincent Baker. To jedyny wniosek, jaki można wyciągnąć z tej sytuacji. Istniało oczywiście prawdopodobieństwo, że Baker zna ten numer, bo jest jednym z przydupasów Lucyfera i dostał jego zgodę, żeby wysłać do mnie wiadomość. Uznałem jednak, że to zbyt daleko idąca teoria. Jeszcze raz odczytałem wiadomość. Vincent Baker – byłem prawie pewien, że to on mi ją przysłał – wiedział o strzelaninie, która – jak sobie wmawiałem – doprowadziła do tego, że stałem się wrogiem Lucyfera (a przy okazji całej rodziny Tony’ego). Nie dawało mi spokoju, że nadawca esemesa posłużył się tajnym kodem: pogrzeb pastora Parsona. O ile mogłem zrozumieć, że Tony odczuwał potrzebę zwierzenia się ze wszystkiego swojemu bratu, o tyle nie byłem w stanie pojąć, dlaczego zdradził mu nasze tajne hasło.

To jednak drobiazg w całym tym kontekście. Musiałem zachować zimną krew. Przecież po to tu przyjechałem, choć groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiałem się zastanowić, jak się odnieść do tej tajemniczej wiadomości. W żądaniu, abym przyszedł sam, kryło się coś groźnego. Miałem się stawić w miejscu, gdzie dawno temu zakopałem człowieka, którego przedtem zastrzeliłem. Koszmary, które zaczęły mnie nawiedzać po powrocie z Teksasu, zamieniły się stopniowo w jeden wielki krzyk ostrzeżenia. Czy odważę się mu sprzeciwić? Sam, bez żadnej ochrony?

Uświadomiłem sobie, że nie wiem, jak dawne pole naftowe wygląda teraz. Amerykanie to energiczny naród, mogli tam zbudować od podstaw zupełnie nowe miasto. Dochodziła czwarta. Miałem pięć godzin, żeby zaplanować sobie cały wieczór.

Wiedziałem, że muszę trochę odpocząć, choć byłem pewien, że nie zasnę. Zrobiłem więc to, co zawsze, gdy jestem zmęczony i zestresowany: postanowiłem działać pod wpływem impulsu. Doszedłem do wniosku, że muszę ponownie zobaczyć to przekłete miejsce. Tak po prostu. Jeśli tego nie zrobię, nigdy w życiu nie będę miał na tyle odwagi, żeby się tam spotkać z Lucyferem. Na dotarcie na miejsce potrzebowiałem około godziny. Powinienem zdążyć dojechać tam i wrócić do hotelu, a potem stawić się na spotkanie o umówionym czasie. Jeśli wybrałbym się tam później, mogło się okazać, że Lucyfer wpadł na ten sam pomysł i też przyjechał wcześniej. Byłem prawie całkowicie pewien, że jeśli wyjadę teraz, nikogo innego tam nie zastanę.

Zjechałem windą do garażu, wsiałem do samochodu i wyjechałem na ulicę. Chwilę później zadzwoniła Lucy. Doszedłem do wniosku, że to dobra pora, aby porozmawiać. Bardziej niż kiedykolwiek

– Gdzie jesteś? – spytała. Głos miała napięty jak postronek

„Tylko żadnych złych wiadomości o Belle – pomyślałem, czując, jak ogarnia mnie lęk – Tylko nie o Belle. Proszę”.

– Jadę samochodem. Czy coś się stało?

– Martin, przestań kłamać. Gdzie jesteś?

Co mogę jej zdradzić? Ile powinna wiedzieć? Całą prawdę. Jeśli zginę na pustyni, ktoś musi wiedzieć, że tam pojechałem. Było rzeczą oczywistą, że Lucy jest jedyną osobą, którą powinienem o tym poinformować.

Moje milczenie trwało zbyt długo, więc Lucy odezwała się pierwsza:

– Była tu policja z nakazem zatrzymania. Przyszli po ciebie.

– Nakaz zatrzymania?

– Wygląda na to, że mają nowych świadków.

Pociemniało mi przed oczami. Wydawało mi się, że zawarliśmy z Didrikiem umowę, że kupiłem sobie trochę czasu do działania.

– To jakaś bzdura i sama o tym wiesz – odparłem ostrym tonem. – Nie ma żadnych świadków. Czy przekazałaś im nagranie z garażu?

– Tak Dałam im też do zrozumienia, że jeśli coś się z nim stanie, to mamy inne kopie.

Po głosie Lucy domyśliłem się, że to jeszcze nie koniec. Gdyby w tym momencie ktoś zaproponował, że wstrzyknie mi na uspokojenie dawkę heroiny, na pewno bym się zgodził.

– Co chcesz mi jeszcze powiedzieć? – spytałem.

Lucy odpowiedziała drżącym głosem:

– Uważają, że ja też jestem zamieszana w tę sprawę, i dlatego złożyli wniosek w opiece społecznej o pozbawienie cię prawa do opieki nad Belle.

Czegoś takiego w ogóle się nie spodziewałem. Nie byłem przygotowany na taki cios.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że już ją zabrali?

– Martin, ja...

– Pytam, czy ją zabrali!!!

Krzyczałem tak głośno, że na pewno było mnie słychać na ulicy.

– Nie, nie... O tym, że kontaktowali się z opieką społeczną, powiedzieli mi, gdy przyszli po ciebie do biura. Pewnie myśleli, że opieka szybko to załatwi, ale po ich wyjściu zadzwoniłam do przedszkola i usłyszałam, że Belle jeszcze tam jest. Bałam się, że ktoś mnie śledzi, więc zadzwoniłam do Signe i kazałam jej natychmiast po nią pojechać.

Trochę się uspokoiłem.

– Gdzie jest teraz?

– W drodze do letniego domku Madeleine, który chyba stoi pusty. Przepraszam, ale nie wiedziałam, komu zaufać. Madeleine nie chciała, żeby ją w to mieszać, ale...

– Postąpiłaś słusznie, naprawdę.

Miałem teraz w nosie bezpieczeństwo Madeleine i to, jaką cenę może zapłacić za udzieloną nam pomoc. Obchodziły mnie tylko dwie osoby: Belle i Lucy. Madeleine bardzo dobrze o tym wiedziała. Gdyby nie chciała, nie zgodziłaby się nam pomóc.

– Czy ktoś cię śledzi? – spytałem.

– Chyba nie. W drodze do Signe ze sto razy przejechałam rowerem na czerwonym świetle i wjechałam na drogę jednokierunkową.

– To znaczy, że nie byliście w mieszkaniu, tylko u Signe?

– Tak

Miałem ochotę rozplakać się z radości.

– Musisz wrócić – powiedziała Lucy. – Tak daleko być nie może.

– Wrócę najpóźniej za dwa dni.

– Dwa dni? Nie mamy tyle czasu. Musisz się spotkać z Didrikiem tam, gdzie jest teraz. Jeśli jego dom w Danii był pusty, zacznij go szukać gdzie indziej. Na przykład w Sztokholmie.

– Kochanie, jego dom nie był pusty.

– Słucham?

– Spotkałem się z Didrikiem i rozmawiałem z nim. Myślałem, że dał mi trzy dni na załatwienie sprawy. Przykro mi, ale widzę, że jest inaczej.

„Przykro mi” to chyba zbyt słabe stwierdzenie w tym kontekście. Lucy też tak uważała.

– Jesteś dla mnie niewiarygodny. Znowu mnie okłamałeś. Po tym wszystkim, co się wydarzyło... Po rozmowie o kobiecie, z którą znowu chciałeś iść do łóżka, żeby się dodatkowo nakręcić, chociaż mieszkaliśmy wtedy razem... Czy ty rozumiesz, jak to boli?

Oczywiście, że tak. Strach przed utratą Lucy stał się tak obezwładniający, że zacząłem się jękać.

– Zrobiłem to, żeby cię chronić. Nie rozumiesz tego? Nie chciałem, żebyś zbyt dużo wiedziała, gdyby zjawiła się policja i zaczęła stawiać pytania.

– Strasznie się o mnie troszczysz! Gdzie teraz jesteś? Mów prawdę.

Zapaliło się czerwone światło, więc gwałtownie zahamowałem.

– Jestem w Houston.

W telefonie zapadła całkowita cisza.

– Lucy?

W tle usłyszałem głos Belle. Lucy pociągała nosem. Zawsze tak robi, kiedy płacze.

– Wybacz mi, kochanie. Przepraszam.

– Nie mów do mnie „kochanie”. Jak mogłeś wyjechać bez pożegnania z nami? Niech cię szlag trafi!

Lucy się rozplakała.

– Chciałem ci o tym powiedzieć, ale nie mogłem.

– Bo co?

– Już mówiłem: zależało mi, żebyś wiedziała jak najmniej, na wypadek gdyby policja zaczęła cię wypytywać. Poza tym bałem się, że dojdzie do kłótni. Nie mógłbym tego znieść. Dziś wieczorem zamierzałem do ciebie zadzwonić, powiedzieć prawdę. Nie chciałem dłużej kłamać.

– Jesteś naprawdę wspaniałomyślny!

Zapaliło się zielone światło, więc ruszyłem. Kierowałem się ku miejscu, gdzie zakopałem moje stare grzechy, które teraz wypłynęły na wierzch.

– Miałem konkretny powód. Didrik opowiedział mi o sprawach, które zmieniły moją sytuację o sto osiemdziesiąt stopni. Dowiedziałem się, że jego plan od samego początku polegał na tym, żebym do końca żyć ci nie mógł się wygrzebać z kłopotów. Lucyfer wiedział, gdzie przebywa Mio

już wtedy, gdy kazał mi go szukać. Rozumiesz? Wodził mnie i Didrika za nos. Niestety, Didrik to głupiec, chyba mu zaufał. Wydawało mu się, że jeśli się mnie pozbędzie, Lucyfer pozwoli mu zatrzymać Mio.

– Mio jest u Didrika? Widziałeś go?

Wspomnienia z Danii wróciły w jednej chwili: Mio biegnie przez ogród, zatrzymuje się i pyta, czy jestem jego ojcem.

– Tak

W słuchawce znowu zapadła cisza. Nie zmuszałem Lucy do odpowiedzi, a kiedy w końcu się odezwała, pożałowałem, że wcześniej się nie rozłączyłem.

– Myślę, że nigdy ci tego nie wybaczę.

Poczułem lodowaty strach.

– Lucy, musisz mi uwierzyć. Ja naprawdę nie miałem innego wyjścia i musiałem cię okłamać.

– Jak wtedy gdy utrzymywałeś przede mną w tajemnicy, że zabiłeś człowieka?

Nie podobało mi się, że wspomniała o tym przy Belle. Na myśl o tym, że Lucy definitywnie się ode mnie oddała, i to w chwili, gdy szykowałem się do najważniejszego spotkania w moim życiu, wpadłem w panikę.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Rozumiem, że jesteś zła. Rozumiem twoją złość w sprawie Veroniki... to znaczy Rakel. Popełniałem wiele błędów, ale uważam, że tym razem zachowałem się słusznie. Chciałem cię chronić, żeby nic ci się nie stało. Kocham cię za to, że opiekujesz się Belle i że byłaś ze mną w czasie tego całego koszmaru.

Musiałem zrobić pauzę, bo coraz trudniej było mi mówić. Czułem, że za chwilę się rozplączę. Tak rzadko sobie z Lucy mówimy, że się kochamy. Ja – bo dla mnie jest to rzecz oczywista; ona – bo... hm... właściwie to nigdy nie zastanawiałem się nad jej motywami. Przeraziło mnie to.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Kocham cię.

Lucy znowu się rozpląkała.

– To nie wystarczy, chyba sam rozumiesz. Zwłaszcza że tak się zachowujesz.

Ja też się rozpląkałem. Oczy zaczęły mnie szczy pać od łez.

– Mam się dziś spotkać z Lucyferem.

– Chyba oszalałeś.

– Nie mam innego wyjścia. Ja...

– Ty naprawdę oszalałeś. Jeśli pojedziesz na to spotkanie, między nami koniec. Słyszysz, co mówię? Koniec.

To ty tak powiedziałaś.

– Nie mam innego wyboru.

– Oczywiście, że masz. Wracaj do domu. Zostaw to policji. Potrzebuję tygodnia, żeby wyprostować śledztwo. Zmuszę policję, żeby zajęła się Didrikiem.

Lucy naprawdę wierzyła w to, co mówiła. Nie mogłem jej za to winić. Bo oczywiście nie miała racji.

– To nie rozwiąże problemu z Lucyferem – odparłem. – Dopóki żyje, nie zostawi nas w spokoju.

– Co ty chcesz zrobić? Jego też zamierzasz zabić?

To „też” było zupełnie niepotrzebne. Poczułem się, jak gdyby ktoś smagnął mnie biczem po

plecach.

– To nie była zbrodnia – powiedziałem, a właściwie mruknąłem, jakbym się wstydził.

– A jak ci się w ogóle udało znaleźć Lucyfera? Przecież od twojego wyjazdu upłynęła dopiero doba.

Wreszcie mogłem powiedzieć coś konkretnego.

– Nie jestem pewien, czy to Lucyfer. Nie na sto procent. Powiedzmy, że na dziewięćdziesiąt osiem. Zapamiętaj, Lucy: ten człowiek nazywa się Vincent Baker. Jest policjantem w Houston, bratem Tony’ego Bakera, z którym byłem na patrolu w tamtą noc, gdy zastrzeliłem człowieka.

– Chcesz powiedzieć, że Vincent Baker jest bratem zastrzelonego?

– Nie. Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem. Jest bratem mojego ówczesnego policyjnego partnera.

Słowa Simona Bakera nadal dźwięczały mi w uszach i ciągle były dla mnie niezrozumiałe. Rodzina Tony’ego nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Nie chciała mi wybaczyć tego, co zrobiłem.

Usłyszałem, jak Lucy mówi coś do Belle.

– Muszę już kończyć – powiedziała. – Belle jest głodna i zmęczona.

Dopiero teraz sobie przypomniałem, że w Sztokholmie jest środek nocy.

– Jak długo jechałaś sam ochodem? – spytałem.

– Dość długo.

– Prowadź ostrożnie. Zadzwoń jeszcze.

Ostatnie słowo wypowiedziałem stłumionym głosem.

– Tylko spróbuj nie zadzwonić, Benner – usłyszałem w odpowiedzi.

Rozmowa dobiegła końca. Zostałem sam, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Kiedy dotarłem na miejsce, było jeszcze jasno. Po drodze na chwilę się zatrzymałem i wmusiłem w siebie hamburgera. Nie jest to zbyt pożywne jedzenie, ale dodaje energii. Im bardziej zbliżałem się do celu podróży, tym wolniej jechałem. Coraz ciężiej mi się oddychało. Kiedy w końcu zjechałem z autostrady na drogę lokalną, poczułem silny ucisk w klatce piersiowej. Znaki drogowe wyglądały dokładnie tak samo jak wtedy, gdy pokonywałem ten odcinek w zupełnie innych zamiarach. Ku memu zdumieniu sama okolica niewiele się zmieniła. Ostatnie dziesięć kilometrów stanowiła droga szutrowa, tak jak wtedy. Wokół mnie rozciągała się rozległa przestrzeń – pusta i surowa. Amerykanie kochają budować, mieszkać i wydobywać. Dlaczego zapomnieli o tych kilku kilometrach kwadratowych?

Poprzednim razem wiozłem w bagażniku ciężki ładunek. Zjechałem z drogi, pojechałem na dawne pole roponośne i zakopałem tam zwłoki. Tym razem zatrzymałem samochód wcześniej i resztę drogi pokonałem piechotą. Było oczywiste, że wieczorem, kiedy tu przyjadę na spotkanie z Lucyferem, ten sam fragment przejadę samochodem.

Nadal utrzymywał się potworny upał. Słońce smażyło bezlitośnie, a ja nie bardzo wiedziałem, dokąd idę. Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że przeszłość dopadła mnie w tak brutalny sposób. Czy moje dotychczasowe życie nie było wystarczająco wygodne? Czy nie podejmowałem właściwych decyzji? Na przykład wtedy gdy moja siostra zginęła w wypadku, a ja zaopiekowałem się Belle? Albo gdy pomagałem moim klientom, którzy wpadli w kłopoty? Od razu przy pomniął mi się Boris.

Czy dałem z siebie wszystko? Może zachowywałem się niewłaściwie wobec Lucy, mojej rodziny i szeroko pojętego społeczeństwa? Lucy nieraz nazywała mnie największym egoistą na świecie. Z pewnością miała rację.

Przysłowie mówi: „Grzesznik budzi się późno”. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że kiedy przemierzałem moją drogę krzyżową – od samochodu aż do miejsca, gdzie zakopałem zwłoki – mój umysł był w pełni jasny. Grób nie był zaznaczony, ale zapamiętałem, że znajduje się u stóp niewielkiego wzniesienia.

W końcu zatrzymałem się przed tym miejscem. Za kilka godzin dojdzie tu do porachunków. Rozejrzałem się dokoła. Wszędzie było pusto i cicho. Wokół stały opuszczone baraki, ogromne wiertła wydobycze wywieziono wiele lat temu. Pomyślałem, że żywy z tego nie wyjdę.

Już wcześniej się nad tym zastanawiałem, ale dopiero teraz uświadomiłem to sobie z całą wyrazistością: ja nie tylko ryzykowałem życie – ja już byłem martwy. Pytanie brzmiało tylko: dlaczego? Co takiego zrobiłem?

Przykucałem, wziąłem do ręki trochę piasku i przepuściłem go między palcami. Myślałem o Belle i o tym, że zostało mi niewiele czasu na tym świecie. Belle znowu będzie sierotą. Jeśli sąd skáže Lucy za współudział w przestępstwach, których nie popełniłem, trafi do rodziny zastępczej. Jeśli przedtem jej nie zabiją.

Lucyfer groził, że zabije Lucy i Belle, i na pewno nie odpuści, jeśli będzie miał taki kaprys albo coś go do tego skłoni. Dotarło do mnie, że nie mogę zwrócić się z prośbą o pomoc do miejscowej policji, bo Lucyfer zabije nie tylko mnie, ale także Belle i Lucy.

Wyprostowałem się i wytarłem dłonie o spodnie. Nie pozwolę, żeby do tego doszło. Nigdy w życiu. Jestem winien Belle i Lucy coś lepszego.

Szybko wróciłem do samochodu. Lucy przekonała mnie, że jest ze wszystkimi na bieżąco. Jest mądra i pozostanie razem z Belle w ukryciu tak długo, jak długo to będzie konieczne. Odpowiedzialność za to, co się wydarzy, spoczywała na mnie, nie na nich. Lucyfer może mnie w dupę pocałować. Dopóki Belle i Lucy były bezpieczne, było mi całkowicie obojętne, co mi zrobi. Mógł mi spalić biuro, zniszczyć karierę, pozbawić majątku. Mógł nawet skrzywdzić Marianne, chociaż miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Mógł zrobić, co tylko by chciał, bo nie miałem już nic do stracenia.

Wyjąłem telefon i odszukałem wiadomość, którą mi przysłał. Oczywiście z zastrzeżonego numeru. Ma pecha, bo przez to się nie dowie, że zamierzam się z nim spotkać w innym miejscu niż to, które wyznaczył.

Kiedy wsiadałem do samochodu, miałem wrażenie, że wchodzę do pieca. Włączyłem silnik i wróciłem na drogę krajową, którą dojechałem do autostrady. Przypomniała mi się rozmowa z Simonem. Nie dawało mi spokoju to, co mi powiedział. Nie wiedziałem, dlaczego zrobił zdziwioną minę, gdy zacząłem mówić o tamtej strzelaninie. Jeśli jednak nie chodziło o to wydarzenie, to o co rodzina Tony'ego ma do mnie żal?

Simon powiedział, że Tony był w kiepskim stanie. Ja tego tak nie zapamiętałem. Prawda jest taka, że Tony zawsze trzymał się trochę na uboczu. Nigdy nie zachowywał się głośno, rzadko tryskał energią. Przyjąłem do wiadomości, że leży to w jego naturze, że zawsze jest taki wyciszony. Szczerze mówiąc, dobrze się czułem w jego towarzystwie. Znałem wielu policjantów, w których adrenalina aż kipiła. Jeździli ulicami jak goryle na haju i zawsze odnosiłem nieprzyjemne wrażenie, że gdyby nie byli policjantami, zostaliby przestępcami.

Tony przeniósł się na inny posterunek i nigdy więcej się nie spotkaliśmy. O wszystkim, co dotyczyło jego życia i pracy, dowiadywałem się od innych. Kiedy wyprowadziłem się z Teksasu, źródła informacji zaczęły stopniowo wysychać. Kontakt utrzymywałem tylko z kilkoma kolegami z policji, ale trwało to krótko. Zdążyłem się jednak dowiedzieć, że Tony nie żyje. Został zastrzelony na służbie, koledzy znaleźli go kilka godzin później. Zastanawiałem się wtedy, czy nie pojechać na pogrzeb, ale nie zrobiłem tego. Nie było powodu, a poza tym mogłoby to wzbudzić masę niepotrzebnych pytań.

W drodze powrotnej do hotelu mój plan zaczął nabierać konkretnego kształtu. Zresztą plan to zbyt wielkie słowo. Był to raczej zwykły pomysł o wymiarach strategicznych. Zbyt mało wiedziałem i czułem się niepewnie. Czas mijał, a innych pomysłów nie miałem. Ponieważ zaś nie udało mi się dotrzeć bezpośrednio do Vincenta, postanowiłem wykonać odważny krok i odwiedzić Simona w jego kawiarni. Nie miałem innego dojścia do jego rodziny, przez co nie mogłem się do niej zbliżyć.

Przypomniałem sobie napis na plakietce, którą Simon miał przypiętą do koszuli: „Simon Baker, Baker’s Café”. Szybko udało mi się ustalić adres lokalu. Okazało się, że należy do sieci działającej tylko w Houston. Składała się z pięciu punktów i świetnie się nadawała do prania brudnych pieniędzy. Jeśli Lucyferem był Vincent, potrzeba prania brudnych pieniędzy musiała być ogromna. Byłem pewien, że Simon pomaga bratu.

Sam nie wiedziałem, co tam zastanę. W życiu często tak bywa: nie wiemy, czego szukamy, do momentu aż to zobaczymy. Wszystkie kawiarnie należące do sieci Bakera mieściły się przy tak zwanych dobrych ulicach. Dobrych w tym znaczeniu, że każda z nich leżała w City – centrum Houston. Kawiarnie były niewielkie i przypominały Starbucksa. Do pierwszej nie wszedłem, tylko stanąłem na chodniku i zajrzałem do środka przez duże okno. Za ladą stało dwóch Latynosów, którzy serwowali klientom kawę. Byli ubrani jak Simon: w białą koszulę, czarne spodnie, czerwoną muszkę. Nic nie zwróciło mojej szczególnej uwagi. Tak samo było w drugim lokalu. Kilku barmanów, długa kolejka oczekujących. Zapach kawy pobudził mnie do życia. Wróciłem do samochodu i pojechałem do trzeciego punktu. Tym razem postanowiłem wejść do środka. Jeśli niczego ciekawego nie zauważę, zamówię kawę i wyjdę. Zaparkowałem dziesięć metrów od drzwi. Samochód to coś, co w amerykańskim społeczeństwie zajmuje oczywiste miejsce. Nigdy nie trzeba zbyt długo krążyć, żeby znaleźć miejsce do zaparkowania. Wjechałem na puste miejsce, zamknąłem wóz na klucz i wszedłem do lokalu.

Kawiarnia była trochę większa od tych, które widziałem poprzednio, personel bardziej liczny, kolejka oczekujących dłuższa. Domyśliłem się, że Baker’s Café to popularna sieć. Zacząłem się rozglądać za Simonem. Wiedziałem, że pracuje w jednym ze swoich lokali. Nie wiedziałem tylko, w którym.

Ustawiłem się w kolejce. Przede mną stali dwaj faceci w garniturach. Ścisłym głosem rozmawiali o nowo powstałej spółce naftowej.

– Za dwa lata przestaną istnieć – powiedział jeden. – Nie mają szans, wykończy ich konkurencja.

Rozmowa toczyła się tylko o ropie, pieniądzach, pustyni i piasku. W ogóle mnie to nie interesowało.

Kolejka stopniowo się kurczyła, byłem coraz bliżej kasy. W końcu przyszła moja kolej.

– Czego pan sobie życzy? – spytała z szerokim uśmiechem dziewczyna za ladą.

Pokazałem jej palcem, co wybrałem.

– Spróbuj tęgo.

Było mi całkiem obojętne, co zamawiam. Zdecydowałem się na „specjalną ofertę tygodnia”. Takie zestawy rzadko potrafią czymś zaskoczyć.

– Świetny wybór! Cztery dolary i pięćdziesiąt centów.

W chwili gdy płaciłem, ujrzałem Simona. Stał odwrócony plecami do mnie obok drzwi, które prowadziły do kuchni albo do innego pomieszczenia na zapleczu. Odebrałem kawę i ruszyłem

w jego kierunku. Zachowywałem się dyskretnie: żadnych gwałtownych ruchów ani głośno wypowiedzianych zdań. Po chwili znalazłem się tak blisko niego, że mogłem usłyszeć, o czym rozmawia. Wzburzonym głosem zwracał się do kogoś, kogo nie widziałem:

– Powiedziałem mu, że nie chcemy mieć z nim nic wspólnego! Jak on w ogóle śmiał się tu zjawić?! Co za beczelność!

Mężczyzna, z którym rozmawiał Simon, miał o wiele spokojniejszy głos.

– Wydaje mi się, że chyba nie do końca rozumiałeś, dlaczego nas szuka. Myślę, że ja wiem, po co tu przyjechał.

– A niby skąd mam wiedzieć? Zaczął coś bredzić o zastrzelonym facecie, ale mu przerwałem i powiedziałem, że nie wiem, o czym gada. Ty wiesz?

– Nie mam czasu, żeby teraz o tym rozmawiać. Masz jednak rację, tamto zabójstwo nie ma żadnego znaczenia. Dobrze, że sobie odpuściłeś.

– A kto wtedy zginął?

– Ktoś nieważny. Nie myśl o tym więcej.

– Widzę, Vincent, że jest coraz więcej spraw, o których nie powinienem myśleć.

Vincent!

W rozmowie nastąpiła przerwa. Być może obaj uświadomili sobie, że rozmawiają o delikatnych sprawach w miejscu publicznym. Chyba tylko ja jeden ich słuchałem, ale to mi na razie wystarczyło. Usiadłem przy stoliku, skuliłem się nad kubkiem z kawą i zacząłem popijać ciepły napój. Czulem szum w głowie i szybkie pulsowanie krwi w żyłach.

Simon stanął za ladą. Z uśmiechem na twarzy, nie patrząc nikomu w oczy, obsługiwał kolejnych klientów. Był całkowicie pochłonięty myślami i pracą. Nie zauważyłby mnie nawet, gdybym stanął tuż przed nim. Vincent siedział na zapleczu. Wiele bym dał, żeby zobaczyć, jak wygląda.

Los znowu mi sprzyjał, bo w pewnej chwili ujrzałem kogoś, kto na pewno był Vincentem. Z początku widziałem go tylko z boku, jak stał z pochyloną głową. Był całkowicie zajęty telefonem. Siedziałem przy stole i starałem się zachowywać pełną dyskrecję, jak gdybym przychodził tu każdego dnia, jak gdyby nikt mnie nie ścigał.

Przez chwilę mi się to udawało. Zdołałem nawet stłumić krzyk, który prawie wy dostał się z mojego gardła, gdy Vincent oderwał w końcu wzrok od telefonu, uniósł głowę, wyprostował się i przez chwilę patrzył w moją stronę. Trwało to sekundę, ale w tym samym momencie wszystkie elementy układanki, które od dawna próbowałem do siebie dopasować, ułożyły się w jedną całość. Jak gdyby spadły mi z nieba na stolik, na którym próbowałem stworzyć jasny, w pełni rozumiały obraz.

Że też wcześniej tego nie rozumiałem.

Twarz Vincenta. Już kiedyś ją widziałem, a nawet uderzyłem. To jedyna twarz, jaką kiedykolwiek chciałem zniszczyć gołymi rękami. Teraz miał ją ktoś inny, trochę młodszy.

Josh Taylor wspominał, że Tony miał trzech braci. Jeden jest policjantem, drugi prowadzi kawiarnię, o trzecim słuch zaginął. Dopiero teraz wszystko zrozumiałem.

Tym trzecim bratem byłem ja.

Rodzina to przeżytek. Nienawidzę tego słowa. Członkowie rodziny to jedyni ludzie, których nie możemy sobie sami wybrać, których powinniśmy obowiązkowo kochać, a na dodatek utrzymywać z nimi kontakty, nawet jeśli nic nas z nimi nie łączy i gdy się nie lubimy.

Nigdy wcześniej pojęcie rodziny nie było mi tak bardzo obce jak tamtego dnia, gdy w kawiarni w Houston piłem kawę i nagle ujrzałem przed sobą mojego brata. Domyśliłem się, że to on, bo był kopią naszego ojca. Nie mogłem się powstrzymać i spojrzałem na Simona, który stał za kontuarem pochłonięty pracą. W ogóle nie był podobny do człowieka, który był moim ojcem. Tony też go nie przypominał. Oba na pewno odziedziczyli wygląd po swojej matce. Dopiliśmy kawę i spojrzałem Vincentowi prosto w oczy.

Zagadka została rozwiązana. Żaden z nas nie odezwał się słowem, ale moje zmysły nigdy wcześniej nie pochłaniały bodźców docierających z otoczenia tak chciwie jak w tym momencie. Rejestrowały każdy kolor, dźwięk, zapach i inne szczegóły. Wszystko, co do mnie trafiało, chłonałem i zapamiętywałem. Kątem oka zauważyłem, że Simon zastygł w pół ruchu i obserwuje mnie i Vincenta.

– Vincent, co się dzieje? – spytał.

Nikt inny niczego nie zauważył. Klienci nadal składali zamówienia, personel dalej ich obsługiwał. Tylko my trzej zareagowaliśmy: Simon, Vincent i ja.

– Vincent? – powtórzył Simon.

Widać było wyraźnie, że to on jest młodszym, mniej pewnym siebie bratem, który nie wie, jak poradzić sobie z trudnościami, które napotkał na swej drodze, i dlatego za każdym razem musi się zwracać o radę do starszego brata.

– Wszystko w porządku – odparł Vincent. – Sam to załatwię.

Vincent ani przez chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Okej – powiedział Simon, który nie bardzo wiedział, jak się zachować.

– Ale nie tutaj – dodał Vincent, kierując te słowa do mnie.

Siedziałem nieruchomo na krześle wsparty łokciami o stół, z kubkiem kawy w ręce.

Powinienem się przestraszyć, ale górę nad strachem i nad innymi uczuciami wzięło zdumienie. Każde słowo wypowiedziane przez Simona w czasie naszej wcześniejszej rozmowy nabrało nagle sensu.

Ich rodzina nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Co ciekawe, ja też tego nie chcę. Pewnie z tej prostej przyczyny, że wkrótce umrę. Nie wiedziałem tylko, jak do tego dojdzie.

Kiedy jeszcze mieszkalem w Teksasie, kilka razy spotkałem się z moim ojcem. Nigdy nie zaprosił mnie do swojego domu. Dlatego sam, z własnej inicjatywy, dowiedziałem się, gdzie mieszka, i pojechałem tam. Kilka razy przechodziłem obok jego domu i widziałem, jak wchodzi i wychodzi z niego poszczególni członkowie rodziny – porywczą kobietą i młodzi mężczyźni w moim wieku. Trzeba przyznać, że ojciec nieźle się sprawił. W ciągu pięciu lat spłodził czterech synów z dwiema kobietami. Jego nowa rodzina istniała już wtedy, gdy moja mama wyjeżdżała z Ameryki. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero później. Podczas naszych nielicznych spotkań ojciec dawał mi do zrozumienia, że jego nowa wybranka zna i mnie, i Marianne. Jedynym powodem, dla którego zdecydowała się na związek z nim, była obietnica, jaką jej złożył. Powiedział mianowicie, że już wkrótce oboje znikniemy z jego życia. Jak wiadomo, tak się właśnie stało.

– Nic o was nie wiedziałem – powiedziałem do Vincenta. – Nie wiedziałem, że Tony był moim bratem.

Nadal nie docierał do mnie sens tego faktu. Za co oni mnie obwiniają? Co złego zrobiłem mojemu bratu? Dlaczego nie chcą mi tego wybaczyć? Przecież to Vincent, jego bracia i matka wyciągnęli szczęśliwy los. Mój ojciec porzucił nas, nie ich.

– Powiedziałem: nie tutaj – odparł Vincent. – Mieliliśmy się spotkać później. Nie mogłeś się powstrzymać?

Postanowiłem nie odpowiadać na to pytanie. Domyślałem się, że Vincent jest uzbrojony, ale byłem pewien, że nie odstrzelił mi głowy w obecności tylu ludzi.

– Chodźmy stąd – rzucił w moją stronę i dał mi znać skinieniem, że bym za nim poszedł.

Powoli podniosłem się z krzesła. Kawa została na stoliku.

– Dokąd? – spytałem.

– Na zewnątrz.

Vincent puścił mnie przodem. Chodnik przed kawiarnią tonął w cieniu. Stanęliśmy w pewnej odległości od siebie. Niezbyt daleko, ale i niezbyt blisko. Gdybym wyciągnął rękę, mógłbym go prawie dotknąć.

– Jest siódma – powiedział Vincent. – Proponuję, żebyś zjadł coś smacznego i spotkamy się o dziewiątej, tak jak się umówiliśmy.

– Nie – odparłem. Nie spodobały mi się jego słowa o tym, że bym „zjadł coś smacznego”. Zabrzmiało to jak propozycja ostatniego w życiu posiłku.

Vincent błysnął oczami w moją stronę.

– Czy ty naprawdę jesteś taki głupi? Wydaje ci się, że masz tu jeszcze coś do powiedzenia? Na tak postawione pytanie mogłem odpowiedzieć na różne sposoby.

– Wygląda na to, że jestem – odparłem.

Vincent zachnął się z pogardą.

– No to chyba miałeś nieudaną matkę. Widzę, że nie masz za grosz szacunku dla własnej rodziny.

Uznałem, że w tym momencie Vincent przekroczył pewną granicę. To, że Marianne była złą matką, to jedna rzecz. Ale komentarze osób postronnych to druga. I gdyby nie niepokój, jaki wzbudziło we mnie drugie wypowiedziane przez niego zdanie, pewnie bym go zaatakował. Na szczęście opanowałem nerwy i postanowiłem zachowywać się racjonalnie. Kogo miał na myśli, mówiąc o mojej rodzinie? Chyba nie siebie i Simona? Jeśli nie ich, to na pewno chodziło mu o Lucy i Belle. Czyżby nam groził? Takto przy najmniej zabrzmiało.

– Jesteś ostatnią osobą, która może mi prawić morały o szacunku – odparłem.

– Porozmawiamy o tym później. O dziewiątej. Tam, gdzie odbył się pogrzeb pastora Parsona. Zgodnie z planem.

– Powiedziałem: nie.

– W takim razie Lucy i Belle będą musiały umrzeć. Wybieraj sam.

Teraz byłem już pewien. Zniknęły ostatnie wątpliwości. Tak, to Vincent był Lucyferem. Zwykłym Amerykaninem, przedstawicielem klasy średniej, szanowanym policjantem, który wyglądał jak przeciętny obywatel tego kraju. Przede wszystkim jednak był moim bratem.

– Naprawdę mógłbyś zabić swoją bratanicę? Ty bydlaku, kim ty jesteś, żeby mi mówić o szacunku do rodziny?

– Z tego co mi wiadomo, Belle nie jest moją bratanicą, tylko córką twojej siostry. To znaczy, że na pewno nie jestem z nią spokrewniony. Mam rację?

– Zależy, jak definiujesz pojęcie więzi rodzinnych – odparłem, czując, jak powoli opuszcza mnie odwaga. – Belle jest moją córką od czasu, gdy była niemowlęciem. Nie ma żadnych innych rodziców oprócz mnie.

Vincent roześmiał się głośno.

– Biedne dziecko – powiedział, ale od razu zmienił ton na poważny. – Spotkamy się o dziewiątej. Postaraj się nie spóźnić.

Po tych słowach odwrócił się, żeby odejść.

– Powiedziałem: nie – odparłem podniesionym głosem.

Kilku przechodniów spojrzało na nas. Vincent zatrzymał się w pół kroku i powoli odwrócił się w moją stronę.

– Nie byłbyś taki oporny, gdybyś nie był pewien, że Belle i Lucy są bezpieczne – stwierdził. – W takim razie ułatwię ci decyzję i powiem, że wiem, gdzie są. Mogę je kazać zabić w ciągu, powiedzmy, dziesięciu minut.

– Kłamiesz.

– Mówię prawdę.

Vincent wyjął telefon i zadzwonił do kogoś, kto od razu odebrał.

– Gdzie jesteście? – spytał.

Żołądek skurczył mi się ze strachu.

– Już na miejscu? Rozumiem, całkiem słusznie. Jesteście w...? Jak ona się nazywa? Rozumiem, świetnie. Madeleine Rossander. Belle jest ubrana w różową kurtkę i śpi. Lucy wynosi ją z samochodu.

Ziemia usunęła mi się spod stóp. Upadłem. Vincent przyglądał mi się z zaciekawieniem. Zakończył rozmowę i włożył telefon do kieszeni.

– Wiesz co? Najlepiej zadzwoń i ostrzeż ich. To superuczucie wiedzieć, jak ludzie próbują uciekać w ciemnościach.

Nie odpowiedziałem. W Szwecji była noc. Wyobraziłem sobie, jak Lucy wynosi Belle z samochodu, wyjmując z torebki klucze i wchodzi do domku Madeleine. Za nią idą nasi prześladowcy. Niech to szlag!

Vincent przekrzywił głowę.

– Rozumiem, że jednak spotkamy się o dziewiątej?

Skinąłem głową. Czuję się pobity i pokonany, bez szans na ratunek.

– Nie skrzywdzisz Belle i Lucy, prawda? Chodzi ci tylko o mnie?

– Oczywiście.

Wszystko stało się jasne. Ja zginę, ale Belle i Lucy nie spotka żadna krzywda. Byłem oszołomiony tą sytuacją. Oczywiście.

Vincent był chyba naprawdę zdziwiony, że go o to spytałem. Jak gdyby nie mógł uwierzyć, że mogę go podejrzewać, że chce mnie oszukać. To chyba prawda, że każdy łajdak ma w sobie coś z dżentelmena.

Zanim się rozstaliśmy, jeszcze raz zwrócił się do mnie:

– Niech ci tylko nie przyjdzie do głowy do kogoś dzwonić, na przykład do twojego przyjaciela Didrika.

Akurat tego nie musiał się obawiać.

– Oczywiście, że nie – odparłem.

– Zwłaszcza do Didrika – dodał Vincent. – Z niego nie będziesz już miał żadnego pożytku.

Zdążyłem to zauważyć.

– Dziękuję, już o tym wiem.

– Naprawdę wiedziałeś? – spytał Vincent, obrzucając mnie chmurnym spojrzeniem.

– O czym?

– Że Didrik nie żyje?

Nie wiedziałem, jak zareagować. Śmierć była wszędzie. Zrozumiałem, że kiedy jechałem ze Sztokholmu do Malmö, ktoś musiał mnie śledzić. Vincent musiał się dowiedzieć, że ja i Didrik zrobiliśmy go w konia.

Vincent – Lucyfer. Lucyfer – mój przyrodni brat.

– Zginął w wypadku samochodowym.

– Naprawdę?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Człowieka można zamordować na wiele sposobów.

– Wiadomość o jego śmierci sprawiła mi ból. Zasłużył na lepszy los.

– A więc to nie ty go zabiłeś?

Pytanie padło samo z siebie. Nie mogłem go już cofnąć.

– Oczywiście, że nie. Z Didrikiem wiązałem inne plany. I on, i Rebecca zginęli na miejscu.

Przykra sprawa. Rozumiem, że chociaż tak bardzo cię skrzywdził, ty mu ufałeś?

– Ufałem albo i nie ufałem... Ja...

– Pewnie myślałeś, że zawarlicie umowę? Niestety, Didrik nie radził sobie z presją. Zrozumiał, że wcześniej albo później o wszystkim się dowiem, więc zadzwonił do mnie i opowiedział mi, że u niego byłeś i wiesz o Mio. Smutne, prawda?

Tak, to odpowiednie słowo.

Vincent włożył okulary przeciwsłoneczne i strzepnął z marynarki niewidzialny pyłek Widać było, że chce już odejść. Musiałem mu jednak zadać jeszcze jedno pytanie.

– A Mio? Co się z nim stało?

Vincent wbił wzrok w jakiś odległy punkt i odparł:

– To odwieczne pytanie: co się stało z Mio?

Potem odwrócił się i odszedł.

Kiedy wsiadłem do samochodu i ruszyłem w stronę pola naftowego, zaczęło się ściemniać. Po rozmowie z Vincentem pojechałem do hotelu i spędziłem pół godziny w pokoju. Położyłem się na łóżku i po prostu leżałem. Nie miałem kogo poprosić o pomoc. Przez moment zastanawiałem się, czy nie zwrócić się do Taylora, ale nie miałem odwagi sprzeciwić się rozkazom Vincenta. Gdybym to zrobił, Lucy i Belle musiałyby umrzeć, a ja przez kilka ostatnich godzin na tym świecie żyłbym ze świadomością, że je zabiłem.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Lucy, żeby się po prostu pożegnać i za wszystko jej podziękować. Przed śmiercią chciałem jeszcze usłyszeć jej głos. Przecież każdy skazaniec ma prawo do ostatniego życzenia! Doszedłem jednak do wniosku, że to niemądry pomysł. Prawdopodobieństwo tego, że kiedy do niej zadzwonię i powiem, że zbliża się moment mojej egzekucji, a ona nie zareaguje w sposób, który może ją kosztować życie, było zerowe.

Strach to najgorsza rzecz na świecie. Większość ludzi używa tego słowa w niewłaściwym znaczeniu. Strach posiada moc, którą można porównać z siłą potężnych mas wody wypłyających z pękniętej tamy. Nie da jej się ani zatrzymać, ani ujarzmić. Żaden normalny człowiek, który wie, że wkrótce umrze, nie podchodzi do tego ze spokojem. Ja zawsze kochałem życie. Nawet gdy wszystko się waliło – na przykład w pierwszym roku po śmierci mojej siostry, gdy dość szybko, choć bez większego entuzjizmu, zostałem ojcem – moja chęć do życia pozostała niewzruszona. Zawsze istniała, bo nigdy nie traktowałem śmierci jako sposobu na rozwiązanie problemów, z którymi miałem do czynienia. Dlatego strach, który ogarnął mnie po rozstaniu z Vincentem, nie przypominał żadnego innego strachu, z jakim miałem do czynienia wcześniej. Do momentu gdy stanęliśmy naprzeciwko siebie, przez cały czas wierzyłem, że uda mi się wydostać z kłopotów. Miałem nadzieję, że jakimś sposobem wszystko odkręcę. Teraz wiedziałem, że to niemożliwe.

Nie było drogi odwrotu.

Nie było też drogi do przodu.

Kiedy wsiadałem do samochodu, wstrząsały mną dreszcze. Potrzebowałem kilku minut, żeby

się uspokoić, włączyć silnik i ruszyć. Wiem, że wtedy płakałem i że mi to w niczym nie przeszkadzało. Ludziom, którzy wiedzą, że za chwilę umrą, wszystko wolno.

Pół godziny później zadzwonił telefon. Ten najstarszy. Zerknąłem na wyświetlacz, wiedząc, że jeśli choć na chwilę spuszczę wzrok z drogi, zginę w wypadku i będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię w ży ciu.

Dzwoniła Marianne – kobieta, która mnie urodziła i której nie chciałem nazywać mamą. Spośród wszystkich osób, które mogłyby do mnie zadzwonić, akurat z nią miałem najmniejszą ochotę porozmawiać. Nie dlatego jednak, że nie miałbym jej nic do powiedzenia, ty lko z zupełnie innej przyczyny. Mamy za sobą zbyt wiele niewyjaśnionych konfliktów, aby dyskutować o nich podczas ostatniej rozmowy telefonicznej. Mógłbym jej poświęcić najwyżej kilka minut. Co moglibyśmy sobie wyjaśnić w tak krótkim czasie, aby pozbyć się zaszłości, które stworzyły między nami taką barierę?

Odrzuciłem połączenie. Gdybym jednak miał wymienić rzecz, której w moim ży ciu żałuję najbardziej, byłoby nią właśnie to, co zrobiłem wtedy w samochodzie, w drodze na śmierć: że nie chciałem porozmawiać z własną matką.

Niewielu ludzi wie, kiedy umrze. Niewielu wie też dlaczego. Chciałem być wyjątkiem od tej reguły, dowiedzieć się, dlaczego nie zasłużyłem na prawo do dalszego życia.

Po raz drugi tego dnia zjechałem z autostrady, aby kontynuować jazdę drogą lokalną, a potem szutrową. Ta druga biegła prosto jak strzała prawie do dawnego pola naftowego, które nie było eksploatowane od wielu lat. Na samym końcu znajdował się zakręt, przy którym czekał na mnie komitet powitalny: pięciu mężczyzn i kobieta. Za nimi stały dwa samochody z włączonymi reflektorami, które oświetlały teren. Vincent, mój niedawno odzyskany brat, siedział na masce jednego z nich. Biła od niego arogancja, jakiej można się spodziewać od kogoś w takiej sytuacji.

Jeden z mężczyzn dał mi znak, żebym zaparkował kawałek dalej. Zrobiłem, jak kazał, i wysiadłem z wozu. Nie od razu, bo po wyłączeniu silnika przesiedziałem za kierownicą przynajmniej minutę. Dopiero wtedy otworzyłem drzwi i wysiadłem. Chwilę wcześniej wysłałem do Lucy esemesa. Był krótki, ale za to najważniejszy w moim ży ciu.

Zależało mi na tym, żeby umrzeć z godnością. Chciałem być takim twardzielem jak bohaterowie filmów, którzy idą na śmierć. Wyprostowany, z uśmiechem na ustach, gotów do zuchwałej odpowiedzi na każde pytanie, z kilkoma spluwami ukrytymi pod marynarką. Zastanawiałem się, czy nie wziąć z sobą broni, ale uznałem, że to zły pomysł. Jestem kiepskim strzelcem, a od czasu gdy przez pomyłkę zabiłem człowieka, nie oddałem ani jednego strzału. Poza tym w sytuacji, w jakiej się znalazłem, broń do niczego by mi się nie przydała. Doszedłem więc do wniosku, że najlepiej będzie stawić się na wyznaczonym miejscu tak, jak stałem: sam, bez broni.

Kiedy szedłem w stronę czekających na mnie ludzi, pot ściekał mi po plecach. Oprócz Vincenta nikogo innego nie znałem. Skinał mi głowę i zsunął się z maski. Po lewej stronie zauważyłem głęboki dół wykopany w twardej ziemi. Obok leżał szpadel.

– Super, że możemy się spotkać w tak niespodziewanych okolicznościach – powiedział tonem, z którego przebijała prawdziwa wdzięczność.

Od razu przypomniał mi się mój ostatni pobyt w Teksasie. Ja i Lucy spotkaliśmy się w Galveston z koleżanką Sary Teksas, która nam wyjawiała, że Lucyfer ma jakieś powiązania ze Szwecją. Długo się wtedy nad tym zastanawiałem. Teraz już wiem, że chodziło o jego szwedzkiego brata, którego nienawidził tak bardzo, że postanowił go zabić.

Nie chciałem uczestniczyć w tym teatrze. Byłem zły, śmiertelnie przerażony i chciałem się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Prosiłeś mnie, żebym odnalazł Mio, chociaż wiedziałeś, że jest u Didrika – zaczęłam.

Vincent podszedł bliżej.

– Nie przy pominięciu sobie, żebym kiedykolwiek cię o coś prosił – odparł.

– Nie osobiście, ktoś zrobił to w twoim imieniu.

– Mam różne sposoby komunikowania się z ludźmi.

– Mam to gdzieś. Zastanawiam się tylko, jaką odniosłeś korzyść z tego, że szukałem dziecka, które wcale nie zaginęło. Zależało ci na tym, żeby zainteresowała się mną policja?

– Dobrze się domyślasz. Po tym, jak kazałem uprowadzić Belle, i po tym, co się później wydarzyło, bałem się, że policja uwierzy w twoje brednie, że padłeś ofiarą spisku. Gdyby tak się stało, Didrik nie mógłby wpływać na swoich kumpli z policji. Zleciłem ci więc zadanie, które miało polegać na tym, że nadal będziesz się kontaktował z wieloma ludźmi, których – jak podejrzewałem – Didrik miał na oku, co mogło wpędzić go w stres.

– Chodziło więc o to, żeby ginęli ludzie, bo wtedy policja mogłaby mnie oskarżyć o kolejne zabójstwa?

Poczułem, że zbyt gwałtownie oddycham. Wzrok też mi się jakoś pogorszył – kontury były zamazane i jakieś drobne błyski zakłócały mi pole widzenia. Bolała mnie głowa, usta miałem suchnięte.

– Musisz zrozumieć, że dzięki temu wiele zyskałem – wyjaśnił Vincent. – Nie chcę być brutalny, ale ci ludzie i tak by zeszedli z tego świata, wcześniej czy później. Jestem jednak pod wrażeniem tego, co Didrik zrobił, żeby chronić swoją rodzinę. Powiem szczerze: czapki z głów. Rebecca też była niezła, ale to on zachował się jak prawdziwy bohater. Z korzyścią dla mnie, bo dzięki temu zdobyłem na niego mnóstwo haków. Aż tyłu nie potrzebowałem, ale musiałem coś mieć, żeby się nie stawiał, gdy przyjdę po Mio.

Didrik.. Co Lucyfer by zrobił bez jego pomocy i desperackich poczynań?

– To znaczy, że wcale nie zamierzałeś oddać mu chłopca na zawsze?

– Oszalałeś? Nigdy w życiu. Niestety Didrik był taki jak ty. Nie rozumiał, czym jest rodzina.

– Przed chwilą sam go chwaliłeś za miłość, którą rzekomo okazywał swoim.

– Swoim tak, ale całkowicie błędnie oceniał mój stosunek do mojego syna. Jedyne, jakiego mam. Zabiję każdego, kto spróbuje mi go odebrać.

Cisnęły mi się na usta setki komentarzy, ale dałem sobie spokój. Gdyby Vincent rzeczywiście odczuwał choć odrobinę miłości do swojego syna, nie pozbawiłby go matki.

Vincent nabrał powietrza i rozejrzał się wokół siebie. Jeden z jego ludzi splunął na piasek, inny podniósł szpadel leżący na ziemi.

– Wiele lat temu postanowiłem, że za to, co się stało, poniesiesz karę, na którą zasłużyłeś – zaczął Vincent. – Ale nawet w najśmielszych fantazjach nie wyobrażałem sobie, że stanie się to dzięki Sarze, która już po swojej śmierci wkręci cię w tę sprawę, a tym samym doprowadzi do sytuacji, gdy ja będę mógł pociągnąć cię do odpowiedzialności. Jest jednak pewien szczegół,

kóry nie daje mi spokoju: to wszystko kosztowało mnie zbyt mało wysiłku. Całe to gówno, w którym toniesz od tygodni, jest wynikiem działań, których pierwotnym celem było ukaranie Sary, a nie ciebie. Operacja Sara dobiegła końca dawno temu, bo osiągnęła swój cel. I nagle zjawili się ty. Żałuję, że wysiłek poniesiony w twojej sprawie był taki niewielki. No ale nie można zapomnieć, że to dzięki Sarze i Didrikowi udało mi się zamienić twoje życie w piekło. Gdyby nie oni, moja zemsta wyglądałaby zupełnie inaczej.

Zamrugalem. Mój wzrok nie funkcjonował jak należy, a słowa, które wypowiadał Vincent, docierały do mnie z trudem. Znikły wszelkie niuanse, został tylko suchy przekaz. Nic, co mi się przytrafiło w ciągu ostatnich tygodni, nie dotyczyło mnie osobiście. Zostałem w to po prostu wciągnięty. Dla Vincenta był to wymarzony układ.

– Dlaczego kazałeś mi szukać człowieka, który próbował posłać mnie za kraty za dwa zabójstwa? Rozumiem, o co ci chodziło z poszukiwaniem Mio, ale to drugie jest dla mnie niejasne.

Vincent przekrzywił głowę.

– Co widzisz, kiedy myślisz o Didriku? – spytał.

Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie, więc Vincent zrobił to za mnie:

– Widzisz na wskroś uczciwego człowieka, który nigdy nie popełnia błędów i zawsze działa zgodnie z prawem. Kiedy się więc przyznał do zamordowania Jenny i Bobby’ego, nie uwierzyłem mu, bo istniało ryzyko, że sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż mi się wydawało z perspektywy Teksasu. Musiałem się upewnić. Teraz to już nieważne. Jesteś tutaj i zostaniesz ukarany. Tylko to się liczy.

Tylko to się liczy. Bardziej niż to, że Mio zginął? Postanowiłem zyskać na czasie.

– Czy Sara wiedziała, że ty i ja mieliśmy wspólnego ojca?

W powinienem był sformułować to pytanie w inny sposób. Na przykład spytać go, czy Sara wiedziała, że jesteśmy braćmi. Ale „braćia” to zbyt mocne słowo.

– Wiedziała, że coś mnie łączy ze Szwecją i że cię nienawidzę – odparł Vincent. – Niepotrzebnie jej o tym powiedziałem, to było głupie, ale jestem tylko człowiekiem. Jeśli ktoś nienawidzi innego człowieka tak mocno jak ja ciebie, to ryzykuje, że kiedyś nieopatrznie się z tym zdradzi.

Nienawiść. Żarliwa, gorąca nienawiść. Muszę się dowiedzieć, o co w tym chodzi, zanim będzie po wszystkim.

– Dlaczego? – spytałem. Prawie wydyshałem to słowo i zabrzmiało jak szept.

Poczułem klucie w lewym ramieniu. Próbowałem nim poruszyć, ale ból nie ustępował.

– Bo zdradziłeś!

W tych dwóch słowach kryła się taka siła, jak gdyby Vincent uderzył mnie pięścią w twarz. Instynktownie się cofnąłem.

– Nikogo nie zdradziłem. Masz na myśli Tony’ego? Nie miałem pojęcia, że jest moim bratem.

– Myślisz, że w to uwierzę?! Albo w to, że do Teksasu wróciłeś przypadkowo?! Że przypadkowo zostałeś policjantem i jeździłeś na patrolu z własnym bratem?!

Vincent krzyczał na mnie tak głośno, że o mało nie ogłuchłem. Chciałem trzymać go na dystans, więc zasłoniłem głowę rękami, ale zaraz je opuściłem. Ból przeniósł się z lewego ramienia na całą rękę.

– Oczywiście, że to nie był przypadek – odparłem. – Przyjechałem do Teksasu, żeby spotkać

się z ojcem, spędzić z nim trochę czasu, a może nawet poznać was. Wiedziałem, że jesteście w tym samym wieku, co ja. I wiesz, co ci powiem? Ojciec odmówił. Nie chciał, żebym się z wami spotkał. Nawet nie zaprosił mnie do domu. Sam musiałem szukać waszego adresu. Skąd mogłem wiedzieć, że Tony jest moim bratem? Przecież ani ty, ani on nie nosicie nazwiska po ojcu.

Po tak długim wyjaśnieniu byłem tak wyczerpany, że musiałem nabrać powietrza.

– To prawda, mamy nazwisko po mamie.

– Widzę, że wybrałaś wspaniały sposób na okazanie ojcu szacunku – powiedziałem przez zacisnięte szczęki. – Stałaś na czele gangu, który handluje kobietami, prochami i seryjnie morduje ludzi. Myślisz, że ojciec jest z ciebie dumny?

Nie wiem, skąd wzięłem tyle siły, żeby mówić do niego podniesionym głosem. Świat zawirował mi przed oczami, padłem na kolana. W tym samym momencie Vincent kopnął mnie w głowę. Osunąłem się na piasek i zostałem w tej pozycji. Vincent stanął nade mną na rozkraczonych nogach.

– Nie opowiadaj mi tu o dumie ojca – odparł. – Bez mojej pomocy mama i Simon popadliby po jego śmierci w kłopoty. Pewnie nie wiesz, że popełnił samobójstwo?

Rzeczywiście, nie wiedziałem. Dotarła do mnie tylko informacja o jego śmierci.

– Ojciec był słabym człowiekiem – kontynuował Vincent. – Tak jak Tony. Niewiele mogliśmy na to poradzić. Robiliśmy, co tylko się dało. Ty też powinieneś być tak postąpić. Przez cały czas wiedzieliśmy, kim jesteś. Wiemy też, że ty wiedziałeś o nas.

Powoli pokręciłem głową. Czulem, że odlatuję.

– To nieprawda – szepnąłem. – Przecież Tony był o rok młodszy ode mnie. Nigdy bym nie przypuszczał...

– Nie kłam!

Kolejne kłopoty, tym razem w pachwinę.

– Nie kłam! Ojciec powiedział, że ci o nas mówił! Tony cię lubił. Przekonywał nas, że powinniśmy dać ci więcej czasu, a wtedy się do nas przyznasz. Ale ty tego nie zrobisz. Nawet po tym, jak Tony pomógł ci zakopać tamtego nastolatka. Trzeba być naprawdę podłym człowiekiem, żeby się tak zachować.

Pomyślałem, że Vincent znowu mnie kopnie albo uderzy, ale tym razem mi darował.

– Po tym, co się wydarzyło, Tony nie był w stanie dalej z tobą pracować. Poprosił o przeniesienie, ale nadal miał nadzieję. I nagle ty zrobiłeś coś, czego żaden z nas nie mógł zrozumieć: wyjechałeś ze Stanów. Zrezygnowałeś z pracy i znikłeś. Ty tchórzu! Po tym, co zrobiłeś, ojciec zaczął pić. Kiedy zginął Tony, sprawy się skomplikowały. Ojciec się załamał i nigdy się z tego nie podniósł. Kapujesz, co zrobiłeś? Zniszczyłeś naszą rodzinę!

Rozumiałem, co mówi Vincent, ale treść jego słów nie docierała do mnie. Nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć. Mój ojciec na pewno ich okłamał. Pewnie im powiedział, że to przeze mnie wszystko poszło źle. Ty lko ja i Marianne znaliśmy całą prawdę.

– Twój ojciec sam zniszczył waszą rodzinę, nie ja – odparłem.

– Nasz ojciec! – ryknął Vincent. – Nasz, nie mój!

Chciało mi się krzyżeć – z bólu, z chęci sprzeciwu. Miałem ochotę powiedzieć, że nie mam ojca, do którego chciałbym się przyznać, i że nikt mnie do tego nie zmusi. Wolałem się jednak nie odzywać.

– Po jego śmierci wszystko spadło na mnie – kontynuował Vincent. – Zrobiliśmy to dla mamy i dla Simona... Simon to cholernie dobry chłopak, ale nie wszystko ogarnia. Prowadzi swoje kawiarnie, nic więcej nie potrafi. Do dzisiaj nie wie, co się tu kiedyś wydarzyło. Od razu by to rozgadał. Nie dlatego, że by tak chciał, tylko nie wytrzymałby presji. Możesz mną pogardzać za to, kłam się stałem, ale to mnie udało się coś, co nie udało się tobie: stałem się odporny na kolejne nieszczęścia. Rozumiesz, co mam na myśli? Nikomu nie pozwolę skrzywdzić ani mnie, ani tych, których kocham.

„Ale własnego syna straciłeś”, pomyślałem. Gdyby tylko Sara wiedziała, na co się porywa... Najbardziej niebezpieczni są ludzie, którzy działają z osobistych zbrodniczych pobudek. Ich problem polega na tym, że są niezdolni do kompromisów. To dlatego leżałem na tym piasku, a obok czaiła się śmierć. Ciekaw byłem, w jaki sposób umrę. Lewe ramię całkowicie mi zdrętwiało. Byłem pewien, że to zawał serca. Kolejny słaby brat w rodzinie. Niestety, tym razem Vincent nie będzie miał litości. Byłem tego pewien.

Wolnym ruchem Vincent wyjął z kabury ukrytej pod marynarką pistolet. Moja marynarka została w hotelu. Najlepiej czuję się w samej koszuli.

– Czy wiesz, jak zginął Tony? – spytał Vincent.

Nie odpowiedziałem. Taylor wspomniał, że Tony został zastrzelony na służbie.

– W raporcie napisali, że zginął na służbie, bo został zaskoczony. Policja nie ustaliła sprawy. Wiesz dlaczego?

Próbowałem pokręcić głową.

– Nie – szepnąłem.

– Bo sprawca zginął z mojej ręki. Simon o tym nie wie, mama też nie. Sprawiedliwości stało się zadość. A wiesz, co ten gnojek mi powiedział, zanim go zastrzeliłem? Zgadnij.

Mój mózg przestał funkcjonować. Nie miałem ochoty na zgadywanki. Vincent podszedł do mnie tak blisko, że widziałem zmarszczki wokół jego oczu.

– Powiedział mi, że jest bratem chłopaka, którego zabiłeś, a potem tutaj zakopałeś.

Zamrugalem. To niemożliwe. Nie mogłem w to uwierzyć.

– Widzę, że jesteś zdziwiony? Mnie też to zdziwiło, bo kiedy Tony opowiadała mi o tamtej strzelaninie, zapewniał, że nikt inny jej nie widział. Fatalnie się stało, że tak to zaniedbaliście. Brat zabitego siedział wtedy w jednym z niezliczonych warsztatów samochodowych i wszystko widział. Miał czternaście lat. Chyba sobie wyobrażasz, co taki widok robi z człowieka?

Poczułem dławienie w gardle, zrobiło mi się czarno przed oczami. Nie wierzyłem. To nie mogła być prawda.

– Chłopak dorósł i chciał się zemścić, ale ciebie już nie było – kontynuował Vincent. Ciężko oddychał. – Został Tony i to on za wszystko zapłacił. Kapujesz? Nie wystarczyło ci, że unieszczęśliwiłeś swojego brata. Ty go zabiłeś!

„I dlatego muszę umrzeć”, pomyślałem. Jak bohater starotestamentowej tragedii, który ginie w porachunkach między dwójką braci.

Niebo było granatowe, księżyc w kwadrze. Zastanawiałem się, co w tej chwili robią Lucy i Belle. Czy Vincent pozwoli im żyć? Chyba tak. Musiałem w to uwierzyć.

– Przepraszam – szepnąłem. – Ale to nie była moja wina.

Z trudem wyrzuciłem z siebie te słowa. Ból w klatce piersiowej był tak potężny, że o niczym innym nie byłem w stanie myśleć. Uświadomiłem sobie całą ironię losu: umrę, nie

dowiedziawszy się, gdzie jest Mio. Chłopiec zjawa, którego nikt nie umiał odnaleźć.

– To ty byłeś wszystkim u winien – odparł Vincent i przyłożył mi lufę pistoletu do czoła.

– Nie skrzywdzisz Belle ani Lucy? – szepnąłem.

– Oczywiście, że nie. Ty mi wystarczy sz.

W tym samym momencie rozległ się strzał, a po nim następny. Po chwili usłyszałem ich tyle, że nie mogłem ich zliczyć. Wszędzie słychać było krzyki i nagle wokół nas zaroilo się od ludzi. Z dala dobiegł mnie odgłos policyjnych syren, nadleciał helikopter. Kiedy wylądował, straciłem przytomność.

Już po wszystkim

Pierwszy strzał padł z rewolweru szeryfa Estebana Stillera. Kula trafiła Vincenta w tył głowy. Mój brat zginął na miejscu. Nie wiem, kto jeszcze został zabity. Między ludźmi Lucyfera a policjantami doszło do gwałtownej strzelaniny. Nie mam pojęcia, w jaki sposób taka armia ludzi zdołała się tam ukryć. Później dowiedziałem się, że kiedy pierwszy raz jechałem na dawne pole naftowe, byłem śledzony. Pewnie po moim odjeździe policjanci zostali na miejscu.

– Instynkt mi podpowiedział – przyznał Stiller, gdy później o tym rozmawialiśmy. – Podejrzałem, że pojechał pan tam po to, żeby się rozejrzeć przed spotkaniem. Jak widać, miałem rację.

Instynkt Stillera doprowadził go jeszcze dalej. Vincenta obserwował od wielu lat. Podejrzał go, że pracuje dla gangu Lucyfera. Nie wiedział, że jesteśmy braćmi i że to Vincent jest Lucyferem. Kiedy jednak w rozstrzygającym momencie znalazł się na miejscu, taka wiedza nie była mu już potrzebna.

– Kiedy zobaczyłem, że chce pana zabić, uznałem, że należy działać – powiedział Stiller.

Zapomniał jednak dodać, że prawdziwym bohaterem jest Josh Taylor. To on zadzwonił do Stillera i doradził mu, żeby mnie obserwować, bo jeśli dopisze mu szczęście, być może doprowadzę go do Lucyfera. Stiller wiedział, że wjechałem do kraju, ale nie podjął żadnych działań. Zrobił to dopiero, gdy skontaktował się z nim Taylor. Jednocześnie Taylor ostrzegł mnie, że będę miał na karku połowę policjantów z Teksasu.

– Zrobiłem to po to, żebyś nie wpadł na jakiś głupi pomysł i nie został przestępcą. Stiller przez cały czas cię o to podejrzewał – wyjaśnił mi później.

Lekarze powiedzieli, że przez dwanaście minut byłem martwy, a potem przez trzy tygodnie

leżałem w śpiączce. Tyle samo czasu potrzebowała Lucy, żeby przekonać amerykańską policję, że jestem ofiarą, a nie przestępcą działającym na terenie Szwecji i Stanów. Amerykanie zajęli się nagraniem z garażu. Udało im się wyostrzyć obraz do tego stopnia, że od razu stało się jasne, że osobą, która przywozła zwłoki Kroma i włożyła je do bagażnika mojego samochodu, był Didrik Stihl. Kobiety nie udało się zidentyfikować, ale dla mnie nie miało to znaczenia. Nagranie było dowodem na to, że to ona pomagała Didrikowi, nie ja. Lucy zdołała też udowodnić, że kobieta, która zeznała, że Jenny została potrącona przez porsche, kłamała z polecenia Didrika. Kiedy o tym wszystkim usłyszałem, wiele szczegółów stało się dla mnie jasnych.

Dla policji jednak rozstrzygający był esemes, który wysłałem do Lucy: „Lucyferem jest mój brat”. Właśnie tak napisałem. W ten sposób historia zatoczyła koło. Niestety, sprawą zainteresowały się media. Wcześniej żaden dziennikarz o niej nie wiedział, ponieważ nie było przecieków. Po strzelaninie w Teksasie sprawy nie dało się już dłużej utrzymać w tajemnicy. Po śmierci Vincenta jego gang się rozpadł. Część jego ludzi zapadła się pod ziemię, inni dobrowolnie zgłosili się na policję i w zamian za krótszą odsiadkę poszli na współpracę. O sprawie rozpisywały się gazety w wielu krajach. Przez trzy tygodnie, gdy leżałem w śpiączce, w prasie opublikowano setki artykułów. Jedynym szczegółem, który Stillerowi udało się zataić, było moje imię i nazwisko. Zrobił to pod pretekstem, że ujawnienie moich danych może stanowić dla mnie zagrożenie. Media nazwały mnie więc Człowiekiem w Śpiączce. W tym samym dniu, w którym odzyskałem przytomność, islamscy terroryści ostrzelali ambasadę amerykańską w Jordanii. W obliczu takiej tragedii moja historia spadła natychmiast z czołówek gazet. Tak oto nie stałem się światowej sławy celebrytą, co przepowiadała mi Lucy.

Człowiek w Śpiączce. Kiedy Lucy po raz pierwszy usłyszała to określenie, rozplakała się. Później, kiedy wybudziłem się ze śpiączki i było już pewne, że nie zamienię się w warzywo, mój nowy pseudonim doprowadzał ją do śmiechu. Lekarze jednak nie byli aż takimi optymistami. Dwanaście minut przywracali mnie do życia, trzy tygodnie leżałem nieruchomo w łóżku. Nie można było wykluczyć, że doszło do poważnych obrażeń mózgu.

– W takim razie pozwólmy mu umrzeć – zaproponowała Lucy.

– Nigdy – odparli lekarze. – W naszym szpitalu pozwalamy żyć tym, którzy żyją. Jeśli będzie chciał umrzeć, niech sam odbierze sobie życie.

Nie będę nawet próbował opisywać, co czułem, gdy po tak długim czasie odzyskałem świadomość. Brakuje mi słów. Powiem tylko, że było to moje najbardziej ohydne doświadczenie w życiu. Lekarze uwielbiają w tym kontekście słowo „nieprzyjemne”. Odnoszą je do sytuacji, które wywołują strach. Ja wolę używać słowa „ohydny”, bo lepiej pasuje.

Po odzyskaniu przytomności nie byłem w stanie wstać z łóżka i wrócić do domu. Po prostu w ogóle nie mogłem się podnieść. Poza tym musiałem złożyć zeznania na policji. Lucy wykonała za mnie kawał roboty, ale ostatecznych wyjaśnień musiałem udzielić sam. Pamięć wracała mi stopniowo, mniej więcej w tym samym tempie, w jakim odzyskiwałem sprawność fizyczną. Leżenie w szpitalu było dla mnie poniżające, podobnie jak kwestionowanie mojej wiarygodności przez policję.

– Dlaczego spotkaliście się akurat na starym polu naftowym? – spytał szeryf Stiller.

Odparłem, że nie wiem. W przesłuchaniu uczestniczył też Taylor. Słyszac sformułowanie „pole naftowe”, spuścił wzrok.

Lucy i Belle były przez cały czas przy mnie. Przyjechały do Houston w towarzystwie Signe.

Belle była w wyśmienitym humorze i wszystkich oczarowała. Lekarz powiedział mi, że zdjęto jej gips. Kiedy do mnie przyszła, od razu się tym pochwaliła.

– Popatrź! Sama ręką! Lucy rozmawiała z panem doktorem i on mi pomógł.

Lucy wie, jak się zabrać do rzeczy.

Na lotnisku w Arlandzie wylądowaliśmy we wtorek. Był wrzesień, padał deszcz, a ja starałem się nie myśleć, ile za mój pobyt w szpitalu zapłaciła firma ubezpieczeniowa. Wkrótce zacznie się jesień. Lekarze zalecali mi przynajmniej ośmiotygodniowy urlop zdrowotny, a ja obiecałem, że zastosuję się do tego. W niektórych sytuacjach trzeba słuchać mądrzejszych od siebie. Jeśli ktoś miał zawał serca przed ukończeniem czterdziestego piątego roku życia, powinien na siebie uważać.

– Zacznę trenować – powiedziałem do Lucy, gdy po wyjściu z lotniska wsiedliśmy do taksówki. – Zmienię dietę, a może nawet pójdę do dietetyka?

Siedzieliśmy z tyłu we trójkę, Belle między nami. Zasnęła z głową opartą o moje ramię. Lucy milczała, a ja patrzyłem przez mokrą od deszczu szybę. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej policzka. Kiedy to zrobiłem, głowa Belle opadła mi na piersi.

– Wszystko w porządku, kochanie? – spytałem.

Lucy odpowiedziała w jedyny sposób, jakiego się spodziewałem:

– Nie. – Po chwili dodała: – To już koniec. Rozumiesz? Koniec.

Jak opisać szok, którego w tym momencie doznałem? Byłem przerażony, i to o wiele bardziej niż po wybudzeniu ze śpiączki. Wprawdzie pamiętałem nasze wcześniejsze spory, ale miałem nadzieję, że to, co przeżyliśmy w Teksasie, wszystko zmieni i jeszcze bardziej nas do siebie zbliży. Czuję to całym ciałem, które nadal sprawiało mi okropny ból.

– Pojechałeś do Teksasu. Ty...

Chciałem coś powiedzieć, ale Lucy położyła mi palec na ustach.

– Kocham cię – powiedziała i się rozpląkała. – Rozumiesz? Kocham. Bardziej niż kogokolwiek innego. Ale to już koniec. To, co jest między nami, nie jest normalnym związkiem. To prawda, niczego takiego mi nie obiecywałeś, ale ja już tak dalej nie chcę. Tylko mi nie mów, że się zmienisz, bo wiem, że to niemożliwe. Na pewno tego nie zrobisz. Kocham cię, ale dłużej już tak nie mogę, bo ty nie kochasz mnie w taki sam sposób jak ja ciebie.

Ogarnęła mnie panika. Większa od tej, gdy czekałem na śmierć z ręki brata. Szukałem słów, którymi mógłbym ją przekonać, jak bardzo ją kocham, jak bardzo jej potrzebuję. Chciałem powiedzieć, że bez niej jestem nikim, że nie mam lepszego przyjaciela od niej. Niestety, nie powiedziałem tego wszystkiego, bo przypomniało mi się, czego tak naprawdę chce Lucy: wiernego kochanka, wspólnego domu, może nawet wspólnych dzieci. Stąd jej płacz, bo miała oczywiście rację. Ona zawsze ma rację. Bo ja żadnej z tych rzeczy nie mogłem jej zaoferować. No, może od czasu do czasu. Człowiek, który ciężko chorował i odzyskał zdrowie, staje się pokorny. Być może latem, gdy zacząłem się zastanawiać, czy nie mógłbym się stać takim, jakim Lucy chciałyby mnie widzieć, i czy nie mógłbym jej zaoferować tego, czego ode mnie oczekuje, wynikało to z chwili słabości. Bo Lucy na to zasługuje. Niestety, dobrze wiem, że jestem zbyt wielkim egoistą, żeby podejmować tak wiążące decyzje życiowe. Nie umiem się

zmienić tak, żebym należał tylko do niej. Być może taki instynkt samozachowawczy jest całkiem zdrowy.

Jesteśmy, kim jesteśmy.

**ZAPIS WYWIADU Z MARTINEM BENNEREM (MB)
PROWADZĄCA WYWIAD: KAREN VIKING (KV), NIEZALEŻNA DZIENNIKARKA
MIEJSCE ROZMOWY: SZTOKHOLM**

KV: Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę rozstaliście się z Lucy?

MB: Tak

KV: A co dzieje się teraz?

MB: Zrobiliśmy sobie przerwę. Zamknęliśmy kancelarię na cztery spusty i przez pewien czas nie będziemy tam zaglądać. Helmer poszedł na płatny urlop, ja chodzę na rehabilitację, a Lucy znalazła czasowe zatrudnienie w pewnej firmie.

KV: Rozumiem, że co jakiś czas się spotykacie?

MB: Jasne. Belle byłaby zrozpaczona, gdyby nie mogła się z nią widywać.

KV: Czy pan i Lucy będziecie kiedyś znowu razem?

(milczenie)

MB: A czy w kontekście całej tej historii ma to jakieś znaczenie?

KV: Dla samej historii nie. Jestem po prostu ciekawa.

MB: Proszę się więc tym nie interesować. Fredrik też o to nie pytał.

KV: Sorry. Co się stało po powrocie do Szwecji? Pytam o zabójstwa, o których popełnienie był pan podejrzany.

MB: Sprawa wyjaśniła się częściowo jeszcze podczas naszego pobytu w Stanach. Obie policje – szwedzka i amerykańska – zaczęły współpracować. Resztę spraw wyjaśniliśmy po powrocie do Szwecji.

KV: Czy łatwo było przekonać szwedzką policję, że Didrik też był zamieszany w tę sprawę?

MB: Wprost przeciwnie. Prawda jest taka, że trudno było wyjaśnić całe zamieszanie związane z zaginięciem Mio. Na szczęście udało nam się uzyskać ze szpitala w Kopenhadze karty chorobowe Sebastiana. Tamtejsi lekarze stwierdzili, że chłopiec nie miał szans i po opuszczeniu szpitala umarłby w ciągu miesiąca. W tej sytuacji policja musiała przyznać, że chłopcem, którego

Rebecca i Didrik wychowywali w Danii jako swojego syna, nie był Sebbe. Policjanci zabezpieczyli w ich willi włosy i dzięki analizie DNA ustalili, że należały do Mio.

KV: Ale przecież Mio nie był już uznany za zaginionego?

MB: Nie.

KV: No to co się stało?

KV: Kiedy Rebecca i Didrik zginęli w wypadku, w samochodzie jechała z nimi jeszcze jedna osoba. To ona zabrała chłopca z miejsca wypadku i ukryła go w bezpiecznym miejscu.

KV: Bo myślała, że Lucyfer nadal go poszukuje?

MB: Tak. Wtedy jeszcze go szukał.

KV: A dzisiaj? Chłopcu nic już nie grozi?

MB: Nie.

KV: No to dlaczego nadal pozostaje w ukryciu?

MB: Już nie. Mieszka razem z cudowną matką zastępczą, która kocha go jak własnego syna i będzie go kochać do końca życia.

KV: Kim jest ta osoba, która podróżowała samochodem z Didrikim i Rebecą?

MB: Niech pani zgadnie...

KV: Nie mam pojęcia.

(milczenie)

MB: Jestem rozzarowany.

(milczenie)

KV: Chyba nie Rakeł?

MB: A ktoś by inny? Kiedy grunt zaczął jej się palić pod nogami, wyjechała ze Sztokholmu do Danii. Didriknie ucieszył się na jej widok. Tamtego dnia jechali na lotnisko Kastrup, bo chciał ją wysłać do Hiszpanii. Widocznie miała tam jakichś przyjaciół, u których mogła się zatrzymać.

KV: Śląd pan to wszystko wie?

MB: Rozmawiałem z nią. Policja tego nie zrobiła. Śledczy nadal uważają, że chłopca uprowadził z przedszłola Didrik albo Rebecca. Mnie taka teoria w niczym nie przeszkadza. Rakeł była jedyną prawdziwą przyjaciółką Sary w Szwecji. Bardzo pomogła jej i chłopcu. Wolalby nie obarczać jej winą za to, że później została wplątana w przestępcze działania Didrika i jego żony.

KV: To znaczy, że policja nic nie wie o jej udziale w całej tej historii?

MB: Nie i niech tak zostanie. To samo powiedziałem Nadji, która widziała, jak Rael wyprowadzała Mio z przedszkola. Rael miała potężnego łaca moralnego z powodu tego, co się stało. Przecież chciała jak najlepiej dla chłopca. Nieprzypadkowo starała się o pracę w Zagrodzie Trolli. Chciała mieć Mio pod stałą opieką. Didriko tym wiedział, bo Sara mu o tym powiedziała, i wykorzystał ją, kiedy zapadła decyzja o uprowadzeniu chłopca. Później zadzwonił do Rael i zażądał od niej, żeby mu najpierw pomogła ukryć zwłoki Kroma w jej domu, a potem przewieźć je do mojego samochodu. Zagroził, że jeśli mu nie pomoże, wsadzi ją do więzienia za porwanie Mio.

KV: Czy Rael nadal mieszka w Hiszpanii?

MB: Wróciła do Sztokholmu i podjęła naukę. Z Hiszpanii wyjechała dopiero, gdy sytuacja się uspokoiła. Chłopca przekazaliśmy w ręce szwedzkich władz, ale zrobiliśmy to tak, żeby jej udział w całej sprawie pozostał nieznamy. Policja tysiąc razy mnie pytała, gdzie chłopiec przebywał od wypadku samochodowego do dnia, gdy znalazł się w budynku komendy. Za każdym razem wzruszałem ramionami i odpowiadałem, że nie wiem.

KV: Twierdzi pan, że Mio po prostu zjawił się nagle na komendzie policji?
W gazetach czytałam coś innego...

MB: Wiem. Prasa pisała, że policja odnalazła go po intensywnych poszukiwaniach. Jakwidać, prawda jest inna.

(milczenie)

KV: Mam jeszcze dwa pytania.

MB: Proszę bardzo.

KV: Nie rozumiem, jakim sposobem udało im się wsadzić zwłoki Kroma do bagażnika pańskiego wozu. Nie zamyła go pan na klucz?

MB: Owszem, ale dla takiego specjalisty jak Didrik zamknięcie stanowiło żadnej przeszkody. Proszę mnie nie pytać, jak go otworzył.

KV: Na koniec ostatnie pytanie: kto opiekuje się chłopcem teraz?

MB: Dziewczyna Bobby'ego. On sam nie miałby szans na status rodzica zastępczego, ale z nią sprawa przedstawiała się inaczej. Wydział opieki zaakceptował jej wniosek Mio od razu ją poznał, chociaż nie widzieli się ponad rok. On naprawdę potrzebował kogoś takiego jak ona. Kogoś, kto zna jego historię, pochodzenie, przeszłość.

KV: A Boris?

MB: To już trzecie pytanie... Wszystko u niego w porządku, ale nie zdradzę, gdzie teraz przebywa.

KV: A co z porsche?

MB: Mój samochód został zezłomowany. Teraz jeżdżę maseratim. To lepszy wóz.

KV: W takim razie można chyba powiedzieć, że wszystko dobre, co się dobrze łączy?

MB: Zgadzam się z panią. Żyjemy, jesteśmy zdrowi. To chyba najważniejsze.

KV: W takim razie może pan też się w końcu zmieni?

MB: Nie sądzę. Raczej nie ma na to szans.

Spis treści

POCZATEK

ZAGADKA SARY TELL

Streszczenie

CZEŚĆ 1

1

2

3

4

5

6

7

8

9

CZEŚĆ 2

10

11

12

13

14

15

CZEŚĆ 3

16

17

18

19

20

21

22

CZEŚĆ 4

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

CZEŚĆ 5

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47